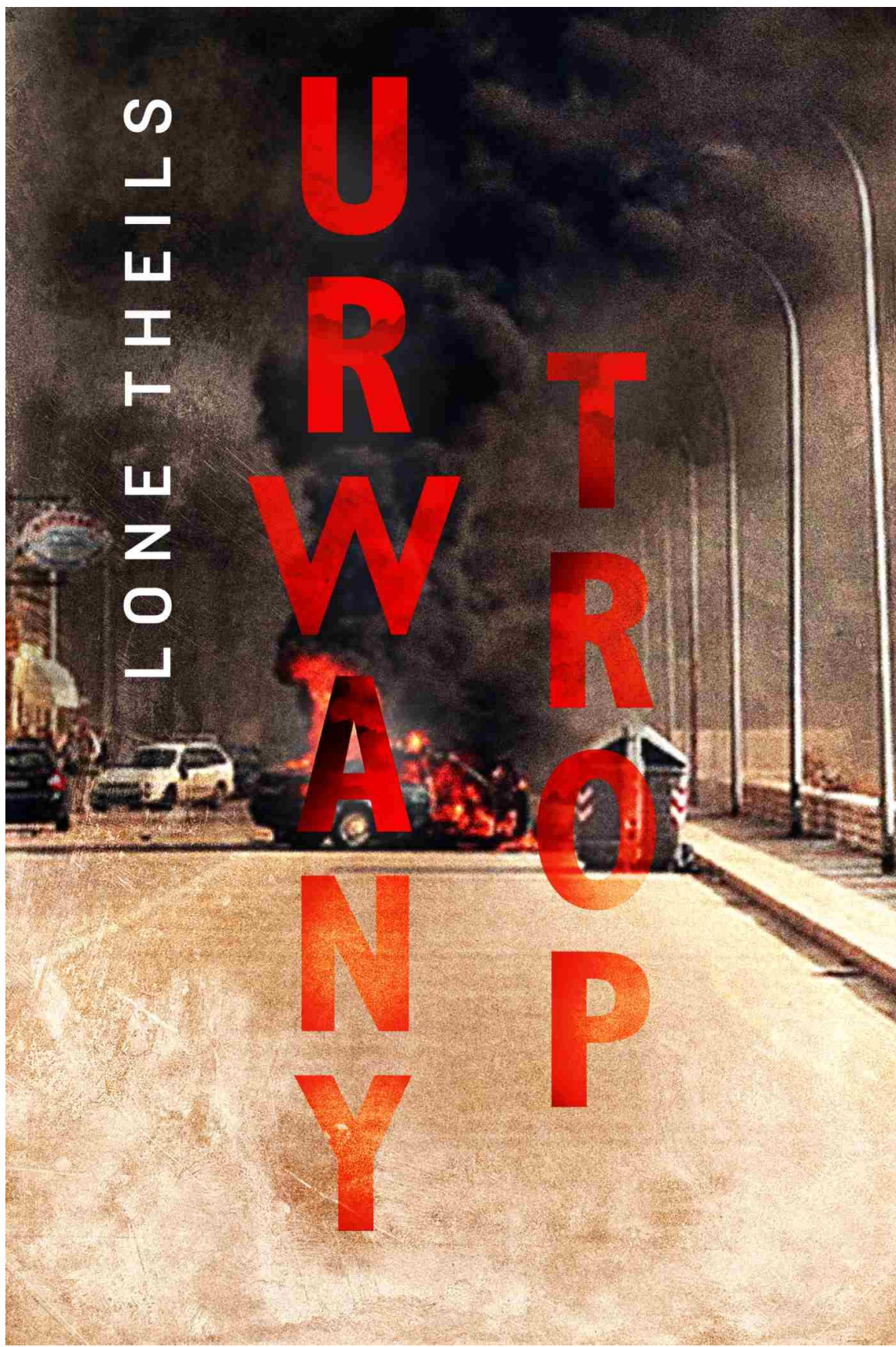


LONE THEILS

U
R
W
A
N
Y
T
R
O
P



MRO CZNA
SERIA

LONE

THEILS

URWANY TROP

przełożyła Joanna Cymbrykiewicz



Tytuł oryginału: *Den blå digters kone*

Copyright © 2016 by Lone Theils

First published by Lindhardt & Ringhof, Denmark 2016

Published by arrangement with Nordin Agency AB, Sweden

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Joanna Cymbrykiewicz, MMXVII

Wydanie I

Warszawa MMXVII

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Od autorki

Przypisy

Rozdział 1

Dłubanina była warta zachodu. Nora pochylała się nad wielkim koszem z kurkami, pieczołowicie wybierając z niego małe, pyszne, perfekcyjnie uformowane stożki.

Wreszcie, zadowolona ze zbiorów, podeszła z papierową torebką do handlarza warzywami i kładąc ją na wagę, stawiała czoło realiom finansowym.

Uśmiechnęła się do Andreasa, który kończył legendarny sandwich z kiełbasą chorizo z Borough Market. Niemal idealne sobotnie przedpołudnie. Mimo że minął już miesiąc, wciąż nie pojmowała, że może tak po prostu wyciągnąć rękę i dotknąć mężczyzny, który wcześniej był zakazany. Zakazany, bo był z inną. Bo ona sama nie ośmieliła się dać sobie zielonego światła. Bo nieporozumienia między nimi trwały latami aż do dnia, gdy tama puściła.

Już miała do niego podejść, gdy zadzwonił jego telefon. Uśmiechnął się do niej przepaszająco, mrugnął i wyjął komórkę z kieszeni marynarki. Płacąc, Nora zauważyła, że wyraz twarzy Andreasa się zmienia. Zrobił się śmiertelnie poważny, oddalił się od warzywniaka, wyszedł na chodnik i odwrócił się plecami. Widziała, jak opadają mu ramiona, jakby został uderzony. Ledwie zdążyła pomyśleć, że trzeba się przygotować na naprawdę złe wieści, gdy w torebce zawibrował jej własny telefon.

Od razu stwierdziła, że to numer komórki Kraba, i przez krótką chwilę rozważała, czyby go nie zignorować. Gdy jej szef dzwonił w weekend, wolny czas można było spisać na straty szybciej, niż człowiek zdążył powiedzieć: „Właściwie to mam plany”. Takie były uroki pracy londyńskiej korespondentki tygodnika „Globalt”. Kochała swoją pracę, uwielbiała międzynarodowe czasopismo, które według niej proponowało coś znacznie więcej niż zwykłe relacje prasowe. Ale nie zawsze przepadała za Krabem i jego brakiem umiejętności rozgraniczania między pracą a czasem wolnym. Na dobrą sprawę Nora знаła tylko jedną gorszą osobę. Była nią ona sama.

Przeszedł od razu do rzeczy, w swoim typowym Krabim stylu:

– Sand. Irański poeta Manash Ishmail. Co o nim wiesz? – spytał.

Nora pomyślała z początku, że to pytanie retoryczne, ale gdy je zadawszy, Krab nie przystąpił do wykładu, zaczęła szukać w głowie informacji.

– Hm. Jeden z najwybitniejszych irańskich poetów i krytyków systemu. Przyjechał do Danii w ubiegłym miesiącu. Rząd irański domaga się jego wydania ze względu na działalność terrorystyczną. Rząd grozi, że skończy ze sprzedażą ropy Danii i całej Unii, jeśli Dania nie wyda go ich sądom. W związku z tym eksport fety wisi na włosku. On sam ubiega się o azyl w Danii. Mówi, że jest prześladowany ze względów politycznych i ryzykuje karę śmierci w przypadku deportacji do Iranu. Dzięki jego pierwszemu tomikowi poezji, zatytułowanemu

Błękitna dusza, nominowano go do literackiej Nagrody Nobla – wyrecytowała Nora z pamięci, opierającej się również na nagłówkach gazet z paru ostatnich tygodni. – Ale nigdy nie czytałam jego wierszy – dodała.

– Czy kiedykolwiek go spotkałaś? Przeprowadzałaś z nim wywiad?

– Nie – odparła zdumiona Nora. – To nie do końca moja tematyka, mówiąc eufemistycznie.

– Właśnie, tak też myślałem – stwierdził Krab z namysłem. – A jednak pytał o ciebie.

– Kto?

– Ishmail. Pytał o ciebie.

– Jak to?

– Od pierwszego dnia jego pobytu w Danii Viola Ponte próbowała umówić się z nim na wywiad. Odrzuca wszystkie zapytania. Nie udziela wywiadów – opowiadał Krab, odnosząc się do redaktorki od kultury w „Globalt”.

– Yyy, tak? – odparła Nora, próbując odgadnąć, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Aż do wczorajszego wieczoru – ciągnął Krab. – Wtedy nagle się zgodził. Pod jednym warunkiem: że to ty przeprowadzisz wywiad.

Norę zatkało. Balansując z siatkami z rybą i kurkami w jednej ręce, a z komórką w drugiej, próbowała dojrzeć w tłumie Andreasa. Nigdzie nie było go widać.

– Jesteś tam? – odezwał się po drugiej stronie słuchawki głos Kraba.

– Tak, jestem. Nie wiem, co mam powiedzieć... Nie rozumiem, dlaczego to mam być ja – powiedziała z roztargnieniem, wypatrując Andreasa.

Jest! Jego jasne włosy mignęły jej w pobliżu kafejki na rogu, ale twarz pozostała niewidoczna. Zmusiła się do skupienia na rozmowie.

– Miałem nadzieję – odparł urażony Krab – że będziesz bardziej skłonna mi wyjaśnić, dlaczego on upiera się przy tobie. Czy któryś z twoich ostatnich artykułów dotyczył Iranu? Poezji? Czegoś, co może mieć z tym jakiś związek? – badał.

Nora pokręciła głową, uzmysławiając sobie, że Krab tego nie widzi.

– Nie, naprawdę nie wiem, co by to mogło być.

– Ja też. Kazałem nawet Emily przeryć archiwum. Jeśli ona czegoś nie wie, to kiepsko z tym światem – zawyrokował na temat wszechwiedzącej archiwistki, bibliotekarki i niezastąpionej superresearcherki. – Słuchaj, Sand, musisz tu przyjechać, by się dowiedzieć, o co chodzi. Jesteś to winna temu człowiekowi, o sobie już nawet nie wspomnę. Ponte była roz-wście-czo-na. Zdażyła już zapowiedzieć Victorowi, że to nadaje się na długi, grający na emocjach artykuł. I wtedy Ishmail decyduje, że chce ciebie. Zdradzę tylko, że nie było to najbardziej spokojne zebranie redakcji w całej historii tygodnika – powiedział Krab.

Nora westchnęła.

– Poniedziałek, dobrze?

Krab ociągał się z odpowiedzią.

– Byle nie później. Ta historia nie może nam przejść koło nosa. Choć on pewnie nie będzie rozmawiał z innymi, jeśli mu zagwarantujemy, że się stawisz – powiedział, szykując się do zakończenia rozmowy. – No, ta partyjka golfa sama się nie rozegra. Miłego weekendu.

Nora od razu zadzwoniła do Anette z redakcji i poprosiła o zabukowanie biletu na samolot do Danii. Nie pozostało już nic innego, jak przyznać się Andreasowi, że ten weekend, który zamierzali spędzić w swoich objęciach, zostanie drastycznie skrócony. Będzie musiała polecieć w niedzielę wieczorem, by zdążyć z wywiadem na poniedziałek rano.

Jej wzrok powędrował w stronę kafejki. Andreas kupił sobie popularne espresso z Monmouth, do którego londyńscy miłośnicy kawy ustawiali się radośnie w kolejkach. Ale stał oszołomiony, trzymając przed sobą papierowy kubek.

Uzmysłowiła sobie, że chyba nie ona jedyna usłyszała szokujące wieści. Podeszła do niego w nadziei, że uda jej się pochwycić jego spojrzenie. Ale spoglądał w tłum na rynku, choć chyba niczego nie dostrzegął. Spojrzał na nią dopiero, gdy ujęła go za ramię.

– Andreas, co się dzieje? – spytała, próbując spojrzeć mu w oczy.

Najpierw popatrzył w ziemię, potem w bok. W końcu utkwiał wzrok w punkcie tuż nad jej lewym ramieniem.

– Ona jest w ciąży.

– Birgitte? Birgitte jest w ciąży? – Głos Nory przeszedł w falset.

Andreas rozpaczliwie pokiwał głową.

– Co? – spytała Nora głupio, próbując zrozumieć, jak to się mogło stać. Jak mogła znaleźć się w tej sytuacji. Wstać rano z poczuciem szczęścia, u boku mężczyzny, który jest najlepszym, co mogło jej się trafić, i trzy godziny później stać na Borough Market z pieprzoną siatką z rybami w ręku, podczas gdy jego była dziewczyna, mieszkająca w innym kraju, rwie jej życie na strzępy, i to przez telefon.

– Jest w trzynastym tygodniu, więc nie przerwie ciąży. Oczekała, by mi o tym powiedzieć, żeby było za późno na aborcję. I oświadczyła dobitnie, że oczekuje pełnego uczestnictwa z mojej strony. Pełne uczestnictwo, tak to sformułowała – powiedział Andreas bezbarwnym głosem.

– Co zrobisz? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Cisza rozlała się między nimi jak ocean, na którym stanowili dwie nieszczęśliwe wysepki. Nagle osobne.

– Nora, do cholery, nie wiem. Muszę pojechać do domu, dowiedzieć się, co,

u diabła, się dzieje. Nie wiem.

Nora usłyszała w oddali, jak siatka z rybami uderza o ziemię. Zobaczyła jakby z daleka, jak papierowa torebka z kurkami idzie w jej ślady i pęka. Ujrzała, jak małe, złotawe stożki wysypują się na chodnik i jak rozdeptują je przechodnie, ubrani w praktyczne, męskie pantofle, trapey i dziewczęce sandały.

W końcu znalazła w sobie siłę, by się odwrócić.

– To lepiej się dowiedz – wyjąkała i opuściła Borough Market. I Andreasa.

Nie oglądała się za siebie. Wiedziała, że będzie tam stał ze spuszczoneymi rękami, smutnym spojrzeniem i delikatną zmarszczką, pojawiającą się w okolicach jego dolnej wargi w chwilach zwątpienia.

*

Nie wiedziała, ile trwała jej wędrówka brzegiem rzeki, może godzinę. W końcu zeszła do stacji metra, pojechała Northern Line do Hampstead, z mozołem wdrapała się na wzgórze i zapukała do drzwi Pete'a.

– Czy myśmy się dobrze zrozumieli? To nie ja miałem przyjść do ciebie na obiad? – zdążył zapytać, zanim zobaczył wyraz jej twarzy. – Skarbie – powiedział potem po prostu i wziął ją w ramiona. Dopiero wtedy się rozpląkała.

– To przecież ja miałam cię pocieszać – szlochała.

Od powrotu z fotoreporterskiego zadania w Kambodży z przystankiem w Melbourne Pete był zamknięty w sobie i przybity. Miłość jego życia, Caroline, związała się z pewnym chirurgiem i teraz oczekiwała z nim dziecka. Pete o tym wiedział, zanim zdecydował się ją odwiedzić, ale jednak jej widok z brzuchem w szóstym miesiącu ciąży sprawił, że prawda w brutalny sposób do niego dotarła.

Nora musiała wszystko z niego wyciągać. Powoli, boleśnie i po kawałku, jak przy wyciąganiu drzazgi pincetą. Tak, wziął się w garść i zadzwonił do Caroline. Zgodziła się spotkać na kawie przy promenadzie na plaży w St. Kilda.

Siedzieli w swojej dawnej kafejce, spoglądając na wodę, a na zewnątrz turyści na rolkach na zmianę balansowali i nonszalancko przemykali obok.

Mówiła o tym otwarciu. Zamówiła tylko porcję Mississippi Mudslide Pie, zaznaczając, że w jej stanie jest wiecznie głodna. Wypukłość na jej brzuchu była tak duża, że nie sposób było zaprzeczać jej istnieniu, więc czuł się zmuszony spytać, ile zostało do rozwiązania.

– Trzy miesiące – odparła uprzejmie.

Spytał, czy jest szczęśliwa z Ryanem. Mężczyzną, którego poznała w pracy niecałe trzy miesiące po zerwaniu z nim i powrocie z Londynu do Australii. Mężczyzną, który pod żadnym pozorem nie może się dowiedzieć, że ona siedzi sobie w kawiarni na plaży i popija kawę ze swoim byłym, podczas gdy on jest na sympozjum medycznym w Perth.

Tak, Caroline przyznała, że jest szczęśliwa, wręcz przeszcześliwa.

Jednak udzielając odpowiedzi, nie patrzyła na Pete'a; wpatrywała się w wodę i zachodzące słońce.

– Ale – wtrąciła Nora, gdy opowiadał jej tę historię w lokalnym Starbucksie, w którym siedzieli każde ze swoim latte – powiedziałaś jej, że nadal ją kochasz?

Pete potrząsnął głową z goryczą.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo widziałem sens – odparł, opróżniając kubek.

Nora zastanawiała się, czyby go nie wyswatać z którąś ze swoich samotnych koleżanek. Ale Pete był jeszcze w żałobie i każda kobieta, która zaangażowałaby się w związek z uroklivym fotografem o ciemnych lokach i zielonych oczach, skończyłaby jako żalosna namiastka. Pete nie był gotowy, by wejść w poważny związek. Za to wrócił do muzyki ze swojej młodości, wciągnął się w słuchanie The Cure i jeszcze mu nie minęło. Nora była przygotowana, że w każdej chwili może pojawić się na planie umalowany czarnym eyelinerem i z nastroszonymi włosami, współgrającymi z jego wyrazem twarzy, dotkniętej weltszmercem.

Ale teraz to on zajął się Norą, poszedł po tajskie jedzenie i wyciągnął z lodówki zimne piwo. I pozwolił Norze rzucić się na sofę i zasnąć przy akompaniamencie *Morderstw w Midsomer* z nietkniętą połówką porcji pad thai na talerzu.

Nora nie miała siły opowiadać mu o sprawie, której sama nie ogarniała, zaś Pete wychował się w prastarej australijskiej tradycji, według której pytania zadaje się tylko w sprzyjających okolicznościach.

Dopiero nazajutrz była w stanie wziąć się w garść i pojechać do mieszkania w Belsize Park, by spróbować porozumieć się z Andreasem.

*

Dostrzegła to od razu po wejściu do mieszkania. Zniknęły jego rzeczy. Nie żeby było ich dużo: szczoteczka do zębów, parę koszulek na wypadek spontanicznego noclegu u niej zamiast w wynajętym mieszkanku w Battersea. Ostatnio była to większość nocy. Najnowsza płyta Coldplay. Maszynka do golenia Gillette i książka objętości cegły o genezie Al-Kaidy. Wszystko to zniknęło.

Na blacie kuchennym leżała kartka: „Muszę się dowiedzieć, co się dzieje. Jadę do domu porozmawiać z nią. Szkoda, że cię nie ma. Pa”.

Sprawdziła komórkę. Nie zadzwonił. Nie zostawił wiadomości. Ani nie wysłał SMS-a. Wrzuciła kluczyki do szuflady i wyciągnęła walizkę. Równie dobrze mogłaby się spakować od razu.

Rozdział 2

W niedzielne popołudnie odebrała samochód z wypożyczalni lotniska Kastrup i pojechała do domku na działce swego brata Davida na Amager. Nie miała siły jechać do ojca do Bagsværd. Nawet roztargniony profesor historii zorientuje się na pierwszy rzut oka, że coś jest nie tak, a Nora nie była gotowa na rozmowę z ojcem. Przecież ledwie napomknęła mu o Andreasie.

Spojrzała przez przednią szybę na miasto w oddali. Gdzieś w dzielnicy Frederiksberg mieszka Birgitte Policjantka. Kobieta, która spędziła z Andreasem prawie dwa lata, zanim nie wybrał się do Londynu na dziewięciomiesięczny kurs walki z terroryzmem i nie odwiedził dawnej koleżanki z liceum, Nory.

Może Birgitte przeczuwała, że coś jest na rzeczy, że może Andreas nigdy nie zapomniał o swojej miłości do Nory. W każdym razie jej reakcja była taka, że zaprosiła Andreasa na weekend i postawiła pod ścianą: chciała wziąć ślub.

Nora знаła tylko urywki tej historii. Gdy Andreas próbował coś jej opowiedzieć, musiała siłą powstrzymywać się, by nie zatkać sobie uszu, śpiewając „la-la-la-la-nie-słyszę-co-mówisz”. Po prostu nie chciała niczego wiedzieć o ich wspólnym życiu. Jak się w sobie zakochali i dlaczego im nie wyszło.

Musiała wiedzieć tylko tyle, czy Andreas teraz z nią jest. Choć ich uczucie nadal było świeże i kruche jak kielki krokusów, ostrożnie wychylające się w marcu z trawy.

Czy on z nią jest?

Zaparkowała przed związkiem działkowców i odszukała Andreasa na liście kontaktów w telefonie. Siedziała, patrząc w zamyśleniu na zdjęcie, które zrobiła mu któregoś dnia na dworze, gdy siedzieli w słońcu, pijąc mrożoną kawę i rozmawiając o znaczeniu haiku, Tour de France i dobrej mozzarelli w jednej z tych zygzakowatych rozmów, jakie potrafiła prowadzić tylko z nim.

Zadzwoiła. Nie odebrał, a ona nie zostawiła wiadomości.

Chwilę później powlokła walizkę po ogrodowej ścieżce i odszukała klucz do domku dokładnie tam, gdzie powinien być: pod kalenicą, za czwartym słupkiem po lewej. Oznaczało to, że David pojechał do swojego mieszkania. Ulżyło jej, ale i poczuła się trochę winna, że marzy tylko o tym, by pobyć sama ze sobą.

Znalazła butelkę czerwonego wina na górnej półce szafki, odkorkowała ją i naląła do starej musztardówki z Tintinem na wielbłądzie, którą kiedyś kupiła w belgijskim supermarkecie. Następnie zrzuciła sandały i poszła bosą na obchód ogrodu. Poczowała rosę na trawie pod stopami, usiadła pod śliwą i pomyślała o wieczorze sprzed wielu lat, kiedy siedziała z Andreasem w całkiem innym ogrodzie. Jako wieloletni licealny przyjaciel wyznał jej wtedy wielką miłość, za co odpłaciła mu miesięcznym wyjazdem Interraiłem i nigdy więcej nie podjęła tematu.

Przyniosła butelkę z kuchni, wyciągnęła z torby swego maca i włączyła go.

W ciągu dwudziestu sekund rozpoznał wi-fi ogródka działkowego i przypomniał sobie kod Davida, którym była liczba pi z pięcioma cyframi po przecinku, poprzedzona słowem „PaeOn”.

Zacząła od Wikipedii, która informowała krótko i zwięźle, że Manash Ishmail ma trzydzieści osiem lat i urodził się w Zandżanie jako najmłodszy syn nauczyciela angielskiego. Od piętnastu lat żonaty z Aminą. Nie mają dzieci. Z pewnym zaskoczeniem przeczytała, że z wykształcenia jest prawnikiem i zanim przeczucił się na pisarstwo, pracował jako urzędnik w irańskim ministerstwie do spraw zasobów wodnych.

Wikipedia podawała link do artykułu w „Daily Telegraph” o przełomie literackim Ishmaila. Dziennikarz opisywał, jak ojciec, dumny z syna, bez jego wiedzy pokazał wiersze brytyjskiemu koledze, który wracał do Wielkiej Brytanii po krótkim pobycie na wymianie. Kolega tak się rozentuzjzmował, że przetłumaczył je na angielski i posłał znajomemu wydawcy. Wiersze odkryła brytyjska gwiazdka pop, Malinka, a gdy zinterpretowała najgorętsze utwory Manasha Ishmaila swoim zmysłowym głosem i gitarą akustyczną, irański poeta w okamgnieniu został gwiazdą.

Tomik jego melancholijnej poezji znalazł się na liście bestsellerów „Sunday Timesa”, a agenci z USA, Francji i Włoch ustawili się w kolejce do opublikowania jego tekstów. Potem nastąpił ostateczny dowód uznania: Nagroda Nobla.

Dla innych pisarzy może i byłaby powodem do szczęścia, ale dla Ishmaila stała się preludium do osobistej tragedii. Skromny urzędnik znalazł się nagle na celowniku swojego rządu. Nadgorliwy oficer wywiadu z irańskiej policji politycznej SAWAK przeczytał wnikliwie tomik i uznał, że wiersz na przedostatniej stronie można odczytać jako zawołaną krytykę teokracji islamskiej.

Najpierw nastąpiło zwolnienie, bez słowa wyjaśnienia. Trzy dni później Manash Ishmail znalazł się w osławionym teherańskim więzieniu Evin.

Do sprawy wkroczyło stowarzyszenie PEN i trzy tygodnie później pod wpływem gigantycznych międzynarodowych nacisków Ishmaila uwolniono. Sponiewieranego i rozżalonego na reżim, którym wcześniej niespecjalnie się interesował.

Nora przeszukała jeszcze sieć, ale inne doniesienia wyglądały na przeróbki artykułu z brytyjskiej gazety. Bezskutecznie poszukiwała wywiadu z nim samym. Lecz Manash Ishmail nie udzielał wywiadów. Przez swojego brytyjskiego agenta dał uprzejmie do zrozumienia, że czuje się zaszczycony zainteresowaniem, ale wszystko, co leży mu na sercu, znajduje się w jego wierszach.

Nora wzięła solidny łyk z kieliszka i dołała sobie więcej. Prostokąt trawnika pograżył się w jasnoliliowym letnim zmierzchu, a ona marzła w nogi.

Wyszukała kilka fragmentów wierszy z tomiku Manasha w angielskim

tłumaczeniu i po kilku minutach wciągnęła ją perska tęsknota, spowita w błękitny, melancholijny ton.

Doszła do wniosku, że to kwestia pory dnia, braku snu, zimna i czegoś tam jeszcze. Ale czuła, jakby słowa przenikały do jej serca i znajdowały drogę do oczu, szklistych od czytania o tęsknocie i samotności, które kończą się po spotkaniu bratniej duszy i znalezieniu wiecznej miłości.

Siedziała chwilę, patrząc w mrok i myśląc o Andreasie. Gdzie jest i co teraz robi.

W końcu zamknęła stronę, wyszukała w komputerze ośrodek dla uchodźców i wysłała na swego maila szczegółową trasę.

Potem weszła do domku, znalazła w szafie stary, watowany koc i ułożyła się na wąskiej, zielonej sofie, dierzając numer „Illustreret Videnskab” Davida w nadziei, że wyczerpujący, analityczny artykuł o tajemnicach Drogi Mlecznej sprawi, że sen szybciej nadejdzie.

Nie nadszedł.

Rozdział 3

W poniedziałkowe przedpołudnie ruch był niewielki, więc po półtoragodzinnej jeździe dotarła do Humlegården, nieco za Slagelse. Kiedyś była to zapewne elegancka posiadłość rodzinna; obecnie w tym miejscu można było ukryć grupę ludzi tak, by nie przeszkadzali zwykłym mieszkańcom swoją obecnością na ulicach i nie prowokowali wyborców do głosowania na skrajną prawicę.

Od czasu gdy Nora relacjonowała wojny i konflikty na Bałkanach, jeżyła się za każdym razem, gdy ktoś używał sformułowania „uchodźcy z wygodnictwa”. Widziała ludzi uciekających przed wojną w dramatycznych okolicznościach. Wyrwali całe swoje życie z korzeniami i zostawiali domy, zamieszkałe przez ich rodziny od dziesiątek lat, żołnierzom z płonącymi pochodniami. Biegli przez góry w samych skarpetkach, by uratować życie swoje, swoich dzieci i starzejących się rodziców, a potem stali na granicy przed funkcjonariuszem, unikającym ich spojrzenia. Jeśli bycie uchodźcą miało coś wspólnego z wygodnictwem, Nora nigdy się tego nie dopatrzyła.

Zaparkowała samochód na zwirowanym spłachetku ziemi przed tablicą informującą, że znajduje się tu ośrodek dla uchodźców Czerwonego Krzyża. Następnie odszukała komórkę i karteczkę z numerem telefonu, który dostała od Kraba. Odebrano po dwóch sygnałach.

– Mówi Kirsten – odezwał się po drugiej stronie spokojny głos.
– Tu Nora Sand. Przyjechałam odwiedzić Manasha...
– Tak, oczekiwaliśmy pani. On też na panią czeka. Proszę dać mi sekundkę, już idę – obiecał głos.

Nora wysiadła z samochodu i przeciągnęła się. Przeklęta noc. Wzięła torebkę i zamknęła samochód. Nadal nie rozumiała, dlaczego znany poeta poprosił o rozmowę właśnie ją. Nim zdążyła się w to zagłębić, stała przed nią jasnowłosa kobieta, wyciągając rękę.

– Kirsten Isager – powiedziała.

Nora przedstawiła się.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Jesteśmy bardzo dumni, mogąc gościć w ośrodku tak wybitnego poetę – rzekła.

Poszły wąską, wyłożoną płytkami ścieżką, prowadzącą do bramy osadzonej w wysokim metalowym płocie. Kirsten odszukała klucz i otworzyła.

– Wysoki poziom zabezpieczeń – zauważyła Nora.

– Owszem – odparła Kirsten. – Czasami nie wiem, czy ze względu na tych, co znajdują się w środku, czy tych, co są na zewnątrz – powiedziała, wskazując kciukiem za siebie.

Przecięły dziedziniec. Kirsten wskazała na budynek główny, walący się biały

dom, którego na oko Nory pędzel malarski nie tknął od początku wieku.

– Tu odbywa się większość czynności administracyjnych. Mamy też pokoje dla kobiet z małymi dziećmi, które potrzebują szczególnej opieki.

– Ile właściwie jest tu ludzi?

– Pierwotnie przewidywano tu miejsce dla 85 dorosłych i 20 dzieci. W praktyce mamy 92 dorosłych i 25 dzieci. Mieszkańcy pochodzą głównie z regionów objętych wojną i gdy tu przybywają, często są głęboko strauumatyzowani. Ale hola, przecież musimy pilnować, żeby nie było im tu za dobrze; tak najwyraźniej myślą rządzący. Jeszcze nabraliby chęci, by tu zostać, w poczuciu bezpieczeństwa – powiedziała Kirsten, nie kryjąc goryczy.

Po krótkiej pauzie nastąpiło nieuniknione uzupełnienie:

– Dla porządku powiem, że to nie jest wypowiedź do zacytowania.

Nora grzecznie skinęła głową, a Kirsten poprowadziła ją wzdłuż głównego budynku do czegoś, co kiedyś musiało być ogrodem. Stało tam osiem brzydkich, białych baraków, przypominających przyczepy na budowach. Nacisk położono tu na funkcjonalność i tymczasowość, i to do tego stopnia, że Nora nie zetknęła się z podobnym brakiem estetyki od czasu swojej wizyty na platformie wiertniczej na wschód od Aberdeen.

– Od jak dawna właściwie Ishmail tu jest? – spytała Nora.

– Od dwóch tygodni. Ale był w głębokiej depresji; dopiero teraz czujemy, że jest w stanie z kimś porozmawiać. Pytał o panią. Wie pani właściwie dlaczego? – spytała Kirsten z ciekawością, nim powróciła do roli przewodniczki.

Nora pokręciła głową, a Kirsten kontynuowała, niezrażona:

– Kobiety śpią po tej stronie, mężczyźni po drugiej. Mamy za mało segmentów rodzinnych i zawsze są pozajmowane.

W miarę jak zbliżały się do celu, Nora dostrzegła grupkę mężczyzn, siedzących przed jednym z białych baraków i rozmawiających półgłosem. Zdecydowana większość miała na sobie dresy. Nie było wśród nich Manasha Ishmaila.

Przez okno dochodził zapach cebuli skwierczącej na patelni i Nora poczuła, jak burczy jej w brzuchu. W przejściu między barakami dostrzegła grupę pielących kobiet. Były wśród nich i młode, i stare, a Norze przypomniał się letni dzień na Bałkanach, kiedy została obdarzona uśmiechem przez prawie bezzębną babcię w ciemnogrnatowej spódnicy i z chustką na głowie.

– Przydzielamy im zadania związane z uprawą ziemi. Stanowi to dla nich dodatek do wyżywienia i pozwala zająć się czymś sensownym podczas oczekiwania na decyzję. I co najważniejsze, praca z ziemią i widok kiełkujących roślin uzdrawia ich dusze – wyjaśniła Kirsten, zanim przystanęła przed przedostatnim barakiem i zapukała do drzwi.

Otworzył je około sześćdziesięcioletni mężczyzna z okazałym wąsem

i spojrzął na nich brązowymi oczami, które wyglądały, jakby przed chwilą lały łzy.

– Cześć, Sanjit. Przyszliśmy odwiedzić Manasha – powiedziała Kirsten.

Mężczyzna cofnął się bez słowa, wpuszczając je do kuchenki, w której smażył cebulę. Na blacie kuchennym leżała zielona papryka pokrojona w kostkę, a przy rozklekotanym stoliku turystycznym siedział drugi mężczyzna, krojąc pomidory. Gdy uniósł wzrok, Nora natychmiast rozpoznała go ze zdjęć. Atramentowoczarne oczy pod niesforną grzywką, wygięte usta, próbujące ułożyć się w coś na kształt uśmiechu, który jednak nie pojawił się w oczach. Jego smutek przypominał wielką, dławiącą płachtę, nieprzepuszczającą żadnego światła.

Wyciągnął chusteczkę z kieszeni znoszonych, ciemnych spodni, które wyglądały na świeżo wyprasowane, wytarł dłonie i podał Norze rękę.

– Nora Sand?

– Tak – odparła Nora, ściskając jego dłoń.

– Czekałem na panią – powiedział krótko, ale przyjaźnie angielszczyzną żywcem wziętą ze starych, zakurzonych książek. – Mamy do omówienia dwie ważne sprawy, ale najpierw zjemy. Akurat zdążyła pani na lunch – rzekł Manash Ishmail głosem nieznoszącym sprzeciwu. Machnął ręką w stronę składanego krzesła po przeciwnej stronie stołu.

– Sanjit jest wegetarianinem, więc będzie omlet. Czy to jakiś problem?

– Absolutnie żaden – odparła Nora z uśmiechem. Wydawało jej się, że słyszy, jak jej skurczony żołądek odśpiewuje „alleluja” w oczekiwaniu na zbliżającą się pożywną strawę.

Milczący Sanjit wrzucił paprykę na patelnię i poczekał, aż zrobi się miękka i słodka pod wpływem oleju. Dodał pomidory, duszone na małym ogniu, po czym ubił w misce całe opakowanie jajek i rozmieszał je z garścią siekanych listków mięty i pokruszoną fetą. Pachniało niebiańsko.

Wynieśli talerze na metalowe schodki przed domem, usiedli i jedli w słońcu.

Przyszedł do nich ciemnoszary kot i zaczął ocierać się bezwstydnie o nogi Nory. Nigdy nie rozumiała, o co chodzi z tymi kotami. I może właśnie dlatego, że była wobec nich obojętna, wyglądało na to, że tym bardziej ją wielbią. Ile to już razy jako dziecko stała z Davidem, słysząc, jak nawołuje „kici-kici-kici”, by zwierzę przyszło i dało się pogłaskać, po czym aroganckie kocisko zaczynało łąsić się do Nory, rozwlekając sierść po jej całym ubraniu.

W roztargnieniu podrapała burasa między uszami, obserwując Manasha. Schudł, odkąd zrobiono mu zdjęcie do „Daily Telegraph”. Biała koszula na nim wisiała. Więzienie i tortury wpływa tak na większość ludzi, pomyślała Nora.

Ale było coś jeszcze. Ramiona miał napięte, jakby znajdował się w ciągłej gotowości, i wyglądał na kogoś, kogo trapi wielki smutek. Kogoś udręczonego. Gdyby Nora miała opisać go jednym słowem, wybrałaby właśnie to.

Instynktownie wyczuła, że nie powinni jeszcze rozmawiać o artykule.

Gawędzili więc o ogrodzie, o zbiorach i klimacie. Sanjit nadal milczał. Gdy talerze były już puste, wszedł do środka i wrócił z wytłaczanymi szklaneczkami wypełnionymi słodką kawą z kardamonem. Nora poczuła, jak cukier i kofeina rozchodzą się po komórkach jej ciała, i zaczęła powątpiewać, czy kiedykolwiek uda jej się jeszcze zasnąć.

Manash opróżnił swoją szklaneczkę i zwrócił się do Nory:

– Proszę, chodźmy do ogrodu – powiedział.

Poprowadził ją obok pracujących kobiet i gąszczu ostów aż do starego, powalonego dębu. Swobodnie wdrapał się po gałęziach i usadowił na pniu, po czym podał Norze rękę i podciągnął tak, by usiadła naprzeciwko.

– Przychodzę tu co wieczór – wyjaśnił. – Siedzę tu sam, patrzę na zachodzące słońce i rozmyślam o Aminie.

Dostrzegła drgnienie przy jego dolnej wardze, gdy wypowiadał imię kobiety, której mężem był przez większą część swego dorosłego życia.

– Nie ma jej tu z panem? – spytała Nora ze zdziwieniem. Z góry przyjęła, że ta dwójka wszystko ze sobą dzieli. Jeśli czytało się choćby kilka wierszy miłosnych Manasha, dedykowanych kobiecie jego życia, nietrudno było sobie wyobrazić, jak wielką tęsknotę musi odczuwać.

Pokręcił głową; Nora widziała, ile wysiłku wymaga od niego zapanowanie nad sobą i swoim głosem. Zaczęła szperać w torebce w poszukiwaniu swego iPhone'a, gotowa, by zacząć wywiad. W tym momencie Manash pochylił się i chwycił jej rękę z gwałtownością, która wydaje się zupełnie naturalna na Bliskim Wschodzie, gdzie wszystko, od gorąca po suszę oraz pragnienie, jest intensywne. Spojrzał jej prosto w oczy.

– Noro Sand. Wezwałem panią, bo musi mi pani pomóc.

– Tak, tak, bardzo chętnie pomogę opowiedzieć pana historię. Muszę tylko...

– Proszę zapomnieć o mojej historii, ona jest nieważna. Ale jeśli to ma pomóc, to ją pani usłyszysz. Poprosiłem tu panią, bo musi mi pani pomóc znaleźć moją żonę. Moją ukochaną Aminę.

Nora przełknęła ślinę i spojrzała na niego. Był śmiertelnie poważny.

– Dlaczego akurat ja? W czym według pana mogę pomóc? – spytała z wahaniem.

Wtedy nadszedł czas na opowieść. O tym, jak uciekli z Iranu. Jak przemytnicy ze Stambułu, wbrew jego gwałtownym protestom, uparli się przy przewożeniu ich osobno w różnych ciężarówkach, by zminimalizować ryzyko schwytania. Według planu mieli trafić razem do Londynu, gdzie jego brytyjski wydawca obiecał im pomoc w znalezieniu jakiegoś lokum.

Ciężarówka, w której ukrywał się Manash, została zatrzymana podczas akcji przeszukiwania w Holandii. Udało mu się umknąć, wybiegając na zewnątrz i chowając się w lesie wraz z trzema innymi mężczyznami z tego samego

transportu. Rozdzielili się, a policja dysponowała tylko jednym psem. Manash zakradł się do przypadkowej ciężarówki na parking, gdzie przez dwa dni żywił się chłodzonymi jabłkami, aż w końcu wycieńczony i oszołomiony dotarł na parking przy Netto w duńskim Padborgu. Tu ujęła go straż graniczna i odesłała do ośrodka dla uchodźców nieopodal Slagelse.

– Zaraz po podłączeniu komórki odsłuchałem na poczcie głosowej wiadomość od niej, że dotarła w dobrej kondycji. Że jest w Leicester i wybiera się do Londynu. Wiadomość była sprzed trzech dni. Od tej pory zupełnie jakby zapadła się pod ziemię. Setki razy do niej dzwoniłem. Telefon jest wyłączony.

Nora zmarszczyła brwi.

– Z kim się pan kontaktował?

– Próbowałem dodzwonić się do mojego wydawcy w Londynie, bo umawialiśmy się, że Amina ma go o wszystkim informować, ale on nie oddzwania. Kirsten kontaktowała się przez Czerwony Krzyż z brytyjskimi służbami imigracyjnymi. W żadnym ośrodku dla uchodźców nie widziano Aminy. Mówią, że ona nie istnieje – powiedział łamiącym się głosem.

– Kto jest pana wydawcą? Mogę z nim porozmawiać? – rzuciła Nora.

– Tom Craven z Brown & Barley.

– Jest pan pewien, że w ogóle dojechała?

– Tak. Nie okłamałaby mnie. Nigdy – powiedział Manash z naciskiem.

– Ale może ją zmuszono?

– Tylko dlaczego?

Nora wzruszyła ramionami.

– To jedna z opcji, tylko tyle.

Manash Ishmail zniżył nieco głos, tak jakby samo mówienie o władzach było na tyle niebezpieczne, że trzeba było mówić ciszej.

– Próbowałem skontaktować się z jej bratem, który jest jedynym żyjącym członkiem jej rodziny. Użyłem wszystkich kontaktów, jakie miałem w kraju. Nikt nie widział jej w Teheranie. Jeśli władze ją mają, będą chcieli się nią posłużyć, by wyrzucić na mnie presję. Zmusić mnie do powrotu do kraju i zabrania jej stamtąd. W przeciwnym wypadku to nie ma żadnego sensu. Ale nie dotarły do mnie żadne sygnały – powiedział ze smutkiem.

– Ale co ja mam zrobić?

– Trafiłem na panią, gdy wasza redaktorka z działu kultury, Viola, skontaktowała się ze mną w sprawie wywiadu. Sprawdziłem „Globalt” i dowiedziałem się, że macie w Londynie korespondentkę. Panią.

Westchnął głęboko.

– Proszę mi wierzyć, niczego nie pragnę bardziej niż pojechać z panią do Londynu i ją odszukać. Przecież musi gdzieś być. Ale zabrali mi paszport. Nie wolno mi pojechać do Londynu, by szukać żony. Nazywają to „zabezpieczeniami

motywującymi” – rzekł zasmucony.

Spojrzał na pola, po czym znów utkwiał wzrok w Norze.

– Dostanie pani ode mnie, czego chce. Udzielę pani wielogodzinnego wywiadu, opowiem wszystko, co wiem. To będzie jedyny wywiad, jakiego kiedykolwiek udzielę. Może pani przysłać fotografa i porobić zdjęcia, jakie pani zechce. Tylko proszę znaleźć dla mnie Aminę – poprosił żarliwie.

Wyciągnął z kieszeni portfel i podał jej wyblakłe zdjęcie w przejaskrawionym, pomarańczowym odcieniu.

– Nasze zdjęcie ślubne. Jedna z niewielu rzeczy, jakie ze sobą zabrałem. – Wskazał na twarz Aminy. – Widzi pani jej kolczyki?

Nora zmrużyła oczy. Miały piękne, niebieskie kamienie i wyglądały na drogie.

– Dostała je ode mnie w prezencie ślubnym. Kosztowały mnie dwie tygodniówki, ale zasłużyła na to. Nie zdejmuję ich od dnia ślubu.

W kąciku jego oka pojawiła się łza, która lada chwila musiała spłynąć.

– Noro Sand. Musi ją pani znaleźć. Nie potrafię bez niej żyć. Tak po prostu.

Rozdział 4

Ledwie Nora wsiadła do samochodu, gdy w jej torebce rozdzwonił się Big Ben.

– Jak poszło? Mamy ten wywiad? Możemy go planować na przyszły tydzień? – spytał Krab w momencie, gdy Nora przystawiła słuchawkę do ucha.

– To dość skomplikowane. Zajrzę dziś po południu – obiecała Nora.

– Aha – odparł Krab rozczarowanym tonem, ale zaraz się opanował. – Zdążysz przed ogólnym zebraniem redakcji o trzeciej? Będziesz mogła sama wytłumaczyć Violi, o co w tym chodzi. Bardzo jej zależy, by się dowiedzieć, jak poszło, skoro nie mogła posłać Viktora.

Nora westchnęła.

– Tak, powinnam zdążyć.

Rzuciła telefon na siedzenie, obrała kurs na Kopenhagę i znalazła kanał radiowy, w którym prowadzący, kobieta i mężczyzna, prześcigali się w tym, kto wykaże się większą ekscytacją, nadając to radosną piosenkę, to krzykliwy dżingiel. Odruchowo skręciła na autostradę, puszczając ich głosy mimo uszu, i zaczęła się zastanawiać, z której strony ugryźć tę sprawę w Wielkiej Brytanii. Jak odnaleźć człowieka, który nie istnieje?

Była za dziesiątą trzecia, gdy zajechała przed siedzibę „Globalt”; jak zwykle wszystkie trzy miejsca parkingowe były zajęte. Zaklęła w duchu, zaparkowała za rogiem i wrzuciła pieniądze do parkometru, mając nadzieję, że zebranie redakcji choć raz będzie krótkie.

Przemierzyła schody w kilku skokach. Od siedzenia w gorącym samochodzie pot spływał jej po plecach.

Na twarzy recepcjonistki Anette pojawił się szeroki uśmiech. Nora podejrzewała czasem, że jest zarezerwowany dla korespondentów, którzy prawie nigdy nie igrali z czasem i cierpliwością Anette zwyczajnie dlatego, że rzadko tu bywali.

– Już zaczęli się schodzić – powiedziała Anette teatralnym szeptem, wskazując kciukiem za siebie w stronę wąskiej sali konferencyjnej. – Ale najpierw zerknij do lustra – dodała.

Nora pobiegła do małej redakcyjnej toalety. Kosmyki długich, ciemnych włosów powysuwały się z warkocza, a tusz do rzęs wyglądał jak maźnięcie węglem na nieudanym szkicu. Dokonała pobeżnych poprawek za pomocą serwetki i upięła włosy w węzeł, po czym wygładziła białą spódnicę i ochlapała twarz zimną wodą.

Anette obdarzyła ją pełnym uznania skinieniem, gdy Nora wyszła z łazienki.

– Teraz wyglądasz prawie jak dziennikarka.

Viola Ponte siedziała już przy owalnym stole projektu Pieta Heina, kupionym przez poprzedniego redaktora naczelnego w złotej erze mediów, gdy

budżet z reklam wydawał się nieskończony i każdy wyobrażał sobie, że w przyszłości sprzedaż tygodnika będzie tylko zwyżkować.

Wieść głosiła, że po propozycji kilkorga dziennikarzy, którzy chcieli stworzyć stronę internetową „Globalt”, tenże szef podczas zebrania otwarcie nazwał internet „stkiem bzdur” i przepowiedział, że ta fanaberia przeminie w ciągu kilku lat. Ów redaktor naczelny już dawno przeniósł się do innych, bardziej wizjonerskich i intratnych branży, a gdy Nora ostatnio o nim słyszała, właśnie wszedł do zarządu znanego banku.

Nora chwyciła ostatnią butelkę wody mineralnej ze stołu, stwierdziła z rozczarowaniem, że jest letnia, i usiadła na krześle wciśniętym między jasnoszarą szafkę do archiwizowania i ciemnozieloną kanapę. Kanapa wylądowała w redakcji, szef działu fotograficznego wyszarpał ją z rąk swojej wrednej żony po – jak twierdził – wyjątkowo paskudnym rozwodzie. Teraz opowiadano praktykantom, że właśnie na tej kanapie słynny Henrik Cavling napisał swoje najznamienitsze teksty.

Większość łykała tę historię, ale Nora widziała identyczny model w domku letnim ciotki Ellen, w komplecie z jasnozielonymi poduszkami i naklejką pod spodem, informującą, że mebel został wyprodukowany przez „IDEmøbler” w 1983 roku, czyli dokładnie pięćdziesiąt lat po tym, jak ów znany dziennikarz i pisarz wyzionął ducha.

Redaktor działu gospodarki, Henry Tausen, usiadł obok Violi Ponte. Z powodu gorąca poluzował nieco zasady, którym skądinąd zawsze hołdował, i zostawił ciemną marynarkę od garnituru w gabinecie. Wyglądało na to, że w ciągu paru najbliższych sekund poluzuje też krawat.

Pokój szybko wypełnił się redaktorami i dziennikarzami, dla których uczestnictwo w zebraniu było z jakiegoś powodu ważne. Albo miał być dyskutowany ich materiał, albo chcieli pokazać, że zależy im na awansie w tygodniku.

Za plecami redaktorki kulturalnej, z boku, Nora wypatrzyła Victora. Zdobyła się na uśmiech, ale on udawał, że jej nie widzi. Idiota.

Krab zajął miejsce przy stole jako ostatni. Skinął głową do Nory, po czym walnął na blat stos notatek i zaczął rozglądać się za filiżanką. Jako ostatni przybyły musiał zadowolić się kubkiem z logo klubu Brøndby, a nawet mężnie znieść fakt, że termos z kawą świeci pustkami.

Viola Ponte dzielnie walczyła, by ukryć uśmieszek tryumfu, sącząc miętową herbatę z filiżanki Wedgewood, którą, nauczona przykrym doświadczeniem, trzymała pod zamknięciem w górnej szufladzie biurka. Krab odchrząknął i zebranie się rozpoczęło.

– OK, co tam mamy? Henry, zaczniesz?

– Brian i nasza nowa praktykantka, Alexandra, przyjrżeli się trzem duńskim spółkom inwestycyjnym z kapitałem w USA. Okazuje się, że zachodzi spore

ryzyko utraty pieniędzy, bo postawiono wyłącznie na gospodarkę amerykańską.

Nora uśmiechnęła się do siebie, widząc, jak oczy Violi Ponte wędrują w stronę sufitu. Redaktorka od kultury nie była orłem w kwestiach gospodarczych.

– Jak bardzo jesteśmy z tym zaawansowani?

– Brakuje im paru cytatów i informatora, który teraz jest w Detroit, ale teoretycznie temat mógłby znaleźć się na okładce w przyszłym tygodniu.

– OK, coś jeszcze?

– Mikkel i Anton byli na wyjeździe, gdzie bawili się z dwojgiem najmłodszych, świeżo upieczonych moskiewskich milionerów. Wyszedł z tego... całkiem interesujący reportaż – powiedział Henry Tausen z krzywym uśmiechem.

– Są do niego dobre zdjęcia? – spytał Krab.

– Zapewniam, że tak – rozległ się cichy głos z krzesła stojącego najbliżej drzwi, gdzie rozbił swój obóz William Bruun, ogorzały szef działu fotograficznego.

– Ach, przecież już był materiał o Rosjanach – powiedziała naburmuszona Viola Ponte.

William Bruun spojrział na nią spokojnie.

– Nie z takimi zdjęciami. Takiego nie było.

– Dooooobrze – łagodził Krab. – Violu, przejdźmy do ciebie.

– Oluf Messerlin był w Bayreuth na *Tannhäuserze*. Recenzja jest sama w sobie dziełem sztuki i zdziwiłabym się, gdyby Teatr Królewski nie zadrżał od tego w posadach – powiedziała z przebiegłym uśmiechem.

Przyszła kolej na Henry'ego Tausena, by zwrócić uwagę na coś innego. Krab skinął i uśmiechnął się zachęcająco.

– I – kontynuowała Viola Ponte, patrząc przeciągle na Norę – mamy przecież spór wokół Manasha Ishmaila. Nie wiem, na czym stanęło, Noro? Rozmawiałaś już z nim, mamy wywiad? – spytała redaktorka głosem przywodzącym na myśl kupną babkę cytrynową: przesłodzoną i zbyt syntetyczną. I z dużą zawartością kwasu.

Nora migąła się od odpowiedzi. Zebranie redakcji nie było właściwym miejscem do opowieści o osobistych problemach i bolączkach Manasha Ishmaila. A już na pewno, dopóki nie wiedziała, czy w ogóle da radę mu pomóc.

Krab spojrział na nią pytająco.

– Tak, Sand. Byłaś u niego, jak poszło?

– Będziemy mieć wywiad, ale...

– Kiedy? – przerwała Viola Ponte.

– To znaczy to nie jest takie proste – wiała się Nora.

– Co nie jest proste? Albo masz wywiad, albo go nie masz! Nie rozumiem, co w tym skomplikowanego. – Tym razem to Victor się wtrącił.

Nora wzięła głęboki wdech i zdecydowała, że będzie patrzeć prosto na Kraba, ignorując nabzdyczony duet po drugiej stronie stołu.

– Spotkałam się z Manashem. Udzieli nam wywiadu, ale ma... jak by to

ując... problem, który najpierw mam pomóc mu rozwiązać.

Rozległ się przenikliwy głos Violi Ponte:

– Co to ma być? Stawia nam warunki, byśmy w ogóle mogli przeprowadzić wywiad? To kwestia naszej wiarygodności! Pytanie, czy Nora wciąż jeszcze jest bezstronna.

Krab milczał i wraz z pozostałymi patrzył na Norę, czekając na jej odpowiedź.

– Trzeba sprawdzić parę rzeczy; niestety nie mogę nic więcej ujawnić, tylko tyle, że będą stanowić gros materiału – odparła Nora, próbując pochwycić spojrzenie Kraba.

– To jest nie-do-pusz-czał-ne! – powiedziała Viola Ponte, kładąc nacisk na każdą sylabę. – Proponuję, żebyśmy zwrócili to zadanie Victorowi. Przynajmniej zna się na rzeczy, nie mówiąc już o zagrożeniu, że pierwsza lepsza gazeta może przejść się do ośrodka dla uchodźców i capnąć nam historię sprzed nosa. Nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko – zaapelowała, rozglądając się wokół.

Nora zaczerpnęła powietrza.

– Mogę zdradzić, że Manash Ishmail dał mi słowo, że będzie to jedyny na cały świat wywiad na wyłączność. Obiecał mi to, a ja mu wierzę.

– Ale chyba możesz nam powiedzieć, jakie postawił warunki? – odparowała Viola Ponte.

W końcu włączył się Krab:

– Violu, porozmawiamy o tym później, kiedy już omówię sprawę z Sand.

Redaktorka kulturalna z niechęcią przekazała głos działowi ogłoszeń, który obwieścił radośnie, że strony 14–15 zostały zabukowane przez wyprzedaż w Magasin.

Nora udała, czując na sobie świdrujące spojrzenie Victora, że szuka czegoś w torebce. Po trwającej niemal pół godziny paplaninie o redakcyjnych dylematach, planowanych na jesień festiwalach muzycznych, zaletach relacjonowania wyborów w Finlandii i informacjach ogólnych o modernizacji podwórza ludzie zaczęli się ulatniać.

Gdy została tylko ona i Krab, wstali i przenieśli się do gabinetu Kraba, który usiadł ciężko przy biurku.

– Jest taka, odkąd okrutnie i niesprawiedliwie wydarliśmy jej z rąk najciekawszy wywiad w jej karierze. Dużo czasu upłynie, nim się udobrucha. Naprawdę dużo. Powiedz mi więc, że jest ku temu dobry powód.

Nora przedstawiła garść szczegółów, którymi dysponowała, a Krab słuchał. Kiedy skończyła, siedział przez dłuższą chwilę w milczeniu.

– Widzę, że nawet szykuje się z tego jakiś materiał. Ale podejrzewam też, że wpłaczesz się w coś, co może się ciągnąć miesiącami i nigdy do niczego nie doprowadzić.

Nora z niechęcią przyznała mu rację, że faktycznie może się tak zdarzyć.

– Hm. Możemy umówić się tak: masz dwa tygodnie. Dwa tygodnie. Jeśli do tej pory nie zdobędziesz żadnych konkretów, będziemy musieli wrócić do sprawy. W międzyczasie dostarczysz Tausenowi ten materiał o Lidze Mistrzów, na który się umawialiśmy. Rozumiemy się?

Nora się zgodziła. Wiedziała, że z Tausenem zawsze można ponegocjować. W najgorszym wypadku będzie mógł przesunąć termin bez wtajemniczenia w to Kraba. Zaczęła pakować swoje rzeczy, ale Krabowi leżało na sercu coś jeszcze.

– Ten wywiad jest dla nas ważny, potrzebujemy go. Nie może nam się to wymknąć, OK? A już na pewno nie po tej awanturze – oznajmił z powagą. – No dobrze, zmykaj, przecież masz co robić. A ja idę obłaskawiać redaktorę kulturalną.

Nora wstała. Kiedy już dotarła do drzwi, Krab zawołał za nią:

– Hej, zadzwoń do Esther. Nadal ma świetne kontakty w Iranie. Nie zaszkodzi posłuchać, co ma do powiedzenia.

– Dzięki – odparła Nora, patrząc na zegar wiszący w recepcji. Siedem minut po opłaconym czasie parkowania. Oczywiście kiedy przyszła do samochodu, za wycieraczką tkwił mandat.

Rozdział 5

Teoretycznie Esther przeszła na emeryturę cztery lata temu, mając za sobą długą i chwalebłą karierę jako korespondentka na Bliskim Wschodzie, ale w praktyce nadal pisała długie analizy o procesie pokojowym i funkcjonowała w roli konsultantki, świadczącej poradnictwo przedsiębiorstwom i osobom prywatnym, które chciały się dowiedzieć, jak zaadaptować się w regionie ciągnącym się od Damaszku po Jerozolimę i Teheran. Mówiła płynnie w farsi i doskonale radziła sobie, rozmawiając po arabsku.

Nora wyszukała w komórce numer Esther, która od razu odebrała telefon i szybko zaprosiła Norę na podwieczorek.

Kwadrans później drzwi otworzyła pięcioletnia dziewczynka o dużych, poważnych oczach.

– Mam na imię Miranda, a babcia piecze bułeczki – poinformowała.

Po wejściu do mieszkania Norę rzeczywiście owionął zapach świeżego pieczywa.

Mieszkanie na Blegdamsvej miało widok na uniwersytecki Panum Instituttet i wyglądało jak skrzyżowanie obozu Beduinów z filią British Museum. Dywany z prawdziwego zdarzenia konkurowały o ograniczoną powierzchnię podłogi, zabytkowe sztylety wisiały na ścianach między sitodrukami z *Kamasutry* i regałami uginającymi się pod ciężarem książek.

– Tu jestem! – rozległ się chropawy głos Esther.

Nora weszła do kuchni, przypominającej turecki bazar. Na hakach pod sufitem wisiały miedziane naczynia, na oknie – warkocze czosnku i suszonego chili, a przy stole stała sama Esther w turkusowym kaftanie, kładąc na dnie szklanego dzbanka gigantyczną garść liści mięty.

– Chodź, chodź! – zawołała.

Nora usiadła na krześle przy stoliku, a Miranda przyglądała jej się bez skrępowania. Esther naląła wnuczce wody z sokiem i ustawiła na tacy dwie wytłaczane, marokańskie szklaneczki ze złotym wzorkiem. Zerknęła na elektroniczny minutnik do jajek, który przedstawiał meczet w Mekce i właściwie nastawiony, włączał się, wydając dźwięk modlitw. Prezent urodzinowy od dowcipnych kolegów.

– Za dziesięć minut wyjmuję bułeczki – stwierdziła, naląła miętowej herbaty do szklaneczek i dodała miodu, by ją posłodzić.

– Masz w miarę dobre kontakty w Iranie? – spytała Nora.

Esther zwlekała z odpowiedzią.

– Jakie takie. To zależy, o co chodzi. Chodzi o władze? Wojsko? Podziemie polityczne?

– Babciu? Mogę sobie pograć na iPadzie? – wtrąciła Miranda.

Esther spojrzała na wnuczkę.

– Nie, przecież wiesz, że on u babci nie działa, prawda?

– Ale babciu, przecież możemy sprawdzić, czy działa?

Esther wstała i podeszła do wąskiego regału z książkami w przedpokoju. Wyciągnęła z niego grubą książkę z obrazkami.

– Pooglądaj sobie, skarbie.

Dziewczynka wzięła książkę bez słowa protestu. Kiedy Miranda przeglądała obrazki z latającymi ptakami Ruk i noszącymi turbany mężczyznami na osiołkach, Nora domyśliła się, że to *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, czego mam szukać. Próbuje znaleźć pewną kobietę – wyjaśniła Nora i opowiedziała o Manashu Ishmailu.

Esther szybko ją zastopowała.

– Ten *poeta* Manash Ishmail?

Nora skinęła głową.

– Och, to cudowny człowiek! Poznałam go przed wielu laty, gdy pracował w ministerstwie, na długo zanim został poetą. Zaprosił mnie na obiad do siebie i swojej młodziutkiej żony. Jak ona miała na imię? Amina! Tak, Amina... Bardzo piękna – orzekła Esther.

– Tak, to on! To właśnie ona zaginęła – potwierdziła Nora.

– Oczywiście, że pomogę – zadeklarowała Esther.

– Manash Ishmail oczywiście sam dowiadywał się w Iranie, ale jakby zapadła się pod ziemię. Nie wiem, czy on ma dobre kontakty, ale to dziwne, że ani rodzina, ani znajomi nie mają pojęcia, czy jego żona wróciła do domu – powiedziała Nora.

Esther w roztargnieniu pociągnęła za długi warkocz, który nosiła, odkąd została dziennikarką, i który przez lata nabrał białosiwego odcienia.

– Poczekaj chwilkę – powiedziała, wpatrując się przed siebie nieobecny wzrokiem. – Coś tam było z rodziną Aminy. Coś związanego...

Zanim Esther zdążyła dokończyć zdanie, w kuchni rozległ się głos muezina obwieszczającego wielkość Allaha i Esther poszła wyjąć bułeczki.

Nora czekała cierpliwie, a bułeczki lądowały na metalowej kratce pod czujnym okiem Mirandy. Aromat świeżego pieczywa i kardamonu sprawił, że Norze ślina napłynęła do ust. Przypomniała sobie, że dziś miała w ustach tylko omlet, który zjadła z rana z Manashem.

– Musimy trochę poczekać, bo są za gorące – ostrzegła Esther wnuczkę, wyjmując z lodówki masło i dżem rabarbarowy.

Nora podjęła temat na nowo.

– Mówiłaś coś o Aminie?

Zdezorientowana Esther pokręciła głową.

– Czekaj, niech pomyślę. Coś z jej rodziną. Chyba nie miała rodziców? Czy

o to chodziło? Czy miała wujka? Brata?... Ech, to było ponad dziesięć lat temu... – Wzięła nóż do pieczywa i przekroiła bułeczki na pół, by szybciej wystygły; buchnęła z nich para.

Nora poczuła, że w kieszeni wibruje jej telefon. Wyjęła go i zerknęła na wyświetlacz. Mail od Andreasa. Tytuł: „Musimy porozmawiać. Zadzwoń teraz!”.

Dopiero w tym momencie poczuła, jak bardzo jest spięta. Gdy mały biały kwadracik na iPhone oznajmił jej, że Andreas nadal gdzieś jest i chce z nią porozmawiać, poczuła, że jej ciało, dotąd jakby owinięte drutem kolczastym, znów mogło swobodnie się poruszać. Mimowolnie się uśmiechnęła.

Odłożyła telefon do kieszeni. Zadzwoń do niego później. Teraz wystarczy jej świadomość, że próbował się z nią skontaktować. Zjadły bułeczki w błogiej atmosferze. Z zimnym masłem, roztopiającym się na pieczywie, i słodką herbatą miętową, podczas gdy Miranda bezskutecznie usiłowała przekonać babcię, że kupno jamnika to znakomity pomysł.

Gdy Nora wstała, Esther odprowadziła ją do drzwi.

– Znam kilka osób w Iranie, do których mogę zadzwonić. Nie musisz znać nazwisk ani nic wiedzieć. Ale powiem ci, że po rozmowie z nimi będę wiedziała, czy Amina jest w kraju, czy nie. Odezwę się.

Nora uścisnęła ją i zbiegła po schodach w radosnych podskokach. Gdy tylko znalazła się na nasłonecznionej ulicy, wyciągnęła telefon i otworzyła skrzynkę mailową.

Maila od Andreasa nie było.

Przeszukała dwa pozostałe adresy mailowe na wypadek, gdyby przez pomyłkę wysłał wiadomość na jej adres służbowy albo awaryjny w British Telecom. Bezskutecznie. Zrozpaczona sprawdziła, czy przypadkowo nie wcisnęła „delete”, gdy telefon leżał w kieszeni. Ale we wszystkich trzech skrzynkach mailowych kosz był pusty. W końcu dała za wygraną i zadzwoniła do Davida. Wiedziała, że nie znosi, by przeszkadzać mu w pracy, więc nie przejęła się, gdy odebrał telefon ze słowami:

– Po co dzwonisz?

Jej brat miał idealną pracę jako aktuariusz w firmie ubezpieczeniowej, która nie tylko tolerowała jego specyficzny temperament, ale wręcz go wychwalała i szczerze wynagradzała jego wybitne matematyczne zdolności do kalkulacji i kompulsywną potrzebę systematyzowania, przy jednoczesnym braku emocjonalnego zaangażowania w cokolwiek. Dopóki David trzymał się z daleka od zadań, które wymagałyby uprzejmości i umiejętności obsługi klienta, wszyscy byli zadowoleni. A fakt, że firma dodatkowo zaopatrywała go w najnowsze komputery i pozwalała kupować nowy sprzęt i upgrade’y, gdy uznał, że zachodzi taka potrzeba, sprawił, że zyskała jego dożywotnią lojalność.

– Cześć, David. Krótkie pytanko: jeśli dostało się mail i sprawdziło go

w telefonie, i nie ma go już w skrzynce odbiorczej, to może być tak, że się go nieświadomie usunęło i zniknął też z kosza?

– Nie – odparł David i się rozłączył.

Po chwili namysłu Nora odszukała Andreasa na liście kontaktów, wzięła głęboki oddech i zadzwoniła. „Abonent czasowo niedostępny. Proszę spróbować później”, odezwał się automatyczny, kobiecy głos.

Nora wsiadła do samochodu z wypożyczalni Europcar, zastanawiając się, czy jechać do domu w Bagsværd, jednak szybko zdecydowała, że zostawi ojcu na poczcie głosowej wiadomość, w której zaprosi go na kolację na działce. Wysłała jeszcze SMS-a do Davida z zapytaniem, czy ma ochotę wpaść. Jej rezerwa telefonów do brata w godzinach pracy została chwilowo wyczerpana.

Następnie pojechała na Israels Plads. Zaparkowała na parkingu podziemnym przy kompleksie handlowym Torvehallerne, weszła do środka i kupiła soczyste, czerwone pomidory, dużą doniczkę bazylii, tłustą i aksamitną mozzarellę z bawolego mleka, orzeszki piniowe i świeży makaron. Dokupiła jeszcze pudełko sorbetu jabłkowego, po czym odszukała samochód i obrała kurs na ogródki działkowe.

*

Już za zakrętem na wąskiej, zwirowanej drodze, prowadzącej do czarnego domku wiedziała, że coś jest nie tak.

Wielkie, gliniane donice z piwoniami, których David troskliwie doglądał przez całą wiosnę i lato, leżały potłuczone na trawniku. Przekwitłe kwiaty wyrwano, a czarne grudy ziemi wały się po małym, zielonym splechietku trawy. Górne okienko w drzwiach zostało wybite, a drzwi były uchylone.

– O, nie – zajęczała sama do siebie, kładąc siatki z zakupami na ogrodowej ścieżce. Witamy w Kopenhadze.

David będzie niepokieszony, widząc, co się stało z jego piwoniami, i choćby tylko z tego powodu zniechęciła tego ohydneho włamywacza. Tragedia w pewnym sensie była podwójna, bo przecież nie mógł tu znaleźć absolutnie niczego. Do połowy opróżniona butelka wina, stos starych „National Geographic”, radio tranzystorowe z ułamaną anteną i zużyte uchwyty od szuflad nie były chodliwą walutą.

Z westchnieniem podniosła siatki, przygotowując się psychicznie na szacowanie strat. Ostrożnie zbliżyła się do domku.

– Halo? Jest tam kto?

Istniała tylko jedna rzecz gorsza od włamania; było to nakrycie na gorącym uczynku zdesperowanego ćpuna. Brak odpowiedzi.

– Halo? – spróbowała ponownie. Wokół panowała cisza, tak dojmująca, że słysząc było śpiew kosa z sąsiedniego ogrodu.

Popchnęła nogą drzwi i stwierdziła, że nie jest tak źle. Wnętrze domku zostało przewrócone do góry nogami, ale oprócz pootwieranych szuflad i potłuczonego w drobny mak brązowego wazonu, za którym Nora i tak nigdy nie przepadała, nic nie zostało zniszczone. Z szuflad niewiele można było zrabować. Stare pocztówki, darmowa mapa Kopenhagi i okolic, gumki do włosów i przepisy wyrwane z gazet wały się po podłodze, stanowiąc dowód frustracji włamywacza.

Nora włożyła produkty do lodówki i zastanowiła się, co teraz. Gdyby David wszedł do domku znajdującego się w takim stanie, dojście do siebie zajęłoby mu prawdopodobnie parę tygodni. Nic nie wzbudzało w nim większej odrazy niż nieporządek. Zdecydowała więc, że odwoła jego wizytę, ale gdy odszukała telefon, znalazła w nim zwrotnego SMS-a: „Przyjeżdżam o 19.30. Nie dzwoń już”.

Na posprzątanie i zrobienie pesto miała niewiele ponad godzinę. Nawet realne. Przez chwilę rozważała, czyby nie zadzwonić na policję, ale wiedziała już, że wzbudzenie ich zainteresowania włamaniem na działce, w wyniku którego prawdopodobnie nic nie zginęło, będzie wyjątkowo trudne. Pozbierała więc wszystko z podłogi, odstawiła na miejsce i pozamiatała. Zaciągnęła zasłonkę na szybcie w drzwiach w nadziei, że David się nie zorientuje, że jest stłuczona, nim sama zdąży go na to przygotować.

Trzy kwadransy później w drzwiach stanął Christian Sand w jasnoniebieskiej koszulce z krótkim rękawem i nietwarzowych okularach słonecznych z żółtymi szklami z 1973 roku odsuniętych nad brwi.

– Co się stało w ogrodzie? – spytał, przytulając ją pospiesznie i kładąc na stole siatkę ze świeżo upieczonym chlebem.

Nora pacnęła się w czoło. Choć domek powoli zaczynał nabierać pierwotnego wyglądu, na trawniku wciąż leżały potłuczone doniczki po piwonkach. Szybko opowiedziała mu, co się stało, i kiedy ojciec poszedł do szopy poszukać nowych doniczek, by uratować kilka kwiatów, Nora napelniła wodą duży garnek i wyciągnęła wielki morderczak celem przygotowania pesto.

*

David przyjął los piwonii z zaskakującym opanowaniem. Zarówno Nora, jak i jej ojciec byli zdenerwowani, ale David bez mrugnięcia zaakceptował fakt, że jedna trzecia jego kwiatów jest nie do odratowania. Ogólnie rzecz biorąc, nie miał w zwyczaju pokazywać po sobie uczuć, również wobec najbliższej rodziny.

– Zjedzmy. Jestem głodny. Mam pewne podejrzenia, kto to może być. Porozmawiamy o tym, jak już zaspokoję głód – zaanonsował, po czym usiedli do stołu w ogrodzie.

Christian Sand pochwycił spojrzenie Nory; niemal gołym okiem widać było po nim ulgę, kiedy wyjął z szafki dwa kieliszki i rozdzielił resztkę czerwonego wina między siebie i Norę. David pił wodę. Z zasady nie tykał alkoholu.

Akceptował fakt, że niektórzy ludzie lubią takie rzeczy i nawet są gotowi za nie płacić zawrotne, w jego mniemaniu, sumy pieniędzy, ale ograniczał się jedynie do pełnego niedowierzania kręcenia głową.

Zjadłszy lody, podane w charakterystycznej, zielonej miseczce z emaliowaną łyżką, których uparcie używał, brat Nory był gotowy do rozmowy. Wytarł starannie usta i spojrzął na nich.

– Mam pewne podejrzenia, kto stoi za tą drastyczną dewastacją – powiedział spokojnie.

– Naprawdę? – spytał Christian Sand z zainteresowaniem.

– Tak. Jestem prawie pewien, że to Emil Havgaard z tego żółtego domku. Niedawno kupił sobie szczeniaka, który parę razy, dokładnie pięć, wbiegł do ogrodu i buszował w kwiatach – odparł David.

– No tak, ale... – wtrąciła Nora.

– W zeszłym tygodniu powiedziałem mu, że zadzwonię do gminy i zmuszę go do pozbycia się psa, jeśli to się powtórzy.

– Niemożliwe, David! – zawołał Christian Sand.

David kiwnął głową.

– Owszem. Wydaje mi się, że się rozzłościł. Toteż powziąłem pewne kroki. Wiem, co z niego za człowiek – odpowiedział David, odnosząc się do cholerycznego temperamentu emerytowanego architekta, któremu Havgaard dawał wyraz na corocznym walnym zgromadzeniu działkowiczów.

– Jakie kroki masz na myśli? – spytała Nora.

David wskazał na okap dachu. Nora zmrużyła oczy i dostrzegła mikroskopijną czarną kamerkę i kabel, prowadzący w głąb muru.

– To nowy sprzęt, który testuję dla firmy. Teraz znajdzie właściwe zastosowanie. Przygwożdżę Havgaarda, jak zaloguję się do nagrań załadowanych na serwerze, do którego tylko ja mam dostęp – powiedział tryumfująco.

Wyciągnął laptopa z torby, włączył go i poczekał, by sam znalazł sieć. Kliknął we właściwy link i wpisał ośmiocyfrowy kod. Nora przysunęła się bliżej i zajrzała Davidowi przez ramię. Na niewielkim prostokącie ekranu pojawiła się ścieżka prowadząca do drzwi i cztery doniczki z piwoniami. Jakość obrazu była doskonała.

Za pomocą przycisku w rogu ekranu David przewinął do przodu i zatrzymał raptownie, gdy w jednym z narożników pojawił się mały, krępy szczeniak rasy golden retriever.

– Wiedziałem! – zawołał tryumfalnie.

Szczeniak baraszkował, doskakując do doniczek, po czym podniósł tylną łapę i obsikał jedną z roślin. David aż złapał się za głowę z żalu.

Nagle w rogu ekranu pojawiła się przysadzista postać w pasiastym, marynarskim T-shircie.

– Mamy go – syknął David.

W filmie nie było dźwięku, ale widać było wyraźnie, że Emil Havgaard próbuje przywołać do siebie psa. Wszedł do ogrodu i szybko się rozejrzał. Nora zmarszczyła brwi: co on wyprawia? Po czym przyłożyła rękę do ust i jęknęła:

– O nie, David, lepiej odwróć wzrok!

David spojrział na nią ze zdumieniem.

– Niby dlaczego?

Christian Sand, który przy paru okazjach ściał się z Emilem Havgaardem, kręcił się po drugiej stronie stołu.

– Co się dzieje?

Po chwili wybuchnął śmiechem.

Niegdyś uznany i cieszący się popularnością kopenhaski architekt rozpiął spodnie i z błogim uśmiechem na twarzy nasikał do doniczki z przekwitłymi piwoniami, a szczeniak Luffe obszczekiwał go radośnie w małym, wypielęgnowanym ogródku.

David sprawiał wrażenie, jakby wielkimi kępami chciał rwać sobie włosy z głowy.

– Taki... taki elegancki człowiek – krztusił się ze śmiechu Christian Sand, ale na widok miny Davida pojął, że syn nie widzi w tym nic komicznego.

– Przynajmniej to nawóz, to dobre dla roślin – próbował znaleźć coś pozytywnego w tej sytuacji, choć łzy rozbawienia wciąż płynęły mu po policzkach.

Siedzieli całą trójką pochłonięci obrazem na ekranie, na którym architekt zapiął spodnie i opuścił ogród. Doniczki przez cały czas stały nietknięte.

David pokręcił głową.

– Nie rozumiem. Przecież roślinom nic się nie stało.

Przewinął kawałek dalej.

Po jakichś czterdziestu minutach na ścieżce prowadzącej do domku znów zauważyli ruch. Szczupły osobnik, może nastolatek, ubrany na czarno i z bejsbolówką Nike wciśniętą na głowę, zdecydowanym krokiem zbliżył się do domku.

Nora zdążyła zauważyć, że postać nie porusza się chwiejnym, niepewnym i chybotliwym krokiem, jaki widuje się u ćpunów, kiedy osobnik zaczął kopać doniczki z piwoniami, jedną za drugą.

– Dlaczego ludzie robią takie rzeczy? Przecież to tylko kwiaty! Nie robią nikomu krzywdy – jęknął David.

Christian Sand, nauczony wieloletnim doświadczeniem, wiedział, że gdy syn zaczyna zadawać takie pytania, nie ma sensu szukać na nie odpowiedzi. Najlepszą rzeczą w takiej sytuacji jest zrobić mu kubek kakao i poczekać, aż mu minie. Dlatego poszedł do kuchni i zabrał się do poszukiwania w szafkach kakao i garnka.

Nora intensywnie wpatrywała się w obraz na ekranie w nadziei, że uda jej się

dojrzyć twarz włamywacza. Przeczesała obraz w poszukiwaniu najmniejszego, choćby najdrobniejszego szczegółu, który mógłby jej podpowiedzieć, kto kryje się w cieniu bejsbolówki. Na ubraniu nie widać było żadnego logo, a spod bejsbolówki dało się dostrzec tylko parę kosmyków jasnych włosów.

Gdy postać rozprawiła się z doniczkami, schyliła się po kamień wielkości piłki golfowej, leżący na skraju rabaty. Nawet bez dźwięku można było wywnioskować po nagłym ruchu, że szybka w drzwiach zostaje stłuczona, umożliwiając łatwy dostęp do domku. Postać zbliżyła się i zniknęła z pola widzenia.

David podrapał się w głowę.

– Nic nie rozumiem. Kto to jest? Mieliśmy włamanie?

Nora zdecydowała, że im mniej David się dowie, tym lepiej.

– Z domu nic nie zginęło, o ile mi wiadomo – powiedziała zgodnie z prawdą.

– Przewiń do tyłu i obejrzymy film jeszcze raz. Może uda się dostrzec więcej szczegółów.

Kiwnął głową i wcisnął kilka przycisków. Obraz na ekranie zamarł. Spróbował jeszcze raz, bez rezultatu.

– Kurczę, to się nie powinno zdarzyć – powiedział ze złością. – Muszę zrestartować komputer, minutka.

David popijał gorące kakao, a na ekranie znów pojawił się obraz. Odstawił kubek i ponownie kliknął na link, ale tym razem ekran zrobił się cały czarny. „Access Denied. File Not Found”.

– Co? – David z niedowierzaniem kliknął jeszcze raz. Na ekranie pojawił się ten sam komunikat. Zaczął wpisywać w komputer bardziej zaawansowane polecenia. „File does not exist”, brzmiał teraz komunikat.

– OK. A więc to tak. Nie spodziewałem się tego po tobie – zwrócił się do swego laptopa jak do naburmuszonego nastolatka, po czym zdecydowanie zamknął klapę, wstał i włożył komputer do torby.

– Jadę do pracy. To trzeba natychmiast rozwiązać – oznajmił, obrócił się na pięcie i opuścił ogródek działkowy.

Christian Sand uśmiechnął się smutno.

– Niedługo mu przejdzie. Wiesz, że nie odpuści, dopóki nie znajdzie rozwiązania. Mam tylko nadzieję, że nie zajmie to dwóch tygodni, tak jak ostatnio – powiedział.

– Fakt, nie byłoby to dla niego zbyt dobre – westchnęła Nora. Poszła do kuchni i wróciła z dwiema filiżankami neski. Nastrój przysł.

Ojciec pił kawę szybkimi łykami.

– Zgłosisz to na policję? – spytał.

Nora się zawahała.

– Nie bardzo wiem, co to da.

– Ech, pewnie masz rację.

Chwilę później Christian Sand wstał i pojechał swoim małym, zielonym samochodem z powrotem do Bagsværd.

*

Nora siedziała, wpatrując się w krzewy na działce, dopóki zmrok nie zaczął szeptać o zbliżającej się nocy. Wzięła telefon i sprawdziła maile. Wciąż brak wiadomości od Andreeasa. Po chwili namysłu zadzwoniła do niego. „Abonent czasowo niedostępny. Proszę spróbować później”. Z irytacją przerwała połączenie. Co się dzieje? Cóż za dzień!

Ale dzień się jeszcze nie skończył, bo telefon się rozdzwonił w chwili, gdy tylko Nora go odłożyła. Po ciele przeszedł ją dreszcz, zanim spojrzała na ekran i zorientowała się, że to Esther.

– Przepraszam, że dopiero teraz, ale musiałam położyć Mirandę, nim zaczęłam wydzwaniać po ludziach – wyjaśniła.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała Nora, grzebiąc ręką w torebce.

Odszukała ołówek automatyczny i starą kopertę z okienkiem, na odwrocie której znalazło się miejsce do pisania.

– OK. Zastrzegę na początek, że nie wolno mi wyjawić, skąd mam informacje, bez narażania innych ludzi na niebezpieczeństwo, czego oczywiście nie zrobię.

– Rozumiem – zgodziła się Nora.

– Za to mogę zaręczyć, że informacje, które posiadam, są niemal na sto procent pewne. Znam tych informatorów już kawał czasu i mam od nich praktycznie zawsze tylko sprawdzone informacje. Sądzę, że i tym razem tak jest. Choć może nie takich wieści oczekiwałaś.

– Tak?

– Najpierw Amina. Wszystko wskazuje na to, że nie ma jej w Iranie. Nikt nie słyszał, jakoby miała zostać deportowana do Teheranu – wyjaśniła Esther.

Nora poczuła lekki zawód, że ten trop okazał się ślepy.

– Ale tu pojawia się coś tajemniczego. Odnotowano pewien wniosek ze strony brytyjskich władz. Wypytywano o nią, tyle wiem. Nie mam pojęcia, jak się to skończyło, ale teraz wszystkie ślady prowadzą do Wielkiej Brytanii.

– Wniosek do kogo? I od kogo?

– Mój informator nie wiedział zbyt wiele. Ale to wniosek o charakterze na wpół oficjalnym, więc może chodzić o służby imigracyjne. Nie dowiesz się niczego z irańskiej strony, to tylko przeciek – odparła Esther.

– Bardzo ci dziękuję, Esther, że spróbowałaś. Muszę sprawdzić, czego uda mi się dowiedzieć w Londynie – powiedziała Nora, rozmyślając już, z kim mogłaby się skontaktować, by zdobyć informacje od hermetycznych służb

imigracyjnych.

– Poczekaj, jest coś jeszcze – Esther przerwała jej rozmyślenia.

– Tak?

– Tak. Nie wiem, czy ma to związek ze sprawą. Ale *jeśli* ma, to rzecz jest znacznie poważniejsza, niżbyśmy mogły przypuszczać. Musisz mi obiecać, że będziesz bardzo ostrożna.

– O co chodzi?

– Pamiętasz, jak mówiłam, że coś było na rzeczy z rodziną Aminy?

– Tak, coś z wujkiem czy z bratem?

– Chodziło o jej brata. Jest jej jedyną rodziną w Iranie. Rodzice zginęli w wypadku samochodowym, gdy Amina miała dziesięć lat. Od tego dnia zajmował się nią jak ojciec, aż do chwili gdy wyszła za mąż za Manasha Ishmaila, z którym zresztą łączą go doskonale stosunki.

– I?

– Nazywa się Aziz Darvish. Zaginął bez wieści. Nie ma go już od ośmiu dni i władze są z tego powodu w stanie najwyższej gotowości. To na tyle niebezpieczna sprawa, że jego nazwisko można wymawiać przez telefon tylko szeptem, bo to nie byle kto. Jest jednym z pięciu kierowników projektu irańskiego programu rozwoju broni atomowej. To może być bardzo, ale to bardzo niebezpieczne – ostrzegła Esther.

Nora zupełnie nie wiedziała, co ma począć z tą informacją.

– Sądzisz, że te dwie sprawy coś łączy?

– Muszę przyznać, że trudno mi osobiście uznać za przypadek, że najpierw znikła siostra, a po paru dniach jej brat zapada się pod ziemię.

– Hm, masz rację.

Nora się rozłączyła i wyjęła komputer. Po raz kolejny przejrzała swoją pocztę na hotmailu. O mailu od Andreasa wciąż ani widu, ani słyhu.

Wykalkulowała, że musiał przyjść gdzieś między piętnastą a osiemnastą, kiedy była zajęta zebraniem redakcji, a potem rozmową z Esther.

Przejrzała skrzynkę odbiorczą. W tym czasie przyszły dwa maile. Nic z tego nie rozumiała.

Spróbowała jeszcze raz zadzwonić. Za trzecim razem włączyła się od razu poczta głosowa. Westchnęła i zabrała się do pisania maila: „Hej, przepraszam, że trochę spanikowałam. Próbowałam dzwonić, gdzie jesteś? xxx N.”.

Po trzech sekundach przyszedł mail zwrotny: „Wiadomość nie może zostać dostarczona”.

Nadszedł już czas, by położyć się spać. Nora zaniósła do kuchni filiżanki i talerzyki, starannie zaciągnęła zasłony i zamknęła drzwi na klucz. Była to raczej czynność symboliczna, bo przecież każdy mógł się tu wdrzeć, wtykając rękę do środka przez kawałek kartonu, który przymocowała taśmą klejącą na wybitej

szybie. Gówniany dzień.

Rozdział 6

Wtorkowy poranek powitał Norę taką ścianą deszczu, że przypomniała jej się historia z Tintinem, w której za tajemniczymi drzwiami kryje się wodospad.

Zadzwoiła do szklarza o dziewiątej, gdy tylko otworzył zakład, i porozmawiała z kobietą, która obiecała, że koło południa ktoś wpadnie i wstawi nową szybę.

Nora zaparzyła mocnej rosyjskiej herbaty, odkroiła parę kromek chleba zostawionego przez ojca i jadła, stojąc przy małym blacie kuchennym i patrząc na deszcz. Musi skontaktować się z Andreasem. Tyle że nie wiedziała nawet, jak Birgitte ma na nazwisko. Przeanalizowała zasoby pamięci w poszukiwaniu informacji, które mimo wszystko mogły się zakraść do ich rozmów, choć usilnie starała się omijać ten temat.

Trudno było w ten sposób poznawać Andreasa na nowo. Zebrać osiem straconych od liceum lat i spróbować zrobić miejsce dla mężczyzny w życiu skrojonym na miarę do pracy korespondenta. Ostatnią rzeczą, której potrzebowała, był jeszcze większy rozgardiasz w tym całym układzie.

Miała sobie za złe, wchodząc na facebookowy profil Andreasa. Nie grzeszył aktywnością. W ostatnim wpisie sprzed trzech miesięcy droczył się z kolegą z pracy, kibicującemu Liverpoolowi, który przegrał ważny mecz. Pod spodem znajdował się link do artykułu w „I Form” o najlepszym sprzęcie rowerowym do triathlonu. Kliknęła w listę znajomych i wpisała Birgitte.

Była tylko jedna. Birgitte Florentin Madsen miała co najmniej sześćdziesiąt lat, a gdy Nora kliknęła w jej profil, okazało się, że wcale nie jest policjantką, lecz pełni funkcję kościelnego w Kolding. Zapewne jedna z licznych ciotek Andreasa, o ile Nora dobrze pamiętała.

Birgitte Policjantki albo nie było na Facebooku, albo też Andreas nie miał jej już wśród znajomych po tym, jak zdecydował się zostać z Norą w Londynie. Jak się zabrać do tej sprawy? Nagle przyszło jej coś do głowy i zadzwoniła do wujka Andreasa, Svenda Janssona z Dragør.

– Halo, mówi Annika – powiedziała narzeczoną Svenda, odbierając telefon.
– Cześć, tu Nora. Czy mogłabyś mi podać numer komórki Birgitte?
– Yyy, Birgitte? Chodzi o Birgitte Andreasa? Przepraszam, chodziło mi... Nie wiem, czy go mamy. Widzieliśmy się z nią tylko raz i szafu nie było – odparła Annika.

– Rozumiem – powiedziała Nora.
– Wydawała się zimna jak ryba, jeśli mam być szczerą – ciągnęła Annika.
– Aha... a może Svend ma jej numer?
– Nieee, ale mogę sprawdzić w jego wizytowniku.
Nora pomyślała, że to typowe dla Svenda Janssona: zachować wizytownik,

podczas gdy inni ludzie przed niemal dziesięciu laty przenieśli wszystkie swoje numery telefonów do komórek.

– Nie, nie ma jej tu. Przejrzałam wszystkich pod C, żadnej Birgitte – powiedziała Annika z ubolewaniem.

– Jak ona ma na nazwisko?

– Ech... Jakoś tak Cederholm? Cederdorf? Coś w tym stylu... Już wiem! Cedergren!

– Dziękuję – odparła Nora.

– Mamy ze Svendem nadzieję, że wkrótce zajrzycie. Wybieracie się w najbliższym czasie do Danii? – paplała Annika.

– Zobaczymy – odpowiedziała Nora i rozłączyła się.

Poszukała Birgitte Cedergren na Google. Wyskoczyło czternaście stron z linkami i odsyłaczami. Któryś z usytuowanych najwyżej odsyłał do LinkedIn, ale gdy na niego kliknęła, okazał się nieaktywny. Poszukiwanie na Facebooku też nie przyniosło rezultatów. Spróbowała z wyszukiwaniem obrazów, ale poskutkowało to tylko tym, że Nora dowiedziała się o istnieniu szwedzkiego malarza rustykalnego o nazwisku Sebastian Cedergren, którego czasy świetności przypadały na ubiegłe stulecie. Oczywiście, zawsze pod górkę.

Spróbowała z innym słowem i dopisała do Cedergren „policja”.

Rezultat wyszukiwania skurczył się do siedmiu stron. Nie pozostało jej nic innego, jak przeglądać je jedna po drugiej w poszukiwaniu linku lub informacji, która doprowadziłaby ją do Birgitte Policjantki.

Na próżno przekopala się przez stopy dokumentów elektronicznych, przez wszystko, począwszy od listy z Biegu Kobiet pisma „Femina”, skończywszy zaś na referatach z posiedzeń wspólnoty mieszkaniowej na ulicy Jagtvej. Udało jej się dopiero na trzeciej stronie. Znalazła skan dokumentu na papierze ministerstwa spraw wewnętrznych, który dotyczył szczególnych zabezpieczeń podczas spotkania na szczycie w Kopenhadze. Prawdopodobnie wyciekł czy raczej został zhakowany przez grupę anarchistów, traktujących dokument jako niezbity dowód na użycie przez policję nielegalnych metod przeciwko legalnym demonstracjom.

Nora przebiegła wzrokiem po dokumencie i na samym dole znalazła to, czego szukała.

Na liście kontaktów było napisane: „do wiadomości Søren Malmberg, komenda gł. policji, Birgitte Cedergren, ofic. łącznikowy, służby wywiad”.

Nora potarła czoło. Służby wywiadowcze? Birgitte Policjantka nie była anonimowym funkcjonariuszem drogowki. Pracowała w wywiadzie? I była najwyraźniej na tyle wysoko postawiona, że uczestniczyła w spotkaniach dotyczących bezpieczeństwa kraju na szczeblu międzynarodowym. I to właśnie ją zostawił Andreas. Albo próbował zostawić. *Fuck.*

W tej samej chwili rozległo się donośne pukanie do drzwi. Nora

podskoczyła. Na zewnątrz stał szeroko uśmiechnięty mężczyzna w płóciennych spodniach i białym podkoszulku.

– Søren Holm. Przyniosłem nową szybę.

Nora odetchnęła z ulgą i zostawiła go z robotą, a sama powoli zaczęła się pakować. Gdy wkładała szczoteczkę do zębów do kosmetyczki, rozdzwonił się telefon. Numer nieznanym.

– Tak? – spytała niepewnie.

– Dzień dobry, tu Kirsten – powiedział głos po drugiej stronie. Nora usilnie próbowała sobie przypomnieć, o kogo chodzi, nie znajdując żadnego punktu zaczepienia.

– Yyy, tak?

Głos musiał wyczuć jej wahanie.

– Kirsten Isager, Czerwony Krzyż.

Teraz Nora już wiedziała, na czym stoi.

– Pół godziny po pani wyjściu przyszły dwie osoby, by przesłuchać Manasha. Kobieta i mężczyzna. Nie przedstawili się z nazwiska, ale mieli dokumenty uprawniające do wpuszczenia ich do środka. Mnie wtedy nie było, bo pojechałam z paroma kobietami na zakupy do Slagelse, więc wpuścił ich mój kolega, Lars-Erik.

– OK. Gdzie teraz jest Manash?

– No właśnie dlatego dzwonię. Zabraliby go ze sobą, ale on odmówił, co jest absolutnie zrozumiałe, biorąc pod uwagę, co się z nim działo, nim tutaj trafił – ciągnęła Kirsten Isager.

– I co się zdarzyło?

– Spędzili tu jakieś dwie, trzy godziny, ale potem ja wróciłam i ich wyrzuciłam. Nie mają prawa przebywać tu bez nakazu sądu, a już na pewno zabierać Manasha nie wiadomo gdzie. On się stara o azyl. Manash był bardzo zdenerwowany. Mówili, że jeszcze tu wrócą. I wtedy napomknęłam o pani. Powiedziałam, że sprawą już interesuje się „Globalt”.

Nora nic nie odpowiedziała.

– Hm, może to nie był najlepszy pomysł. Ale spanikowałam, dlatego dzwonię, by powiedzieć, jak się sprawy mają, jeśli coś by się działo. Mam nadzieję, że pani rozumie? – spytała Kirsten z napięciem w głosie.

– Tak, w porządku. Czy mogę porozmawiać z Manashem? – spytała Nora.

– Tak, ale on już się nie ośmieli odebrać swojej komórki. Boi się, że jest podsłuchiwany. Proszę za pół godziny zadzwonić do Sanjita.

Kirsten Isager przedyktowała numer, który Nora zapisała na marginesie starej gazety, leżącej przy zlewie.

Søren Holm kończył właśnie wprawianie nowej szyby w drzwiach.

– I już, proszę pani. Jak nowa!

Nora zapłaciła i pożegnała się z nim, po czym ponownie zasiadła do komputera. Na temat programu atomowego Iranu miała jedynie mętne wyobrażenie; coś tam było z negocjacjami z ONZ, które chyba donikąd nie doprowadziły, i z prezydentem, który chwalił się w wiadomościach, że jego kraj uzyskuje doskonale rezultaty w produkcji wzbogaconego uranu. Zaczęła od Wikipedii i po kliknięciu w parę linków znalazła na stronie CNN artykuł, który sprawił, że przeszedł ją zimny dreszcz. Artykuł informował, że co najmniej czterech wybitnych irańskich specjalistów od zagadnień nuklearnych straciło życie w ciągu zaledwie dwóch lat. Wszyscy w wyniku eksplozji. Bomby w samochodach.

Nora z niepokojem zerknęła na zegarek i zadzwoniła pod numer podany przez Kirsten Isager.

– Sanjit? – odezwał się Sanjit pytająco, odbierając telefon, jakby sam nie wiedział, kim jest.

Nora się przedstawiła.

– Chwileczkę – powiedział Sanjit i krótko potem telefon odebrał zdyszany Manash Ishmail. – Proszę chwilę poczekać, wyjdę do ogrodu. Nie wiem, czy mnie nie podsłuchują.

Nora zastanawiała się, czy mu wyjaśnić, jak funkcjonuje świat w Danii. Że nie ma tajnej policji, której wolno instalować mikrofony w ośrodku dla azylantów czy podsłuchiwać telefony. Ale rozumiała też, że Manash jest ostrożniejszy niż większość ludzi. Człowiek ma do tego prawo, doświadczywszy irańskiego więzienia.

– Dobrze, już jestem na zewnątrz – powiedział chwilę potem. Nora domyśliła się, że przeszedł się do powalonego drzewa w dole ogrodu.

– Manash, co się dzieje?

Słyszała, że bierze głęboki wdech, jakby próbował siłą uzyskać wewnętrzny spokój. Brzmiał jednak krucho jak skorupka jajka na chwilę przed pęknięciem.

– Była tu tajna policja.

– Co takiego?

– Tak, tajna policja. W ciemnych garniturach. Kobieta i mężczyzna. Nie chcieli powiedzieć, jak się nazywają ani skąd są. Uparłem się, żeby podali mi nazwiska, i w końcu ulegli.

Nora nadstawiła uszu. To może być przydatna informacja.

– Proszę poczekać, zapisałem je sobie na kartce.

Nora wyobraziła sobie, jak stoi z komórką przyciśniętą między ramieniem a brodą, szukając kartki po kieszeniach.

– Już ją mam. Pan Jensen i pani Nielsen.

Nora westchnęła.

– Jakieś imiona?

- Nie.
- Hm. Jensen i Nielsen to coś jak Smith czy Brown.
- Aha. – W głosie Manasha wyraźnie było słycać irytację, że dał się oszukać.
- Czego chcieli?
- Chodziło im o brata Aminy, Aziza. Wygląda na to, że zaginał. Chcieli się dowiedzieć, czy uciekłem razem z nim i czy wiem, gdzie teraz może być. Tego typu rzeczy.
- Był pan w stanie im pomóc?
- Nie! Oczywiście, że nie! Nie wiedziałem nawet, że zaginał. Miał się dobrze, gdy wyjeżdżałem z Teheranu. Nic się nie działo. Sądzi pani, że to może mieć związek z Aminą?
- Nie mam pojęcia. Ale zaginięcie Aminy i jej brata jest zastanawiające. Wiele może wskazywać, że to może mieć związek z jego pracą. Dlaczego nie powiedział mi pan, czym się zajmuje?
- Nie przypuszczałem, że to może mieć związek ze sprawą. Amina przecież nie wie, co on robi dla władz – odparł. Nora słyszała, że jest bliski paniki.
- Naprawdę mogą przyjść i mnie zabrać? Deportować mnie? Jestem gotów ponieść każdą karę, bylebym mógł zobaczyć znów Aminę. Jestem gotów wrócić.
- Manash, proszę nie działać pochopnie. Wróć do Londynu i sprawdź, czy uda mi się trafić na jej ślad i dowiedzieć, co się stało. Może nadal jest w Londynie, może z nieznanego nam powodu się ukrywa. Nie mam pojęcia. Ale muszę dowiedzieć się czegoś więcej.
- Tak, rozumiem.
- Jeśli w międzyczasie pojawią się znów pan Jensen i pani Nielsen, proszę powołać się na konwencję ONZ dotyczącą statusu uchodźców i poprosić Kirsten, by natychmiast do mnie zadzwoniła, dobrze? – powiedziała Nora, nie wiedząc właściwie, co miałyby zrobić w tym drugim wypadku, oprócz rozpętania piekielnej awantury i napisania o tym w „Globalt”. – Jeśli będzie pan chciał, bym zadzwoniła, proszę wysłać mi SMS-a. Nie jestem pewna, czy mój mail obecnie funkcjonuje tak, jak powinien – dodała. Manash przyrzekł, że tak zrobi.
- Nie wiem, co się stało z Azizem. Ale wiedzieliśmy, że ma niebezpieczne zajęcia. Stracił wielu kolegów, ale nie bał się chodzić do pracy. Miał tak dużą wiedzę i doświadczenie, że nawet gdy okazało się, że łączą go związki rodzinne z takim przestępcą jak ja, co to pisze wywrotowe wiersze, nie miało to wpływu na jego karierę. Tłumaczył, że za bardzo jest im potrzebny.
- Może sytuacja się zmieniła – zastanawiała się głośno Nora.
- Może. Ale błagam panią, proszę znaleźć Aminę. Jeśli tylko będę miał swoją Aminę, dam sobie radę ze wszystkim na tym świecie.
- Zrobię, co w mojej mocy – obiecała Nora.

Temat się wyczerpał, więc się rozłączyli.

*

Nora pozmywała naczynia z wczorajszego wieczora, spakowała resztę rzeczy i włożyła do samochodu swoją zieloną walizkę. Zadzwoiła jeszcze raz na komórkę Andreasa. „Abonent nie istnieje”, obwieścił jej ten sam kobiecy głos, który wczoraj poinformował ją, że abonent jest czasowo niedostępny.

W samochodzie włączyła bluetootha i położyła telefon na siedzeniu pasażera. Postanowiła zadzwonić na kopenhaską policję w nadziei, że Andreas jest w biurze i że pracuje w tej samej komórce, która wysłała go do Londynu na kurs zwalczania terroryzmu. Po kilku próbach na centrali dodzwoniła się wreszcie do właściwego departamentu, w którym telefon odebrał facet przedstawiający się jako Mikkel Jensen. Spytała o Andreasa Janssona i poczuła ulgę i nerwowy trzepot w piersi, gdy odpowiedział po prostu: „Chwila”.

Trzy sekundy później przy słuchawce pojawił się Andreas.

– Nora? Co się dzieje?

Już sam dźwięk jego głosu sprawił, że coś w jej środku pękło niczym góra lodowa, która w końcu przestaje być jedną bryłą i rozpada się na wielkie kry w turkusowoniebieskiej wodzie.

– Andreas – powiedziała po prostu.

– Dlaczego nie odpowiadasz na moje maile?

– Próbowałam dzwonić, wielokrotnie – broniła się.

– Przecież ci napisałem, że skradli mi komórkę. Nie czytasz maili ode mnie?

– Nie dostałam od ciebie żadnych maili. Ile ich wysłałeś?

– Cztery! Kurczę, dziwne to – powiedział Andreas.

– Ja też próbowałam wysłać do ciebie mail, ale wrócił. Twoja komórka została zhakowana czy jak?

– Do diabła, Nora. Nie mam z tobą kontaktu od wielu dni, musimy się spotkać.

– Co się dzieje z... – Nora szukała sformułowania, którego wypowiedzenie nie sprawiłoby jej przykrości, ale nie mogła na nic wpaść. Andreas zrozumiał, o co jej chodziło.

– Nie wiem. Dziwnie się zachowuje. Próbowałam zaaranżować spotkanie, ale się wykręca. Nie rozumiem, co się dzieje.

Nora poczuła ucisk w gardle. Próbowała wrócić myślami do sobotniego ranka, gdy wybrali się we dwoje na Borough Market jako całkowicie beztroska para. Zanim nastąpił brzemienny w skutkach telefon od Birgitte Policjantki.

– Czy to znaczy, że wcale z nią nie rozmawiałeś?

– Tak.

– Andreas, czy mogę o coś spytać? Wiem, że to może wydawać się dziwne,

ale czy ona pracuje w służbach specjalnych?

Po krótkiej chwili Andreas odchrząknął.

– Hm. To nie jest powszechnie dostępna wiedza. Czasami zapominam, że jesteś dziennikarką.

Nora zaśmiała się, ale śmiech uwiązał jej w gardle.

– Tęsknię za tobą – powiedziała po prostu.

– Więc się spotkajmy. Gdzie jesteś? Na działce? Śpię u Jonasa na Amager, mógłbym wpaść wieczorem. Ja też za tobą tęsknię. Jak jasna cholera – powiedział.

Nora zbliżała się do szyldu wypożyczalni Europcar.

– Andreas, jestem na lotnisku. Kiedy wracasz do Londynu?

Westchnął głęboko.

– Nie wiem. Muszę spróbować zapanować... nad tym wszystkim.

– Tak, ale chodzi ci o to, że... zamierzasz z nią być? – Nora nienawidziła się za to, że w ogóle zadała to pytanie. Nie taki był plan.

Andreas wziął głęboki oddech.

– Nora. Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedział.

– Muszę lecieć – wykrztusiła, rozłączając się, po czym zaparkowała samochód i poszła do hali odlotów, ciągnąc za sobą walizkę.

Rozdział 7

Niecałe cztery godziny później otworzyła drzwi do mieszkania, które wydało jej się dziwnie puste. Andreas przecież nie zdążył się tu wprowadzić, ale sama myśl, że może już nigdy nie rzucić się na łóżko, zabierając nieprzyzwoicie dużo miejsca i kołdry, była nie do zniesienia.

Otworzyła drzwi do sypialni i włączyła komputer, chcąc szybko przejrzeć wiadomości. Nie działało się nic, przez co miałyby wszystko rzucić. Weszła na stronę brytyjskiego wydawcy Manasha, Brown & Barley, prezentującego szereg szacownych tytułów, opublikowanych przez niego na przestrzeni lat. Na samym dole znajdował się adres pocztowy, pod którym wydawnictwo z mocą zastrzegало, że nie przyjmuje niezamawianych rękopisów, oraz numer telefonu, napisany mikroskopijną czcionką.

Dodzwoniła się do recepcjonistki, spytała o redaktora Toma Cravena i została przełączona na pocztę głosową, na której głos automatu poinformował ją, że Tom Craven nie może w tej chwili odebrać telefonu, ale można zostawić wiadomość. Nora podkreśliła, że chodzi o Manasha i że sprawa jest pilna.

Pół godziny później spróbowała jeszcze raz. Wciąż poczta głosowa. Za trzecim razem automatyczny głos oznajmił, że skrzynka jest pełna. Nora stwierdziła, że widać nie ona jedna próbuje skontaktować się z Tomem Cravenem. Zadzwoiła więc jeszcze raz do centrali i poprosiła o połączenie z działem prasowym. Recepcjonistka nie ułatwiała zadania:

- W sprawie filmów, książek czy multimediiów?
- Książek.
- Jaki gatunek?
- Poezja.

Nora słyszała, jak pisze coś na klawiaturze.

- Jaki rodzaj poezji?
- Proszę posłuchać. Nie może mnie pani po prostu połączyć z działem prasowym?
- Jak najbardziej – obraziła się recepcjonistka. – Jest pani dziennikarką?
- Tak – westchnęła Nora, słysząc w końcu melodyjkę oznaczającą, że czeka na połączenie z działem prasowym.

– Josh McGregor, w czym mogę pomóc? – powiedział mężczyzna melodyjnym szkockim akcentem, kiedy wreszcie się dodzwoniła.

Nora przedstawiła się i wyjaśniła, że próbuje skontaktować się z Tomem Cravenem.

– On nie jest upoważniony do bezpośredniego kontaktu z dziennikarzami. W jakiej sprawie?

- Muszę z nim porozmawiać osobiście, to ważne.

Josh McGregor wyraźnie miał obiekcje.

– Ach, czy naprawdę nasz dział nie będzie mógł sobie z tym poradzić? – spytał.

Nora wzięła głęboki wdech.

– Dobrze. Chodzi o Manasha Ishmaila. Teraz jest w Danii, ale...

– Ishmaila? To nie ten dział. Już panią przełączam.

– Ale proszę posłuchać... – próbowała się przebić Nora, ale było już za późno. Melodyjka obwieściła jej, że nie cieszy się już uwagą Josha McGregora.

– Kate Mills – powiedział ostry kobiecy głos po drugiej stronie słuchawki.

Nora powtórzyła pierwszą część wyjaśnienia, ale nim zdążyła wyklarować, że chce rozmawiać z Tomem Cravenem, kobieta jej przerwała:

– Manash Ishmail nie udziela wywiadów, ale może pani przeczytać komunikat dla prasy na naszej stronie w związku z jego ostatnią książką. Więcej nie zdziałam. Do widzenia.

– Tak, ale...

Kate Mills odłożyła słuchawkę.

Nora nabrała powietrza, wpisała Toma Cravena w wyszukiwarkę i znalazła go na Facebooku. Na jego profilu widniał adres mailowy, więc bez większych nadziei napisała do niego wiadomość, w której prosiła o jak najszybszy kontakt. Na zdjęciu profilowym wyglądał na sympatycznego człowieka koło czterdziestki z powstałymi od śmiechu zmarszczkami wokół oczu, noszącego golf i okulary, zatknięte na głowie w grube, brązowe włosy. Były też zdjęcia z domku letniskowego nad morzem, ale mogły zostać zrobione w każdym miejscu z kamienistą plażą i kutrami, wciąganyymi wieczorem na ląd. Może teraz tam jest?

Weszła w jego listę znajomych i znalazła jednego wspólnego: Jasona Moore'a, dziennikarza z „Guardiana”, z którym od czasu do czasu chodziła na konferencje prasowe i bankiety. Pisał między innymi o skandynawskich kryminałach i parę razy pomogła mu w uzyskaniu numerów telefonu do swoich kontaktów w Danii.

Odebrał telefon od razu. Nora wyjaśniła, że próbuje skontaktować się z Tomem Cravenem i że ma nadzieję, że Jason pomoże jej dostać numer.

– Chwileczkę. Spytam Erica z działu kultury. Chyba studiowali razem na uniwerku.

Czekała minutę na powrót Jasona do słuchawki.

– Mam numer. Ale Eric nie jest pewien, czy Tom ci w czymś pomoże. Wziął bezterminowy urlop.

– Ach tak! – Nora nie kryła zaskoczenia. To by wyjaśniało, dlaczego Manash miał takie trudności z dotarciem do swego wydawcy.

Eric kojarzył coś, że pojechał w rodzinne strony swego ojca nieopodal Hastings. On sam nie może się z nim skontaktować od ponad tygodnia. Czasami

ma te swoje, jak by to nazwać, stany.

– Stany?

– Tak, kiedy wycofuje się z życia. To się zdarza w równych odstępach czasu.

– Eric nie wiedział, o co w tym chodzi, ale sądził, że Tom może pracować nad jakąś sagą rodzinną czy czymś w tym stylu.

Nora poszła dokonać inspekcji lodówki. Znalazła w niej kwartę skisłego mleka, trzy puszki coli light i resztki paelli, którą Andreas zrobił w piątek wieczorem. Z rezygnacją wyłowiła z miseczki udko kurczaka i wgrzyła się w nie. Było wciąż dobre. Wzięła łyżkę i nabrała nią odrobinę szafranowożółtego ryżu, parę czarnych jak smoła oliwek i sfatygowaną ósemkę pomidora. Otworzyła puszkę coli; lepsze to niż nic.

Zadzwoiła pod numer podany przez Jasona; zgodnie z przewidywaniami nikt nie odebrał. Czy jest za późno na wyjazd do Hastings? Szybko sprawdziła na stronie British Rail i znalazła pociąg ze stacji St. Pancras, po czym włożyła do torby komputer z ładowarką, notes i przywiedłe jabłko, które gapiło się na nią głupio na blacie kuchennym. Reszkę paelli wyrzuciła do kosza.

*

W pociągu poszukała Cravenów z Hastings. Znalezienie tego domku nie powinno chyba być zbyt trudne? Wyskoczył jej link do wieczorku poetyckiego w lokalnej kawiarni i kilka wzmianek o jakiejś Mildred Craven, która okazała się członkinią miejscowej rady miasta z ramienia laburzystów. Nora otworzyła link do wydarzenia poetyckiego, w którym najwidoczniej musiał brać udział Tom Craven, i zanotowała nazwę kawiarni. Można od tego zacząć.

Haddock Café położona była nad wodą i Nora bez trudu potrafiła sobie wyobrazić, że zdjęcia z Facebooka Toma Cravena pasują do tutejszej plaży, pełnej okrągłych kamieni, wygładzonych przez fale. Cztery kutry stały już wciągnięte na ląd.

Nora zamówiła filiżankę kawy, a gdy została podana wraz herbatnikiem na spodeczku, spytała o właściciela. Około dwudziestopięcioletnia blondynka, serwująca kawę prosto z ekspresu Gaggia, który obsługiwała z biegłością eksperta, zdmuchnęła grzywkę na bok i spojrzała na Norę z uśmiechem.

– We własnej osobie. Emma Fischer. O co chodzi?

– Szukam Toma Cravena, ma tu w pobliżu domek letniskowy. Zna go pani?

Wyraz twarzy Emmy zmienił się nieznacznie, przybierając na czujności.

– Hm. Czego pani od niego chce?

Nora nigdy nie kłamała. Ale były takie chwile, w których lepiej było zachować pewną powściągliwość wobec prawdy.

– Przyjechałam zrobić mu niespodziankę. Zadzwoiłabym, ale chyba jego komórka nie ma tu zasięgu?

– Skąd go pani zna?

– Hm, przez Jasona, który zna Erica, który przyjaźni się z Tomem – wyjaśniła Nora.

– Proszę chwileczkę poczekać – powiedziała Emma i wyszła na zaplecze. Wróciła po dwóch minutach.

– Ma pani rację, nie można się dodzwonić. Właściwie to dziwne, bo zazwyczaj przychodzi tu parę razy w tygodniu na lampkę wina, jeśli jest na miejscu, ale tym razem go nie widziałam. Jest pani pewna, że przebywa w Hastings?

– Dość pewna – odparła Nora, mogąc podeprzeć się jedynie własnym przeczuciem.

– Może po prostu sprawdzę, czy wszystko z nim w porządku? – zapytała Nora, zainspirowana.

– Tia. – Emma namyślała się przez parę sekund, po czym dała za wygraną. – OK. Rosemary Lane. Są tam tylko cztery domy. Domek Toma to ten biały ze szprosowymi oknami. Jest położony kawałek za miastem, więc na pani miejscu wzięłabym taksówkę – powiedziała.

Nora podziękowała i położyła na stole pieniądze za kawę.

– Jeśli jest w domu, na zewnątrz będzie zaparkowany jego range rover, ciemnozielony. Niech mu pani każe tu zajrzeć, żebyśmy wiedzieli, że wszystko z nim w porządku, dobrze?

Nora obiecała, że przekaże, po czym przeszła się z powrotem do stacji kolejowej, spod której wzięła taksówkę i poprosiła o zawieszenie na Rosemary Lane.

Gdy wysiadła z taksówki, silny wiatr uderzył ją w twarz ostrym, słonym podmuchem. Kierowca zatrzymał się przy wjeździe na Rosemary Lane, tłumacząc się, że wycofanie się z niej graniczy z cudem. Nora wetknęła mu piąta i poszła w stronę domku położonego na końcu uliczki na niewysokim wzgórzu z bezpośrednim widokiem na morze.

Kiedy podeszła bliżej, przekonała się, że ciemnozielony samochód rzeczywiście stoi na podjeździe przed małym, białym domkiem, który kiedyś z pewnością należał do prostego rybaka.

Nora minęła szpaler dzikiej róży, podeszła do zielonych drzwi i zapukała. Brak odpowiedzi. Zapukała jeszcze raz. Słysząc tylko szum wiatru w niskich krzewach.

Zapukała na tyły ogrodu.

– Halo! Jest tam kto?

Brak odpowiedzi.

Na małym tarasie ze starej cegły stał zbutwiały stół ogrodowy, a na nim żółta, plastikowa popielniczka z dwoma niedopałkami. Nora spróbowała jeszcze

raz.

– Halo? Czy ktoś jest w środku?

Chyłkiem zakradła się bliżej domu, by zajrzeć do środka przez drzwi tarasowe.

Patrzyła wprost na małe pomieszczenie z aneksem kuchennym. Stół z resztkami posiłku świadczył, że w domu dopiero co znajdowały się dwie osoby. Gdzie są teraz?

Kiedy tak stała, nagle drzwi z boku pokoju otworzyły się gwałtownie i pojawiła się w nich kobieta w jaskrawokobaltowej sukience i zielonym hidżabie. Amina? Nora nie potrafiła tego zrozumieć. Co robi tu Amina? I dlaczego...

Nie zdążyła dokończyć myśli, bo została przyciśnięta do ściany tak mocno, że poczuła, jak wykręca jej się kark.

– Masz trzy sekundy, żeby mi powiedzieć, kim jesteś i co, do cholery, robisz na moim terenie! – syknął męski głos.

Rozdział 8

Nora w ułamku sekundy dokonała oceny sytuacji. Mogłaby z łatwością wykrecić łokieć i dźgnąć nim mężczyznę w żebra. W szoku poluzowałby chwyt i wtedy mogłaby go kopnąć, celując w piszczel. Unieruchomiłoby go to na pewien czas i mogłaby uciec.

Oczywiście mogła też po prostu zrobić to, co jej kazał Tom Craven. W końcu to był jego dom.

– Nazywam się Nora Sand. Może mnie pan puścić?

– Kim jesteś, do cholery?

– Dziennikarką.

Tom Craven poluzował uścisk, ale nie na tyle, by Nora mogła się obrócić i spojrzeć mu prosto w twarz.

– Dowód tożsamości – zażądał.

Powolnym ruchem Nora odszukała w torbie portfel, wyciągnęła z niego legitymację prasową z żółtym paskiem, która informowała, że jest licencjonowaną dziennikarką London Foreign Press Association.

Podawała mu ją i spjrzała w niebieskie oczy pod mocno zarysowanymi brwiami, które przywodziły na myśl dawnego brytyjskiego ministra finansów, Alistaira Darlinga. Pełne usta wykrzywiały się w gniewnym grymasie.

Przyjrzał się legitymacji, spojrzął na nią i z powrotem na dokument.

– „Globalt”? Nigdy o nim nie słyszałem.

– Z Danii – wyjaśniła.

Wzruszył ramionami, jakby było to mu całkowicie obojętne.

– Chcę się dowiedzieć, jak nas, kurwa, znalazłaś?

– Zawsze tak klniesz? – spytała.

Zaczerpnął powietrza, opanowując się.

– Tylko gdy jestem naprawdę zły – powiedział.

– Na swoją obronę mogę powiedzieć, że naprawdę próbowałam dzwonić, wielokrotnie. Pukałam też do drzwi – zauważyła Nora.

Widać było, że nie jest już wściekły; Nora niemal widziała, jak wyparowuje z niego adrenalina. Postanowiła zaryzykować.

– Wiem, kogo trzymasz w środku, i chcę się dowiedzieć, co jest na rzeczy – naciskała.

– Lepiej wejdźmy, przecież nie będziemy tu stać – zaproponował.

Przeszli na front domku. Zanim Tom otworzył drzwi, spojrzął na nią przenikliwie.

– Mogłabyś wyłączyć komórkę?

Nora spojrziała na niego pytająco.

– Możesz to po prostu zrobić? – powiedział ze zmęczeniem, jakby od lat się

przyjaźnili i wielokrotnie już odbywali tę rozmowę.

– Dobrze, jeśli to takie ważne – odparła.

Weszli do małego, pachnącego czosnkiem pomieszczenia. Na stole stał półmisek z sałatą i dwa talerzyki. Ani śladu kobiety.

Tom uniósł głos.

– Możesz wyjść, nie ma zagrożenia – powiedział, mrugając do Nory.

Nora wpatrywała się w drzwi, zza których za chwilę wyjdzie Amina. Kobieta, przez którą Manash od wielu dni jest nieszczęśliwy i niespokojny. Dlaczego nie wysłała mu wiadomości, że jest cała i zdrowa? Jak mogła, i przy okazji Tom Craven też, pozwolić, by tak cierpiał?

Drzwi powoli się otworzyły i Nora spojrzała w duże, ciemne oczy. Drżąca dolna warga zdradzała, że kobieta jest głęboko poruszona.

– Noro Sand, to jest Fazia Bismil. Fazio, oto Nora, duńska dziennikarka.

Kobieta podała Norze rękę. Miała chłodny i mocny uścisk.

Przy dokładniejszych oględzinach trudno było znaleźć podobieństwo między widzianymi przez Norę zdjęciami Aminy a stojącą przed nią kobietą.

– Zapewne rozumiesz, że podczas tournée z książką przez większą część czasu Fazia musi się ukrywać ze względu na groźby śmierci. Chcemy dopilnować, by nie było kolejnego Rushdiego. To zrozumiałe, że Fazia chce uniknąć sytuacji, w której będzie miała całodobową ochronę policji. Dlatego jesteśmy tacy przeczuleni wobec nieproszonych gości. Z tego samego powodu wyłączam komórkę, kiedy tu jestem. Nigdy nie wiadomo, jakimi środkami dysponują ci ludzie – wyjaśnił Tom Craven.

Fazia milcząco się uśmiechnęła.

Nora dobrze znała jej historię. Ta dwudziestodwuletnia uczestniczka paneli dyskusyjnych i pisarka w wieku czternastu lat uciekła, zmuszona do zawarcia małżeństwa w Sudanie. Nie chcąc wtopić się w tłum w kraju, który ją przyjął, została zapaloną bojowniczką o prawa kobiet i autorką piszącą o rzeczach, o których zaledwie garstka kobiet z jej ojczyzny miała odwagę mówić. Lista kolegów pisarzy z całego świata, podziwiających jej odwagę i podkreślających bohaterstwo, była długa. Niemal równie długa, co lista zajadłych wiernych, pragnących uśmiercić Fazię i to, za czym się opowiadała. Codziennie, z różnych stron internetowych, dostawała pogróżki, że zostanie zamordowana, zgwałcona i jeszcze gorzej.

– Prosiłabym cię, byś nie pisała o tym miejscu. Podczas pobytu w Anglii traktuję je jak pustelnię i jestem bardzo wdzięczna Tomowi, że troszczy się, bym miała namiastkę życia prywatnego – powiedziała z charakterystycznym, kanadyjskim akcentem jej nowego miasta, Vancouver.

Nora usiadła na sfatygowanym fotelu przy regale uginającym się od książek.

– Nie jestem tu z powodu Fazii.

Oboje zamarli ze zdziwienia.

– Przyszłam z powodu Aminy. Aminy Ishmail – powiedziała.

Tom przecesał ręką gęstą czuprynę i zdeorientowany pokręcił głową.

– Aminy? Co z Aminą?

Fazia wykorzystała okazję, by sobie pójść.

– Idę pisać do pokoju. Chcę coś dokończyć, OK?

Tom odpowiedział z roztargnieniem, po czym poszedł do kuchni, wziął ze stołu butelkę czerwonego wina i odkorkował. Z wiszącej szafki wyciągnął dwie różne szklanki. Spojrzał pytająco na Norę, a gdy skinęła głową, napełnił jedną niemal po sam brzeg i podał jej. Następnie nalał sobie i wziął łyk.

– O co chodzi z Aminą?

– Zagięła bez śladu – odparła Nora i w krótkich słowach opowiedziała, jak skontaktował się z nią Manash, i o tym, że nie może odnaleźć żony od czasu pierwszego telefonu z Leicester.

– Manash? W ośrodku dla uchodźców w Danii? Słuchaj, czy oni nie wiedzą, kogo przyjęli w swoim kraju? Ośrodek dla uchodźców? To jakiś żart? – Pokręcił głową i ciągnął dalej: – Nie wiem, co się mogło stać z Aminą. Naprawdę zniknęła?

– Na to wygląda. To, zdaje się, ty miałeś im pomóc, jak już tu dotrą?

Tom pokiwał głową z poczuciem winy i łyknął wina.

– Tak. Oczywiście plan był taki, że mam się przede wszystkim zająć Manashem, jak tu przyjedzie. Pomóc znaleźć mieszkanie, dopilnować, by miał spokój przy pracy. Prosiłem, żeby jechali razem. Nie wiem, jak on sobie bez niej poradzi.

Nora pokręciła głową.

– Mówi, że ona jest jego całym życiem.

– Fatalnie się złożyło, że akurat teraz musiałem ukrywać się z Fazią. Sam poprosiłem w wydawnictwie, by nikt się ze mną nie kontaktował, sam wyłączyłem komórkę. Ech, to straszne, że on siedzi tam sam!

Tom wziął kolejny łyk wina, gniewnym ruchem zebrał talerze i zaniósł je do zlewu. Następnie przysunął krzesło w stronę Nory i usiadł naprzeciw niej.

– W jaki sposób mogę pomóc?

– Opowiedz mi wszystko, co wiesz: z kim miała się spotkać i kogo znała w Leicester. Cokolwiek.

Znów wstał, tym razem po to, by włączyć elektryczny piecyk składający się z dwóch rozżarzonych do czerwoności elementów, który przywodził Norze na myśl toster.

– Chłodno tu, nie sądzisz?

Nora czekała.

– Problem jest taki: mam kilka informacji, ale nie wiem, czy mogę ci ufać.

– Myślałam, że mamy już to za sobą. Znalazłam cię tu, wyłączyłam

komórkę, jak mnie o to prosiłeś. Może po prostu powinieneś mi zaufać.

– Hm. Dlaczego, na przykład, nie poszłaś na policję?

– A jak to sobie wyobrażasz? Kobieta, warto zauważyć, zdecydowanie powyżej osiemnastki i w pełni władz umysłowych, przyjeżdża nielegalnie do Wielkiej Brytanii i znika. Jak sądzisz, ile jest takich przypadków tygodniowo? I co policja ma ochotę z tym zrobić?

Tom uniósł ręce.

– Dobrze, dobrze.

Nora ciągnęła dalej:

– Ależ doprowadźmy sprawę do końca. Załóżmy, że rzeczywiście jakimś cudem decydują się zająć tą sprawą i przeznaczyć środki na szukanie Aminy. Jak sądzisz, co się stanie, jak ją znajdą, zważywszy, że przebywa w kraju nielegalnie?

– Całkowicie mnie przekonałaś – powiedział, po czym wstał i poszedł do przedpokoju. Wrócił z wytartą, skórzaną torbą na ramię. Usiadł, wyciągnął z niej notes w grubej oprawie i zaczął go przeglądać.

Siedział tak blisko niej, że niemal stykali się kolanami, a gdy nachylił się, by odczytać coś w notesie, Nora poczuła zapach kojarzący się jej z dymem torfowym, solą i starym drewnem. Jak szkocka whisky, leżakująca w eleganckich starych dębowych beczkach. Włosy opadły mu na czoło i Norę naszła nagła ochota, by je odgarnąć, po czym spotkała jego spojrzenie i poczuła się przyłapaną.

Tom z galanterią zachowywał się jak gdyby nigdy nic, nieprzerwanie wertując notes. W końcu się zatrzymał.

– Mam – powiedział, mrużąc oczy, by odczytać własne pismo. – Miała pojechać pociągiem do Londynu i pójść do jakiejś kobiety w Kentish Town, która miała jej pomóc. Stamtąd miała podać mi numer komórki, na którą miałem się z nią kontaktować, jak już będę znał termin przyjazdu Manasha. Mam tylko tyle, niedużo tego.

– Nie zadzwoniła?

Pokręcił głową z poczuciem winy.

– Nagle trafiła nam się wizyta Fazii. Nie była planowana i musiałem się nią zająć na gwałt. Cały zeszły tydzień miałem wyłączony telefon.

Sprawa wyglądała beznadziejnie. Nora napiła się wina i siedzieli razem w milczeniu. Przecież sama się przekonała, że dotarcie do Toma było praktycznie niemożliwe.

– Hej, słuchaj, który numer telefonu dałeś Aminie?

– Oba, i ten do pracy, i na komórkę. Dlaczego?

Nie namyślając się, ścisnęła go za ramię.

– Poczta głosowa! Może zostawiła wiadomość.

Rzucił okiem na swoją komórkę.

– Przykro mi, ale nie mogę jej włączyć, by sprawdzić pocztę głosową

w biurze, choćbym nie wiadomo jak chciał. Zobowiązałem się do przestrzegania zasad bezpieczeństwa ze względu na Fazię i nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym je złamał i coś się stało. Nawet dla Aminy – powiedział.

Nora namyślała się przez chwilę.

– To wcale nie musi być konieczne. Możemy zadzwonić z mojej komórki, jeśli oddalę się od domku. Nikt nie wie, że jestem tu z wami, nikt nie będzie w stanie tego skojarzyć.

– Jest to jakieś wyjście – odparł Tom z ociąganiem. – Ale musielibyśmy odejść dobry kawałek, i to ja zadzwonię, dobra?

Nora kiwnęła głową i wstała, by wyciągnąć komórkę z zewnętrznej kieszeni torby.

– Nie włączaj jej jeszcze – polecił Tom, pukając do drzwi Fazii. – Wychodzimy na kwadrans! – zawołał, co zostało skwitowane roztargnionym mruknięciem.

Podeszli na sam szczyt wzgórza, gdzie kończyła się Rosemary Lane, i rozciągnął się przed nimi zapierający dech w piersiach widok na kanał La Manche i zachodzące słońce. Tom ujął ją za ramię.

– Chodź tędy – powiedział i poprowadził ją w lewo, gdzie znajdowały się wąskie drewniane schodki wiodące na plażę.

Szli w milczeniu w złotej poświacie, która powoli przechodziła w zmierzch. W kierunku miasta. W miarę jak szli, na plaży pojawiało się coraz więcej łodzi – małych jolek i nieco większych, nadających się idealnie do połowów.

Przy niedużej szopie, w której najprawdopodobniej trzymano sieci rybackie i jaskrawopomarańczowe boje, Tom wreszcie usiadł i wyciągnął rękę po jej telefon. Nora włączyła go i stwierdziła, że sygnał jest przyzwoity. Podała mu komórkę.

Widziała, jak wpisuje numer, by uzyskać dostęp do swoich wiadomości. W nadziei, że będzie mogła się przysłuchiwać, klapnęła obok niego i wyciągnęła szyję tak, że jej twarz znalazła się blisko jego twarzy.

Nie rozróżniała poszczególnych słów, lecz słyszała męskie głosy; z tonu można było wywnioskować, że to jacyś biznesmeni. Mężczyźni, którzy wiedzą, czego chcą, i dzwonią z konkretnymi zapytaniami, wymagającymi odpowiedzi na już, a najlepiej na wczoraj. I wreszcie pełen wahania głos kobiety, słabszy niż pozostałe.

Tom spojrział na nią z szerokim uśmiechem.

– Bingo!

Rozdział 9

Wiadomość od Aminy była krótka. Tom odtworzył ją jeszcze raz z włączonym głośnikiem, a Nora wyszukała w torbie papier i ołówek.

Cześć Tom. Przyjechałam do Londynu. Spotykam się z Zainab. Możesz do mnie dzwonić do Centrum Pomocy Kobietom. Ukradli komórkę. Nie ma numeru telefonu, zostaw wiadomość u Zainab – brzmiała wiadomość, przekazana łamaną angielszczyzną.

Nora zapisała imię, ale już teraz męczyła ją myśl, że imię to za mało, a opis jest zbyt ogólnikowy, by można było coś znaleźć.

Na taśmie nastąpiła pauza. W tle Nora słyszała głos z głośników zapowiadający odjazdy pociągów. Musiała dzwonić z któregoś z dużych londyńskich dworców, prawdopodobnie z St. Pancras, jeśli przyjechała z Leicester.

Czekaj. Mam nazwisko. Zainab Ahmadi. Tom, zadzwoń do Manasha, powiedz, że ja OK.

Następnie rozległo się szuranie i słuchawka została odłożona. Musiała stać w budce telefonicznej na stacji. Nora wyobraziła to sobie.

Zainab Ahmadi. Niewiele, ale lepsze to niż nic. Tom przerwał połączenie i siedział przez chwilę, patrząc na morze.

– Powinienem się być domyślić, że jest jakiś problem. Powinienem był zadzwonić do Manasha. To straszne – powiedział przygnębiony.

Nora poczuła osobliwą chęć, by pocieszyć tego mężczyznę, który przed niecałą półgodziną prawie poturbował ją przy ścianie swego domku letniskowego.

– Skąd miałeś wiedzieć, że tak fatalnie się złoży.

– Może znikąd. Ale powinienem był monitorować tę sprawę. Upewnić się, że Amina jest bezpieczna. Dowiedzieć się, kiedy dokładnie Manash Ishmail przyjeżdża do Londynu. Znaleźliśmy nawet mieszkanie, czeka na niego – powiedział Tom.

Niewiele można było na to odrzec, więc Nora poklepała go ostrożnie po ramieniu.

– Najważniejsze, żebyśmy ją teraz znaleźli – powiedziała cicho.

Tom wstał, otrząsał spodnie z piasku i spojrzął na zegarek.

– Wracajmy już, Fazia będzie się niepokoić.

Gdy po paru minutach doszli do wąskich schodków, prowadzących do Rosemary Lane, zaoferował Norze, że ją przenocuje.

– Dostaniesz antresolę na wyłączność – zadeklarował.

Poczuła dziwną ochotę, by zostać nieco dłużej w tej bajkowej chatce w towarzystwie mężczyzny o silnie zarysowanych brwiach i z dużym księgozbiorem. I właśnie z tego powodu odrzuciła tę myśl.

– Nie, dziękuję, powinnam wracać do Londynu. Muszę popracować. No

i odnaleźć Aminę.

– Jasne, rozumiem. Rzecz w tym, że ostatni pociąg do Londynu odjechał jakieś... – Tom ponownie spojrzął na zegarek – ...jakieś dwadzieścia trzy minuty temu. Przykro mi.

– Och!

– Oczywiście możesz zatrzymać się w najbliższym Premier Inn. Słyszałem, że serwują tam niezrównane śniadania – powiedział z uśmiechem.

Nora zbyt wiele razy nocowała na prowincji, by nie znać na pamięć smutnych pokoi motelowych oraz konceptu angielskiego śniadania ich właścicieli. Sama myśl wprawiała w przygnębienie.

– W takim razie będziesz musiała zadzwonić po taksówkę, bo nie poprowadzę. Wypiłem za dużo wina – powiedział, a kiedy zwlekała z odpowiedzią, dodał:

– Możesz też zostać tutaj i dotrzymać mi towarzystwa przy butelce wyśmienitego merlota, którą już napoczęliśmy.

– Hm. Skoro tak stawiasz sprawę, nie pozostaje mi nic innego, jak się zgodzić. Ale muszę coś zjeść.

– Do usług, madame – odparł z patosem zasapany Tom, wdrapując się po schodkach z Norą depczącą mu po piętach.

Już w domku musiała zwalczyć ochotę, by włączyć komórkę i sprawdzić skrzynkę głosową. Przyrzekła Tomowi nie włączać telefonu, więc zmusiła się do niemyślenia o przebywających w Kopenhadze Andreasie i Birgitte Policjantce.

Tom zajrzał do Fazii, która wciąż pisała.

– Pracuje nad dłuższym artykułem do „The Independent” – wyjaśnił, idąc do kącika kuchennego.

Ponownie napełnił szklanki winem i wyjął drewnianą deskę do krojenia, po czym udał się do lodówki po jedzenie. Podał kawałek sera manchego z zielonymi oliwkami i kiełbasą chorizo.

– Zeszlotygodniowe targi książki w Hiszpanii – wyjaśnił, wyjmując chleb z pomiętej papierowej torebki z piekarni.

Wyglądniła Nora rzuciła się na jedzenie, zaś Tom opowiedział o swoim pierwszym spotkaniu z Manashem. O tym, jaki był onieśmielony wielkim zamieszaniem wokół siebie, i przede wszystkim o tym, jak prosił Toma, by chronił go od nadmiaru uwagi niezwiązanej z jego wierszami.

– Wielu pisarzy, którzy się do nas zgłaszają, nie może się doprosić o uwagę. Ciągłe siedzą nam na karku, chcą zwiększenia budżetu na promocję, domagają się reklam na całą stronę w „Timesie”. Tak jakby miało to jakieś znaczenie dla czegokolwiek poza ich własnym ego. Ale Manash taki nie jest. Jest pokorny. Uwielbia spotkania z czytelnikami, ale chce mówić o wierszach, o miłości. Innych rzeczy, dużych wywiadów czy wzmianek, unika jak ognia. Wydaje mi się nawet,

że szczyli się tym, że nigdy nie wystąpił w telewizji – klarował Tom.

Potem rozmowa zesła na ostatnią podróż Toma do Hiszpanii i zamiłowanie Nory do portugalskich kafli, po czym przerodziła się w gwałtowną dyskusję o tym, który żyjący brytyjski pisarz jest największy.

Za oknem już dawno zapadł mrok, a jedyne oświetlenie stanowiły świece w starych, srebrnych świecznikach, kiedy Tom, nachylając się nad stołem w żarliwej tyradzie argumentował, że w wyborze najwybitniejszego pisarza poezja powinna mieć uprzywilejowaną pozycję.

Wyszło jakoś tak naturalnie, że wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku. Jej dłoń wykonała ruch, którego ona sama nie przemyślała i nie dała na niego przyzwolenia.

Nachylił się do niej i poczuła jego wargi na swoich, jeszcze zanim ją dotknął. Smak wina i wrażenie spadania, to samo uczucie, które pojawia się między jawa a snem, kiedy człowiek śni, że się potyka.

Przestraszona cofnęła rękę, odchyliła się do tyłu, wstała.

– Muszę iść spać – powiedziała z determinacją.

– OK – odparł Tom bez cienia protestu w głosie.

Uniósł się niespiesznie, podszedł do szafy w przedpokoju i wyciągnął z niej koc i poduszkę, które jej podał.

– Proszę. Szczoteczki do zębów są w szafce nad umywalką – powiedział, wskazując w stronę łazienki.

– Dziękuję – odparła, próbując go wyminąć.

W końcu ustąpił na bok, pozwalając jej przejść.

– Będę tam, jeśli ci czegoś potrzebowała – oznajmił, wskazując na zamknięte drzwi obok kuchni.

W odpowiedzi głośno zamknęła za sobą drzwi łazienki i przekręciła klucz. W szafce znalazła koszyk wypełniony po brzegi paczuszkami z przyborami toaletowymi, rozdawanymi podczas długodystansowych lotów. Zerwała folię z pakietu Air France i dokładnie wyczyściła zęby, patrząc na siebie w lustrze.

Gdy wyszła, Toma nie było, a na kocu leżał czysty, biały T-shirt, pachnący suszoną lawendą. Wdrapała się po drabinie na antresolę i przez chwilę leżała niespokojnie tuż pod samym sufitem. Brakowało jej Andreasa. Nagle zatęskniła za jego zapachem i tym irytującym wrażeniem, że jego ramiona są zbyt kwadratowe i jednocześnie idealne, by wtulić w nie głowę tuż przed zaśnięciem. Jego głosem, mówiącym o czymkolwiek.

*

W środowy poranek Fazia wstała pierwsza i podała na śniadanie jajecnicę, sałatkę z pomidorów i grzanki. Kawa była czarna i mocna. Fazia paplała z zadowoleniem, że wreszcie udało jej się napisać artykuł, i o wieczorku poetyckim

następnego dnia.

Nora zdecydowała się na udawanie, że wydarzenia poprzedniego wieczoru w ogóle nie miały miejsca, i próbowała uśmiechać się zuchwale.

– Oj, połączenie świeżego, morskiego powietrza i wina zmogło mnie do reszty – oznajmiła tonem, który nawet jej samej wydał się zbyt ożywiony.

Tom ani myślał jej odpuszczać. Uniósł te swoje brwi i spojrzał wprost na nią.

– Zdarza mi się mieć taki wpływ na ludzi – powiedział, puszczając do niej oko. Boże święty.

Nora odwróciła wzrok, wgrzyzając się w grzankę.

– Powinnam już jechać na stację...

Tom zerknął na zegar kuchenny.

– Owszem, jeśli wyrobisz się w pięć minut, zdążysz na pociąg o 9.42 do St. Pancras.

Wyrobiła się.

Gdy zajechali pod dworzec, nachylił się i pocałował ją w policzek.

– Do zobaczenia, Noro.

Wymamrotała coś w odpowiedzi, co mógł sobie zinterpretować, jak sam chciał.

– Bądźmy w kontakcie, żebyśmy wiedzieli, co się dzieje z Manashem i Aminą, prawda?

Kiwnęła głową i pobiegła do kas biletowych, nie oglądając się za siebie.

*

W pociągu włączyła komórkę; Andreas wreszcie dał znak życia. „Nora, to mój nowy numer. Zadzwoń do mnie”, powiedział i wyrecytował numer tak szybko, że Nora zdążyła zanotować tylko pierwszych pięć cyfr.

Była jeszcze jedna wiadomość. Znów Andreas. „Wszystko w porządku? Zadzwoń zaraz. Musimy porozmawiać”.

Dźwięk jego głosu sprawił, że poczuła wyrzuty sumienia. Co ona wyprawia? Żeby całować faceta z wydawnictwa po wypiciu czterech szklaneczek wina. Żalösne.

Kolejna wiadomość była od Kraba, który chciał się dowiedzieć, czy w sprawie Manasha zdarzyło się coś nowego i czy może przydzielić Norę do artykułu o przestępczości zorganizowanej z możliwymi powiązaniem między rosyjską mafią a pewnym miliarderem, zamieszkałym w Chelsea.

Nora postanowiła oddzwonić po powrocie do domu, teraz zaś chciała cofnąć się do pierwszej wiadomości Andreeasa, by porządnie zanotować numer. Stwierdziła, że przez pomyłkę ją skasowała. Typowe.

Następnie komórka się wyładowała. Jeszcze lepiej.

Nieco ponad półtorej godziny później pociąg wjechał na peron stacji St.

Pancras. Idąc na metro, minęła jedyny rząd budek telefonicznych na całym dworcu. To stąd Amina musiała dzwonić do Toma, wierząc, że dotarła w bezpieczne miejsce.

W tej chwili budki świeciły pustkami. Mało kto używał automatów telefonicznych. Pomyślała sobie, że dzwonił stąd tylko najbiedniejsi, ci, którym skradziono telefon, i może ci, którzy nie chcieli, by ich połączenie można było namierzyć. Przelawiała między sunącymi strumieniem londyńczykami, turystami i przyjezdnymi na jeden dzień i stanęła przed pierwszą budką. Rozejrzała się i zorientowała, że co najmniej dwie kamery przemysłowe widoczne są z tego miejsca gołym okiem.

Jeśli Amina stąd dzwoniła, istnieje duże prawdopodobieństwo, że zostało to zarejestrowane i że obecnie taśma z monitoringu leży sobie spokojnie w jakiejś ponurej dyżurce, gdzie zmęczony życiem ochroniarz z napoczętym marszem i butelką lucozade próbuje przetrwać kolejny, zabójczo nudny dzień.

Jakby przyszło co do czego, będą mieli dokładny czas, zarówno dzień, jak i godzinę. Ale tego rodzaju rzeczy wymagają nakazu policji.

Doładowała pięć funtów do Oyster Card i pojechała Northern Line do domu. Po kąpieli świat wydał jej się bardziej możliwy do ogarnięcia. Komórka też już była na chodzie. Nora zeszła do Starbucksa po kawę i miseczkę owsianki, zasiadła przy biurku i włączyła komputer.

*

Google wykrył w parę sekund, że Ahmadi jest najpopularniejszym nazwiskiem w Iranie, że noszą je miliony ludzi i że niemała ich liczba, wnioskuje ze zwykłego rachunku prawdopodobieństwa, będzie miała na imię Zainab.

Pomajstrowała przy kryteriach wyszukiwania: „Zainab Ahmadi, Londyn”. Znów kolejne strony z rezultatami wyszukiwania. Dodała więc „Centrum Pomocy Kobietom” i wtedy na piątej stronie z wynikami wyszukiwania znalazła coś, co jej powiedziało, że najprawdopodobniej zlokalizowała właściwą Zainab.

Był to link do zbiórki podpisów pod wnioskiem uniemożliwiającym brytyjskiemu ministerstwu spraw wewnętrznych deportację Zainab do Iranu, gdzie według krótkiej notki zostałaby najprawdopodobniej skazana na karę wieloletniego więzienia. Tekst nie wyjaśniał, z jakiego powodu, ale był sygnowany przez Pomoc Kobietom Uchodźcom.

Nora sprawdziła organizację w internecie i znalazła numer telefonu oraz adres w Kentish Town.

Po trzech sygnałach odebrała zasapana kobieta, która musiała zapewne dobiec do telefonu.

– Pomoc Kobietom Uchodźcom, przy telefonie Corinne – powiedziała.

Nora przedstawiła się.

Głos kobiety zdradzał sceptycyzm.

– Nie jesteśmy zwolennikami rozmów z prasą, przykro mi – powiedziała tonem, który sugerował, że słuchawka właśnie oddala się od jej ucha.

– Proszę poczekać! – zawołała Nora.

Oddech kobiety zdradzał, że się jeszcze nie rozłączyła.

– Chciałabym porozmawiać o pracy, którą wykonujecie. Tylko na zasadzie tła do artykułu.

– Hm. Nie bardzo rozumiem, co miałabym zyskać, rozmawiając z wami – odparła, wrzucając tym samym Norę do jednego worka ze wszystkimi londyńskimi dziennikarzami.

– Może ktoś sympatyzuje z waszymi działaniami. Artykuł mógłby skłonić polityków do dyskusji nad niektórymi problemami, na które próbujecie zwrócić uwagę. Kto wie, czy nie potrzeba wam właśnie impulsu, jakim jest zainteresowanie prasy? – trudziła się Nora.

– Proszę przypomnieć, skąd pani jest – burknęła kobieta.

Nora udzieliła odpowiedzi.

– Hm. Mój mąż i ja mieliśmy kiedyś duńską *au pair*, Ditte. Z... jak to się wymawiało... *Aoulbor*? Była w porządku.

– Nie napiszę nic bez państwa akceptacji. Możemy się tak umówić?

W końcu kobieta uległa.

– Może pani wpaść koło czternastej. Będę miała pół godziny, więc niemądrze byłoby się spóźnić – przestrzegła.

Nora rozłączyła się z postanowieniem, że najpierw zajmie się Krabem, a potem Andreasem.

Krab siedział na zebraniu dotyczącym jakiegoś przedsięwzięcia internetowego – wyjaśniła Annette z recepcji, więc nie ma po co dzwonić w ciągu najbliższych paru godzin. Nora zostawiła więc wiadomość.

Potem wzięła głęboki wdech, zadzwoniła do Komendy Głównej Policji i poprosiła o połączenie z Andreasem. W słuchawce znów odezwał się Mikkel.

– Nie ma go, wziął parę dni wolnego – powiedział.

– Jak to wolnego? – wyrwało się Norze.

– Wziął wolne – odparł Mikkel oschle.

Nora poprosiła o numer komórki, co Mikkel bez owijania w bawełnę skomentował, że przecież nie wolno mu podawać numeru pierwszej lepszej osobie. Dopiero gdy udowodniła swoją bliską znajomość z Andreasem, opowiadając o znamieniu o kształcie dymka komiksowego, który miał na prawym ramieniu, i podając pięć pierwszych cyfr jego nowego numeru telefonu, Mikkel odpuścił i podał jej resztę.

Zadzwoniła niezwłocznie, póki jeszcze miała odwagę. Odebrał od razu, a ona chciała mu powiedzieć, że za nim tęskni i że mieszkanie na Belsize Park jest

zbyt puste bez jego płyty Coldplay i zużytej szczoteczki do zębów.

– Gdzie jesteś? – zapytała miast tego.

– Jadę do Birgitte.

Wreszcie. Może coś się w końcu wyjaśni.

Ciągnął dalej:

– Mówiąc „do Birgitte”, mam na myśli jej biuro. Nora, w coś ty się znów wpakowała? I dodatkowo też mnie?

– Andreas, o czym ty mówisz?

– Doskonale wiesz, o czym mówię. Manash Ishmail.

– Nie, musisz mi to wyjaśnić. Owszem, rozmawiałam z Manashem. Ale jaki to ma związek z Birgitte?

Andreas westchnął głośno.

– Nora, posłuchaj uważnie, bo nie będę powtarzać.

Nora nie wiedziała, co teraz nastąpi, ale zimny pot, który wystąpił jej na plecach, nie wróżył najlepiej.

– Manash Ishmail ma szwagra o nazwisku Aziz Darvish. Wiesz, czym Aziz się zajmuje, prawda?

– Owszem – potwierdziła Nora.

– Wiesz również, że zaginął, prawda?

– Tak. Nie rozumiem, o co się tak złości. I dlaczego na mnie? – spytała.

– Zaraz ci powiem. Jeśli Aziz się nie odnajdzie w ciągu najbliższych dziesięciu dni, istnieje ryzyko, że strasznie ważne negocjacje dotyczące broni atomowej między Iranem a USA spełzną na niczym. Znów.

– Ale co to ma...

– Ludzie z wywiadu zostali poproszeni o przysługę przez swoich zagranicznych kolegów, i to takich, z którymi wolimy pozostać w zgodzie. A tu w paradę wchodzi nam Manash, który odmawia wszelkiej współpracy z naszymi ludźmi. Przez ciebie. Wbiłaś mu do głowy, żeby nie odpowiadał na nasze pytania i nam nie pomagał. Wiesz, jak to wygląda? Wiesz?

– Andreas, to po prostu nie fair. Nie miałam...

– Mało tego. Muszę się teraz stawić na reprimendę przed Birgitte i jej szefem. W imieniu mojego własnego szefa, który nie jest już taki pewny, czy to aby dobry pomysł, bym kontynuował ten kurs antyterrorystyczny w Londynie. Bo, jak powiada, jakoś trudno się połapać, po której stronie stoję...

– Nie wiedziałam, że w ogóle są strony. Nie w naszym przypadku – odparła cicho.

– Nora, do cholery. Czasami bywasz taka naiwna, że mam ochotę cię...

Teraz nadeszła kolej Nory, by mu wejść w słowo.

– Porozmawiamy później. Nie mam siły tego teraz wysłuchiwać – powiedziała i rozłączyła się.

Zadzwoił jeszcze raz. I kolejny. Potem odpuścił. Nora dygotała w środku. Ze złości, rozczarowania. Co się stało z mężczyzną, z którym obudziła się szczęśliwa w sobotni poranek? Który z zadowoleniem się przeciągnął i pogłaskał ją po głowie?

Nagle ma zostać ojcem. I nagle ma się stawić w siedzibie wywiadu.

Może dlatego ogarnęła ją panika. Oczywiście, że nie mogą wyrzucić go z tego kursu. To by było idiotyczne, skoro wydali już tyle pieniędzy, by uczynić z niego idealnie wyszkolonego i zaufanego pracownika. Choć z drugiej strony... Oczywiście, że mogą go oddelegować do pracy biurowej, gdzie przykuty do krzesła będzie rozpatrywał z gumowym stemplem odwołania od mandatów za przekroczenie prędkości i przyznanie punktów karnych. Nie byłby to pierwszy raz, że czyjaś kariera nagle kończy w ślepej uliczce, bo człowiek podpadł służbom.

Postanowiła, że zadzwoni do Andreasa wieczorem, kiedy już przewycięży panikę; i może wtedy będzie bardziej podatny na głos rozsądku.

Rozdział 10

Siedziba Pomocy Kobietom Uchodźcom znajdowała się na pierwszym piętrze. Drzwi były wciśnięte między kiosk z arabską prasą a sklep ze sprzętem sanitarnym, wystawiający w witrynie białe, porcelanowe umywalki. Po drugiej stronie ulicy mieściła się Sauna Rio, która na szyldzie z okazałymi, zielonymi palmami reklamowała się, że jest największym klubem naturystów w Londynie. Na zewnątrz jakaś para dyskutowała o zdjęciach na wystawie. Ona, ubrana w granatową bluzę, stała z założonymi rękami i sprawiała wrażenie, jakby nie była w stanie wyobrazić sobie gorszego losu niż wejście do środka, on zaś wyglądał na wyjątkowo rozochoconego.

Nora wcisnęła przycisk domofonu pod małą papierową notką, przymocowaną kawałkiem taśmy.

– Tak? – rozległ się metaliczny głos.

Przedstawiła się i została wpuszczona do długiego wąskiego korytarza, prowadzącego do wyłożonych wykładziną schodów. Brunatna materia z domieszką nylonu nosiła ślady kocich pazurów i zwyczajnego zużycia. Unosił się tu zapach stęchlizny.

Corinne stała u szczytu schodów. Była szczupłą i rumianą kobietą pod siedemdziesiątkę o rzadkich, kredowobiałych włosach ściętych na pazia, ubraną w kaftan w kolorze krzykliwego różu.

– Zapraszam do środka. Nastawiłam wodę na herbatę – powiedziała przyjaźnie, odsuwając się na bok i prowadząc Norę do zabałaganionego biura z widokiem na Kentish Town Road, na ile można było się rozeznac przez zabrudzone sadzą szyby jedyne okna w całym pomieszczeniu.

Na ścianie nad biurkiem wisiał kalendarz z mapą świata, obok zaś rząd zdjęć rodzinnych i ślubnych, pochodzących z końca lat sześćdziesiątych, jak Nora wynioskowała z sandałów na platformie Corinne.

Na biurku leżała sterta papierów, część powkładana w przezroczyste koszulki. Tacka z korespondencją przychodzącą również się ugiwała, zaś ta z dokumentami do wysłania świeciła pustkami.

Corinne wróciła z kuchni, niosąc tacę z dwoma kubkami, cukrem, mlekiem i brązowym dzbankiem do herbaty. Odłożyła ją i wróciła po talerzyk z ciastkami.

Następnie usiadła na fotelu za biurkiem i wskazała na melanzowozielony fotel, na który po chwili klapnęła Nora.

– To była kiedyś jadalnia, jak pani widzi – wyjaśniła Corinne, czyniąc niesprecyzowany gest w stronę rodzinnych portretów.

Przy herbacie Nora usłyszała historię o tym, jak to Corinne jako emerytowana nauczycielka łaciny i francuskiego planowała spędzenie emerytury razem ze swoim Alfredem w Lake District aż do chwili, gdy po

trzydziestopięcioletnim stażu małżeńskim jej mąż miał czelność paść trupem na zawał zaledwie miesiąc po tym, jak dokonał ostatniego sortowania korespondencji dla Royal Mail.

– Po jego utracie straciłam też ochotę, by opuszczać Londyn. Wyjazd bez Alfreda wydawał mi się niewłaściwy.

Nora uprzejmie popijała herbatę, zastanawiając się, kiedy będzie miała okazję spytać, czy Corinne zna Zainab Ahmadi. Ale Corinne wyglądała na kobietę, która w żadnym wypadku nie zareaguje pozytywnie, jeśli jej przerwać.

– Tak. I tak sobie trwałam, mając perspektywę, że głównym punktem tygodnia będzie pójscie na bingo. Może raz na jakiś czas jakiś festyn. Może i to by nawet było w porządku. Ale wtedy poznałam Nakale. Nakale Oni. Ona zmieniła moje życie. Ja niestety nie dałam rady zmienić jej. Nie tak, jak zamierzałam.

Corinne opowiedziała o nigeryjskiej pomocy domowej, którą przyjęła do pracy, by pomogła jej przy wszystkich czynnościach trudnych do wykonania, gdy człowiek cierpi na zwyrodnienie stawów. O zawsze uśmiechniętej, uprzejmej i pięknej Nakale, która uratowała Corinne. Nie tyle od bolesności dłoni, co ogólnie – w życiu.

– Alfred i ja mieliśmy tylko Susan. Mieszka w Brisbane, więc została mi tylko Nakale – wyjaśniła Corinne.

Dlatego pewnego dnia przeżyła wielki szok, gdy Nakale przysłała do pracy i wyznała, że jej wniosek o pozwolenie na pobyt w Wielkiej Brytanii spotkał się z odmową. Odmówiono jej i powiadomiono, że ma zaledwie cztery tygodnie na opuszczenie kraju. Jeśli tego nie zrobi, zostanie deportowana.

– To było straszne. Płakała ona, płakałam ja. I postanowiłam zatrudnić adwokata, by spróbować jej pomóc – opowiadała Corinne.

Ale młody adwokat z Forest Hill, z pochodzenia Pakistańczyk, który twierdził, że specjalizuje się w sprawach imigracyjnych, nie dawał im większej nadziei.

– Taka jest teraz nowa polityka – wyjaśnił.

Na brytyjskich służbach imigracyjnych nie zrobiło najmniejszego wrażenia nawet to, że brat Nakale był zamieszany w wojny gangów w Lagos i że jej życie znajdzie się w niebezpieczeństwie, jako że stanowi najbliższą rodzinę.

– Powiedzieli coś w tym stylu, że mamy się wypchać. Oczywiście ujęli to bardziej elegancko, ale taki był sens ich odmowy. Że Nakale nie jest narażona na bezpośrednie groźby. Że oczywiście może się odwoływać przez brytyjską ambasadę w Nigerii i coś tam jeszcze w ten deseń.

Posiliwszy się ciasteczkiem czekoladowym, Corinne kontynuowała opowieść:

– Oczywiście, miałyśmy nadzieję do samego końca, że protesty przyniosą skutek. Ale wyznaczonego dnia i o wyznaczonej godzinie pojawiło się dwóch

funkcjonariuszy, by zabrać Nakale. Poszła z nimi dobrowolnie. Wciąż jeszcze wierzyła, że istnieje możliwość odwołania.

Norze nagle przypomniała się sprawa Nakale i wiedziała już, że w opowieści Corinne nie będzie szczęśliwego zakończenia.

– Zabrali ją do Hawksyard. Spędziła tam trzy tygodnie. Potem zakuli ją w kajdanki, zmusili do wejścia na pokład samolotu British Airways w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Dwa bilety do Lagos i z powrotem, bilet w jedną stronę dla Nakale.

– Hawksyard? Ośrodek pobytowy dla uchodźców, którym odmówiono prawa do azylu? – wtrąciła Nora.

– Tak, tak to nazywają. Prowadzi go SecurCorp. Ale jeśli spytać mnie, to nic innego jak więzienie prowadzone ponad prawem przez międzynarodową firmę, która przed nikim za nic nie odpowiada – oświadczyła Corinne z goryczą.

Corinne była wciąż tak poruszona swoją opowieścią, że musiała wziąć głęboki wdech, zanim przeszła do końcowej, najsmutniejszej części.

– Nakale walczyła do samego końca. Walczyła tak zaciekle, że ochroniarze musieli przytrzymać ją siłą. Zbyt dużą siłą. Gdy samolot wylądował na międzynarodowym lotnisku Murtala Mohammed w Lagos, Nakale nie żyła. Potem SecurCorp usprawiedliwiało się, że była agresywna wobec ich personelu. Badanie przeprowadzone przez lekarzy sądowych wykazało, że zmarła z powodu pęknięcia naczynia krwionośnego w sercu. Wniosek był taki, że nie było w tym niczyjej winy. Obaj strażnicy dostali naganę i życie toczyło się dalej dla SecurCorp. Ale nie dla Nakale.

Siedziały przez chwilę w milczeniu, rozmyślając nad tą historią. Corinne ponownie napełniła kubki.

– Teraz już pani wie, Noro, dlaczego założyłam Pomoc Kobietom Uchodźcom. Mogłam położyć się i umrzeć albo zadowolić się *Coronation Street* i innymi głupimi programami, które przez cały dzień lecą w telewizji. Ale ze względu na Nakale postanowiłam mieć jakiś wkład w to, by kobiety stojące w obliczu deportacji mogły uzyskać pomoc.

– Ale w czym dokładnie pomagacie?

– W wielu różnych rzeczach. Pomagamy... jak by to ująć... w kwestiach praktycznych. W rzeczach, o których nie możemy tutaj mówić, a już na pewno nie może pani o nich pisać w swoim artykule.

– Więc mam napisać, że w czym pomagacie?

– Czasami pomagamy skontaktować się z rodziną w kraju i załatwiać dokumenty potrzebne do odwołań. Mamy sieć adwokatów, którzy raz na jakiś czas oferują bezpłatne porady zdesperowanym kobietom bez grosza przy duszy. Czasami jedziemy odwiedzić kobiety, które siedzą w Hawksyard. Jak już tam trafią, niewiele możemy zdziałać, chyba tylko pokazać, że o nich nie

zapomnieliśmy. Że nadal jest ktoś, kto chce ich wysłuchać. A już na pewno możemy pokazać SecurCorp, że ktoś obserwuje ich działania. Bo daję słowo, że brytyjski rząd nie sprawuje prawie żadnej kontroli nad tym, co się tam dzieje.

– Proszę mi opowiedzieć o SecurCorp.

– To spółka, która wygrała kontrakt na prowadzenie ośrodka Hawksyard. Prowadzą też więzienia i przyjmują zlecenia ochroniarskie w krajach od Afryki Południowej po Wielką Brytanię, no i oczywiście w USA, skąd pochodzą. W skali światowej to jedna z największych spółek w dziedzinie ochrony, choć nie tylko tym się trudnią. Wykonywali też szereg zadań dla amerykańskich wojsk w Iraku. Były tam jakieś nieciekawe sprawy o złe traktowanie jeńców wojennych, ale widać nie ma to żadnego znaczenia, jeśli chodzi o przydzielanie zadań przez brytyjski rząd. SecurCorp oferuje najniższą cenę, a to zapewne jedyny czynnik, jaki się liczy w tej sprawie.

– OK. – Nora stwierdziła, że jest już późno. – Jeden z powodów, dla których panią odwiedzam, jest taki, że szukam pewnej kobiety. Wygląda na to, że przyjechała do Wielkiej Brytanii, by starać się o azyl, ale po przybyciu do kraju jakby rozpułyła się w powietrzu.

Corinne obdarzyła ją spojrzeniem, które trudno było odszyfrować.

– Dlaczego chce ją pani znaleźć?

– Szuka jej mąż, obiecałam, że mu pomogę.

– Wie pani, ile kobiet nie życzy sobie, by znaleźli je ich mężowie? Dla niektórych taka forma łączenia rodzin może okazać się śmiertelna.

Nora wyjaśniła, że w tym przypadku nie ma o tym mowy. Opowiedziała o niefortunnej ucieczce, o udręce Manasha i o tym, jak rozpaczliwie i wszystkimi możliwymi sposobami próbował znaleźć Aminę.

– Proszę powtórzyć, jak się nazywa?

– Amina Ishmail.

Corinne pokręciła głową.

– Powiem pani szczerze, że nigdy nie natknęłam się na to nazwisko. Co nie oznacza, że nie uzyskała pomocy od naszej organizacji. Mam wielu pomocników i czasem lepiej nie znać zbyt wielu nazwisk. Po prostu ze względu na bezpieczeństwo.

– Badałam okoliczności przybycia Aminy do Londynu. Powiedziała znajomemu swego męża, że ma tu jakiś kontakt. Kobietę o nazwisku Zainab Ahmadi. Mówi to coś pani?

Corinne zakryła usta ręką; jej rumiane policzki nagle straciły barwę.

– Och, Zainab.

Nora milczała, czekając, aż Corinne będzie gotowa do rozmowy.

– Zainab. Zainstalowaliśmy ją... w pewnym miejscu. Dowiedziała się, że ma wracać prosto do Teheranu. Że szykują już jej miejsce w Hawksyard, zanim odeślą

ją z powrotem. Nie ma wątpliwości, że czekałoby ją tam dożywotnie więzienie.

– Dlaczego?

– Zainab jest aktorką. Próbowwała swoich sił w stand-upie. Dla rządów teokracji irańskiej okazała się nieco zbyt rozrywkowa. Jestem pewna, że nie skazano jej na wyrok śmierci tylko dlatego, że wtedy rząd brytyjski nie mógłby jej deportować. Wie pani, wtedy zleciałyby się te typki z ONZ i palnęłyby mowę brytyjskiemu rządowi o prawach człowieka i konwencjach ONZ, i zanimbyśmy się obejrżeli, sprawa trafiłaby do trybunału w Strasburgu. Takie paskudztwa mogą się ciągnąć latami. Nikt tego nie chce. Zainab może sobie zgnić w irańskim więzieniu. Irański rząd będzie zadowolony, brytyjski też. Idealna sytuacja dla wszystkich oprócz, oczywiście, Zainab.

– Kiedy zniknęła?

– Na dzień przed planowanym przeniesieniem do Hawksyard. Wiem, że miała pomóc jakiejś kobiecie. Ale nie znam jej imienia. Może to Amina? Umówiliśmy się, że się zdzwonimy. Zajmowałam się załatwianiem... alternatywnego miejsca pobytu, by Zainab uniknęła Hawksyard. O ile mi wiadomo, nikt nigdy nie wydostał się z Hawksyard i nie dostał pozwolenia na stały pobyt w Wielkiej Brytanii.

– Ale w ogóle się nie odezwała?

– Nie. Nie wzięła swojej komórki. Jestem przekonana, że ją wyrzuciła. W takich sytuacjach używamy telefonów na kartę. Ostrożności nigdy dość. Zawsze informuję te kobiety, że muszą pożegnać się ze swoimi telefonami, bo wyjątkowo łatwo je namierzyć.

– Sprawdzała pani pod jej adresem?

Corinne pokręciła głową.

– Nie. Umowa jest taka, że nie mogę odwiedzać kobiet w miejscu zamieszkania. Dla organizacji stanowią wizytówkę i jestem twarzą, którą ludzie znają. Gdyby ktoś mnie śledził, mogłabym narazić te kobiety na niebezpieczeństwo.

– A może ja mogłabym sprawdzić? – zaproponowała Nora.

Corinne namyślała się przez chwilę.

– Dobrze. Dostanie pani adres Zainab, ale nie sądzę, by coś pani wskórała. Gdyby tam była, już by się odezwała.

Corinne przetrząsnęła szufladę biurka, wyciągnęła podniszczony czerwony notes i zsunęła okulary z czoła na nos.

– Chwileczkę. Zapisałam ją pod tajnym nazwiskiem.

Chwilę później Nora ścisnęła w ręce kawałek kartki z adresem nieopodal centrum handlowego Brent Cross.

Pożegnała się z Corinne i wyszła na ulicę. Para spod sauny wciąż tam była. Dziwne, że nie przenieśli się ze swoją dyskusją w bardziej dyskretne miejsce –

pomyślała.

Wskoczyła w linię metra Northern Line i na Camden przesiadła się w linię, która zawiozła ją prosto do Brent Cross.

*

Ze stacji wychodziło się na nieciekawą, typową dla przedmieść uliczkę i na smutny, żelazny wiadukt, pod którym mieścił się przystanek autobusowy. Stała tam matka z płaczącym dzieckiem w spacerówce, które próbowała uspokoić, wożąc apatycznie wózek w tę i z powrotem. Praktycznie bez żadnego rezultatu. Wyglądała na śmiertelnie zmęczoną.

Nora wyszukała adres w nawigacji telefonu. Dzielilo ją pięć minut od miejsca, gdzie mieszkała Zainab i gdzie być może zaoferowano Aminie schronienie do czasu planowanego przybycia Manasha do Londynu.

Późnym popołudniem ulice były wyludnione. Raz na jakiś czas mijał ją tylko czerwony autobus miejski, wypełniony ludźmi wracającymi z zakupów w centrum handlowym.

Na podjazdach nie widać było samochodów; pewnie ludzie jeszcze nie wracali z pracy albo też mało kto miał auto.

Nora skręciła w boczną uliczkę i po przejściu ronda skręciła w kolejną i stanęła przed dwukondygnacyjnym domem, sprawiającym wrażenie, jakby od miesięcy nikt w nim nie mieszkał. Chwasty przebijały się przez szpary w betonie, który wiele lat temu stanowił gładką powierzchnię podjazdu. Trawa w ogródku przed domem wybujała tak wysoko, że położyła się i pożółkła od letniego skwaru.

Jakiś inteligent zostawił na trawniku worek z resztkami z Kentucky Fried Chicken i nikomu nie było po drodze, by go wyrzucić. Jedyne fakt, że duży, czarny worek na odpady przed domem sprawiał wrażenie, jakby niedawno go używano, stanowił jakąś wskazówkę, że dom może być zamieszkały.

Podeszła do drzwi, gdzie dwa dzwonki informowały, że dom jest podzielony na dwa mieszkania. Przy żadnym nie było nazwiska, tylko „Flat 1” i „Flat 2”.

Nora sprawdziła na skrawku papieru. Nie było tam żadnych podpowiedzi, więc po prostu wcisnęła dolny dzwonek i usłyszała gniewne brzęczenie, jakby osy, która utknęła w szklance. Potem zapadła cisza.

Po krótkiej przerwie spróbowała jeszcze raz. Nie było odpowiedzi. Kucnęła, odchyliła na próbę szparę na listy i zajrzała do środka. Dojrzała coś, co wyglądało jak dolna część lustra i kawałek pomarańczowej ściany. Żadnego ruchu.

Spróbowała więc z górnym dzwonkiem. Ten sam rezultat: wściekłe brzęczenie i cisza. Może za dużo się spodziewała.

Cofnęła się o krok, zadarła głowę i spojrzała w okna. Zastłony były zaciągnięte. Czy to znaczyło, że lokator wyjechał? Czy że postanowił się ukrywać? Kobieta, która zmuszona jest uciekać na złamanie karku, bo ktoś ją ściga, nie ma

czasu na zaciąganie zasłon.

Nora schyliła się i zawołała przez szparę na listy:

– Halo! Jest tam kto? Przychodzę od Corinne. Chciała się po prostu dowiedzieć, czy wszystko u was w porządku? Mam na imię Nora. Przysłała mnie Corinne.

Wyszła na wyschnięty trawnik i ponownie spojrzała na piętro.

Prawie zupełnie nic nie było widać, ale kątem oka dostrzegła nieznaczny ruch zasłony. Wystarczył, by wstąpiła w nią nadzieja.

Stała pośrodku trawnika i wolno obróciła się wokół własnej osi, by osoba za zasłoną widziała, że jest sama. Że nie przyprowadziła ze sobą ani policji, ani rozwścieczonych członków rodziny z misją zabójstwa honorowego.

Zasłona poruszyła się znów. Tym razem Nora była zupełnie pewna.

Podeszła do drzwi i zapukała. Po chwili oczekiwania dostrzegła nagle ciemny cień, ruch za matową szybą w drzwiach.

Schyliła się i powtórzyła wiadomość:

– Przysłała mnie Corinne.

– Udowodnij – doszedł do niej głos ze środka domu.

– Jak?

– Powiedz mi, jakiej długości włosy ma teraz rudowłosa Corinne. Sięgają już do pasa?

– Nie, ma siwe włosy, ostrzyżone na pazia.

Cisza.

Nagle rozległ się dźwięk otwieranej zasuw, przekręcanego zamka i drobna kobieta w czarnym ubraniu błyskawicznie wciągnęła Norę do pomarańczowego przedziona.

– Szybko na górę! – powiedziała oksfordzką angielszczyzną.

Biegiem sforsowały schody i kobieta wpuściła Norę do zagraconego saloniku z widokiem na ogród na tyłach domu, który był jeszcze bardziej zaniedbany niż ten na froncie. Podagrycznik, dmuchawce i pokrzywy konkurowały ze sobą o miejsce na niewielkiej połaci ogrodu, ogrodzonego wałącym się płotem, który miłosiernie oszczędzał najbliższym sąsiadom widoku na ów botaniczny chaos.

Kobieta gestem poleciła Norze, by usiadła na wypłowiałej, różowej sofie, a sama opuściła pokój. Po chwili wróciła ze szklanką wody z żółtym sokiem i kawałkiem babki piaskowej na talerzyku.

– Kim jesteś? – spytała Nora.

Kobieta spojrzała na nią dużymi, brązowymi oczami, które wyglądały, jakby lada chwila miały wypełnić się łzami.

– Naprawdę mogę ci ufać?

Nora kiwnęła głową.

– Tak, Corinne desperacko próbuje się dowiedzieć, co się dzieje z Zainab Ahmadi. Wiesz, co się z nią stało? Corinne bardzo się niepokoi.

Łza, która dotąd czaiła się w kąciku oka, dała za wygraną i spłynęła po policzku kobiety. Po chwili popłynęły kolejne.

Gdy kobieta odzyskała nad sobą kontrolę, spojrzała Norze w oczy i wzięła głęboki wdech.

– To ja jestem Zainab. I czułam się... dobrze, aż do teraz – powiedziała smutno.

Nora uśmiechnęła się do niej.

– Dobrze, Zainab. Corinne się ucieszy, jak się dowie. Skontaktuję się z nią pod wieczór. Mam jej przekazać jakąś wiadomość?

Zainab zawahała się.

– Muszę się stąd wydostać. Boję się tu dłużej zostać, to niebezpieczne. Mogą znów po mnie przyjść. Zrobią to, jak do nich dotrze, że popełnili błąd... Bardzo się boję.

– Popełnili błąd?

Pytanie sprawiło, że Zainab znów wybuchnęła płaczem. Nora postanowiła nie wracać do tematu. Miała ważniejsze sprawy do omówienia z Zainab.

– Przekażę Corinne – obiecała, biorąc łyk wody z sokiem, podczas gdy kobieta próbowała odzyskać panowanie nad sobą.

Gdy jej oddech się uspokoił, Nora mogła wreszcie zadać pytanie, z którym przyjechała do Brent Cross.

– Zainab, jestem tu jeszcze z jednego powodu.

Kobieta spojrzała na nią z niepokojem.

– Jakiego?

– Jakies dziesięć dni temu do Londynu przyjechała kobieta. Podobnie jak ty uciekała przed irańskimi władzami. Swojemu mężowi podała ciebie jako osobę do kontaktu. Ma na imię Amina i...

Nora nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo Zainab znów zaczęła płakać.

– Tak, znam ją – rozległ się zniekształcony od płaczu głos zza chusteczki, którą Zainab próbowała powstrzymać łzy.

– Dobrze – powiedziała Nora, klepiąc Zainab po ramieniu.

– Nie ma pośpiechu. Wiem, jak jest ci ciężko, ale są ludzie, którzy szukają Aminy. Którzy ją kochają i są zdeterminowani, by się dowiedzieć, gdzie przebywa.

Stwierdzenie Nory wzmogło jeszcze płacz, ale w końcu Nora doczekała się przerywanego łkaniem wyjaśnienia.

– Właśnie to był ten błąd. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Nigdy.

– Czego?

Krok po kroku Nora usłyszała całą historię. Zainab odebrała Aminę i ulokowała ją w mieszkaniu na dole. Sama spała w tym górnym.

– Przyszli o piątej nad ranem. Narobili rabanu, wrzeszczeli, kopali w drzwi. Obie byłyśmy zaspane i myślę, że Amina prawie we śnie poszła do drzwi i im otworzyła.

– Jakim im?

Zainab potrząsnęła głową.

– Pewnie policji. Słyszałam o takich nalotach. Przychodzą po ludzi, którzy mają być deportowani. To było na dzień przed wyznaczoną datą mojej deportacji, więc jestem pewna, że to po mnie przyszli. By odesłać mnie z powrotem do Iranu.

Zapała się w sobie i przez chwilę milczała. Nora zauważyła, że zaczęły jej drżeć ręce.

– Przyszli po mnie, ale się pomylili. Wzięli Aminę.

Nora zmarszczyła brwi.

– Jak to się mogło stać?

– Nie mam pojęcia – odparła Zainab z rozpaczą. – Może dla nie-Irańczyków wyglądamy po prostu tak samo. Pod danym adresem mieszka kobieta o cudzoziemskim wyglądem, a oni już mają zakodowane, że to nie człowiek. Po prostu zadanie do wykonania.

Zainab znów walczyła z płaczem.

– Weszli na górę, by sprawdzić, czy w domu ktoś jeszcze jest, ale gdy usłyszałam zamieszanie, schowałam się pod łóżko. Nie wiem, dlaczego tam nie zajrzeli, ale tego nie zrobili. Allah czuwał nade mną.

– Ale Aminę zabrali?

Zainab skinęła głową.

– Tak. Cały czas krzyczała „Nie jestem Zainab! Nie jestem Zainab!”, ale jakoś nikt się tym nie przejął. Powinnam była zawołać, ujawnić się. Ale ja struchlałam. Nie miałam odwagi się poruszyć, wydobyć z siebie głosu. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Widziała pani mężczyzn, którzy ją zabrali?

– Nie. Widziałam tylko buty jednego z nich. Były czarne. Zwykłe buty.

– Ilu ich było?

Po krótkim namyśle Zainab odpowiedziała:

– Na pewno trzech. Dwóch musiało trzymać Aminę, no i jeszcze ten gość w mojej sypialni, który krzyczał do tamtych na dole. Ale równie dobrze mogło ich być więcej.

– Co krzyczał?

– „Macie ją?”. A oni przekrzykiwali jej wołania, że ma się, kurwa, pospieszyć, bo muszą stąd zmiatać.

– Jesteś pewna, że to była policja?

– Nie. Ale kto by to miał być? Pewnie przyszli, by zabrać mnie do Hawksyard i potem do Teheranu. Kim innym mieliby być?

Nora nie знаła sensownej odpowiedzi. Szybko przytuliła Zainab i wstała, szykując się do wyjścia.

– Zadzwoń do Corinne. Wystarczy ci jedzenia i picia?

– Tak, nic stąd nie zabrali. Oprócz Aminy.

– Na pewno zorientują się, że się pomylili, i wypuszczą Aminę – powiedziała Nora z przekonaniem, którego wcale nie czuła.

Zainab zamknęła za nią drzwi; jeszcze nim stanęła na chodniku, Nora usłyszała szcęk zasuw.

Kiedy już znalazła się na stacji metra, pod wpływem impulsu zmieniła zdanie i postanowiła pojechać autobusem do Golders Green i zjeść kebab w restauracji Dizengoff. Minęły wieki, odkąd była tam ostatnio ze swoim kolegą Samuelem, korespondentem dziennika „Haaretz”, który w okresowych napadach tęsknoty za domem udawał się na North End Road, gdzie serwowano jedzenie jak w Tel Awiwie, włączając nieco bezczelną, lecz dowcipną obsługę.

Wkrótce nadjechało 210 i Nora wskoczyła do środka. Gdy autobus ruszył z przystanku, a Nora poszła na sam tył, by zająć jedno z ostatnich wolnych miejsc, zobaczyła kobietę, która w rozpaczliwej, acz bezowocnej pogoni za autobusem dawała znaki kierowcy, by ten okazał zmiłowanie. Na twarzy Nory pojawił się uśmiezek. Aż do czasu, gdy dokładnie przyjrzała się kobiecie.

To była ta sama, która dyskutowała z mężczyzną przed Sauną Rio.

Rozdział 11

Nora usiadła w głębi żydowskiej restauracji, która wyglądała, jakby nie zmieniano w niej wnętrza od 1984 roku, kiedy stal i szkło stanowiły absolutne novum w trendach wnętrzarskich. Czekał na podanie swego kurczaka Dizengoff zawiniętego w duży, miękki chlebek laffa, nerwowo zerkała w stronę drzwi. Kelner nalał jej do szklanki colę light, jakby była co najmniej wspaniałym winem rocznikowym. Nudził się potwornie przed wieczornym ruchem, za jedyną rozrywkę mając starszego pana, który wściekle dźgał swój sznycel drobiowy.

Jak dotąd nic nie wskazywało, by kobieta widziała, że Nora wchodzi do środka. Kim była? Czy śledziła ją aż od Kentish Town? Nora wzdrygnęła się na samą myśl, że mogła przyczynić się do zdemaskowania kryjówki Zainab. Z drugiej strony, przecież była tam policja. Albo ktoś w tym stylu.

Czy to w ogóle był błąd, że zabrali Aminę? A co, jeśli wcale nie przyszli po Zainab, ale właśnie po Aminę?

Szybko zadzwoniła do Corinne, która odebrała telefon nieco zagoniona, ale uszczęśliwiona na wieść, że Zainab jest cała i zdrowa.

– Ale trzeba ją wkrótce przenieść. Powinna jak najszybciej zamieszkać pod innym adresem.

– Dziękuję, zajmę się tym. Jak to dobrze, że wszystko u niej w porządku.

Nora w krótkich słowach wyjaśniła, co się zdarzyło. W głosie Corinne słychać było przerażenie.

– O nie, co za pech. Najgorszy z możliwych. Jestem teraz poza domem, ale oddzwonię, jak wrócę, dobrze? Zobaczymy, jak można się dowiedzieć, kto ma Aminę i gdzie jest.

Nora rozłączyła się i zabrała się do kurczaka, którego właśnie podano z grubą warstwą domowego humusu, odpowiednią ilością sosu chili i symboliczną ilością sałaty. Kiedy skończyła, wciąż nic nie wskazywało, by kobieta wiedziała, że jest w środku. Pewnie sądziła, że Nora pojechała autobusem do najbliższej stacji metra w Golders Green.

Dla pewności Nora wróciła do Brent Cross, zamiast iść na stację w Golders Green, co byłoby logicznym posunięciem. Kimkolwiek jest, babie nie będzie łatwo wykoncypować, gdzie znajduje się Nora Sand.

Na przystanku ani na stacji nikogo nie było. Tylko zaspany pracownik transportu miejskiego, który bez przekonania zamiatał przed budynkiem stacji, ubrany w odblaskową, pomarańczową kamizelkę z logo w postaci dużego niebieskiego kółka przekreślonego poziomą linią.

Zdecydowała, że wysiądzie w Hampstead, i zapukała do drzwi Pete'a.

– Czy mam ochotę na piwo? Ba, a czy papież jest katolikiem? – powiedział w ten swój australijski sposób, który czasami był urokliwy, a czasami tak irytujący,

że Nora miała ochotę kopnąć Pete'a. Dziś miała dobry dzień.

– Daj mi dwadzieścia minut, właśnie obrabiam ostatnie zdjęcia z Birmingham dla „Timesa” – powiedział.

– A co jest w Birmingham? – spytała Nora, jak zwykle zaniepokojona, że umknęła jej dobra historia.

– Ech, targi technologiczne. To do ich miesięcznego dodatku. Uwierz, nie chciałaś tam być. Spróbuj sfotografować na tle planszy jednego komputerowego świra za drugim, i to tak, żeby było nowatorsko i ciekawie – jęknął Pete.

Gdy on majstrował przy Photoshopie, Nora wyciągnęła z lodówki napój gazowany i rzuciła się na fotel-puf, który kiedyś kupił na Camden Market z zamiarem zapadania się w nim podczas Premier League, co się nigdy nie stało, bo na fotelu FatBoy nie można było skakać z ekscytacji, a to niweczyło część doznań sportowych. Ale Norze ten fotel bardzo się podobał i zawsze się w nim sadowiła, wpadając z wizytą.

Przyglądała się Pete'owi, jak siedział w skupieniu nad zdjęciami. Wyglądało na to, że największy żal po stracie Caroline na rzecz australijskiego chirurga był już za nim. Odzyskał dawny błysk w oku, a na twarzy nie wyglądał już, jakby występował w kiepskim teledysku The Cure.

Po niespełna półgodzinie zadzwonił do recepcji działu fotograficznego „Timesa” i uzyskał akceptację dyżurnego. Zdjęcia dostali w dobrej kondycji i w razie czego będą dzwonić z redakcji.

Poszli do The Horseshoe, gdzie przy barze Pete zamówił dużego burgera i dwa piwa, które zostały przyniesione do stolika przez kobietę sprawiającą wrażenie, jakby chciała być w innym miejscu, i mentalnie zapewne też była.

– No, co się stało z tym Andreasem? – spytał Pete ostrożnie, wzięwszy pierwszy łyk, jakby dla kurażu.

Nora pokręciła głową.

– Sytuacja wygląda następująco: po pierwsze ta była dziewczyna...

Pete skinął głową.

– Mieli się hajtać, co nie?

– *Ona* tego chciała, ale przecież ostatecznie do tego nie doszło, bo ja i Andreas się zesłaliśmy.

– I ona to po prostu łyknęła, ot tak?

– Nie, wręcz przeciwnie. Ona jest w ciąży i mówi, że ojcem jest Andreas.

– Co? Jak mogło do tego dojść?

– Sądzę, że w tradycyjny sposób, choć wolałabym sobie tego nie wyobrażać. To się wydarzyło trzy miesiące temu, jak jeszcze nie byliśmy razem.

– I ona chce tego dziecka?

– Tak twierdzi. Andreas chyba z nią jeszcze nie rozmawiał, w każdym razie od czasu naszej ostatniej rozmowy. Ale ona chce, by on we wszystkim uczestniczył

na sto procent.

Pete gwizdnął cicho.

Nora poczuła, jak wzbiera w niej frustracja i bezsilność z domieszką zazdrości.

– To takie niesprawiedliwe. Andreas i ja dopiero co się zeszliśmy i wtedy pojawia się ona i niszczy...

Nie zdążyła dokończyć, bo na stół wjechał soczysty cheeseburger dla Pete'a. Ignorując nóż i widelec, uniósł burgera oburącz do ust i łapczywie się wgryzł, być może po to, by nieco opóźnić odpowiedź.

Nora nachyliła się i skradła mu frytkę.

– Nienawidzę jej. Kurde, co ona sobie...

Pete z pacnięciem opuścił burgera na talerz.

– Czy ty w ogóle siebie słyszysz?

Nora łypnęła na niego złowrogo.

– Po pierwsze, to ona była przed tobą. Jak długo byli razem, kiedy Andreas pojawił się w Londynie z zamiarem cofnięcia czasu?

Nora wzruszyła ramionami.

– Nie wiem dokładnie.

– Ale pewnie parę lat?

– Możliwe.

– Po drugie, jest to dziecko. Skupmy się na tym na chwilę: dziecko.

– I?

– To po prostu wszystko zmienia. Dokładnie tak jak było z Caroline i ze mną. To wszystko zmienia.

– Wcale nie – odparowała ze ściśniętym sercem.

– Zamknij się i pij piwo. Co ma być, to będzie – stwierdził Pete, koncentrując się ponownie na swoim burgerze.

– A co ma być?

Spojrzał na nią zdumiony.

– Skąd mam wiedzieć? Wiem tylko tyle, że bez względu na wszystko niewiele możemy zrobić. Koniec końców, kolejny człowiek jest w drodze, a to zmieni wszystko. Uwierz mi, przecież wiem.

Nora nie znosiła, jak Pete był w tym swoim zdroworozsądkowym nastroju. Nie miała nawet ochoty zastanawiać się nad dziwnym tonem Andreasa przez telefon.

Gdy Pete zjadł już połowę burgera, zadzwoniła Corinne.

– Och, Noro, nie wiedziałam, do kogo zadzwonić. To straszne, policja już jest w drodze, ale nie sądzę, by w ogóle byli w stanie mi pomóc.

– Spokojnie, proszę wziąć głęboki wdech i opowiedzieć mi, co się stało.

Nora słyszała, jak Corinne próbuje odzyskać panowanie nad sobą.

– Właśnie wróciłam do domu. Było włamanie, wszystko zabrali.
– To znaczy?
– Zabrali wszystkie papiery. Wzięli mój komputer. To nie był zwykły włamywacz.

Nora rzuciła okiem na Pete'a, który podszedł do baru po kolejne piwa i zabawiał jakąś blondynkę, a ta, śmiejąc się, odrzucała głowę do tyłu. Jej koleżanka dąsała się, skubiąc etykietę swego bacardi breezer.

– Już jadę – powiedziała.

Pete nie narzekał, że Nora musi go tak szybko opuścić. Uścisnął ją krótko i szepnął do ucha:

– Odsuć, po prostu odsuć.

Nora już miała się odpłacić jadowitą uwagą na temat świeżo przebytej żałoby, ale jakoś nie miała serca psuć mu dobrej passy, która zdecydowanie mogła zakończyć się podrywem, więc wysiliła się tylko na nerwowy uśmiech.

– To może trochę zająć.

Potem wyszła i wróciła metrem do Kentish Town.

Rozdział 12

Corinne stała pośrodku potwornego bałaganu. Ktokolwiek wpadł tu z wizytą, ani myślał o uzyskaniu potrzebnych mu informacji z zachowaniem dyskrecji. Był to raczej pokaz siły, a może ostrzeżenie dla Corinne, że włamywacz jest gotów na wszystko, by zdobyć wszelkie posiadane przez nią informacje. I że emerytowana nauczycielka powinna właściwie się cieszyć, że nie było jej w domu, gdy zapukano do drzwi. Wszędzie poniewierały się porozrzucane papiery. Szuflady były wyciągnięte i leżały do góry dnem na podłodze. Komputera nie było i nawet portrety rodzinne wisiały krzywo na ścianie. Policja jeszcze nie dotarła.

Nora nastawiła się, że zobaczy kruchą kobietę na skraju załamania nerwowego. Tymczasem Corinne gotowała się z wściekłości.

– Tego już za wiele. To niedopuszczalne! – pieniała się.

Nora próbowała ogarnąć całość wzrokiem, ale w tym chaosie było to niemożliwe.

– Kiedy przyjedzie policja?

Corinne jeszcze bardziej się zaperzyła.

– Dzwoniłam ponad godzinę temu. Nie sprawiali wrażenia, jakby sprawa była dla nich specjalnie nagląca. Kazali mi niczego nie ruszać i zrobić komórką zdjęcia jako dokumentację dla towarzystwa ubezpieczeniowego.

– No tak, ale nikt nie przyjedzie?

– Może, jak nam się poszczęści. Albo na dniach dostanę maila z prośbą o samodzielne sprawdzenie odcisków palców – prychnęła.

Nora nie potrafiła zachować powagi.

– Dobrze. W międzyczasie spróbujmy ustalić, co zginęło i jaka jest skala zniszczeń.

– Gdy wróciłam do domu i zobaczyłam, co się stało, od razu poszłam do sypialni. Biżuteria leży tam, gdzie zawsze, w szkatułce na szafce nocnej. Nienaruszona.

Corinne zaczęła wyliczać na palcach.

– Telewizor jest, podobnie jak iPod, który leżał sobie na ławie. W szafce kuchennej w starym pojemniczku na miód wciąż leży około sześćdziesięciu funtów w gotówce. Ale najdziwniejsze jest to, że choć stał na dolnej półce, a jestem tego na sto procent pewna, bo zawsze go tam stawiam, to teraz stoi na górnej. To nie był zwykły włamywacz!

Nagle do Nory coś dotarło: dokładnie ta sama metoda postępowania co na działce. Nie zginęło nic wartościowego, ale nie ulegało wątpliwości, że włamanie miało miejsce. Tyle że to jednak musiał być zbieg okoliczności.

Dotąd Nora nie opowiedziała Corinne o bracie Aminy, ale gdy usiadły w salonie z filiżanką herbaty, by ukoić nerwy, Nora zaznajomiła ją z sytuacją.

– I myśli pani, że to ma jakiś związek ze mną? Nie rozumiem, jak będąc w Kentish Town, mogłabym mieć cokolwiek wspólnego z szukaniem fizyka atomowego, który zaginął w Teheranie?

– Z mojego punktu widzenia nie bardzo to rozumiem. Ale to rzeczywiście uderzające, że Amina zaginęła bez śladu w tym samym czasie. Idąc ich tokiem myślenia, można przypuszczać, że jeśli znajdzie się Amina, to będzie można też dotrzeć do Aziza. Że ona go do niego doprowadzi. Dlatego naciskano na jej męża, Manasha. Tyle że jestem całkowicie przekonana, że on nie ma pojęcia, gdzie przebywa żona.

– Ale kto go tak szuka?

Nora się skrzywiła.

– Szykują się negocjacje między Teheranem a Waszyngtonem dotyczące broni atomowej. Aziz dysponuje wiedzą, która ma dla nich duże znaczenie. Więc kto może być zainteresowany, by się do niego dobrać? W tej grze występuje dwójka głównych aktorów: Iran oraz USA. Ale wywiad USA ma, rzecz jasna, sporo przychylnie nastawionych kolegów zarówno w Londynie, jak i w Kopenhadze.

Corinne spojrzała na nią smutno.

– Czyli to oznacza, że gdy przyjedzie policja, o ile w ogóle przyjedzie, to zrobią wszystko, co w ich mocy, by sprawę potraktować rutynowo. I nie przejmą się zbytnio, jak opowiem im o zniknięciu poufnych dokumentów – skonstatowała.

Nora kiwnęła głową.

– Lepiej się na to nastawić.

Właśnie wtedy zadzwonił domofon. Policja. Młodziutka kobieta, która przedstawiła się jako Tina Coxfield i wyglądała, jakby nie miała okazji obchodzić nawet miesięcznego jubileuszu odebrania certyfikatu szkoły policyjnej.

Wyciągnęła podkładkę do pisania z papierem przebitkowym i zaczęła wypytywać o dane osobowe Corinne. Data i miejsce urodzenia, stan cywilny. Corinne próbowała opanować zniecierpliwienie i irytację, co dało się poznać po ciemnoczerwonych wypiekach na policzkach.

– Kiedy zauważyła pani włamanie?

Corinne zaczęła opowiadać, jak była na spotkaniu w mieście, a potem poszła na zakupy i wróciła do pogrążonego w chaosie domu.

– Były jakieś oznaki włamania?

Wyglądało na to, że Corinne musiała się z całej siły powstrzymać od jadowitego komentarza. Machnęła rękami wokół siebie.

– Owszem, można tak powiedzieć.

– Nie, nie. Chodzi o drzwi i okna.

– Mieszkam na pierwszym piętrze, więc powiedziałabym, że w pierwszej kolejności trzeba sprawdzić drzwi – odparła Corinne cierpko.

Tina Coxfield zarumieniła się i wstała.

– Idę sprawdzić drzwi.

Parę minut później wróciła do salonu.

– Nie stwierdziłam śladów forsowania drzwi – orzekła, patrząc wprost na Corinne. – Czy na pewno zamknęła pani drzwi na klucz?

– Tak! Oczywiście, że tak!

Młoda policjantka znów się zarumieniła; Corinne nie była w stanie dłużej się powstrzymać.

– Proszę posłuchać. Kieruję z tego miejsca swoją organizacją pomagającą kobietom, które z jakiegoś powodu znalazły się w sytuacji tak strasznej, że są zmuszone uciekać. Pomagam im. Tymczasem ktoś ukradł większość moich dokumentów i komputer z informacjami o tych kobietach i o tym, gdzie można je znaleźć.

Tina Coxfield skinęła głową z uporem malującym się na twarzy.

– Hm. Tak. Później przejdziemy do listy skradzionego mienia. Postępujemy w odpowiedniej kolejności. Jeśli zrobimy to według zasad, unikniemy podejrzeń, że coś zostało przeoczone lub że policja popełniła błąd – powiedziała tonem, który tak zadziałał Norze na nerwy, że pierwszy raz w życiu poczuła, że rozumie zjawisko przemocy wobec funkcjonariusza na służbie.

Pytaniom nie było końca. Pięć stron wpisywania i zakreślania, nim w końcu dotarły do tego, co rzeczywiście zostało ukradzione.

– Zabrali moje dokumenty i komputer. Natomiast dziwne jest to, że nie ruszyli biżuterii i gotówki – powiedziała Corinne.

– Taa. Może wszystko przebiegło bardzo szybko – zauważyła Tina Coxfield i zajrzała do formularza. – Jakiej marki był skradziony komputer i ile miał lat?

Corinne z westchnieniem podała jej te informacje.

– Ma pani rachunek?

Corinne ze zmęczeniem kiwnęła głową. Dała już sobie spokój z próbami zainteresowania policjantki dowodami, które miała pod nosem.

Przez kolejne dziesięć minut zajmowały się wypełnianiem kwestionariusza. Szło to znacznie sprawniej, kiedy Corinne zrozumiała, że nie ma sensu udzielać szczegółowych odpowiedzi czy przekonywać policjantki, że to nie jest zwykłe włamanie.

Gdy wreszcie dobrnęły do końca, Tina Coxfield zaczęła szykować się do wyjścia.

– Dobrze, pani Patrick. Teraz wszystko jest już zarejestrowane. Oczywiście, dostanie pani kopię pocztą w ciągu najbliższych paru dni, żeby mogła ją pani okazać w towarzystwie ubezpieczeniowym. Czy coś jeszcze?

Wtrąciła się Nora.

– Ktoś zajmie się sprawą zniknięcia tych dokumentów?

Tina Coxfield beztrąsko pokręciła głową.

– Nie. Jeśli chodzi o policję, sprawa została rozpatrzona i zakończona. Jak powiedziałam, przysyłamy kopię dokumentu. Ale może pani oczywiście złożyć telefonicznie skargę, jeśli się pani z czymś nie zgadza – powiedziała, patrząc Norze w oczy. – A kim pani właściwie jest?

– Po prostu znajomą – odparła Nora.

Tina Coxfield zastanowiła się, czy warto zgłębić temat, ale zwyciężył zmysł praktyczny.

– W takim razie do widzenia, pani Patrick. Proszę pamiętać o zamknięciu za mną drzwi – powiedziała z dziarskim uśmiechem i nieco zbyt głośno, jakby mówiła do starszej pani z problemami ze słuchem lub początkami demencji.

Od jej wejścia do wyjścia minęło niecałe dwadzieścia pięć minut.

Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, Corinne wybuchnęła.

– Broń Boże, bym kiedykolwiek została zaatakowana! Jeszcze mi się nie zdarzyło być świadkiem takiego braku wyczucia sytuacji i zrozumienia istoty przestępstwa – piekliła się.

Nora próbowała ją uspokajać.

– Może to nie jej wina. Trzeba się trzymać procedur. A poza tym, jak mówiłam, w grę może wchodzić coś więcej niż po prostu ta Coxfield i jej brak doświadczenia.

Corinne opanowała się.

– Może ma pani rację. Ale ani myślę się z tym godzić. Mam wrażenie, że chodzi o Aminę. Że ktoś chce nam przeszkodzić w jej znalezieniu, i to dlatego, że sam chce się najpierw do niej dostać. Nie można do tego dopuścić.

Nora dopiła herbatę i zaczęła zbierać się do powrotu do domu na Belsize Park.

– Da pani radę tu sama zostać?

– O tak. Paru idiotów to za mało, by mnie wystraszyć. Gdybym była strachliwa, to w ogóle nie brałabym się do tej pracy. Bez względu na włamanie wciąż istnieją kobiety, które trzeba ratować, a w tej chwili muszę znaleźć bezpieczniejsze miejsce dla Zainab. Nie ma chwili do stracenia.

Stojąc w drzwiach, zamknęła dłonie Nory w swoich.

– Dziękuję za to, że pani przyjechała. I za to, że chce pani uczestniczyć w tym, co się dzieje. Co pani teraz robi, by odnaleźć Aminę?

– Wszystko, co mi przyjdzie do głowy. Obiecałam Manashowi, że zrobię, co w mojej mocy. Moim kolejnym posunięciem będzie pewnie próba dostania się do Hawksyard. Może po prostu zabrano ją tam przez pomyłkę. Może ktoś stamtąd wie, gdzie może być.

Corinne wygięła usta w podkówkę.

– Wejście do środka graniczy z cudem. Miałam kontakt z wieloma

dziennikarzami, którzy na próżno próbowali uzyskać wejściówki. SecurCorp za każdym razem odmawia. Nie obejmują ich w zasadzie żadne reguły transparentności i otwartości, które dotyczą instytucji publicznych, bo to prywatna firma. Bardzo sprytnie.

– Nie mam innego wyjścia, muszę spróbować. Zobaczymy – powiedziała Nora.

– Proszę do mnie zadzwonić, jeśli się nie uda. Chyba mam alternatywne dojście. Ale to tylko w sytuacji podbramkowej i dlatego, że jestem wściekła. Te bydlaki nie będą sobie bezkarnie włączyć do mojej jadalni, niszcząc dorobek mojego życia.

Nora podziękowała i pojechała do domu. Mieszkanie sprawiało wrażenie, jakby i ono pogrążone było w smutku, że Andreas już w nim nie bałagani, nie śmieje się, nie gotuje i nie całuje. Włączyła BBC News, by złagodzić to wrażenie.

Zerknęła na zegarek. Chwila po dwudziestej trzeciej. Za późno na telefon do Manasha, w Danii jest godzina później. Musi poczekać do rana.

Jej wzrok zahaczył o automatyczną sekretarkę, która kurzyła się za drukarką, migając na znak otrzymanej wiadomości. Kto w ogóle dzwonił na jej stacjonarny? Poza jej matką i ludźmi chcącymi sprzedać jej ubezpieczenie samochodu, którego nie posiadała, albo spytać, czy nie chce zamówić sobie nowej kuchni lub udoskonalić planu emerytalnego, nikt tego nie robił.

Wcisnęła przycisk, przygotowana na to, że usłyszy nagranie z wiadomością o tym, jaką radość przyniosą jej podwójnie izolowane okna. Ale znany głos powiedział: „Hej, Nora. Zapewne nie ma cię w domu, skoro nie odbierasz telefonu... Dzięki za ostatnie spotkanie. Może miałabyś ochotę zjeść coś na mieście w niedzielę wieczorem? Zadzwoń do mnie”. Głos podał numer. Tom Craven.

Nora wcisnęła przycisk, kasując wiadomość, po czym położyła się do łóżka i naciągnęła kołdrę na samą głowę.

Rozdział 13

Nora stała w majtkach i T-shircie, czekając, aż zagotuje się woda w czajniku, gdy zadzwonił Krab.

– Co nowego? – spytał rześkim tonem, który sygnalizował, że jest na nogach od co najmniej czterech godzin i pewnie wraca z dwóch spotkań w redakcji i wystąpienia w porannym programie TV, w którym wprowadzał zwykłych zjadaczy chleba w tajniki ostatniego kryzysu w Światowej Organizacji Handlu.

Nora ociągała się z odpowiedzią. Lepiej na razie nie wspominać o włamaniu do Corinne. To go może zdenerwować i jeszcze gotów odciąć źródło zasilania.

– Hm, trop prowadzi do ośrodka pobytowego dla ludzi, którym odmówiono azylu. Amina mogła tam trafić.

– Aha. Nie zostałyby to gdzieś odnotowane? Można wnioskować o wgląd w akta czy coś?

– W jednostkowych sprawach nie, chyba że ma się konkretną, pisemną zgodę od osoby, której sprawa dotyczy, a jej niestety nie ma jak uzyskać.

– Ale możesz się dostać do tego ośrodka?

– Dziś spróbuję załatwić pozwolenie, ale nie jestem dobrej myśli – odparła Nora zgodnie z prawdą.

– Słuchaj, jeśli napotykasz na mur, od razu dzwoń do Tausena.

Nora niczego nie rozumiała.

– On może pomóc?

– Nie. Ale ma kilka spraw, które chciałby ci zlecić.

Nora przewróciła oczami.

– Zobaczymy.

– Tak, tak – powiedział Krab swoim najbardziej energicznym głosem. – Dobrze być na bieżąco.

Pożegnali się i przez następnych pięć minut Nora skupiała się na kawie, wyglądając na ulicę. W pralni chemicznej rozpoczął się zwyczajny czwartek. Pani Patel rozkładała właśnie markizę. Przed kawiarnią ustawiała się nieduża kolejka ludzi, którzy chcieli zabrać kawę do biura.

Wreszcie zebrała się w sobie i zadzwoniła do ośrodka dla uchodźców w Danii. Czy raczej do Sanjita. Od razu odebrał telefon i zawołał Manasha. Poczula, jak zalewa ją fala ulgi, że przynajmniej on wciąż jest w ośrodku. Że nikt nie przyszedł po niego pod osłoną nocy i nie zabrał go na przesłuchanie. Że wciąż istnieje prawo i porządek, przynajmniej do pewnego stopnia.

– Nora? – jego głos brzmiał krucho.

– Manash – odpowiedziała.

– Ma pani dla mnie jakieś wieści?

– Tak. Od razu panu powiem, że nie znalazłam jeszcze Aminy – pospieszyła

z wyjaśnieniem. Lepiej mieć to za sobą, bo przecież tylko to go naprawdę interesuje.

Usłyszała, jak gwałtownie wciąga powietrze, jakby dostał cios w brzuch.

– Ale Manash, znalazłam dom w Londynie, w którym przebywała. Dotarła cała i zdrowa do domu w północnym Londynie i zatrzymała się tam na kilka dni.

– OK – powiedział Manash.

Nora zamknęła oczy. Nie było łatwego sposobu, by mu to powiedzieć.

– I potem o świcie przyszli jacyś mężczyźni i zabrali ją. Nie wiem, kim są. Może to policja, może ktoś inny.

Słysząc było, jak stara się zapanować nad głosem.

– Wiadomo, dokąd ją zabrali?

– Żeby do tego dojść, muszę się dowiedzieć, kto i dlaczego ją zabrał. W grę może wchodzić banalna pomyłka, ale istnieje też możliwość, że dotyczy to Aziza i jego pracy. Czy jest pan w stanie powiedzieć mi coś o Azizie, cokolwiek, co mogłoby pomóc go zlokalizować? Coś, co powiedział lub zrobił przez te wszystkie lata, przez które go pan zna?

Manash milczał.

– Choćby najmniejszy szczegół?

– Mówisz jak ci policjanci, którzy tu byli, Noro – powiedział w końcu.

– Manash, to nie fair. Naprawdę próbuję znaleźć Aminę.

– Przepraszam, przepraszam. Jestem wytracony z równowagi. Nie mogę sobie wybaczyć, że pozwoliłem, by podróżowała tą ciężarówką beze mnie.

– Zrobił pan to, co było konieczne, by wydostać się z kraju – uspokajała Nora.

– Ale proszę posłuchać. Czy umowa była taka, że skontaktujecie się w inny sposób niż przez wydawnictwo? Może moglibyśmy poszukać jakiegoś znaku życia, który znacie tylko ty i ona?

– Nie. Był tylko Tom, Tom Craven. Noro, czy mogłaby pani z nim porozmawiać i poprosić go, by do mnie zadzwonił? To ważne. Chciałbym, by wydawnictwo pomogło mi znaleźć adwokata. Kirsten mówi, że dobrze by było go mieć, a ja się z nią zgadzam. Co, jeśli Nielsen i Jensen tu wrócą? Co, jeśli zdecydują, że mam im pomagać z więzienia?

Nora bardzo chciała odrzucić tę myśl jako absurdalną, ale nie była wcale taka pewna. Nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z Tomem Cravenem, ale przyrzekła Manashowi, że przekaże mu wiadomość i numer telefonu Sanjita.

Wykąpała się i ubrała, słuchając BBC News. W lodówce znalazła jogurt pomarańczowy, przeterminowany o jedyne trzy dni. Zjadła go w roztargnieniu, popatrując na ulicę. Nigdzie nie było widać mężczyzny ani kobiety, którzy stali wczoraj przed Sauną Rio. Może jej nie śledzili. Albo też nie wiedzieli, gdzie mieszka. W każdym razie obiecała sobie, że zadzwoni do działu IT gazety i spyta,

czy mają środki na zapewnienie jej programu szyfrującego do jej maila.

Przyciszyła wiadomości, usiadła przy biurku i po paru sekundach znalazła stronę Hawksyard.

Nawet mimo profesjonalnej grafiki i tekstów, nazywających ośrodek „w pełni zintegrowanym kompleksem pobytowym dla dorosłych kobiet i rodzin, oczekujących na wyjaśnienie ich statusu imigracyjnego”, trudno było mieć wątpliwości. Wysoki płot ze stalowej siatki, otaczający ośrodek, mówił sam za siebie. To było po prostu więzienie dla ludzi, których już nie powinno być w kraju, ale jeszcze nie zostali deportowani. I nikt tu nie dokładał starań, by ich ostatnie chwile w kraju były przyjemne.

Dział PR SecurCorp informował dodatkowo, że w ośrodku „przykłada się dużą wagę do szacunku wobec jego pensjonariuszy i nieustannie pracuje nad zintegrowaniem metod funkcjonowania tak, by zapewnić mieszkańcom efektywny i właściwy poziom opieki”. Po plecach przeszedł ją zimny dreszcz.

Pod portretem szeroko uśmiechniętego mężczyzny, przedstawionego jako dyrektor Noel Benedick, widniał tekst, w którym osobiście zwracał się do wszystkich nowych „mieszkańców”, witając ich serdecznie w ośrodku i wymieniając liczne udogodnienia, z których będą mogli korzystać. Znajdowały się wśród nich zarówno możliwości kształcenia, jak i pokój do modlitwy i klinika piękności „z dostępem do lekarzy”.

Brakuje tylko basenu i Hilton może się schować ze swoimi pięcioma gwiazdkami – pomyślała Nora ironicznie, klikając w dane z kontaktem i numerem telefonu.

Poprosiła recepcjonistę o połączenie z miejscowym działem PR, wiedząc dobrze, że bez względu, z kim chciałaby rozmawiać, i tak zostanie połączona z pracownikiem działu prasowego, gdy tylko wypowie słowo „dziennikarka”. W amerykańskich firmach nie było szansy zbajerować kogoś, by wydał pozwolenie na wizytę czy oświadczenie. Widać ludzie z PR-u wyszkolili resztę pracowników, żeby nawet najmniejsze zapytanie nie miało szansy prześlizgnąć się przez dobrze zamaskowaną sieć. Nora słyszała, że w wielu miejscach bezpośrednim powodem zwolnienia była rozmowa z dziennikarzem bez uprzedniego pozwolenia ze strony działu PR, który przeprowadzał szkolenie wybranego pracownika, by ten mówił dokładnie to, co firma życzyła sobie widzieć na łamach gazety.

Walther Smith z PR słuchał Nory jakieś piętnaście sekund, ale przerwał jej natychmiast po usłyszeniu słowa „wizyta”.

- Wykluczone.
- Co ma pan na myśli, mówiąc „wykluczone”?
- To, co pani słyszy. To nie jest trudne słowo, prawda?
- Może pan mi tak po prostu odmówić, zanim pan w ogóle zapyta kogoś z przełożonych, czy mogę przyjść z wizytą?

– Pani Sand. W naszej głównej siedzibie w Teksasie wprowadziliśmy zasadę o nieprzyjmowaniu dziennikarzy. Nie służy to mieszkańcom. Potrzebują spokoju, a wchodzenie do środka obcych osób wprowadza tylko zamęt. Zamęt kosztuje. Potrzeba większej liczby personelu, a tego nie jesteśmy w stanie uzasadnić przed naszymi akcjonariuszami. To bardzo proste.

– Proste?

– Tak. Jeśli to wszystko...?

– Poproszę o numer główny w Teksasie.

– Może pani dzwonić do Teksasu. Życzę powodzenia, jeśli sądzi pani, że coś na tym zyska. Numer widnieje na naszej stronie, pod „corporate communications”. Żegnam – powiedział Walther Smith, rozłączając się.

Co za nadęty dupek. Zerknęła na zegarek. W Houston było sześć godzin do tyłu, więc będzie musiała poczekać do popołudnia. W międzyczasie może się dowiedzieć, czy Corinne pomoże jej dostać się do Hawksyard.

– Jak już mówiłam, nie dziwi mnie, że pani odmówili – powiedziała strapiona, gdy Nora spytała o jej samopoczucie i opowiedziała o swojej frustracji związanej z Waltherem Smithem. – Sama parokrotnie waliłam głową w mur. Ale mam pewien dobry kontakt, więc może uda mi się pomóc. Zadzwonię tylko w parę miejsc i zorientuję się, co da się zrobić.

Ledwie skończyły połączenie, gdy telefon Nory znów zadzwonił. Tausen. Cholera. Oby tylko nie chciał artykułu o Lidze Mistrzów na ten tydzień. Wdrażanie się w piłkę nożną było ostatnią rzeczą, na jaką miała siłę.

– Tu Nora – powiedziała ostrożnie.

– Cześć. Mówi Tausen. Właśnie rozmawiałem z naszym ulubionym redaktorem. Twierdzi, że się nie przepracowujesz.

– Ach, to... – Nora grała na zwłokę.

– Wiem, że umawialiśmy się na tę rzecz o Lidze Mistrzów, ale nie jestem pewien, czy to najlepsza pora. Może trzeba poczekać na początek sezonu futbolowego – zastanawiał się głośno Tausen.

Nora próbowała ukryć ulgę.

– Taak, to by miało sens – powiedziała z największą swobodą, na jaką było ją stać.

– Natomiast... – ciągnął Tausen.

Zawsze była jakaś cena. Kiedy człowiekowi udało się uniknąć jakiegoś zadania, w pogotowiu czekało kolejne. Tak to już jest.

– Co takiego? – spytała z lekkim westchnięciem.

– To nie jest wielkie zadanie – przygotowywał ją Tausen. – Natomiast bylibyśmy wdzięczni, gdybyś zdecydowała się nim zająć. Znasz duńskiego biznesmena Erika Biehla?

– Tak, słyszałam o nim. Mieszka tu, w Londynie. Stanowiska kierownicze

w paru bankach, jakieś fundusze hedgingowe, te sprawy, prawda?

– Owszem, to on. Ma też firmę biomedyczną. ErBiTech. Specjalizuje się w doświadczeniach i testach laboratoryjnych dla innych firm, które nie mają uprawnień albo są pod presją czasu. Oddaje im do dyspozycji lokale, naukowców i sprzęt. Duże koncerny często korzystają z jego usług.

– Zdaje się, że mieszka gdzieś w Kensington?

– Tak, zgadza się. Rzecz w tym, że zostałem zaproszony na przyjęcie z okazji jego sześćdziesiątych urodzin, ale nie będę mógł się zjawić. Właściwie to chodziło o artykuł do gazety. Czy mogłabyś się wybrać na to przyjęcie, porozmawiać z Biehlem i napisać coś na pierwszą stronę? Nie musi być dużo, ale on na pewno będzie nieco urażony, że mnie nie będzie.

– OK – powiedziała Nora, której ulżyło, że zadanie nie jest zbyt wymagające. – Kiedy to jest?

Tausen odchrząknął.

– Otóż już jutro wieczorem.

Nora przyrzekła, że pójdzie, i zapisała adres na karteczce.

– I on wie, że zamiast ciebie przyjdę ja, prawda?

Tausen się rozkaszał.

– Jeszcze nie. Nie mogłem mu powiedzieć, bo nie wiedziałem, czy się zgodzisz. Ale zaraz poproszę Anette, by zadzwoniła do ich działu PR. Dopilnują, byś znalazła się na liście, dobrze?

Rozłączyli się. Nora już czuła irytację, że będzie musiała przeznaczyć cały piątkowy wieczór na dreptanie w butach na wysokich obcasach i sprawianie wrażenia żywo zainteresowanej, podczas gdy grono mężczyzn w garniturach będzie głośno dyskutować na swój ulubiony temat pieniędzy oraz jeśli atmosfera ma być naprawdę luźna i weekendowa – o piłce nożnej i polo.

Odszukała numer Toma Cravena i zadzwoniła. Można równie dobrze mieć już to z głowy, skoro i tak nastrój jej nie dopisuje.

– Cześć, Nora! – Tom był zadowolony. – Fajnie, że dzwonicz.

– Tak, ale dzwonię, bo...

Nie pozwolił jej dokończyć.

– Założyłem, że się zgodzisz, i stanąłem na głowie, żeby zdobyć stół w Chiltern Firehouse. Udało się! – powiedział z ekscytacją.

– Tom, posłuchaj. Dzwonię przede wszystkim dlatego, że rozmawiałam z Manashem.

– O, jak dobrze! – zawołał.

Nora podała mu numer Sanjita, wyjaśniła mu, co i jak, i wspomniała, że Manashowi przydałaby się pomoc prawna.

– Zaraz zadzwonię do naszej kancelarii adwokackiej, mają partnerów w całej Europie. Najlepiej byłoby ściągnąć Manasha do Wielkiej Brytanii. Łatwiej nam

będzie go chronić, gdy będzie w pobliżu – zawyrokował Tom.

– Nie sądzę, by dało się to zrobić, skoro proces ubiegania się o azyl został wszczęty w Danii. Będzie musiał tam zostać.

Tom westchnął.

– Powiedz, czy ci ludzie w ogóle wiedzą, z kim mają do czynienia? Mówimy przecież o zdobywcy wielu nagród, ba, laureacie Nagrody Nobla i utalentowanym pisarzu, a oni traktują go jak śmiecia. Nie rozumiem tego.

– Ja też – odparła Nora, chcąc się już rozłączyć.

– Zorientuję się, co możemy stąd zdziałać. A my widzimy się w niedzielę o dziewiętnastej. Będziemy mogli porównać notatki. Wiesz, gdzie to jest, prawda?

– Zobaczymy.

– Do zobaczenia – powiedział po prostu i zakończył połączenie, zanim Nora zdążyła zaprotestować. Głupek.

Ale jednak. Chiltern Firehouse. Jeden z ogólnokrajowych dzienników okrzyknął szefa kuchni Nuno Mendeza geniuszem, zaś inny twierdził, że lokal jest „hot” niczym powierzchnia Słońca i nawet sam Bóg miałby problemy z rezerwacją stolika.

Norze było całkowicie obojętne, czy natknie się w restauracji na Bradleya Coopera, Billa Clintona czy Kate Moss. Chciała po prostu skosztować jedzenia, które wszystkich krytyków kulinarnych rzuciło na kolana w uwielbieniu dla kucharza, potrafiącego sprawić, że gościom ciekła ślinka na widok dań, tryumfalnie wjeżdżających na stół. Tom Craven trafił w jej czuły punkt.

*

Zaczęła czytać o Eriku Biehlu. Typowy złoty chłopak, któremu w karierze zawodowej nigdy nie powinęła się noga. Wychowywał się jako jedyny syn hurtownika win z Holte, wybrał tradycyjną drogę kształcenia w Copenhagen Business School, a potem na Harvardzie, gdzie zdał egzaminy przy wtórze fanfar i wiwatów.

Został zatrudniony w firmie medycznej MediCorp, gdzie w rekordowym tempie przeszedł ścieżkę od dyrektora finansowego do najpierw zastępcy dyrektora generalnego, a potem prezesa zarządu.

Pięć lat później tworzył własną firmę, ErBiTech, która według informacji na stronie internetowej firmy oferowała „kompleksowe rozwiązania dla branży medycznej”, cokolwiek to znaczyło. Jednym z głównych klientów Biehla była firma, w której poprzednio pracował. Podpisanie kontraktu z człowiekiem, który znał firmę wzdłuż i wszerz, było zapewne formą przyjacielskiej przysługi.

Lista wysoko opłacanych posad kierowniczych w CV Erika Biehla dowodziła, że doskonale odnalazł się w świecie biznesu. Spółki mediowe, fabryka helikopterów i dwa skandynawskie banki. Określenie „ambitny” byłoby za słabe,

pomyślała Nora.

Na próżno szukała jakichś uchybień i niespodzianek. Choćby drobnej informacji, która sprawiłaby, że facet wyszedłby na kogoś bardziej ludzkiego czy intrygującego. Był żonaty. Dwoje dorosłych dzieci, studiujących na Oksfordzie i Harvardzie. Medycyna i ekonomia. Żadnych potknięć. Nawet hobby miał przewidywalne: żeglarstwo, tenis i golf. Ulubione rozrywki ludzi, dla których wydatki na sprzęt nie stanowią przeszkody. Do kompletu brakowało tylko polo. Nora mimowolnie ziewnęła.

Stworzenie zgrabnego portretu tego mężczyzny, na pozór nudnego jak flaki z olejem, będzie nie lada wyzwaniem. Człowiek ubrany w garnitur i trzymający lampkę szampana na przyjęciu dla stu pięćdziesięciu osób nie będzie specjalnie wyluzowany. Może lepiej będzie wybrać się na tę fetę, porozmawiać z otaczającymi go ludźmi, a samego Erika Biehla złapać później.

Zapisała w notatniku najważniejsze daty i nazwy firm i postanowiła, że resztę dnia spędzi na wystawie dwudziestowiecznej sztuki japońskiej w British Museum, o której obiecała napisać krótki artykuł do działu kulturalnego. W głębi ducha wiedziała, że to w najmniejszym stopniu nie udobrucha Violi Ponte.

Prawdę mówiąc, nie tylko ona się zżymała, że Manash do rozmowy wybrał właśnie ją. Nikomu nie przyszło do głowy, że to nie była jej inicjatywa, nawet Andreasowi. Próbowwała ukryć swoje rozczarowanie w jakimś zakamarku duszy, który będzie mogła otworzyć, gdy to wszystko się już skończy, ale odzywało się jak tępy ból za każdym razem, gdy myślała o Andreasie.

Otrząsnęła się z tych myśli, na ile to było możliwe, i spakowała notatnik do torby, szykując się do British Museum. Ledwie przekroczyła próg, gdy zadzwoniła Corinne.

– Nora, mam nadzieję, że nic pani nie zaplanowała na jutrzejsze przedpołudnie?

– Nie, nic, czego nie dałoby się przesunąć. Dlaczego?

– Może się pani wybrać do Hawksyard w charakterze aplikantki adwokackiej z moją przyjaciółką, Catherine Goldsmidt. Czasami pracuje nieodpłatnie dla organizacji dobroczynnej Uwolnić Uchodźców, która zapewnia pomoc prawną kobietom znajdującym się w Hawksyard. To jedna z nielicznych organizacji, które uzyskały prawo wstępu do ośrodka.

– OK, świetnie. Co mam robić?

– Catherine ma pani adres, przyjedzie po panią jutro rano o ósmej piętnaście. Opowie wszystko po drodze.

Nora podziękowała jej i pojechała do British Museum, gdzie przez kolejne dwie godziny pograżyła się w rozmowie z kuratorem na temat niebieskich tuszów, pociągnąć pędzla i doboru motywów, które ogólnie rzecz biorąc, miały daleko bardziej symboliczne znaczenie, niżby się mogło wydawać gołym okiem.

Po skończeniu wywiadu i zrobieniu wystarczającej ilości notatek przeszła się, jak zwykle, po części egipskiej, gdzie znajdowała się jej wielka, nieszczęśliwa miłość: gigantyczna statua Ramzesa III, wykuta w granicie. Ramzes miał najpiękniejsze usta, jakie kiedykolwiek widziała u człowieka. O ile kilkumetrową, granitową figurę faraona można w ogóle nazwać człowiekiem. Pocieszyła się, że nawet gdyby była starsza o parę tysięcy lat i żyła w tym samym czasie, i tak na pewno byłaby niewolnicą i nigdy go nie poznała.

Posłała mu całusa w powietrzu i wyszła między kolumnami na wieczorne światło, zostawiając za sobą japońskiego turystę z czołem zmarszczonym ze zdumienia.

*

Nora postanowiła, że pewien odcinek drogi do domu pokona pieszo. Kochała Londyn o zmierzchu. Ludzi stojących na chodnikach przed pubami, popijających zasłużone piwo po fajrancie, szum ruchu ulicznego. Londyńczycy z wprawą przemykali między turystami, idącymi coś zjeść do Garfunkela czy innej turystycznej pułapki. Mężczyźni i kobiety stali przed stacjami metra w oczekiwaniu na randkę czy przyjaciół w drodze do kina. Kwiatciarze zaczynali się już pakować; było tak, jakby przez jakieś pół godzinki Londyn głęboko wzdychał, kładł nogi na podnóżku i odchyłał się w fotelu, dopóki Soho nie rozblęsnęło szaleństwem migających świateł.

Taki wieczór chciałaby dzielić z Andreasem. Odebrałyby go ze Scotland Yardu, powłóczyliby się po uliczkach Covent Garden, aż w końcu naszłyby ich ochota na włoską, hiszpańską albo, jak zdarzyło im się parę razy wcześniej, indyjską kuchnię.

Miast tego poszła w stronę Trafalgar Square i weszła do księgarni Foyles, gdzie, nie myśląc o Andreasie, spędziła pół godziny na przeglądaniu nowych książek kucharskich.

Obok stacji metra przy Charing Cross weszła do sklepu sportowego, by obejrzeć rękawice bokserskie. Wiedziała, że to wariactwo. Uwielbiała te, które miała, a w sklepie nie było absolutnie niczego, co mogłoby się równać z jej niebieskimi rękawicami marki Title, które z upływem lat dokładnie dopasowały się do jej dłoni. Były tak zniszczone, że skóra na wierzchu zaczynała pękać, ale to sprawiało tylko, że Nora uważała je za jedyne w swoim rodzaju. Sama wywalczyła sobie te pęknięcia za pomocą wielu tysięcy prostych, sierpowych i haków.

Nagle zatęskniła za Enzem, niskim, nabitym włoskim trenerem, który cierpliwie wprowadzał ją w tajniki szlachetnej sztuki kick boxingu. Wysłała do niego SMS-a z zapytaniem, czy ma czas pojutrze. Dzień po nadętym przyjęciu biznesowym będzie potrzebowała półtoragodzinnego, ociekającego potem treningu z rękawicami.

Nora często spotykała się z błędnym założeniem, że kobiety uprawiające kick boxing muszą być z natury rozjuszonymi amazonkami, których celem jest unicestwienie męskiej części ludzkości. Z anielską cierpliwością tłumaczyła wówczas ludziom, że jest właśnie znacznie bardziej wyluzowana i spokojniejsza niż większość społeczeństwa. W jej świecie nic lepiej nie działało na stres niż wyboksowanie z ciała złych emocji, cios za ciosem.

Wysiadła na Hampstead, robiąc zakupy po drodze. Udka kurczaka, arbuzy, feta, mięta i czarne oliwki. Po namyśle dokupiła jeszcze ogórka, pół litra mleka, jajka i chleb na zakwasie na jutrzejsze śniadanie.

Już w domu polała udka oliwą z oliwek, oprószyła solą morską i odrobiną sumaku i wstawiła do piekarnika. Potem zrobiła sałatkę z arbuza, fety, mięty i czerwonej cebuli, którą znalazła w szufladzie lodówki i pokroiła w cienkie piórka, sypiąc na wierzch czarne oliwki. Odstawiła półmisek, po czym znów włączyła komputer i zabrała się do pisania o sztuce japońskiej.

Z gorzkiego doświadczenia wiedziała, że im więcej czasu upłynie od researchu do pisania, tym trudniej o ubranie wszystkiego we właściwe słowa. Również dlatego, że ryzyko zawieruszenia się właściwego notatnika pośród dwudziestu innych znacząco rosło. Za każdym razem gdy tak się działo, Nora obiecywała sobie, że kiedyś będzie miała porządek, że w przyszłości na stronie tytułowej każdego notesu naklei duże nalepki, a w środku pozaznacza żółtymi karteczkami miejsca, gdzie rozpoczynają się notatki do kolejnego wywiadu. To nigdy nie nastąpiło.

Była już w połowie, gdy rozdzwonił się minutnik piekarnika. Wyjęła udka kurczaka i odstawiła do ostygnięcia, po czym wróciła do pisania. Jeśli uda jej się skończyć przed jedzeniem, będzie miała wolne przez resztę wieczoru. Może zabierze się do tych licznych książek, które sobie zgromadziła, ale nigdy nie miała czasu ich przeczytać. Może obejrzy jakiś mało ambitny film czy któryś z seriali, które nagrała na swego Skyboxa.

Gdy pół godziny później stawiała ostatnią kropkę i przeglądała całość artykułu, tropiąc literówki, kurczak osiągnął odpowiednią temperaturę. Wgryzła się w udko już w kuchni, ale obiecała sobie, że zje elegancko przy stole, używając noża i widelca.

Sam fakt, że Andreas wyjechał, nie stanowił przecież powodu, dla którego miałyby powrócić do jedzenia gotowych dań przy ławie, jakby... Dźwięk dzwonów Big Bena skutecznie ukrócił jej uzalanie się nad sobą. Nora sprawdziła godzinę. 21.36. Czyli w Kopenhadze było po wpół do jedenastej; późno, nawet jak na Kraba.

- NORA! – wrzasnął do telefonu.
- Tak? – odparła, odsuwając telefon od ucha.
- Oglądasz telewizję? – spytał nieco ciszej.

– Nie, właśnie jadłam kolację i właściwie to...

– Włączaj, do diabła! Natychmiast! CNN. Zdzwonimy się za pół godziny.

Nora włączyła i przełączyła się z BBC News na CNN. Na pasku przesunął się jaskrawy napis: Breaking news: zaginiony irański specjalista od energii atomowej odnaleziony w Kanadzie.

To wszystko zmieniało.

Rozdział 14

Nora zakryła sobie usta w szoku, oglądając w kółko to samo nagranie. Aziza Darvisha, skąpanego w świetle fleszy i wprowadzanego do szarego budynku w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy. Sprawiał wrażenie zadowolonego i zrelaksowanego, pomachał ręką. Policja była tam raczej po to, by ochraniać go przed prasą, niż go do czegokolwiek zmuszać.

Spiker informował, że CNN będzie transmitowało na żywo zaplanowaną konferencję prasową z Toronto, gdzie Aziz Darvish pojawił się dzisiaj poranka.

– Później porozmawiamy z ekspertami ds. bezpieczeństwa, którzy ocenią, jak to wpłynie na zbliżające się negocjacje między USA a Iranem w sprawie broni atomowej.

Czy wiedział, gdzie jest Amina? Mózg Nory pracował na wysokich obrotach, próbując wykoncypować, jak porozmawiać z Azizem Darvishem w Kanadzie. Zdawała sobie sprawę, że w dniu, w którym jest tematem wiadomości dnia na skalę światową, jej szanse są nikłe.

Wzięła telefon i zadzwoniła do Sanjita. Miał zaspany głos, ale gdy Nora się przedstawiła, nie marudził.

– Sekundkę – powiedział po prostu. Słyszała ciche mamrotanie w tle, po czym do telefonu podszedł Manash.

– Co się dzieje?

– Nie ogląda pan telewizji?

– Nie, telewizor jest zepsuty, a Kirsten mówi, że nie ma pieniędzy na nowy. O co chodzi?

– Znalezli Aziza. Jest w Kanadzie.

– Och, dzięki, Allahu – wyrwało się spontanicznie Manashowi. – Ma ze sobą Aminę?

– Nie sądzę. To są wydarzenia sprzed chwili. Widzieliśmy tylko nagrania, jak wchodzi do jakiegoś budynku. Tylko on i dwóch policjantów.

Manash milczał.

– Za chwilę odbędzie się konferencja prasowa. Będzie transmitowana na CNN, obejrzę ją i spróbuję się dowiedzieć czegoś więcej. Jeśli dowiem się czegoś nowego, na pewno zadzwonię. Zobaczymy, czy będę mogła jakoś się z nim skontaktować i ustalić, czy wie coś o Aminie.

– Dobrze. Będę się trzymać w pobliżu Sanjita i jego komórki. Może zyskam choć tyle, że duńskie władze zostawią mnie teraz w spokoju – odparł Manash.

Rozłączyli się, a Nora poszła po notatnik i usiadła przed CNN, które właśnie nadawało niekończącą się reklamę pięciogwiazdkowego hotelu w Abu Zabi. Z całą pewnością nie będzie jej nigdy stać na spędzenie w nim choćby jednej nocy.

Nora pomyślała w głębi ducha, że jeśli zniknięcie Aminy było próbą wywarcia nacisku na Aziza, by dobrowolnie się ujawnił, to fakt, że pojawił się w Kanadzie, będzie miał pewne implikacje. Czy będą one korzystne dla Aminy, zależy od tego, kto i w jakim celu ją zabrał.

Konferencja się rozpoczęła.

Przy podłużnym stole, na tle planszy z granatowym logo Uniwersytetu w Toronto z wizerunkiem bobra, siedziały trzy osoby. Przed nimi stały obowiązkowe szklanki i trzy butelki wody mineralnej. Około sześćdziesięcioletni mężczyzna siedział po prawej stronie Aziza. Był ubrany w jasnoniebieską koszulę i sprawiał wrażenie wyluzowanego i świeżo ogolonego. Tabliczka z nazwiskiem obwieszczała, że to profesor Miles Malvern, dyrektor Instytutu do spraw Środowiska i Badań Atomowych. Po drugiej stronie Aziza siedziała jasnowłosa kobieta w czerwonej garsonce, rektor uniwersytetu. Nic dziwnego, że pojawia się w związku z największą sensacją medialną od czasu założenia uniwersytetu w 1827.

Po chwili zamieszania głos zabrała pani rektor, która się przedstawiła, po czym przeszła do jedyne go punktu konferencji.

– Mam wielką przyjemność przedstawić doktora Aziza Darvisha, który zdecydował się ubiegać o azyl w Toronto. Już wcześniej pozostawał w kontakcie z profesorem Malvernem w kwestii swoich badań w Teheranie i dlatego Toronto było dla pana doktora naturalnym wyborem, gdy postanowił opuścić swoją ojczyznę. Pan doktor wie, że szanujemy tutaj jego badania, ponieważ nasz uniwersytet zawsze najwyżej cenił sobie wiedzę – powiedziała, patrząc na zgromadzonych dziennikarzy, z których żaden nie raczył nawet podnieść długopisu. To nie dla niej tu przyszli.

Należało jednak oddać pani rektor, że szybko spojrzała prawdzie w oczy i darowała sobie promocyjną gadkę:

– Bez zbędnych komentarzy oddaję głos doktorowi Darvishowi. Przygotował krótkie oświadczenie, które teraz odczyta, a potem odpowie na kilka pytań. Proszę, panie doktorze.

Mikrofon zawył, gdy Darvish nachylił się i odchrząknął, po czym wziął odręcznie napisaną kartkę papieru i powoli ją rozłożył.

– Nazywam się Aziz Darvish. Przez ostatnich jedenaście lat pracowałem w programie badań atomowych irańskich władz. Zawsze kochałem swoją pracę i starałem się ją wykonywać najlepiej, jak potrafiłem – powiedział, biorąc łyk wody. – Przez dłuższy czas pozostawałem w kontakcie z moim dobrym kolegą, profesorem Malvernem. Dlatego skontaktowałem się właśnie z nim, gdy zdecydowałem, że nie mogę dłużej przebywać w Iranie. Opuściłem kraj z przyczyn prywatnych i chciałbym podkreślić, że nikt w Iranie mi nie pomógł. Decyzję o wyjeździe podjąłem ja i tylko ja. Nikt inny nie ponosi za nią winy – powiedział,

spoglądając badawczo na zgromadzonych, jakby próbował apelować bezpośrednio do irańskich władz.

Aparaty kliknęły posłusznie.

– Po krótkiej przerwie na aklimatyzację planuję kontynuację swoich badań na Uniwersytecie w Toronto, gdzie profesor Malvern w swojej szczodrości zaproponował mi etat naukowy w Instytucie do spraw Środowiska i Badań Atomowych.

Aziz złożył kartkę i mrużąc oczy, spojrzął na dziennikarzy. Liczne flesze sprawiły, że w równych odstępach czasu musiał zamykać powieki, ale poza tym wyglądał na zupełnie spokojnego – zauważyła Nora. Nie przypominał człowieka, którego siostra zniknęła bez śladu.

– Panie doktorze, mógłby pan wyjaśnić, dlaczego opuścił pan Iran? – Jako pierwsza przy mikrofonie znalazła się lokalna stacja CTV.

– To sprawa osobista, ale mogę powiedzieć tyle, że jestem człowiekiem pokoju – odparł Aziz.

Następnie wstała korespondentka CNN i zadała kolejne pytanie:

– Panie Darvish, nie ulega wątpliwości, że jest pan w posiadaniu informacji, które mogą mieć decydujące znaczenie w negocjacjach między USA i Iranem, gdy...

– Czyżby? – przerwał Aziz, patrząc na dziennikarkę.

– Owszem, można tak zakładać – odpowiedziała dziennikarka CNN.

– Niczego nie zakładam i na pani miejscu też bym tego nie robił – odparł Aziz. – Kolejne pytanie.

Magazyn „Time” chciał się dowiedzieć, co będzie robił badacz energii atomowej podczas pobytu na Zachodzie.

– Jakie ma pan plany na najbliższą przyszłość?! – krzyknął dziennikarz, który musiał sobie radzić bez mikrofonu.

Na twarzy Aziza pojawił się zmęczony uśmiech.

– Przede wszystkim muszę się wyspać. Droga tutaj była długa i wyboista. A kiedy się wyśpię, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by dołączyć do tej części mojej rodziny, która już wyjechała z Iranu. – Następnie wstał i uklonił się uprzejmie. – Panie i panowie, bardzo dziękuję za uwagę.

I już go nie było.

CNN przełączyło transmisję do studia, gdzie prowadząca natychmiast przeszła do dzielonego ekranu.

– Jest z nami nasz korespondent do spraw dyplomacji, Gregory Dalton z Waszyngtonu. Greg, od dłuższego czasu przyglądasz się z bliska negocjacjom między Iranem a USA. Jakie ta sensacyjna ucieczka będzie miała znaczenie dla procesu rozbrojenia Iranu?

Korespondent, którego cera pokryta była taką ilością podkładu, że

przypominała bezosobową twarz figurki z serii Playmobil, próbował zrobić tragiczną minę, gdy tylko dotarło do niego, że jest na wizji.

– Tak, Tino, sprawa jest poważna. Można powiedzieć, że doktor Darvish wykazał się sprytem, wybierając Kanadę jako miejsce schronienia, a to może okazać się korzystne dla USA. Jesteśmy w stanie współpracować z Kanadyjczykami, możemy nawet się spodziewać, że podzielą się z nami informacjami. Jednocześnie administracja będzie mogła zapewnić Iran, że wydanie Darvisha w ręce reżimu w Teheranie wykracza poza jej kompetencje.

– W jakiej pozycji to stawia prezydenta?

– Sądzę, że w całkiem dobrej – orzekł wypacykowany ekspert.

Krab zadzwonił znów, gdy korespondent udał się na bezdroża spekulacji.

– To duży news? – spytał bez wstępu.

– Dość duży. Nie wiem tylko, czy zbliży nas do odnalezienia Aminy i wywiadu z Manashem.

– Hm. Zastanawiam się, czy nie przekazać go Waszyngtonowi, czy raczej ty powinnaś o nim napisać?

Nora namyślała się przez chwilę. Z reguły sama myśl o przekazaniu komuś materiału ją mierzyla. Z drugiej strony będzie musiała jutro zbadać trop Hawksyard.

– Wydaje mi się, że Waszyngton jest lepiej przygotowany. Bądź co bądź wszystko kręci się wokół zbliżających się negocjacji i tego, czy Iran znajdzie się w impasie. I co w takim przypadku zrobi prezydent. Pisanie o tym z Londynu nie ma większego sensu – odparła.

– Racja, nie ma – zgodził się Krab.

– Jednak zrobię, co mogę, by porozmawiać z Azizem Darvishem. Może wie coś o miejscu przebywania siostry. Obawiam się, że mogła zostać wzięta jako zakładniczka, by wyrzucić na niego presję. Jeśli tak jest, wkrótce powinna zostać uwolniona.

Krab mruknął.

– Naprawdę sądzisz, że służby specjalne posunęłyby się aż tak daleko? – spytał.

– Nie wiem, mam nadzieję, że nie. Ale muszę wziąć pod uwagę taką możliwość, choć przyznaję, że po ujawnieniu się Darvisha jest bardziej odległa. Czym tu teraz negocjować? – zastanawiała się głośno.

– Hm, coś by się znalazło – zauważył Krab. – Przecież może mieć istotną wiedzę o tym, jak zaawansowany w badaniach jest Iran. Może Aminę zabrano, by się upewnić, że nie powie za dużo przed rozpoczęciem negocjacji albo że nie otworzy ust w najbardziej nieodpowiednim momencie.

– Jasne. Możesz mieć rację – zgodziła się Nora.

– Dobra, nie mam czasu na pogaduszki. Muszę skontaktować się z Waszyngtonem, skoro odmawiasz wykonania zadania – spuentował Krab

i zakończył połączenie.

Nora zadzwoniła na główny numer Uniwersytetu w Toronto. Odesłali ją do działu prasowego, w którym telefon był zajęty. Przeszukała jeszcze stronę domową i znalazła adres mailowy Malverna.

Zdawała sobie sprawę, że na pewno nie jest jedyną dziennikarką, która wpadła na ten błyskotliwy pomysł akurat dziś, przecież większość redaktorów uzna, że ich materiał jest niekompletny bez wywiadu z Darvishem lub, z braku laku, Malvernem. Dlatego była zmuszona się streszczać i już w tytule napisać dokładnie, dlaczego natychmiastowy kontakt z Azizem jest absolutnie konieczny.

Przygryzła wargę i napisała w tytule: WAŻNA WIADOMOŚĆ DOT. SIOSTRY AZIZA DARVISHA AMINY. PILNY TELEFON

Pod spodem napisała, że jest w kontakcie z Manashem i że musi omówić kilka ważnych spraw związanych z Aminą. Na koniec podała numer telefonu. Szansa, że Aziz czy Malvern zobaczą jej mail w zalewie wiadomości od wszelkich możliwych mediów, była znikoma. Ale to była jedyna dostępna szansa.

Odczekała parę godzin bez rezultatu, skacząc po kanałach informacyjnych z komórką na kolanach. Wszystkie pokazywały ten sam materiał, wszędzie te same zdjęcia, te same trzy pytania i odpowiedzi na konferencji prasowej. Różnica polegała tylko na ekspertach, rozwodzących się na temat negocjacji USA i Iranu. Natomiast eksperci mówili z grubsza jedno i to samo: poczekamy, zobaczymy. Że jeszcze nie ma reakcji Teheranu. Że amerykańska administracja powinna zachować spokój, dopóki Irańczycy nie pokażą swoich kart. Że Kanada to genialny wybór dla Aziza Darvisha.

W końcu podreptała do łazienki, wyszczotkowała zęby i poszła spać.

*

Telefon zadzwonił chwilę po trzeciej nad ranem i obudził ją ze snu, w którym biegła długim, szarym korytarzem. Korytarz przypominał do złudzenia ten z więzienia Wolf Hall, gdzie osławiony seryjny morderca Bill Hix odsiadywał karę dożywocia.

Nora przeprowadzała wywiad z Hixem na krótko przed jego ucieczką z więzienia i ruszeniem jej tropem. W wyniku pogoni, która niemal kosztowała Norę życie, Hix został schwytany i osadzony w więzieniu z dodatkową strażą. Ale te przeżycia wciąż w niej tkwiły.

– Nora Sand. – Serce podeszło jej do gardła.

– Przepraszam, wiem, że w Londynie pora jest niefortunna, ale dopiero teraz przeczytałem pani maila i wydało mi się, że to ważne, bym szybko oddzwonił. Mówi profesor Malvern.

– Świetnie. – Nora z hukiem wróciła do rzeczywistości. – Profesorze, dziękuję, że pan oddzwania. Napisałam, bo mam wieści na temat Aminy i muszę

porozmawiać o tym z Azizem Darvishem.

– Tak? – spytał Malvern z wahaniem. – Czy mogę mu przekazać wiadomość?

– Najlepiej, jak sama z nim porozmawiam.

– Rozumiem. Z drugiej strony wiele osób dziś próbuje skontaktować się z Azizem, a ja niestety nie mam złudzeń co do metod pracy dziennikarskiej. Dlatego muszę prosić o więcej informacji.

– W porządku – zgodziła się Nora. – Proszę powiedzieć Azizowi, że jestem przyjaciółką jego szwagra Manasha. Że zgodnie z planem on i Amina mieli razem wylądować w Londynie, ale coś poszło nie tak.

– Chwileczkę.

Słyszała szuranie, chrobotanie i stłumioną rozmowę, choć Malvern zasłonił słuchawkę dłonią. Potem w telefonie rozległ się nowy głos.

– Mówi Aziz Darvish. Chce pani porozmawiać o Aminie?

– Tak. Nie zna mnie pan, ale ja znam Manasha – powiedziała Nora i wyjaśniła, jak nawiązała kontakt z irańskim poetą i w jaki sposób znalazł się w Danii.

– Ale co z Aminą?

– Chciałabym przede wszystkim się dowiedzieć, czy jest z panem albo czy miał pan od niej jakiegokolwiek wieści? – spytała Nora.

– Skąd! – Głos Aziza balansował między zdenerwowaniem i rozpaczą. – Przecież powinna być teraz w Londynie, razem z Manashem. Nie wiem, co poszło nie tak. Nigdy bym nie wyjechał, gdyby Manash mnie nie przekonał, że oboje będą tam bezpieczniejsi. Nigdy bym się nie ośmielił wyjechać z Iranu – jęczał.

– Oczywiście, rozumiem – powiedziała Nora uspokajająco. – Zrobię, co w mojej mocy, by pomóc Manashowi ją odnaleźć, ale muszę najpierw porozmawiać z panem. Bo... – Przez chwilę wahała się, czy mówić prosto z mostu, czy nie, ale postawiła na całkowitą szczerłość. – Miałam obawy, że ktoś mógł ją porwać, by wyrzucić na pana presję. Sytuacja, w której się pan znajduje, i wiedza, którą podobno pan posiada, wystarczyłyby, by posunąć się do takich kroków.

Nastąpiła pauza, podczas której Nora przysięgłaby, że słyszy zgrzytanie zębów Aziza.

– Słyszę, co pani mówi, i rozumiem ten tok myślenia. Zgadza się to z grubsza z działaniami, do których... pewne grupy rzeczywiście byłyby w stanie się posunąć. Ale nie dotarł do mnie nawet najmniejszy sygnał, nic. Pierwsze słyszę, że Amina zaginęła. Sam czekałem z wyjazdem, dopóki bezpiecznie nie wyruszyła w podróż. Kiedy skontaktowała się ze mną już po przyjeździe do Londynu, spakowałem się i opuściłem Teheran.

– Przepraszam, musiałam o to zapytać. Badam kilka innych tropów w Wielkiej Brytanii. Będę pana informować, Malvern ma mój adres mailowy.

Proszę mi przysłać numer komórki, na pewno zadzwonię. W międzyczasie mogę panu dać w miarę bezpieczny numer do Manasha, gdyby chciał pan z nim porozmawiać.

Znów pauza.

– Tak, poproszę o ten numer. Nie wiem, czy jestem gotów na rozmowę z nim, bo jestem bardzo zły. Miał przez resztę życia opiekować się moją młodszą siostrą. A ona mu się zgubiła. Obiecał mi, że będzie o nią dbał z narażeniem własnego życia.

– Proszę mi wierzyć, Manash jest w tej sytuacji najbardziej nieszczęśliwy. Nie ma dnia, by sobie tego nie wyrzucał. Utknął w ośrodku dla uchodźców, ale gdyby tak nie było, sam przeczesałby każdą uliczkę w Londynie, by ją znaleźć.

Aziz westchnął głęboko.

– Na pewno ma pani rację. Wiem, że ją kocha. Ale ona zniknęła. Proszę mi od razu dać znać, gdybym mógł coś zrobić, jakoś stąd pomóc. Proszę mi to obiecać.

Nora obiecała i rozłączyła się. Następnie zadzwoniła do Manasha i podzieliła się z nim przykrymi wieściami.

Wyglądało na to, że jedyna nadzieja na znalezienie Aminy wiązała się z Hawksyard, a był to, oględnie mówiąc, wąły trop.

Rozdział 15

W piątkowy poranek o ósmej piętnaście Nora stała przed drzwiami, ubrana w swoją najbardziej oficjalną garsonkę i uczesana w kok. Dokładnie minutę później, zgodnie z umową, przed drzwiami zajechał srebrzysty Aston Martin, należący do Catherine Goldsmidt. Nora wskoczyła do środka.

Zmierzyły się bez wrogości.

Catherine Goldsmidt była kobietą po czterdziestce. Jasne włosy, zebrane w koński ogon, dyskretny makijaż, kremowa bluzka i spodnie w prążki leżące na niej tak dobrze, że musiały być szyte na miarę. Na tylnym siedzeniu znajdowały się marynarka i duża skórzana torba Mulberry, wypchana po brzegi teczkami i papierami.

– Fajna bryka – rzekła Nora spontanicznie.

– Och, to firmowa – odparła Catherine od niechcienia, ale po uśmiešku, który pojawił się w kąciku jej ust, Nora wywnioskowała, że jej uwaga była trafiona.

Przedzierały się przez londyński ruch uliczny z pomocą automatycznego, kobiecego głosu, który dzięki nawigacji pomógł im ominąć najgorsze korki i wjechać na obwodnicę prowadzącą do Hawksyard.

– Czyli jest pani przyjaciółką Corinne? – stwierdziła Catherine.

– W zasadzie można tak powiedzieć. Nie znam jej zbyt długo.

– Musi mieć do pani duże zaufanie. Jeszcze nigdy nie prosiła mnie o zabranie do ośrodka dziennikarza. Musi mieć dobre powody.

– Rzeczywiście, ma – zgodziła się Nora.

Catherine spojrzała na nią pytająco.

– Jest pani pewna, że chce pani wiedzieć? – spytała Nora z powagą.

Catherine uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Ha! Zabrzmiała pani jak adwokat. W pierwszym odruchu powiedziałabym nie, szczególnie jeśli w grę wchodziłoby łamanie reguł. Ale w tym konkretnym przypadku sądzę, że korzystniej będzie się dowiedzieć, czego pani szuka.

– Dlaczego?

– Zrozumie to pani lepiej, jak już dotrzemy do Hawksyard. To wyjątkowo hermetyczny system. Pod wieloma względami funkcjonuje jak więzienie, ze wszystkim, co się z tym wiąże. Była pani kiedyś wewnątrz więzienia?

Hix i jego przeszywające spojrzenie znów wychynęli z czeluści, w którą Nora zesłała ich po nocnym koszmarze. Otrząsnęła się z tych myśli.

– Tak, byłam w środku.

– OK. To proszę pomyśleć: osadzeni w więzieniu popełnili przestępstwo, za które zostali osądzeni i skazani. Wiedzą, ile odsiedzieli i ile jeszcze ich czeka.

Nora skinęła głową.

– Teraz proszę wyobrazić sobie Hawksyard. Kobiety siedzą tam nieokreśloną ilość czasu. Nie popełniły niczego niezgodnego z prawem, choć przyznają, że kilka hardych pań bez problemu odnalazłoby się w brytyjskim więzieniu. Ale większość tych kobiet nie popełniła żadnego przestępstwa, może właśnie oprócz tego, że zostały w kraju dłużej, niż pozwalała im na to wiza. Nie było rozprawy. Nie wiedzą, ile będą tam siedzieć, nie mają pojęcia, jaki będzie finał; może tylko tyle, że pewnie będzie gorszy niż samo siedzenie w Hawksyard. Znajdują się w próżni. Każdy dzień jest podarunkiem albo przekleństwem. Przybliżyła je do piekła, od którego próbowały uciec, albo do cudu, dzięki któremu wolno im będzie bezpiecznie pozostać w kraju. Rzadko się to zdarza, ale jednak na tyle często, by się ludzić. Czasami to właśnie nadzieja doprowadza siedzących tam ludzi do szaleństwa – powiedziała Catherine.

– Bardzo filozoficznie pani brzmi, jak na adwokata.

– Prawda?

– Jak to się stało, że zaczęła pani pracować dla Corinne?

– Nie pracuję dla Corinne. Czasami pomagam jej nieodpłatnie, jeśli zachodzi taka potrzeba. Na co dzień pracuję w kancelarii w City, która zajmuje się administracją nieruchomości.

– Jak ją pani poznała?

– Gdyby nie Corinne, moja córka pewnie nie zdałaby egzaminów, o ile w ogóle przebrnęłaby przez ostatnie dni w szkole, mówiąc wprost. Corinne była jej korepetytorką, dużo jej zawdzięczam.

Siedziały przez chwilę w milczeniu, a srebrzysty aston martin puł po autostradzie. Całe szczęście poranny ruch kierował się w stronę Londynu, więc korki były sporadyczne.

– Dobrze – rzekła w końcu Nora. – Szukam pewnej kobiety, która zniknęła bez śladu. Nazywa się Amina Ishmail i nie widziano jej od jakichś dziesięciu dni. Uciekła z Iranu. Wiemy, że szczęśliwie dotarła do Londynu. Zadzwoń stąd do swego brata w Iranie i innej osoby w Londynie, która miała przekazać jej mężowi informację, że przyjechała cała i zdrowa.

Catherine słuchała, nie spuszczać oczu z drogi i klucząc między polskimi ciężarówkami i białymi furgonetkami, wiozącymi robotników na budowy.

– Dlaczego pani uważa, że może przebywać w Hawksyard, skoro ledwo przyjechała? Tam się przecież ląduje dopiero wtedy, gdy minister spraw wewnętrznych podejmie decyzję o deportacji.

Nora opowiedziała o Zainab, która siedziałaby obecnie w Hawksyard, gdyby zależało to od brytyjskich służb imigracyjnych.

– Czyli ma pani teorię, że chodzi o banalną pomyłkę i że znajdziemy Aminę gdzieś w Hawksyard? – spytała Catherine, zerkając na Norę.

– Taa, mam taką nadzieję. Muszę to sprawdzić, choćby tylko po to, by

wykluczyć tę ewentualność. I dlatego, że to jedyny trop, jaki mam – odpowiedziała Nora. – Czy to brzmi niedorzecznie? – spytała po chwili.

Catherine się namyśliła, po czym odparła:

– W pierwszym odruchu odpowiedziałabym, że tak. Oni oczywiście wiedzą dobrze, kto tam siedzi. Ludzie nie łądają w takich ośrodkach przez pomyłkę. Z drugiej strony, mało która osoba ubiegająca się o status uchodźcy ma ze sobą dokumenty, więc opowieść o pomyłonej tożsamości jest najbardziej oczywistym kłamstwem. Tę gadkę policja musiała już słyszeć setki razy. Nie, to nie ja, to ten, co właśnie wyszedł. Czy więc ktoś uwierzy kobiecie, która zapewnia, że jest kimś innym, kimś, komu nie grozi deportacja? Mało prawdopodobne.

– Ale jeśli ona tam jest, to nie przysługuje jej prawo do adwokata? Czy choćby do telefonu, by dać znać mężowi, że żyje?

– Owszem, teoretycznie tak.

– Teoretycznie?

– Tak, teoretycznie ma do tego prawo. Ale kierownictwu Hawksyard brakuje motywacji, by skrupulatnie przestrzegać reguł dla mięczaków. Mogą, na przykład, zdecydować, że któraś z tak zwanych mieszkańek jest trudna czy problematyczna, i z tego powodu umieszczą ją w czymś w rodzaju „pokoju wyciszenia”. Tak to nazywają. W rzeczywistości nie różni się to praktycznie niczym od izolatek w normalnym więzieniu. Proszę zauważyć, że umieszczenie w izolatce podlega pewnym uregulowaniom. Ale nie wyciszenie; według interpretacji Hawksyard prawo go nie obejmuje. Poszczególni pracownicy oceniają, kiedy mieszkaniec się na tyle „wyciszył”, by móc wyjść i aktywnie uczestniczyć we wspólnych zajęciach oraz stanowić część społeczności ośrodka.

– Czyli sądzi pani, że Amina może być w izolatce?

– Ja nic nie sądzę. Mówię po prostu, że mogłoby to wyjaśniać, dlaczego nikt nie miał z nią kontaktu.

– Jeśli znajduje się w pokoju wyciszenia, jak ją w ogóle zobaczymy?

– Wcale jej nie zobaczymy, może pani o tym zapomnieć. Siedzi wówczas za trojgiem drzwi zamkniętych na klucz i nie ma najmniejszej szansy, by z nią porozmawiać czy choćby ją zobaczyć.

– Ale czy w ośrodku potwierdzą przynajmniej, że tam jest?

– Może tak, może nie. To zależy od osoby, która będzie miała dyżur. Niektórzy z nich są skłonni do jakiejś współpracy. Inni to paskudne dupki, mówiąc bez ogródek. Proponuję, że ja się tym zajmę, a pani będzie milczeć i ładnie się uśmiechać. Spróbuję jakoś ogarnąć tę sytuację.

– Dobrze. Ale jak już się tam znajdziemy, co zrobić, by nie narazić pani ani Aminy?

Catherine wzruszyła ramionami.

– Może niech pani pozwoli się oprowadzić i udaje zainteresowanie

ośrodkiem, jak przystało na pilną adeptkę prawa. Jeśli znajdzie się pani z którąś z kobiet na osobności, może pani spytać, czy widziały Aminę. Ma pani jej zdjęcie?

Nora wyjęła telefon i poszukała zdjęcia Aminy w galerii Google. Znalazła niezbyt wyraźną fotkę jej i Manasha, zrobioną podczas uroczystości wręczenia Nagrody Nobla. Amina była ubrana w ciemnozieloną suknię z cekinami i sprawiała wrażenie dumnej i szczęśliwej, a jednocześnie zmieszanej, stojąc u boku męża.

Zrobiła zrzut ekranu i ustawiła fokus na Aminę tak, by Manasha nie było na zdjęciu.

– Teraz mam.

– OK. Może dobrze by było dyskretnie je im pokazać, gdyby nadarzyła się okazja. To niemal pewne, że Amina nie będzie zarejestrowana pod własnym nazwiskiem, skoro mowa o pomyłonej tożsamości. Jak nazywała się ta druga kobieta?

– Zainab.

– Tak, to proszę pytać o nią, używając tego właśnie imienia.

Kiedy Nora majstrowała przy telefonie, ktoś do niej zadzwonił. Andreas.

Odrzuciła połączenie gestem, jakim odpędza się komara. Nie miała ochoty przeprowadzać tej rozmowy w samochodzie i przy słuchaczach.

Trzy sekundy później zabzyczał SMS: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Nie wiem, co mnie napadło. Za dużo stresu. Mogę zadzwonić?”.

Mimowolnie poczuła, że wcale z nim jeszcze nie skończyła.

„Porozmawiamy później”, odpisała, wmawiając sobie, że musi odpowiedzieć; w przeciwnym razie nie przestanie wydzwaniać.

„Kiedy?”, odpisał.

Upewniła się, że telefon ma wyłączony dźwięk, i włożyła go do kieszeni.

*

Jakiś czas później podjechały do punktu kontrolnego w Hawksyard. Przypominał kompleks wojskowy, wyposażony był nawet w białoczerwony szlaban i budkę wartowniczą. Siedział w niej ostrzyżony maszynką dwudziestopięciolatek, który sprawiał wrażenie, jakby cniło mu się za jakąś rozróbą.

Niespiesznie sprawdził coś w komputerze.

Catherine mruknęła półgębkiem:

– I tak jest zawsze. Widzieli mnie już z dwadzieścia razy, ale za każdym razem zaczyna się od początku. Trzeba coś sprawdzić w komputerze, potem muszę pokazać dowód tożsamości i wyjaśnić, z jaką sprawą przyjeżdżam. I tak dalej. Czasami wydaje mi się, że kurza pamięć stanowi tu jeden z warunków zatrudnienia.

Nora stłumiła chichot.

Młody wartownik uniósł wzrok i spojrzął Norze prosto w oczy.

– Miss, poproszę o dowód tożsamości – powiedział zdecydowanie.

Nora pogrzebała w torbie i znalazła prawo jazdy. Przyglądał mu się, jakby musiał literować każde słowo i sprawdzić dokładne wymiary pojazdów, do których kierowania Nora była uprawniona.

Catherine dyskretnie przewróciła oczami, a wartownik znów spojrzął w komputer.

– Tu jest napisane: pani Goldsmidt z asystentem. Czy to pani asystent? – spytał Catherine.

– Dokładnie tak.

Wyglądało na to, że odpowiedź skłoniła go do głębokiej refleksji. A może nie. Po dodatkowych dwóch minutach, których przeznaczenia Nora nie była w stanie odgadnąć, nagle podniósł szlaban i gestem polecił im jechać dalej.

Catherine zaparkowała pod znakiem informującym, że cztery miejsca parkingowe przeznaczone są dla gości. Następnie wysiadła z samochodu, przeciągnęła się i sięgnęła na tylne siedzenie po torbę z dokumentami.

– Dobrze. Oficjalnie jestem tu dlatego, że mam pomóc pewnej kobiecie, Helen Olong, sformułować ostatnią apelację o odstąpienie od decyzji o deportacji. Jej sprawa nie rokuje zbyt dobrze. Za to jest na tyle skomplikowana, że spotkanie z nią może mi zająć czterdzieści minut. W ośrodku zazwyczaj ograniczają długość spotkań do trzech kwadransów, więc tyle czasu ma pani do dyspozycji.

– Niezbyt dużo – stwierdziła Nora, spoglądając na szare budynki.

– Nie. Ale lepsze to niż nic – odparła Catherine oschle.

Następnie wzięła swoją skórzaną torbę i poszły razem do Hawksyard. Główne drzwi otworzyły się z łatwością i zatrzasnęły za nimi z hukiem.

Rozdział 16

Pierwszą rzeczą, na jaką Nora zwróciła uwagę, był zapach. Środki czyszczące, denaturat i nutka... wymiocin? Czyżby ktoś się pochorował?

Rozejrzała się po przygnębiającym holu. Trzy metalowe krzesła z czerwonymi nogami i brązowymi siedziskami stały w rzędzie, kojarząc się z wystrojem pokoju młodzieżowego z lat osiemdziesiątych. Nad nimi znajdowała się tablica z ogłoszeniami, do której przypięte były trzy pinezki. Na jednej z nich wisiał trójkącik białego papieru, zapewne będącego kiedyś jakąś ważną wiadomością, którą brutalnie zerwano i zmięto.

Korytarz prowadził do niewielkiego sekretariatu, gdzie łysy mężczyzna z przyprószonym siwizną żołnierskim wąsem sortował dokumenty. Gdy zapukały do drzwi, przeszył je spojrzeniem ostrym jak nóż. Jednak na widok Catherine jego twarz rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

– Pan John Barnes – powiedziała Catherine, odwzajemniając uśmiech.

Gdy mężczyzna wstał, Nora zorientowała się, że kuleje. Wiele wskazywało na to, że sporą część dorosłego życia spędził w brytyjskim wojsku i że do cywila zabrał ze sobą na pamiątkę jedną czy dwie rany wojenne.

– Pani Goldsmidt – powiedział przyjaźnie, ściskając jej rękę, po czym obrócił się do Nory.

– To moja nowa asystentka, Nora Sand. Jest aplikantką. Proszę ją dobrze przyjąć, żeby nie zrezygnowała z pracy, zanim na dobre ją zacznie. Młodzi są teraz tacy wrażliwi – powiedziała, mrugając bezwstydnie do starego pułkownika.

– Och, pani Sand będzie w najlepszych rękach, przecież pani wie – odparł z udawaną urazą.

– Czym dziś możemy pani służyć?

– Muszę porozmawiać z Olong.

John Barnes pokręcił głową.

– Że też pani daje radę!

– Jest całkiem sympatyczna, jeśli tylko się grzecznie do niej zwraca – powiedziała Catherine.

– Tak, jasne. Co kto lubi – odparł John Barnes dobrodusznie.

– Tylko zastanawiam się, czy mógłby pan pomóc pani Sand. Oczywiście, wzięłam ją ze sobą, bo chciałabym, by docelowo pomagała mi w Hawksyard, i pomyślałam, że może mógłby pan jej opowiedzieć, jak tu wszystko funkcjonuje, może też oprowadzić. Naturalnie tylko jeśli ma pan czas. Wiem, że jest pan zajęтым człowiekiem.

Nora posłała mu promienny uśmiech. Spojrzał na nią z namysłem.

– OK. Da się zrobić, tylko najpierw pójdę po Olong.

Wyszedł z biura, które pieczołowicie zamknął na klucz, i pokuśtykał na

sztynnej nodze do dużej świetlicy.

– Olong! – wrzasnął. Trzy kobiety, pochylone nad niską ławą i pogrążone w rozmowie, skuliły się i spojrzały na niego w milczeniu. – Olong? – zawołał nieco ciszej.

Jedna z kobiet, wysoka i chuda Afrykanka z ciemnozieloną chustą zawiniętą wokół głowy, wskazała na korytarz.

– Jest jeszcze w pokoju? – spytał John Barnes głosem, który nie pozostawiał wątpliwości, że kiedyś zwykł wydawać rozkazy.

– Jest pod prysznicem.

– Idź jej powiedzieć, że ma być gotowa. Ma gościa – zakomenderował. Afrykanka wstała powolnym, płynnym ruchem i spojrzała na niego z przekorą.

– Ja tu nie pracuję.

– Nie, to jasne, że nie pracujesz. Nigdy byśmy cię nie zatrudnili. Streszczaj się! – powiedział John Barnes.

Po pięciu minutach kobieta wróciła w towarzystwie Olong. Była to niska, krępa osoba, patrząca na świat brązowymi oczami, których powieki były tak ciężkie, że wyglądały, jakby przygniatały je wszystkie niegodziwości tego świata. Ze sterczących, mokrych włosów afro woda kapała na robiony na drutach sweter, który sprawiał wrażenie o numer, dwa za małego.

Catherine grzecznie się przywitała, Olong zaś zadowolona się skinieniem.

– Cześć. Mogę zapalić fajkę, zanim zaczniemy? Wydawało mi się, że przyjdiesz dopiero jutro – powiedziała.

Catherine pokręciła głową.

– Lepiej nie, powstrzymaj się, proszę. Nie mamy zbyt dużo czasu.

Bez zbędnych dyskusji weszły do niewielkiego pomieszczenia po lewej stronie oznaczonego jako „pokój spotkań”.

– Dobrze, pani Sand. Proszę za mną – powiedział John Barnes.

– Proszę mówić do mnie Nora.

– Świetnie. Jak widzisz, tu mamy świetlicę. Do południa panuje tu spokój.

– Dlaczego?

– Niektóre jeszcze śpią albo siedzą z dziećmi w pokojach. Inne są w klasach albo u lekarza.

– Ile osób tu mieszka?

– W tym kompleksie siedemdziesiąt. Po przyjęciu nowych to się nieco zmienia.

– Jak właściwie przebiega ta procedura?

Spojrzał na nią krzywo.

– Masz na myśli, kiedy już tu trafią?

Nora kiwnęła głową.

– Słuchaj, czy Catherine w ogóle nic ci nie opowiedziała?

Nora uśmiechnęła się do niego przepaszająco.

– To mój pierwszy dzień.

– Hm. Sprawy tych kobiet są rozpatrywane przez ministerstwo spraw wewnętrznych. Potem zgarnia je policja i przyjeżdżają tutaj. Jeśli trafiają tu nocą, umieszczamy je w pokoju przyjęć, dopóki rano nie przyjdzie personel administracyjny. Ale staramy się w miarę możliwości rejestrować ludzi w godzinach pracy. Tak jest łatwiej dla wszystkich.

– OK. A jak się upewniacie, że trafiła do was właściwa osoba?

– Co masz na myśli?

– Hm, to znaczy... sprawdzacie tożsamość tych ludzi czy coś?

John Barnes pokręcił głową.

– Nie, wychodzimy z założenia, że robi to policja. Przecież nie łapią ich po omacku. Przyjeżdżają tu z dokumentami, każda ze swoją teczką, i zostają wpisane do systemu SecurCorp, gdzie każda z nich otrzymuje swój własny, niepowtarzalny numer identyfikacyjny. Tu nie ma miejsca na przypadek.

– Czyli to niemożliwe, żeby na przykład ktoś tu trafił przez pomyłkę?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie. Niby jak? Moim zdaniem to niedorzeczne.

– Mogę zobaczyć, jak to działa?

John Barnes pokręcił głową.

– Nie mam hasła dostępu, żeby sobie ot tak logować się do systemu. A nawet gdybym miał, nie mógłbym pokazać ci poufnych informacji.

Poszli dalej korytarzem.

John Barnes zapukał do drzwi i otworzył je, nie czekając na odpowiedź. W małym pokoiku stało piętrowe łóżko, przywodzące na myśl kiepskie schronisko turystyczne. Na dolnym posłaniu siedziała kobieta i karmiła piersią. Sprawiała wrażenie zmęczonej i zakrywała się tylko prowizorycznie ręcznikiem przewieszonym przez ramię.

Na podłodze naprzeciwko siedziała inna kobieta, piłując paznokcie.

– Spadaj! Nie nauczyłeś się pukać? – warknęła.

– Przecież pukałem! – oburzył się John Barnes.

– Tak, ale nie poczekałeś, aż ktoś pozwoli ci wejść.

Zamknął drzwi, wzdychając teatralnie.

– Tak to wygląda, gdy w małych pomieszczeniach zamyka się kobiety, które nie mają nic do roboty – stwierdził.

Nora ugryzła się w język.

Poszli dalej. Na końcu korytarza skręcili w prawo i minęli nieco większe pomieszczenie, gdzie na ścianach wisiały dziecięce rysunki. Niektóre przedstawiały domy, szczęśliwe rodziny i słońce. Sielankowe malunki, jeśli nie liczyć czarnych bombowców na niebie, na którym powinny być tęcze

i swiergocące ptaki.

Grupka pięcio-, sześciolatków siedziała w milczeniu, słuchając kobiety czytającej im z ilustrowanej książki w języku farsy, jak zgadywała Nora. Kobieta przez cały czas obracała książkę, żeby pokazać dzieciom obrazki. Wyglądało to na baśń o Sindbadzie Żeglarzu.

– Mogę chwilę posiedzieć z dziećmi? – spytała Nora.

John Barnes pokręcił głową.

– Niestety, nie mogę pozwolić, byś przebywała na terenie ośrodka bez nadzoru. To niezgodne z regulaminem.

– Ale co się może stać?

– Nie odniosę się do tego. Po prostu przestrzegam regulaminu. To znacznie ułatwia sprawę.

Nora ustąpiła.

Poszli dalej, mijając kolejne pomieszczenie, skąd dochodził dziecięcy śpiew.

– Starsze dzieci chodzą do szkoły, uczą je same pensjonariuszki. To dobre zajęcia.

Na końcu kolejnego korytarza znajdowały się trzy krzesła oraz drzwi, na których wisiała tabliczka z napisem: „Poradnia lekarska. Godziny przyjęć poniedziałek–sobota 8.00–12.00”. Na krzesłach nikt nie czekał.

– Lekarz przychodzi dwa razy w tygodniu, we wtorki i czwartki. W pozostałe dni jest tylko pielęgniarka.

– A co, jeśli zachodzi potrzeba wizyty lekarskiej poza godzinami przyjęć? – spytała Nora.

Barnes spojrzął na nią ze zdziwieniem.

– Oczywiście, że nie zachodzi.

Znów zapukał do drzwi, otworzył, nie czekając na odpowiedź, i wszedł do środka.

Pielęgniarka mierzyła ciśnienie młodziutkiej kobiecie, która patrzyła przed siebie, ignorując fakt, że drzwi się otworzyły.

– Barnes, musi pan się nauczyć, że trzeba poczekać, dopóki nie poproszę o wejście – powiedziała stanowczo pielęgniarka.

Barnes przewrócił oczami; w tym samym momencie w kieszeni jego marynarki zaczęła wibrować komórka.

– Chwileczkę – powiedział do słuchawki, po czym spojrzął zdecydowanie na Norę. – Zostań tu, muszę odebrać ten telefon – zakomenderował. Nora kiwnęła głową i Barnes zniknął za drzwiami.

Pielęgniarka spojrzała na nią ostro.

– Nie chcę być nieuprzejma, ale gwarantuję moim pacjentom prywatne konsultacje. Czyli bez widowni.

– Oczywiście – zgodziła się Nora, wyjmując komórkę. – Już sobie idę.

Chciałabym się tylko dowiedzieć, czy ją widziałyście? – Pokazała im zdjęcie Aminy.

Kobieta z mankietem do pomiaru ciśnienia na ramieniu spojrzała na zdjęcie, a potem na Norę i pokręciła głową z powagą.

Pielęgniarka rzuciła okiem na ekran.

– Nie, nie znam jej – powiedziała z lekkim wahaniem.

– Jest pani pewna? Nie ma jej tu?

Unikając jej wzroku, pielęgniarka obróciła się i zaczęła pompować mankiet zacisnięty na ramieniu pacjentki.

– Proszę sobie iść – powiedziała spokojnie.

– Dobrze – odrzekła Nora. Z ręką na klamce odwróciła się do pielęgniarki. – Ma na imię Amina. Istnieją ludzie, którzy ją kochają, szukają jej, a ja staram się im pomóc.

– Proszę iść. Już.

Zanim zdążyła otworzyć drzwi na oścież, stał już w nich Barnes.

– Możemy iść się przywitać z dyrektorem, panem Bendicksem. Chodź ze mną – polecił.

Poszli z powrotem korytarzem przez świetlicę i dalej drzwiami, którymi Nora i Catherine tu weszły. Przecięli niewielki parking i skierowali się do budynku z czerwonej cegły. Znajdował się przy nim szyld z czerwono-białym logo SecurCorp, przedstawiającym asymetryczną gwiazdę, nad którą widniała dłoń ułożona w osłaniającym geście. Na samej górze znajdował się napis „Administracja”.

Noel Bendicks wyglądał identycznie jak na zdjęciu ze strony internetowej, choć na jego ustach nie było nawet cienia uśmiechu, gdy do środka wparował Barnes z Norą. Dyskutował właśnie z muskularnym, ściętym na jeża mężczyzną, który zdecydowanie lepiej prezentowałby się w koszulce futbolowej niż w garniturze, jaki miał na sobie. Na jego czole widniały okulary słoneczne – lustrzanki, przez które wyglądał jak statysta z filmu z Arnoldem Schwarzeneggerem z 1985 roku.

Podniósł wzrok z irytacją, ale na widok gościa uśmiechnął się uprzejmie.

– To aplikantka Catherine Goldsmidt – wyjaśnił Barnes.

Nora przedstawiła się, wyciągając rękę.

Krótko ostrzyżony łypnął na Norę, dając jej do zrozumienia, że ma stąd zmiatać.

Bendicks był bardziej ugrzeczniejszy.

– Dziękuję, Barnes. Właśnie przygotowujemy zebranie z Portlandem. Jestem pewien, że młoda dama jest w dobrych rękach – powiedział.

Barnes w końcu odczytał sugestię i skierował się ku wyjściu, z Norą depczącą mu po piętach.

– Tak, w sumie muszę już wracać do siebie – powiedział i wycofał się z biura, jakby właśnie odwiedził Króla Słońce.

Otworzył drzwi do swego pokoju i wskazał na krzesło postawione dokładnie naprzeciw jego biurka.

– Możesz tu sobie poczekać na Catherine. To nie powinno potrwać zbyt długo – powiedział przyjaźnie.

Następnie usiadł na fotelu za biurkiem i włączył komputer. Chwilę to potrwało, zanim się rozgrzał. Nora wiedziała, że nie ma zbyt wiele czasu. Musiała wrócić do pielęgniarki; ona coś wie.

– Gdzie jest toaleta?

– Czy to nie może poczekać? Muszę cię eskortować, a chciałbym teraz...

– Wróć za trzy minutki, naprawdę muszę pójść – powiedziała Nora, krzyżując nogi, by brzmieć bardziej przekonująco.

Barnes uniósł wzrok.

– No dobrze. Trzy minuty, będę pilnował czasu. Toaleta jest na końcu korytarza, trzecie drzwi od końca po prawej.

Nora pospiesznie udała się do świetlicy. Na niskiej sofie siedziała tam grupka kobiet i wpatrywała się w ekran telewizora, na którym jakiś mężczyzna demonstrował zadanie typu zrób-to-sam przy użyciu wałków malarskich i wiadra. Szybko wyjęła telefon komórkowy.

– Widziałyście ją?

Spojrzało na nią pięć par ciemnych oczu, które po chwili ponownie wpatrzyły się w ekran.

Nora powtórzyła pytanie.

Kobiety uparcie przypatrywały się działaniom radosnego robotnika amatora, jeśli nie liczyć jednej, która ze złością spojrzała na Norę. Spotkały się wzrokiem. Gdy kobieta zobaczyła, że uwaga Nory jest na niej skoncentrowana, powoli skierowała oczy do narożnika pod sufitem.

Nora pytająco uniosła brwi, ale kobieta tylko pokręciła głową i ponownie spojrzała na narożnik. W końcu i Nora to dostrzegła kamerę monitoringową. Ktoś tam pewnie siedział i ją obserwował. Może w dyżurce, może w biurze Barnes'a. Pozostało jej się tylko modlić, by był to jedynie obraz, bez dźwięku.

Szybko wyszła na korytarz i poszła w kierunku toalety. Dwoje drzwi dalej znajdowała się poradnia pielęgniarki i Nora rozumowała, że przy odrobinie dobrej woli mogłaby udać, że zablądziła i wybrała niewłaściwe drzwi.

Gdy Nora weszła, pielęgniarka siedziała sama za biurkiem i wypełniała papiery.

Nora spojrzała na nią.

– Jest pani całkowicie pewna, że nigdy nie widziała Aminy? – spytała cicho.

Pielęgniarka pokręciła głową.

– Nie mogę pani pomóc. Ale może tu znajdzie pani odpowiedź na swoje pytania – powiedziała wysokim, niemal piskliwym głosem, podając Norze broszurę.

– Co? – Nora spojrzała na nią, zdezorientowana.

– Powinna się pani udać do lekarza. Nie jestem w stanie pomóc, ale tu znajdzie pani garść informacji, proszę – powiedziała, wstała i wypchnęła Norę za drzwi.

By zachować pozory, Nora weszła do toalety i usiadła na desce w kabinie. Pielęgniarka dała jej broszurę o chlamydii.

Szybko ją przejrzała. Były tam informacje o możliwościach terapii i źródłach zakażenia. Co to ma, u diabła, znaczyć? Zauważyła go dopiero na ostatniej stronie. Napis drukowanymi literami, podkreślony i opatrzony wykrzyknikiem: FELIXIA!

Kim jest Felixia?

Rozdział 17

Nora nie miała czasu się zastanowić, bo rozległo się pukanie do drzwi toalety.

– Halo? Minęło prawie sześć minut. – To był Barnes.

Spuściła wodę i pospiesznie wyszła.

– Och, nigdy nie byłam za szybka w tych sprawach – powiedziała z przeproszającym uśmiechem.

Barnes coś odburknął.

Gdy wrócili do jego biura, czekała już tam Catherine. Po Olong nie było śladu.

– OK, dobrze, że jesteście, musimy ruszać dalej. Zachowywała się, jak należy?

Barnes ponownie burknął.

– Tia, powiedzmy – odparł.

Catherine pomachała mu na do widzenia i w milczeniu poszły do samochodu, wsiadły do środka i wyjechały przez bramę.

Kiedy opuściły teren Hawksyard, pierwsza odezwała się Catherine.

– Ech, niezbyt to dobrze wygląda z tą Olong. Zostanie wydalona w przyszłym tygodniu na dobre. A ja nie mam możliwości, by to powstrzymać.

– Gdzie zostanie odesłana?

– Południowy Sudan. Problematyczne.

– Od dawna siedzi w Hawksyard?

– Prawie od roku, sporo widziała.

– Widziała Aminę?

Catherine skierowała się na autostradę i włączyła migacz, zanim odpowiedziała.

– Pytałam. Olong nie jest sobą. Bardzo się niepokoi, co się stanie z nią samą. Ale...

Nora spojrzała na nią.

– Ale?

– Wydaje jej się, że jakieś osiem, dziesięć dni temu przyjechała jakaś kobieta z Iranu. Choć to równie dobrze mógł być Irak, nie pamiętała dokładnie.

– To była Amina?

– Nie miałam zdjęcia, więc nie mam pewności. Opisała kobietę o ciemnych włosach i brązowych oczach, która była spanikowana jak sarna w świetle reflektorów. Nieustannie wołała do personelu, że mają zadzwonić do jej męża. W kółko to powtarzała.

– To mogła być ona. Gdzie jest teraz?

– Olong nie była pewna. W pewnym momencie któryś z pracowników

zlitował się nad nią i powiedział, że może zadzwonić do męża. I wtedy okazało się coś dziwnego, stwierdziła Olong, bo kobieta nie miała numeru do męża.

To ma sens, pomyślała Nora. Amina wiedziała przecież tylko tyle, że wyjechał do Wielkiej Brytanii. I mogła nie mieć ze sobą numeru do biura Toma Cravena, kiedy wywlekano ją z domu.

– Ale czy jest jeszcze w ośrodku?

– Olong od tamtej chwili jej nie widziała. Może zamknięto ją w pokoju wyciszenia.

– Ale skoro ją tu wwieźli, to musiała zostać zarejestrowana w ośrodku i figuruje w ich systemie?

Catherine kiwnęła głową.

– Tak sądzę.

– Można uzyskać dostęp do listy osób siedzących w Hawksyard?

– Ot tak sobie nie można. To poufne dane, identycznie jak w przypadku więzień.

W Norze wezbrała fala frustracji. Mogła znajdować się dosłownie parę metrów od celi, w której izolowano Aminę wbrew jej woli? Musi tam wrócić.

– Człowiek nie może przecież tak po prostu zniknąć z powierzchni ziemi. To nie może być zgodne z prawem?

Catherine spojrzała na nią.

– Nie, też uważam, że nie może. To właśnie między innymi z tego powodu wykonuję tu pracę charytatywną. Władze są innego zdania. Albo w każdym razie patrzą przez palce na to, co się tam dzieje, skoro zlecają SecurCorp prowadzenie tego ośrodka.

Catherine wyprzedziła kawalkadę ciężarówek Tesco, jadących do któregoś z wielkich centrów dystrybucyjnych supermarketu, i przez chwilę siedziały w milczeniu.

– Słyszała pani w ośrodku o kimś o imieniu Felixia? – spytała w końcu Nora.

– Nigdy wcześniej nie słyszałam tego imienia – odparła Catherine.

Gdy powoli zmierzały do Londynu, w samochodzie panowało milczenie, a w Norze rosła frustracja.

– Muszę tam wrócić i poszukać Aminy. Mam przecucie, że ona tam jest.

– Będzie trudno – odpowiedziała Catherine. – Kolejne spotkanie mam umówione za pięć dni, poza tym nie wiem, czy uda mi się zabrać panią jeszcze raz. Chciałabym pomóc, ale jestem tam przede wszystkim, by pomóc tym kobietom. Jeśli moje układy z Hawksyard się popsują, odbije się to na nich.

Norze nie było to w smak, ale musiała przyznać jej rację.

– Rozumiem, w czym problem. Czy ktoś inny ma wstęp do ośrodka?

Catherine pokręciła głową.

– O ile wiem, nie. Może któraś z organizacji chrześcijańskich czy tym

podobnych, które mają też wstęp do więzień. Ale już raz się pani przedstawiła jako aplikantka, więc będzie to dziwne, jeśli tydzień później pojawi się tam pani w innej roli – zauważyła.

Nora zgodziła się, że będzie to mało wiarygodne.

Jechały przez chwilę w ciszy, a po jakimś czasie Catherine zajechała pod drzwi Nory. Nora spakowała swoje rzeczy i uśmiechając się, otworzyła drzwi.

– Dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co. Przykro mi, że nie znalazłyśmy Aminy. Ale mam nadzieję, że posunęła się pani choć trochę do przodu.

Nora zamknęła oczy.

– Ja też mam nadzieję. Spyta pani następnym razem o Felixię?

Catherine obiecała, że tak zrobi, po czym wyjechała z powrotem na ulice Londynu, a Nora otworzyła drzwi, poczłapała na górę i klapnęła przed komputerem.

Kto zabrał Aminę? Gdzie była? I dlaczego na prawie całym terenie Hawksyard znajdował się monitoring?

Próbując otrząsnąć się z tych myśli, skupiła się na przygotowaniach do wieczornego przyjęcia urodzinowego. Obecnie niewiele zdziałała, by znaleźć Aminę. Chyba że wpadnie na jakiś genialny pomysł, jak się dostać do ośrodka. Może za to przygotować się do imprezy w Kensington. Sprawdziła pobieżnie, czy jej mała czarna będzie odpowiednia. Wisiała elegancko w garderobie, wciąż w plastikowym worku, odkąd Nora odebrała ją z pralni chemicznej pani Patel. Czerwone szpilki też prezentowały się jako tako.

Przekonywała sama siebie, że dobrze by było wziąć się za research do artykułu o ekonomii futbolu, i już nawet przeglądała tytuły odpowiednich książek na Amazonie, gdy poczuła, jak ogarnia ją zmęczenie. Gdyby tak jeszcze posiedziała z dziesięć minut, zasnęłaby przy biurku.

Wyszła więc z domu i poszła do Starbucksa po kubek mocnej latte, by nie zasnąć.

Po powrocie zasiadła do czytania stosu artykułów o piłce nożnej, ale po chwili zdjęcie jasnowłosego piłkarza o szerokich barach przypomniało jej o Andreasie.

Wyjrzała za okno, zastanawiając się, co począć z Andreasem. Może myliła się, sądząc, że można ot tak wrócić do przeszłości. Przecież w liceum nie byli nawet parą. Nie była wtedy na to gotowa, nie brała takiej możliwości pod uwagę.

Kiedy teraz była gotowa, Andreas musiał wyjechać do Danii. Pod wpływem impulsu chwyciła za telefon i zadzwoniła do niego. Odebrał po dwóch sygnałach.

– Cześć, to ja – zagaiła.

– Nora, cześć – brzmiał, jakby był zajęty. Zabiegany.

Pauza.

– Noro, jestem w pracy, właśnie wybieram się do szefa. Możemy porozmawiać później? – spytał.

– Jasne – odparła i rozłączyła się.

Właściwie nigdy nie przedyskutowali, jak on to sobie wyobrażał po skończeniu kursu w Scotland Yardzie. Pytanie było trudne, a odpowiedź na nie w sposób oczywisty wydawała się niemożliwa. Pracę Nory jako korespondentki w Londynie siłą rzeczy determinował fakt, że znajduje się właśnie tutaj. I właśnie teraz pracodawca Andreeasa wpompował sporo pieniędzy w jego wykształcenie w Scotland Yardzie, by wyszło to na dobre duńskiej policji. A do tego doszli jeszcze Birgitte Policjantka i dziecko.

Wibracje telefonu obwieściły nadejście SMS-a. Był to Enzo, a wiadomość była krótka: „Trening wtorek rano, Primrose Hill”.

Po raz pierwszy tego dnia uśmiech zagościł nie tylko na jej ustach, ale też rozpromienił oczy.

Rozdział 18

Parę godzin później wysiadła z metra w swoim galowym ubraniu.

Już w chwili gdy skręcała w małą, ekskluzywną uliczkę, na której mieszkał Biehl, nie ulegało wątpliwości, gdzie jest impreza. Drzwi były otwarte, a na schodach grupka ludzi czekała na przywitanie przez samego jubilata, który stał w drzwiach między dwiema masywnymi kolumnami, witając się ze wszystkimi.

W tle słychać było delikatny jazz w wykonaniu zespołu, który dyskretnie podtrzymywał imprezową atmosferę. Nora stanęła w kolejce za kobietą, która chwiała się na swoich szpilkach i gniewnie mówiła coś po portugalsku do swego towarzysza. Jej język ciała aż krzyczał, że to przyjęcie w żadnym razie nie spełnia jej oczekiwań wobec piątkowego wieczoru. Przed nią stało dwóch mężczyzn, jakby żywcem wziętych z działu inwestycyjnego Goldmana Sachsa. Całości dopełniały prążkowane garnitury, szyte ręcznie różowe koszule i jedwabne krawaty.

W końcu przyszła kolej Nory.

Erik Biehl był siwawym panem, opalonym i muskularnym w ten charakterystyczny sposób, jaki można uzyskać dzięki godzinom na świeżym powietrzu, spędzonym na polach golfowych i kortach tenisowych. Wokół oczu miał zmarszczki od uśmiechu, a u jego boku stała jasnowłosa kobieta z fryzurą na asymetrycznego pazia, ubrana w zwiewną szatę, kupioną najprawdopodobniej w jednym ze sklepów na Sloane Street, przed którymi stoją ochroniarze.

Jeśli był zawiedziony, że to właśnie ona, a nie Tausen reprezentuje „Globalt”, nie dał tego po sobie poznać.

– Witamy – powiedział, uśmiechnął się ciepło i chwycił jej dłoń obiema rękami, niczym amerykański kandydat na prezydenta, próbujący oczarować wyborców.

Blondynka, która stała nieco głębiej, zaprosiła Norę do dużego salonu, z którego dobiegały dźwięki muzyki.

– Jak dobrze, że mogła pani przybyć – rzekła machinalnie.

Ledwie Nora przekroczyła próg salonu, pojawił się przed nią kelner w białej marynarce i rękawiczkach, trzymając srebrną tacę z lampkami szampana. Wzięła jedną i stanęła pod ścianą, by zrobić rozeznanie.

Salon składał się z trzech poziomów i wychodził na basen pod gołym niebem. Duże, szklane drzwi były rozsunięte i wielu gości stało nad brzegiem basenu, słuchając tria jazzowego, składającego się z rudowłosej kobiety z kontrabasem i dwóch mężczyzn, grających na perkusji i pianinie.

Wszędzie kręcili się kelnerzy z tacami uginającymi się od przekąsek. Jajka przepiórcze z prawdziwym kawiozem, porcyjki homara z płatkami złota i befsztyki Kobe na drewnianych szpikulcach. Tu się na niczym nie oszczędza, skonstatowała Nora. Może to nowy typ cateringu, po tym jak do Kensington wprowadziło się

wielu Rosjan. Widać według dewizy rosyjskich imigrantów celem posiadania oszałamiających pieniędzy jest obnoszenie się z bogactwem przed tymi, którzy mają mniej.

Sącząc szampana, który oczywiście serwowano w kryształowych kieliszkach, rozglądała się za kimś, kto mógłby opowiedzieć jej co nieco o Eriku Biehlu. Może rzuciłby anegdotę o jakimś wydarzeniu z żeglowania czy meczu tenisowego. Coś, co nadałoby artykułowi urodzinowemu nieco swady.

Zaczęła przechadzać się z kieliszkiem w ręce. Zatrzymała się w pobliżu grupki, która słuchała historii o polowaniu na szkockich włościach, kiedy to jakiś idiota imieniem Gordon nie wcelował w jelenia z odległości trzech metrów. Snujący opowieść wręcz nie mógł jej dokończyć, dusząc się ze śmiechu.

Nora szybko przemieściła się dalej i zesza kilka stopni do środkowej części salonu, gdzie duże drzwi tarasowe wychodziły na basen.

– Nora!

Obróciła się za głosem, który, jak się okazało, należał do Duńczyka po trzydziestce w dobrze skrojonym garniturze. Wnioskując po zarumienionej twarzy, nie zadowolił się jednym kieliszkiem szampana. Spotkała go już wcześniej i gorączkowo próbowała sobie przypomnieć miejsce i nazwisko, które pasowałyby do szerokiego, obnażającego zęby uśmiechu, jakim ją obdarował. Stał w grupce czterech mężczyzn w podobnym wieku i ubraniach tak jednolitych, że podejrzenie przypominały uniformy.

Nora uśmiechnęła się uprzejmie, gdy mężczyzna ujął ją pod ramię i delikatnie pchnął w stronę grupki.

– Moi panowie, to Nora Sand, moja rodaczka i dziennikarka.

Trzech mężczyzn skinęło jej z minimalną dozą uprzejmości, wymaganą na przyjęciach, gdzie poznaje się ludzi, których nigdy więcej się nie spotka.

Jeden z mężczyzn wyciągnął do niej rękę.

– Matt. Pracuję z Jacobem. Oczywiście, kiedy w ogóle zdarza mu się pracować – powiedział, patrząc na kolegę zaczepnie.

Jacob. Coś zaczęło jej świtać. Jacob Lund Poulsen. Pracował w jakimś banku inwestycyjnym londyńskiego City i parę razy go cytowała w krótkich materiałach na temat notowań akcji, które czasem zlecał jej Tausen. Rozmawiali ze sobą tylko przez telefon, ale czasami umawiali się, że pójda razem na lunch, choć nigdy nic z tego nie wyszło. Może głównie dlatego, że Norę irytował jego mentorski ton. Jakby przy każdej rozmowie musiała się od początku uczyć wszystkiego o rynku akcji.

Nora obróciła się do niego.

– Jacob!

Podniósł kieliszek w jej stronę.

– Głos w telefonie. – Uśmiechnął się.

Nora posłała mu przepaszający uśmiech.

– Chyba nigdy nie umówiliśmy się na ten lunch...

– Nie ma o czym mówić, byłem bardzo zajęty. Właśnie zostałem awansowany na szefa jednostki zajmującej się akcjami firm farmaceutycznych – odparł Jacob z dumą.

– Brzmi ekscytująco – skłamała Nora, próbując skierować rozmowę na inne tory, nim Jacob na dobre się rozkręci. – Skąd znasz Erika Biehla?

– Jest jednym z głównych klientów naszego banku. Duży inwestor. Szczególnie w obrębie mojej nowej dziedziny – wyjaśnił Jacob, zadowolony, że może wrócić do rozmowy o swojej pracy.

– Znasz go prywatnie? Tak, żeby opowiedzieć mi jakąś anegdotkę, którą mogłabym użyć do artykułu o nim?

Jacob migał się od odpowiedzi.

– Nieee, właściwie nie. Bank zaprosił go kiedyś na wycieczkę na Isle of Wight naszym jachtem. Chodziło o to, żeby nas porządnie wytrzęsło podczas tego rejsu – powiedział.

– I?

Zawahał się, nim odpowiedział.

– Hm. Dostałem choroby morskiej. Jeśli mam być szczery, przez większość czasu zwieszałem się przez reling. Dziś mam spróbować naprawić tę szkodę. Łagodnie mówiąc, nie zrobiłem najlepszego wrażenia.

Nora się uśmiechnęła.

– Nic nie poradzisz na to, że masz chorobę morską. Czytałam, że to ma coś wspólnego z poczuciem równowagi w uszach.

– Zostałem wynajęty po to, by zająć się w szczególności Biehlem ze względu na powiązanie z Danią. A obecnie sprawy wyglądają tak, że ma mnie za żalosego mięczaka, który nie jest w stanie znieść chwili na morzu – rzekł Jacob ponuro.

– Ach, aż tak źle? – rzucił Nora.

Jacob pokiwał głową.

– To twarda sztuka. Myślisz, że jak doszedł na sam szczyt?

– Nie znam go. Miałam nadzieję, że mi trochę pomożesz?

Jacob wziął kolejny łyk i łypnął ponuro w stronę drzwi, gdzie stał Biehl otoczony wianuszkiem gości o wyglądzie rosyjskich mafiosów i ich farbowanych na blond przyjaciółek.

– Dziś nie mam czasu, muszę popracować nad Biehlem. Ale może spotkajmy się jutro o trzynastej w Carlucciu na szybki lunch? – spytał Jacob.

Nora kiwnęła głową i obróciła się twarzą do pomieszczenia. Gdy zerknęła za siebie, grupka mężczyzn znów była zajęta sobą.

Przez następną godzinę próbowała na próżno wyciągnąć coś ciekawego od rozlicznych gości, którzy przybyli tu na cześć Erika Biehla. Dobrze

zakonserwowana kobieta, która, jak się okazało, była niegdyś fińską top modelką, wyjawiała, że ma domek letniskowy w Tisvilde obok Biehlów i że działka jest utrzymana w nienagannym porządku.

Znajomy z banku poinformował Norę, że wielki duński biznesmen jest „fenomenalnym” graczem w pokera, zaś mężczyzna, który przedstawił się jako partner inwestycyjny Biehla, chwalił jego umiejętności w dopinaniu szczegółów kontraktów. Słowem – potworne nudy.

Nora czuła ból w stopach, które subtelnym, acz wściekłym pulsowaniem zaczęły protestować, że zostały wtłoczone w szpilki. Zastanawiała się, jak by tu opuścić towarzystwo, nie zwracając na siebie uwagi. Okazała już zainteresowanie „Globalt” w imieniu Tausena; poza tym nie ulegało wątpliwości, że nie wyciągnie żadnej interesującej historii od tych wszystkich wazeliniarzy, którzy przyszl się napić szampana Biehla.

Postanowiła, że na początek poszuka toalety, i dwie minuty później stała w długim korytarzu na piętrze, próbując dociec, gdzie znajduje się łazienka. Jak na londyńskie warunki dom był gigantyczny; do wyboru miała co najmniej sześcioro drzwi.

Pierwsze prowadziły do pokoju gościnnego. Drugie do dużej sypialni. Poszła dalej, czując się jak złodziej. Jak można nie oznaczyć toalety, gdy do domu przychodzi stu gości? Przecież nie ona jedna, do jasnej cholery, potrzebuje pójść do łazienki.

Trzecie drzwi prowadziły do garderoby, która przyprawiłaby Imeldę Marcos o rumieniec zazdrości. Nora zajrzała do skarbca z butami. To naprawdę Blahnik? Gucci? Louboutin? Nie mogła się powstrzymać, by nie wejść do środka i przyjrzeć się im wszystkim. Może to właśnie tutaj znajdzie jakąś anegdotę?

Gdy tylko weszła do środka, usłyszała kroki na schodach i pospiesznie zamknęła za sobą drzwi. Światło zgasło. Odgłos kroków nie umilkł, dopóki nie znalazł się tuż obok niej. Wtedy usłyszała, jak dzwoni komórka.

– *Yes?*

Nora od razu rozpoznała głos Erika Biehla i już po tym jednym słowie zorientowała się, że jak na człowieka, który doskonale bawi się na przyjęciu, jest silnie zirytowany.

– Nie chcę słyszeć o problemach. Chcę słyszeć o rozwiązaniach – powiedział nieskazitelną angielszczyzną.

Nora zachichotała złośliwie w ciemności. Cóż za banał. Zaraz pewnie powie coś o nieszablonowym myśleniu.

Ale Biehl nie doszedł jeszcze do puenty w rozmowie z osobą po drugiej stronie słuchawki.

– Powiedziałem: nie chcę słyszeć o problemach. Za dużo pieniędzy władowaliśmy w PharmaCorp, by się teraz użerać. Rozwiąż to. W tym tygodniu.

Zrozumiano? – powiedział, tłumiąc wściekłość.

Wstrzymała oddech w nadziei, że nie najdzie go nagła ochota, by sprawdzić kolekcję butów żony.

– I bez dobrych wieści do mnie nie wydzwaniał – warknął.

Biehl najwidoczniej przerwał rozmowę i poszedł dalej w kierunku dwojga drzwi, których Nora nie zdążyła sprawdzić. Usłyszała, jak jedne z nich się zamykają, i szybko opuściła garderobę. Wychodząc na korytarz, natknęła się na jednego z asystentów Biehla, który spojrzął na nią ze złością.

– Co pani tu robi?

– Toaleta? – spytała.

Wskazał na dół ze zjadliwym uśmiechem.

– Toaleta dla gości jest w holu. Wyraźnie oznaczona.

– Przepraszam, mój błąd. – Nora uśmiechnęła się przepraszająco i wymknęła się na dół, czując na karku jego kłujące spojrzenie.

Weszła do niewielkiej toalety dla gości i pobyła w niej przez chwilę, zanim otworzyła drzwi. Gdy wyszła do holu, asystent tam stał i patrzył na nią milcząco.

Nora poszła ponownie do salonu i by zachować pozory, zrobiła kolejną rundkę, po czym wróciła do holu. Asystenta nie było i wyszła bez pożegnania.

Po powrocie do mieszkania nastawiła wiadomości i usiadła na sofie z włączoną komórką.

Obudziła się o wpół do czwartej z prążkami od poduszki odcisniętymi na twarzy i powlokła się do łóżka.

*

Bezzałogowa kolejka Docklands Light Railway przetransportowała Norę gładko na Canary Wharf. Wychodząc na duży plac, zderzyła się z licznymi sobotnimi zakupowiczami w drodze do galerii handlowej. Plac zdominowany był przez neon Thomsona-Reutersa, który wielkimi literami wyświetlał kursy akcji, przypominając bankowcom, którzy wyściubili nosy z pobliskich biur na czas lunchu, że czas to pieniądz, nawet w weekend, jeśli się ma ambicje robienia kariery w londyńskim międzynarodowym świecie bankowym.

Nora znalazła stolik na zewnątrz w Carlucciu, zamówiła san pellegrino i oparła się, wygrzewając w słońcu i czekając na Jacoba. Spóźnił się dziesięć minut i gdy usiadł, sprawiał wrażenie nieco wymiętego.

– Przepraszam – powiedział jak automat i gestem wezwał kelnera. – Mam dwadzieścia minut, potem muszę wracać do biura, bo mam telekonferencję z Tuluzą.

– OK, długo wczoraj zostałeś?

Jacob zrobił grymas.

– Wyszliśmy około dwudziestej trzeciej, ale z paroma kolegami poszliśmy

jeszcze do baru w Soho.

Nora uniosła brwi.

– Rozumiem, że Biehl wam nie towarzyszył?

Jacob się zaśmiał.

– Dobrze rozumiesz, przecież tam była jego żona. Ale słyszy się to i owo – powiedział.

– To i owo?

– Tak, to znaczy... – zaczął Jacob i ugryzł się w język. – Nie mogę o tym mówić. Bankowcy mają swój własny kodeks honorowy – oświadczył z patosem.

Nora omal nie zakrztusiła się wodą mineralną.

– Serio?

– No tak. Taki, który dotyczy ludzi w ich własnych szeregach.

– Może jakaś podpowiedź? Oczywiście nie ujawnię, że wiem coś od ciebie. Ale naprawdę potrzeba mi czegoś, by o nim napisać. Czegokolwiek, wszystko będzie naprawdę pomocne – zaapelowała.

Zjawił się kelner, dając Jacobowi czas potrzebny do namysłu. Nora zamówiła saltimbocę, zaś Jacob poprosił o sałatkę.

– Trenuję do maratonu – wyjaśnił.

– Co możesz mi opowiedzieć o Biehlu? Jesteś chyba w stanie zapodać mi coś ciekawego? – spytała Nora.

Jacob ociągał się z odpowiedzią.

– Lubi imprezować.

– A kto nie lubi?

– Lubi imprezować z młodymi dziewczynami. Naprawdę się rozkręca, kiedy...

– To wszystko?

Jacob spojrział na nią z zaskoczeniem.

– To nie wystarczy?

– Yyy, czytałeś „Globalt”, prawda?

– Taak, parę razy. Czytam przede wszystkim „Financial Times”, bo to konieczne w mojej...

– Tak się tylko upewniam, byś sobie nie pomyślał, że pracuję dla plotkarskiej gazety.

– Nie, nie, oczywiście, że nie.

Przyniesiono jedzenie i Jacob rzucił się na swoją sałatkę, zaś Nora zabrała się do fileta z cielęciny.

– Jak wyglądają jego finanse? Naprawdę jest tak bogaty, jak się powszechnie uważa? – badała Nora.

Jacob pobladł nieznacznie.

– Co słyszałaś?

– Nic. Ale to kwestia tego, jak chce się być postrzeganym. Może zdarzyło mu się źle zainwestować, co ja tam wiem. – Próbowała nadać głosowi możliwie obojętny ton.

Jacob wbił oczy w sałatkę, unikając jej wzroku.

– Nie mogę podać ci szczegółów o inwestycjach naszych klientów. To jest powodem do zwolnienia. Bank mógłby mnie pozwać – powiedział z napięciem.

Nora kiwnęła głową.

– Jasna sprawa. Ale może mógłbyś mnie naprowadzić, podać jakiś trop, którym mogłabym się udać?

Jacob namyślał się chwilę, ale pokręcił ze smutkiem głową.

– Nie, nie da rady.

Nora starała się ukryć irytację.

– Ale Jacob, przecież sam zaproponowałeś, żebyśmy się spotkali na lunchu. Miałeś chyba jakiś plan, co chcesz mi opowiedzieć, czy jak?

– Taak, to o imprezach.

– Ale to jest po prostu za wątle. Może sam byłeś na którejś z takich imprez i mógłbyś mi zdać jako naoczny świadek relację o czymś kontrowersyjnym, co się tam działo?

Jacob pokręcił głową, zniechęcony, udając, że usiłuje coś sobie przypomnieć.

– Kiedyś, zdaje się, wynajął helikopter, by polecieć do swojej wiejskiej posiadłości po wino do kolacji. To chyba dość ekstrawaganckie – rzucił.

– Podasz mi datę, jakieś bliższe okoliczności?

– Nie, słyszałem tę historię od swego poprzednika, Bena. Nie znam szczegółów.

– Jacob, powiedz szczerze, dlaczego ja tu jestem? O co w tym chodzi?

Jacob uśmiechnął się głupawo.

– Wyniki.

– Wyniki?

– Tak. Mamy taki system w biurze, że dostaje się dodatkowe punkty, jeśli zacytują cię w prasie. Dla firmy to darmowa reklama, no i liczy się to podczas przyznawania premii, więc pomyślałem, że...

Skończony idiota. Nora kroila jedzenie wściekłymi ruchami, myśląc o tysiącu innych rzeczy, którymi mogła się zająć tego przedpołudnia, zamiast na próżno wlec się do Docklands. Wzięła głęboki wdech z równie głębokim postanowieniem, że wykorzysta sytuację, jak tylko się da.

– Dobrze, Jacob. Jest, jak jest. Ale skoro już tu jestem, mogę ci powiedzieć, że pracuję nad artykułem o przemyśle medycznym, więc może będziesz mógł mi podać do niego parę cytatów? – spytała.

Jacob uśmiechnął się z ulgą.

– Właśnie na coś takiego liczyłem.
– Wyobrażam sobie – stwierdziła oschle Nora.
– Co chcesz wiedzieć? Mam pięć minut do wyjścia – powiedział Jacob, zerkając na swój gigantyczny platynowy zegarek.

Nora dopiła wodę.

– PharmaCorp. Co o nich wiesz?

Nieufność powróciła na oblicze Jacoba szybciej, niż zdążyły się zmienić kursy akcji na tablicy świetlnej za jego plecami.

– Dlaczego właśnie oni?

– Och, słyszałam różne pogłoski – odparła Nora, machając ręką.

– Chodzi o ich nowy produkt?

Nora nie odpowiedziała, niech sobie myśli, co chce.

– Zaczynij od początku – rzekła.

– Amerykańska firma. Założona w latach trzydziestych, sukces zawdzięcza patentowi na tabletki od bólu głowy. Potem pojawiły się inne produkty: leki na nadciśnienie i psychotropy.

– Słyszałam o jakichś ich produktach?

Jacob wymienił parę nazw, które nic Norze nie mówiły. Tak rzadko zażywała lekarstwa, że kiedy czasem potrzebowała leku przeciwbólowego, nie mogła sobie przypomnieć, gdzie położyła pudełko. A kiedy już znajdowała, okazywało się, że lek jest przeterminowany.

– To duża firma?

– Kiedyś byli trzecią co do wielkości firmą medyczną, ale w ciągu ostatnich pięciu lat odnotowali regres. Żadna z ich R&D, prac naukowo-badawczych, nie znalazła przełożenia na żaden znany lek. Mówi się, że jeśli wkrótce nie wynajdą czegoś dużego, to ich akcje polecą na łeb na szyję i będą musieli sprzedać co bardziej lukratywne spółki córki koncernu. W tej chwili nie rekomendujemy kupna akcji PharmaCorp. Z drugiej strony nie doradzamy też ich sprzedaży.

– OK, ale to widać gołym okiem. Ta wiedza jest powszechnie dostępna, prawda?

Jacob skinął głową.

– Owszem. Ale chodzą słuchy, że szykują jakiś przełomowy produkt. Jakąś nową viagrę.

– Czyli lek na potencję?

– Nie. Po prostu produkt, który zrewolucjonizuje rynek tak jak viagra. Za który wszystkie światowe systemy opieki zdrowotnej będą gotowe zapłacić okrągłą sumkę.

– Co to takiego?

Jacob wzruszył ramionami.

– Nikt tego nie wie. Czy raczej nikt spoza firmy. Wszystko trzymają

w ścisłej tajemnicy w obawie przed konkurencją, ale też dlatego, że dopóki oficjalna informacja nie wpłynęła na londyńską giełdę i nikt inny nie zważał newsa, będą mieli duży wpływ na kursy akcji.

Nora z namysłem kiwnęła głową.

– Czyli to oznacza, że jeśli wiedziałoby się o tym produkcie i na przykład kupiło akcje, zanim pojawi się na rynku, to będzie to wykorzystywanie poufnych informacji?

– Coś w tym stylu – przyznał niechętnie Jacob. – W każdym razie wkrótce napięcie zostanie rozładowane. Pod koniec tygodnia zostaną opublikowane wyniki półroczne i czekamy, czy pojawi się jakiś sygnał o rezultatach testów klinicznych – powiedział.

Odchrząknął, wyjął portfel i położył na stole calutką pięćdziesięciofuntówkę.

– Muszę już lecieć. Zajmiesz się rachunkiem?

Nora przycisnęła banknot doniczką z rozmarynem i dała znać kelnerowi, że są gotowi do wyjścia.

Jacob wstał.

– Było bardzo miło. Mam nadzieję, że uda nam się znów porozmawiać – powiedział.

Nora zdobyła się na uprzejmy, profesjonalny uśmiech, niczego nie obiecując.

– Miłej pracy.

*

W domu w Belsize Park zabrała się do wyszukiwania informacji o SecurCorp. Ta międzynarodowa spółka z główną siedzibą w Teksasie musiała załatwić sobie wyjątkowo dobry kontrakt z brytyjskimi władzami. Firma prowadziła nie tylko ośrodek pobytowy Hawksyard, ale również cztery więzienia w imieniu Służby Więziennej Jej Królewskiej Mości.

Norze świtało coś o skandalu z urządzeniami monitorującymi umieszczonymi na kostce skazanego, które nie działały z powodu awarii oprogramowania. W rezultacie okazało się, że nikt w administracji państwowej nie dopilnował, czy prywatna spółka wywiązuje się z kontraktów.

Sprawdziła to w Google. Sprawa wyglądała gorzej, niż pamiętała. „The Independent” ujawnił, że co najmniej jeden skazany gwałciciel ponownie dopuścił się przestępstwa po awarii urządzenia, którego nikt nie skontrolował. Rząd powołał komisję, by wyjaśniła, gdzie leży błąd, ale z jakiegoś powodu SecurCorp nie straciło kontraktu. Zapewne kwestie ekonomiczne. Nikt nie zrobiłby tego taniej, pomyślała.

Z torby rozległ się stłumiony dźwięk komórki. Nora wyciągnęła ją i spojrzała na ekran przed odebraniem. Andreas. OK. Zaczerpnęła powietrza.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć – odparł cicho.

Przez chwilę słuchali swoich oddechów. Potem Andreas zaczął:

– Noro, rozmawiałem z Birgitte. Jestem ojcem, nie ma wątpliwości.

Nora wydała z siebie mimowolny okrzyk.

– To było oczywiście, zanim pojechałem do Londynu. Strasznie się pokłóciliśmy, wypiliśmy trochę wina i... nie ma się czym chwalić – powiedział.

Na samą myśl w Norze aż się coś przewróciło.

– Nic nie mówisz? – spytał Andreas.

– A co mam powiedzieć?

– Nie wiem. Może powiedz, jak się czujesz. Jak sobie z tym poradzimy?

– Skąd mam wiedzieć? To przecież ty będziesz ojcem, prawda? Pewnie sam coś sobie myślisz?

Słyszała, jak bierze głęboki wdech.

– Nora, tak mi przykro. Może przyjechałbym na weekend, żebyśmy to omówili?

– Nie – powiedziała szybko.

– Co masz na myśli, mówiąc „nie”?

– Mam na myśli: nie, pracuję.

– Nie sądzisz, że to na tyle ważne, byśmy to poukładali?

– Co to znaczy poukładali?

– No, wszystko!

Teraz przyszła kolej na nią, by wziąć głęboki wdech. Gdzieś poza rejonami gadziego mózgu dobrze wiedziała, że zachowuje się irracjonalnie. Że Andreas rzeczywiście próbuje wszystko poukładać. Ale w tej chwili widziała przed sobą tylko Andreama i Birgitte Policjantkę. Razem, z małym dzieckiem.

– Andreas, nie mogę teraz – powiedziała, siłąc się na spokój.

– Aha. Cóż, muszę to uszanować. Mam zadzwonić jutro?

– Daj mi trochę czasu.

– OK. – Miał smutny głos. – Tęsknię za tobą – powiedział cicho.

Nie potrafiła odpowiedzieć, że ona też. Jakby w jej gardle siedziała wielka, brzydka czarna ropucha i wszystko, co wydobywało się z jej ust, było mroczne i złe.

– Do widzenia, Andreas – powiedziała, rozłączając się.

Chcąc otrząsnąć się po rozmowie, zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu notesu z zapiskami z rozmowy z Esther. Podkreśliła dwa słowa: „wniosek półoficjalny”. Czyżby brytyjskie władze zwróciły się do Iranu o informacje, czy Aminę odesłano z powrotem? Jeśli tak, to dlaczego? Chyba kontrolują, kogo odesłali do Iranu, a kogo nie.

Spróbowała najpierw dowiedzieć się czegoś w ministerstwie spraw wewnętrznych, które standardowo rozpatruje sprawy azylu. Ale jak zwykle

uzyskanie odpowiedzi podczas rozmowy telefonicznej było praktycznie niemożliwe. Niezwykle uprzejmy pracownik zajmujący się kontaktami z prasą wyjaśnił, że ministerstwo nigdy nie wchodzi w szczegóły ani nie komentuje spraw indywidualnych osób.

Nora odniosła się do ustawy o wolności informacji, brytyjskim prawie o jawności informacji w administracji, i dowiedziała się, że jak najbardziej może złożyć wniosek. Uprzejmy pan był nawet na tyle pomocny, że podał Norze adres mailowy, na który miała do poniedziałku wysłać swoje zapytanie.

– Czas na rozpatrzenie wniosku wynosi od pięciu do sześciu tygodni. Nie liczylibym na wiele – powiedział z chłodną uprzejmością, która jest wizytówką brytyjskich urzędników państwowych.

Po odłożeniu słuchawki Nora zakłęta w duchu, ale dla porządku napisała mail z wnioskiem o wgląd w akta. Wiedziała dobrze, że ma minimalne szanse, bo istniało mnóstwo obostrzeń, którymi władze mogły się zasłaniać. Względ na pozycję rządu w negocjacjach. Względ na inne kraje. Koszty dostarczenia informacji. Powodów, dla których wieko tego garnca ze słodkościami powinno pozostać zamknięte, doprawdy nie brakowało.

Po chwili namysłu zadzwoniła do Julesa. Był pracownikiem organizacji działającej na rzecz praw człowieka i już kiedyś z nim pracowała przy okazji materiału o dzieciach uchodźców.

Jules był w domu; w tle słyszała śpiew dzieci, gdy podszedł do telefonu nieco zdyszany i z zadowoleniem oznajmił:

– Właśnie jemy tort. Mój syn ma urodziny, kończy cztery lata – wyjaśnił.

Jednak jego głos szybko spowaźniał, gdy Nora wspomniała o Hawksyard.

– Cóż, nie mam z nimi dobrych doświadczeń – powiedział Jules ponuro.

– Co masz na myśli?

– Poczekaj sekundkę, wyślę ci raport. Ukaże się w przyszłym tygodniu, więc nie jest jeszcze gotowy, ale jestem pewien, że Erica nie będzie miała nic przeciwko, że ci go udostępniam. Jako materiał uzupełniający. I nie wolno ci niczego napisać, zanim go opublikujemy, dobrze?

– Jasne, dziękuję. I smacznego tortu!

– Nie ma za co. Dzwon w razie czego.

Nora weszła na maila i otworzyła PDF-a, lektura nie zapowiadała się przyjemnie. Czterdzieści dwie strony. Wcisnęła polecenie drukowania i poszła do kuchni zrobić sobie kawę.

Gdy wróciła, kartki wały się bezładnie na podłodze. Przekląła drukarkę, obiecując sobie po raz dwudziesty, że najwyższy czas rozejrzeć się za modelem bardziej skłonny do współpracy. Jednak z jakiegoś powodu miała zadziwiająco umiejętność zapominania właśnie o tym. Aż do kolejnego razu, gdy drukarka odmówi współpracy.

Kawa zdążyła wystygnąć, gdy Nora była pogrążona w lekturze o Hawksyard. Raport zaczynał się stwierdzeniem, że zebranie informacji od naocznych świadków było prawie niemożliwe. Podobnie jak wszyscy inni, organizacja miała trudności z dostępem do ośrodka. Zaś większość mieszkańców nie wróciła na łono brytyjskiego społeczeństwa, więc nie można było przeprowadzić z nimi wywiadu na temat warunków za murami Hawksyard. Wysyłano ich prosto do krajów, z których przybyli: Nigerii, Jamajki, Ghany i długiej listy innych, gdzie wytropienie ich było praktycznie niemożliwe.

Poczyniwszy te spostrzeżenia, autorka raportu, Erica, skonkludowała, że „oznaki systematycznego naruszania” praw pensjonariuszek występowały praktycznie codziennie.

Spektrum skarg rozciągało się od szykan w postaci wchodzenia do pokoi bez pukania po oskarżenia o bezpośrednie wykorzystywanie seksualne mieszkanek w zamian za ich lepsze traktowanie. Nora nie miała trudności z wyobrażeniem sobie pierwszego, ale to drugie?

Erica podkreślała, że żadnego z poważnych oskarżeń o wykorzystywanie seksualne nie można było zweryfikować, gdyż koniec końców było to słowo przeciwko słowu i że wiele kobiet, które miały paść ofiarą wykorzystywania, prawdopodobnie zostało odesłanych do domów. Jednak raport odnotowywał również, że historie brzmią zdumiewająco podobnie.

„Nazwisko i kraj pochodzenia ofiary zostały utajnione ze względu na jej bezpieczeństwo. Mowa o dwudziestoczteroletniej kobiecie z zachodnioafrykańskiego kraju. Kobieta opowiada, że zaproponowano jej, że w Hawksyard przyjrzą się jej papierom, jeśli ona zechce wyświadczyć personelowi „małą przysługę”. Następnie kobieta opowiedziała o tym wydarzeniu opiekunowi społecznemu. Gdy ten skonfrontował się z Hawksyard, personel zaprzeczył, jakoby epizod w ogóle miał miejsce, i tłumaczył, że opowieść kobiety jest ostatnią desperacką próbą uniknięcia deportacji. Hawksyard poinformował poza tym, że kobietę odesłano trzy dni wcześniej, przedkładając na dowód odpowiednie dokumenty. Odnalezienie kobiety w jej ojczyźnie było niemożliwe; wyglądało na to, że zaczęła się ukrywać. Udało się skontaktować z rodziną kobiety przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż, ale rodzina twierdzi, że nie widziała jej od czterech lat”.

Nora przeczytała jeszcze dwie prawie identyczne relacje i pomyślała o władcym, acz wyjątkowo poprawnym Johnie Barnesie. Wydawało się to absurdalne, że miałby stać na czele sekszangru, wykorzystującego kobiety, którym odmówiono azylu. A SecurCorp było profesjonalną firmą, światowym koncernem. Narazanie się na takie ryzyko nie miało sensu.

Nora czytała dalej. O tym, że oferty składano zawsze kobietom, które przybywały do ośrodka same, to znaczy bez dzieci. O tym, że niepokojący jest brak

dostępu organizacji działających na rzecz praw człowieka do Hawksyard, i o tym, że nie można tam zjawić się z niezapowiedzianą wizytą, by skontrolować warunki, w jakich przebywają w ośrodku dzieci. Kwestię tę już wcześniej skrytykował brytyjski ombudsman, ale najwidoczniej nie skłoniło to władz ani SecurCorp do zmian praktyk czy choćby podjęcia tematu.

Nora odłożyła raport i sprawdziła sprawę w internecie. Konflikty w Hawksyard omawiało wcześniej kilka lewicujących gazet, ale po kilku dniach historia umarła śmiercią naturalną. Nastroje społeczne pozostawały nieczułe na dolę jakichś tam dzieci, których rodzice przebywali w kraju nielegalnie. Niech zapłacą za grzech rodziców.

Rozsiadła się na sofie i doczytała ostatnią część raportu, w którym skupiono się na tak zwanych pokojach wyciszenia. Również tym razem Erica jako autorka raportu musiała przyznać, że wiedza na temat tej praktyki jest mało dostępna, jako że SecurCorp nie chciało poinformować, co dokładnie dzieje się w tych pomieszczeniach. Podejrzała jednak, że można je porównać do izolatek o zaostrowym rygorze, z której to metody dyscyplinującej SecurCorp zasłynęło w prowadzonych przez siebie brytyjskich i amerykańskich więzieniach. Więźniowie byli tam zamykani nawet na dwa tygodnie bez żadnego kontaktu z ludźmi, bez możliwości lektury i jakiegokolwiek formy rekreacji, jeśli nie liczyć codziennego, godzinnego spaceru po dziedzińcu. W samotności. Była to tortura psychiczna, puentowała Erica, odsyłając w przypisach do licznych badań, które ostro krytykowały tę praktykę: „A przecież mowa o więzieniach i skazanych przestępcach. W tym zaś przypadku chodzi o strauumatyzowane kobiety, stojące w obliczu deportacji”.

Londyn powoli otulał zmierzch, gdy do Nory dotarło, że jest głodna. Podeszła do lodówki i wlepiła wzrok w świecące pustkami półki. Wpatrywanie się w słoik korniszonów, butelkę z sokiem z tamaryndowca i kawałek sfatygowanego sera Jarlsberg nie przełożyło się na kulinarną inspirację.

Wzdychając głęboko, wzięła torbę i poszła do Marksa & Spencera, gdzie zrobiła zakupy bez specjalnego planu: jogurt morelowy, banany, chleb na zakwasie, mleko, jajka i szynkę. Gdy wróciła do domu, wystarczyło akurat na skromną croque madame, ale już na nic innego. Wypiła słodką herbatę z mlekiem, próbując ostrożnie przemyśleć temat Andreasa. Ale nic z tego nie wyszło. Natychmiast pojawiały się przed nią obrazy jego i Birgitte, więc szybko włączyła telewizję. Znalazła program newsowy na BBC2, gdzie jacyś ludzie rozwlekłe debatowali o propozycjach rozwiązania ostatniego konfliktu na Bliskim Wschodzie. Żadne z rozwiązań nie sprawiało wrażenia wykonalnego czy realistycznego.

Ziewnęła i sprawdziła telefon. Była tam wiadomość na WhatsAppie. Od Toma Cravena: „Hej, piękna. Widzimy się jutro o 19.00. Przyjdź punktualnie”.

Mimowolnie się uśmiechnęła.

„Nie mówiłam, że przyjdę”, odpisała.

„Nie. Ale przyjdiesz”, odpowiedział od razu.

„Zobaczymy”, napisała.

„*Come on*. To tylko kolacja. Kiedy ci się trafi taka szansa?”.

Odłożyła telefon, nie odpisując, i pod wpływem impulsu poszła do komputera, by poszukać w Google słowa „Felixia”. Odpowiedź pojawiła się po 0,2 sekundy. Siedem tysięcy wyników dotyczyło brazylijskiej modelki bikini, zaręczonej z kierowcą rajdowym.

Rozdział 19

Nora obudziła się, bo zimny pot szczypał ją tuż u nasady włosów. Znów sen o Hiksie. Znów stała jak wryta w małej kuchni, a on wymachiwał nożem tuż przy jej szyi. Wiedziała, że trafi prosto w tętnicę, ale stopy miała przyklejone do podłogi. Nie mogła poruszyć się ani o milimetr, czekając na własną egzekucję.

Budziła się zawsze w chwili, gdy jego twarz była bardzo blisko, a jego puste, czarne oczy spoglądały w jej oczy. Wówczas w kuchni nawet jej nie zaatakował i Nora odpuściła już sobie wyjaśnianie, dlaczego jej podświadomość podsuwała ten właśnie nieprzyjemny scenariusz. Jednak za każdym razem gdy śniła ten sen, wykonywała ten sam rytuał: siadała przy komputerze, wyszukiwała Hixa w Google i na pierwszym miejscu zawsze pokazywała się jej historia o tym, że siedzi zamknięty na cztery spusty w najlepiej strzeżonym więzieniu w Wielkiej Brytanii. Oczywiście, że nigdy już nie wydobędzie się na wolność.

Czuła, jak puls wraca do normalnego tempa, i poszła wziąć prysznic, by splukać z siebie pozostałości strachu. Wycierając się, włączyła wiadomości. Leniwy strumień newsów niedzielnego poranka pomógł jej się wyciszyć. Ubrała się, wlała jogurt do kubka, dosypała garść płatków kukurydzianych i zabrała się do sprawdzania maili.

Szlag. Krabowi spodobał się jeden z podsuniętych przez nią pomysłów i teraz większość dnia spędzi na rozgryzaniu walki o fotel burmistrza Londynu do dużego artykułu analitycznego. Nic na to nie poradzi. Zerknęła na zegarek; może starczy jej czasu na poszukanie czegoś więcej o Hawksyard.

Weszła na maila, by odpisać Julesowi i poprosić go o numer do Eriki. Ale jego wczorajszego maila z raportem nie było. Nora zmarszczyła brwi. Znowu! Coś jest nie tak. Zdecydowanym ruchem wzięła telefon i zadzwoniła do działu IT gazety. Dyżur weekendowy miał Boris.

– Mówi Nora Sand.

– Cześć – powiedział z wahaniem, sprawdzając ją w komputerze. Wraz z kumplem Victorem obsługiwali pracowników trzech miesięczników i tygodnika w małym, ciasnym biurze na tyłach „Globalt”.

– Dobrze, Sand, mam cię. Wal śmiało! – powiedział.

– Może to dziwnie zabrzmiało, ale zawieruszyły mi się co najmniej dwa maile w ciągu paru dni. Możesz sprawdzić, co się stało?

– Hm, z całym szacunkiem, ale czy to możliwe, że sama je skasowałaś? Takie rzeczy się zdarzają – powiedział Boris pedagogicznym tonem, który wymagany jest przy odpowiadaniu na pytania, poczynawszy od tego, jak się włącza komputer, a skończywszy na optymalnych sterownikach do arkuszy kalkulacyjnych.

– Wydaje mi się, że nie – odparła Nora i opowiedziała o mailu od Andreasa,

który widziała w telefonie, oraz mailu z wczorajszego popołudnia.

– Hm – powtórzył Boris. Słyszała, jak stuka palcami w klawiaturę. – Sprawdźmy wczorajszy mail. Mniej więcej o której go dostałaś?

– Zdaje mi się, że jakoś koło szesnastej.

– Niech sprawdzę. Komputer wszystko pamięta. Nawet jeśli tego nie widać gołym okiem, zawsze zostają ślady tego, co się robiło. Potrzebuję na to pół godziny. Oddzwonię do ciebie.

– Dobrze.

Boris oddzwonił, gdy zdążyła wypić jedną czwartą mocnej herbaty earl grey z mlekiem.

– Łatwo nie było, ale znalazłem twój mail – oznajmił.

Ogarnęła ją ulga, ale nie trwała zbyt długo.

– Następnym razem bądź ostrożniejsza, dobrze? – powiedział Boris wesoło i sprawiał wrażenie, jakby chciał odłożyć słuchawkę.

– Co masz na myśli?

– No, że sama go usunęłaś wczoraj wieczorem.

Nora poczuła nagły chłód na karku.

– Nie, nie usunęłam.

Nastąpiła dziwaczna pauza. Nora słyszała w głosie Borisa jawny sceptycyzm.

– Owszem, skasowałaś go. O 19.23. Najpierw przeniosłaś go do kosza, który potem opróżniłaś. O 19.34. Mam tu wszystko czarno na białym. Twój własny login. I widzę nawet, że kiedy to robiłaś, nie było cię w redakcji. Zgaduję, że byłaś w domu w... niech sprawdzę... północno-zachodniej Kopenhadze.

Nora przełknęła ślinę.

– Boris, od czterech dni jestem w Londynie.

– Co? – Słyszała, jak ton jego głosu w ciągu kilku sekund przechodzi od zrelaksowanego w spanikowany. – Ale został użyty twój własny login i w ogóle! Nasz system potrójnych zabezpieczeń! Komu dałaś swój login?

– Nikomu – odparła Nora.

– *Shit!*

Słyszała, jak mocniej wali w klawisze, jakby miało to w czymś pomóc.

– OK. Kasuję twój login. Jesteś pewna, że nikomu nie dawałaś hasła dostępu?

– Całkowicie pewna.

Podał jej nowe hasło dostępu.

– Będę musiał zaprząć do tego Victora. Odezwę się, jak się dowiem, co się stało. Może chodzi o jakiś banalną usterkę techniczną – powiedział sceptycznie.

Nora się rozłączyła.

Ktoś zdobył dostęp do jej maila. I nie była to bynajmniej osoba, która

zadowolona się czytaniem jej przez ramię. Chciała też, by Nora wiedziała, że tam była i plądrowała jej prywatną korespondencję.

Przypomniała jej się książka, którą kiedyś czytała, o metodach KGB stosowanych wobec brytyjskiego korespondenta w Moskwie. Po powrocie do domu wielokrotnie znajdował on nieznaczące ślady włamania. Jak na przykład wtedy, gdy agenci wzięli z regału *Kamasutrę* i z rozmysłem otworzyli ją na stronie dotyczącej zaspokajania kobiety, po czym położyli mu ją na poduszce w łóżku małżeńskim.

Czyżby to służby specjalne? Nie miało to sensu, a już na pewno po odnalezieniu się brata Aminy w Kanadzie. Czyli jednak Nora nie była zamieszana w tę sprawę.

Dopiła herbatę, stojąc w oknie i spoglądając na ulicę. Deszcz zaczął padać wielkimi kroplami i po chwili zobaczyła, jak gazeciarz George, utykając na chorą nogę, wychodzi na zewnątrz i wciąga stojak z czasopismami głębiej pod markizę. Wzdychając, zasiadła do komputera, by poszukać numeru do biura londyńskiego oddziału laburzystów, odpowiedzialnych za wytypowanie kandydata partii na stanowisko burmistrza.

Napisawszy artykuł, który kończył się konkluzją, że żaden z czterech największych kandydatów do fotela burmistrza brytyjskiej stolicy nie ma doświadczenia w kierowaniu administracją, wyciągnęła notatki na temat Erika Biehla. Było ich rozpaczliwie mało, ale nie brakowało jej weny.

Zastanawiała się, czy nie napisać po prostu powierzchownego artykułu, w którym podałyby najważniejsze liczby i fakty. W końcu to tylko wzmianka z okazji urodzin, nikt nie oczekiwał po niej materiału na miarę Nagrody Cavlinga². Ale jednak chciała się trochę postarać.

Odszukała stronę internetową Erika Biehla, znalazła mail do jego sekretarki i poprosiła o wywiad. Choć była niedziela, nie minęło dwadzieścia minut, gdy dostała odpowiedź. Widać w tym dniu wygrała próżność, bo Biehl chciał się z nią spotkać w czwartek i przeznaczył na spotkanie pół godziny.

Postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej o SecurCorp. Znaczna część popołudnia upłynęło jej na rozgryzaniu tej gigantycznej międzynarodowej organizacji, której spółki znajdowały się w dwudziestu czterech krajach. Większość spółek i spółek córek, zarówno w USA, jak i Wielkiej Brytanii, wykonywała zadania z dziedzin, które przedtem były zastrzeżone dla sektora publicznego, takie jak bezpieczeństwo, więziennictwo i inne tak zwane usługi dla ludności. Ale były też spółki produkcyjne w Brazylii, Indiach i Ekwadorze, które wytwarzały wszystko, począwszy od broni, a skończywszy na wyposażeniu szpitali polowych, w tym w worki na zwłoki, oraz parę spółek medycznych.

Nora rozglądała się za czymś w rodzaju kwatery głównej w Wielkiej Brytanii, w której może wykazano by się przychylniejszym nastawieniem niż

w głównej siedzibie w Teksasie, gdzie nędzna duńska dziennikarka była im doskonale obojętna. Ale gdy klikała w linki na stronie głównej, nie pojawiał się nawet adres skrytki pocztowej, o adresie siedziby nie wspominając. Żadnego biura, żeby można było zadzwonić do drzwi i zapytać, co się stało z Aminą, albo przynajmniej uzyskać odpowiedź, czy była w ośrodku.

Po długotrwałych poszukiwaniach w końcu znalazła. Było to centrum badawcze na przedmieściach Oksfordu. Zanotowała adres i numer telefonu, po czym zadzwoniła.

Odebrała miła i profesjonalna telefonistka, która w parę sekund przełączyła ją do dyżurującej pracowniczki, odpowiedzialnej za kontakt z prasą.

Nora ledwie zdążyła się przedstawić i wyjaśnić, że pracuje dla duńskiego czasopisma, gdy zastopował ją grzeczny, lecz stanowczy kobiecy głos.

– Proszę wybaczyć, że przerywam, ale nie chcę marnować pani ani swojego czasu – oznajmiła kobieta.

– Ale ja... – zaczęła Nora.

Jednak kobieta odrobiła zadanie domowe i wyrecytowała bez najmniejszego potknięcia:

– Wszelkie zapytania prasowe należy kierować do naszej siedziby głównej w Austin – powiedziała, po czym wyrecytowała numer telefonu i e-mail ze strony internetowej, którą Nora miała przed nosem.

– Nawet jeśli sprawa dotyczy Wielkiej Brytanii? – rzuciła Nora.

Rzeczniczka była niewzruszona.

– Austin. Czy mogę jeszcze czymś służyć? – spytała z irytującym spokojem.

Oni są jak sekta! Nora odłożyła słuchawkę, nie pożegnawszy się. Pozostał jej tylko jeden plan. Nie będzie to ładne, wręcz dość brzydkie, i będzie oznaczać, że musi sobie załatwić samochód.

Od razu wysłała SMS-a do Pete'a: „Mogę jutro pożyczyć fotobrykę?”.

Odpisał po trzech minutach: „Do czegoś fajnego?”.

„Praca. Nic fajnego”.

„OK. Przyjadę po Ciebie po 10.00”.

Nora podziękowała mu i sprawdziła czas. Było kilka minut po piątej, więc została jej ponad godzina, by przygotować się do wyjścia. O ile ma zdążyć do Chiltern Firehouse przed dziewiętnastą. Do Chiltern Firehouse i Toma Cravena.

Zaczęła od ściągnięcia z półki na wpeł opróżnionej butelki hendricksa, naląła odrobinę do szklanki, doprawiła kapką ledwie żywego toniku i paroma kostkami lodu w kształcie gwiazdek. Może powinna po prostu zostać tu, sącząc gin, by do niej dotarło, że przebywanie w pobliżu tego mężczyzny to zły pomysł. Tego mężczyzny i jego ust.

Jednak zamiast postawić na kolejną kolację na bazie jogurtu, znalazła się nagle przed pękającą w szwach szafą, krytycznie rozważając, czym dysponuje.

Przecież to tylko kolacja służbowa. Po prostu kolega, z którym spotyka się przy smacznym posiłku, by przedyskutować wspólne interesy. Może Tom ma jakiś pomysł, co dalej zrobić w sprawie Aminy. Może zna właściwe osoby, które mogłyby pociągnąć za odpowiednie sznurki i sprawić, że Amina w magiczny sposób się pojawi.

Nora podeszła do komputera i włączyła Spotify, by zagłuszyć muzyką resztkę wątpliwości. Włączyło się samo na czułym, melancholijnym powitaniu złamanych serc Billie Holiday, więc czym prędzej przełączyła na inną składankę. Billie Holiday na zawsze skojarzyła jej się z Andreasem.

Znalazła największe hity Arethy i wkrótce błyskotliwa diwa Motown pouczała ją, jak przeliterować *Respect*. Humor poprawił jej się o parę kresek, gdy znalazła obcisły czerwony top, o którym zapomniała, i odkryła, że idealnie komponuje się z czarną spódnicą.

*

Już przy podawaniu nazwiska w recepcji widziała Toma siedzącego samotnie przy stoliku w drugim końcu restauracji. Obok stolika stał stojak z wiaderkiem pełnym lodu, w którym znajdowała się butelka szampana.

Wyglądał diabelnie dobrze, siedząc tak i patrząc przed siebie. Coś między młodym Arturem Millerem i Jamesem Deanem. Chwilę później uniósł wzrok i ją dostrzegł. Poczula, jak fala gorąca rozlewa jej się po policzkach. Wstał, pocałował ją w policzek, po czym odsunął krzesło, by usiadła.

- Co świętujemy? – spytała, unosząc brwi.
- To, że przyszałaś – powiedział z pewnym siebie uśmiechem.
- Wiedziałaś, że przyjdę?
- Tym większy powód do świętowania.

Coś podpowiadało Norze, że ta sytuacja nie jest dla niego nowa. Że wiele razy siedział w najlepszych i najdroższych restauracjach w Londynie i przywykł do przejmowania kontroli, zamawiania najlepszych dań i wina w całym menu. Do subtelnego manipulowania snobistycznym personelem, przyzwyczajonym do obsługiwania modelek i gwiazd filmowych, by stawał na głowie dla niego, Toma Cravena.

Nie znosiła profesjonalnej uprzejmości tak samo, jak nie lubiła spotykać się na półoficjalnych przyjęciach z ludźmi, których bardziej interesowało odczytanie nazwiska na plakietce niż spojrzenie jej w oczy. Ale tego wieczoru w tej formalności było coś wyzwalającego. Po prostu rozepnęła się na krześle i oddać dowodzenie komuś innemu. Tylko w ten jeden wieczór, przyrzekła sobie.

Tom napełnił kieliszki i spojrzał na nią.

- Mam zamówić?

Nora przystała na to i skinęła głową. Tak będzie najprościej.

Rozmawiali o Fazii, o tym, że pojechała do Szwecji, gdzie poproszono ją o poprowadzenie wykładów na uniwersytetach w całym kraju. Rozmawiali o książkach, a Tom opowiedział, że właśnie domyka duży kontrakt na książkę kucharską obecnego szefa kuchni Chiltern Firehouse. To by wyjaśniało finezyjną obsługę i sam fakt, że w ogóle udało mu się zarezerwować stolik.

Nora skierowała rozmowę na temat Aminy.

– Orientujesz się, kto jeszcze mógłby mi pomóc? – spytała.

Tom pokręcił głową i gestem przywołał kelnera zawiadującego winami, sygnalizując gotowość wyboru. Gdy kelner zszedł do piwnicy po butelkę idealnego trunku, Tom podjął temat.

– Mam kontakty ze środowiskiem irańskich intelektualistów tu, w Londynie. Ale nikt nie słyszał o Aminie. Większość z nich w ogóle zaskoczył fakt, że Manash wyjechał z Iranu.

– Tia. Nikt przecież nie trąbi o takich rzeczach – stwierdziła Nora.

– Jasne, że nie, ale Manash mógł się dowiadywać, jak się żyje w Londynie. Prawdopodobnie tego nie zrobił – powiedział Tom. – Ciągłe sobie wyrzucam, że nie było mnie w te kluczowe dni. Byłem skoncentrowany na Manashu i nawet mi do głowy nie przyszło, że rozdzielili się z Aminą. Przyjąłem, że przyjadą razem – dodał.

Wziął łyk czerwonego wina, skinął do kelnera kręcącego się koło stolika i dał mu znak, by napełnił również jej kieliszek. Tom uniósł kieliszek do toastu i obdarzył Norę uśmiechem, który trafił ją niczym cios w żołądek.

Postanowiła skupić się na Aminie.

– Co teraz zrobimy? – spytała, patrząc wprost na niego.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, Noro. Sprawa jest poważna. Mamy poetę, który nie potrafi funkcjonować, z wielu względów. Siedzi pod kluczem w ośrodku dla uchodźców na duńskiej prowincji, a powinien być wolny w Londynie, gdzie mógłby pracować i przebywać z podobnymi sobie. Znaleźć w świecie nowy punkt oparcia. Właśnie taki był plan. A dowiaduję się od ciebie, że jest zdruzgotany zniknięciem Aminy, więc może powinniśmy zacząć właśnie od tego. Jak daleko zaszłaś?

Nora opowiedziała mu o tropie prowadzącym do Hawksyard i o tym, że się raptownie urywa. Czy raczej o dostępie do Hawksyard, który się raptownie urywa.

– OK. Wygląda na to, że stoją za tym duże pieniądze. Wystarczy uniemożliwić większości wstęp do środka. Mogę spytać w oddziale wydawnictwa w Nowym Jorku, czy nie mogliby zaangażować swego działu prawnego, by zmusić ich do otwarcia podwoi. Choćby po to, by się dowiedzieć, czy Amina tam była.

Nora się zastanowiła.

– Warto spróbować. Ale wciąż istnieje ryzyko, że skłamię.

Tom nachylił się nad stołem i dotknął jej ręki.

– Posłuchaj, mogą kłamać, ale tylko w ograniczonym zakresie. Jeśli Amina tam była, musi istnieć gdzieś jakiś zapis. To kwestia znalezienia adwokata z większymi jajami niż SecurCorp. Oni rozumieją tylko ten język – powiedział.

Kelner zabrał talerze ze stołu i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiło się dwóch nowych mężczyzn w uniformach, którzy postawili przed nimi małe, srebrne kopytka. Jak w balecie synchronicznym unieśli je równocześnie, spowijając cały stół chmurą ciepłego aromatu trufli.

Te małe złote grudki, rosnące pod dębami głównie we Włoszech i Francji i możliwe do wytropienia przez świnie czy psy, dzielą ludzi na dwie grupy: tych, dla których aromat trufli jest nieprzyjemny i dokuczliwy, i tych, którym zapach przenika całe ciało i rozchodzi się po nim jak afrodyzjak.

Może to kwestia wina, może złotego blasku świec stojących na stole, a może cienkich jak papier płatków trufli, startych na kawałku najlepszej wołowiny. W każdym razie Nora czuła się, jakby stół został nakryty złotą kopułą. Jakby nastąpił podział na dwa światy: ten na zewnątrz i ten przy stoliku, gdzie wszystko było gęste, leniwe... dekadentkie.

Próbowała protestować, gdy Tom zamawiał deser. Ale on wiedział lepiej i zanim zdążyła poprosić o szklankę zimnej wody, by otrzeźwić umysł, stał już przed nią kieliszek perlitego, zimnego muskatu. Chwilę później dołączyły do niego pieczone figi, które były tak spęczniałe, że Nora bała się w nie wbić nóż. Gdy w końcu się na to odważyła, okazały się tak słodkie i uwodzicielskie jak ostatnie zdanie w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*.

Uniosła wzrok i spotkała spojrzeniem Toma. Nie wiedziała, jak długo się jej przyglądał.

– Jesteś piękna – powiedział po prostu i wziął łyk muskatu, nie spuszczając z niej oczu.

Może i było parę takich sekund, kiedy Nora wciąż mogła grzecznie wstać od stołu, podziękować za kolację, wyjść spacerem na York Street i pojechać autobusem do domu. Problem w tym, że przypadły one gdzieś między ostatnim kąsem fig i ostatnim łykiem wina i nie zdążyła nawet na nie zareagować. Jakby utkwiała w lepkim miodzie, a impuls, by się z niego wydostać, tylko słabł i słabł, w miarę jak słodysz systematycznie obezwładniała mechanizmy obronne.

Tom pomógł jej włożyć marynarkę i gdy czekali na taksówkę, której wezwanie zlecił personelowi, nachylił się nad nią, chwycił za poły marynarki i przyciągnął do siebie. Wtedy ją pocałował.

Taksówka przyjechała i wsiedli. Tom usiadł na tylnym siedzeniu tuż obok niej.

– Dokąd jedziemy? – spytał.

– Ja jadę do domu, a ty do siebie. Tak będzie najlepiej – powiedziała bez

przekonania.

– Ale odwiozę cię do domu, tak zostałem wychowany – upierał się.

Nora podała kierowcy swój adres w Belsize Park i gdy tylko włączyli się w ruch uliczny Londynu na zewnętrznej obwodnicy Regent Park, Tom przysunął się do niej i pocałował ją w szyję.

Pozwoliła na to. Andreas był daleko, a Tom był obok. Ujęła dłońmi jego twarz, przesunęła po grubych, ciemnych włosach i odnalazła jego usta. Po kroplach uderzających o dach taksówki zorientowała się, że zaczęło padać. Przesuwali się powoli po Finchley Road, zaś kierowca próbował zręcznie ominąć korki i pogłośnił reportaż z meczu krykieta między RPA a Sri Lanką. Nora włożyła ręce pod marynarkę Toma, dotykając jego mięśni i wyczuwając jego dłoń na swoim udzie.

Nagle taksówka się zatrzymała. Nora wyjrzała przez okno. Byli w Belsize Park. Taksometr wyświetlał na czerwono kwotę 32,50 funta. Tom zaczął szukać portfela, zaś Norze udało się siłą wytrącić się z transu.

– Nie wysiadasz, Tom.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Tom, to nie przejdzie – powiedziała, z trudem panując nad głosem.

Spojrzał na nią spod przymkniętych powiek i powiedział do niej niskim, zachrypniętym głosem:

– Sama się okłamujesz, myśląc, że tego nie chcesz. Chcesz tego bardziej, niż ci się wydaje.

– Tom... – zaprotestowała.

– Dobrze, Noro – przerwał jej swoją uprzejmą angielszczyzną rodem z klasy wyższej. – Idź, jeśli chcesz. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że to nie koniec. W najmniejszym stopniu.

*

Chwilę później taksówka odjechała, a Nora stała przed drzwiami wejściowymi i grzebała w torebce, szukając kluczy. Zdyszana i z poczuciem, że właśnie uniknęła sytuacji, która błyskawicznie mogła przerodzić się w coś całkowicie nie do opanowania. Bezwiednie poprawiła ubranie. Wciąż znajdowało się na ciele, choć czuła się, jakby leżało na stercie przy łóżku, splątane z garniturem Toma.

Jeszcze nim weszła po schodach, zaczęła żałować i dyskutować sama ze sobą, czy może nie powinna go zawrócić. Nie mógł się zbyt oddalić. Sprawdziła godzinę na komórce; dochodziła pierwsza. Może lepiej się z tym przespać.

Zataczała się lekko, nim trafiła kluczem do dziurki, ale gdy tylko weszła do mieszkania, momentalnie wytrzeźwiała. Nie zdążyła nawet zapalić światła, a już wyczuła, że coś jest nie tak. Przez otwarte okno wpadał chłodny wiatr. Była całkowicie pewna, że gdy wychodziła, okno było zamknięte. Czyżby włamanie?

Stała cichutko, nasłuchując. Może włamywacz jest nadal w domu. Ale nie licząc odgłosu deszczu, było zupełnie cicho.

Powoli, nie włączając światła, udała się w głąb mieszkania. Pierwszą rzeczą, jaką sprawdziła, był komputer. Leżał tam, gdzie go zostawiła. Telewizor również był nienaruszony. Czyli to nie ćpuny. Na swój sposób była za to wdzięczna.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk dobiegający z sypialni i poczuła, jak włoski na rękach stają jej dęba. Bez namysłu przyjęła pozycję obronną, którą tysiące razy ćwiczyła z Enzem. Gotowa do kopnięcia w ułamku sekundy. Może nie powali na podłogę dorosłego mężczyzny, ale porządnie przeszkodzi komuś po drugiej stronie drzwi w tym, co zamierzał. Cokolwiek by to było.

Uderzyła ją znów myśl o Hiksie, ale odegnała ją. Oczywiście dowiedziałyby się ze Scotland Yardu, gdyby kiedykolwiek miał zostać wypuszczony. A przecież nigdy nie zostanie.

Gorączkowo rozejrzała się wokół i znalazła na blacie kuchennym na wpół opróżnioną butelkę oliwy z oliwek. Ubrojona w nią, pchnęła powoli drzwi. Mrok jakby zmieniał kształt przed jej oczami, zbierając się w jedną, wielką grudę. Wszystkie mięśnie miała napięte i gotowe do walki.

Wtedy usłyszała westchnienie i głęboki oddech. W nozdrza uderzył ją zapach ciepłej słomy. Andreasa.

Zalała ją fala ulgi.

Spał mocno i tylko lekko się rozbudził, gdy zsuwała z siebie ubranie i położyła się obok niego pod kołdrą, zwrócona plecami.

– Mmmmf, Nora – wymamrotał i zagrzebał twarz w jej kark, przysuwając ją mocno do siebie.

Długo leżała z otwartymi oczami w ciepłe bijącym od jego ciała.

Ostrożnie się wydostała, wyslizgnęła się z łóżka, poszła do kuchni i wyciągnęła z lodówki resztkę wody mineralnej. Wypiła ją w mroku przy oknie. Wciąż mocno padało. Komórka zaświeciła na niebiesko i zabrzęczała cicho w przedniej kieszeni torebki. Nora sięgnęła po nią. „Wiem, że nie możesz spać. To dobrze”, napisał Tom.

Odłożyła komórkę, nie odpowiedziałwszy. Nagle do kuchni wszedł Andreas. Przyciągnął ją do siebie, a ona położyła mu głowę na piersi, skąd dobiegało spokojne bicie jego serca. W ciszy zaczął głaskać kciukiem to miejsce na jej karku, gdzie zaczyna się linia włosów. Nic nie mówiła, dobrze wiedząc, że ostatnią rzeczą, jaką powinna teraz zrobić, jest wszczynanie dyskusji.

Deszcz słabł, a tempo oddechu Nory zbliżyło się do spokojnego rytmu oddechu Andreasa. Wtedy pociągnął ją za sobą do łóżka i ściągnął z niej resztki dzielącego ich, kłopotliwego ubrania.

Potem zasnął z głową na jej ramieniu. Czowała, jak jego oddech łaskocze ją w szyję. I nagle zachciało jej się płakać, nie wiedziała dlaczego.

Rozdział 20

Gdy Nora się obudziła, usłyszała, że Andreas jest pod prysznicem. Podniosła koszulkę z ziemi i włożyła ją przed pójściem do kuchni. Jego walizka leżała na podłodze. Gdyby wczoraj wieczorem po powrocie zapaliła światło, natknęłaby się na nią.

Szybko wciągnęła szorty i wyszła na dwór do żydowskiej piekarni na rogu, gdzie kupiła torebkę bajgli. W kiosku z gazetami kupiła mleko, „Timesa” i „Guardiana”. Poniedziałkowe pierwsze strony wyglądały, jakby konkurowały ze sobą, której się uda sprzedać najciekawszy materiał.

Gdy wróciła, Andreas był już ubrany i robił kawę. Obdarował ją uśmiechem, który pomógł jej pozbyć się resztek wątpliwości. Podszedł do niej i ją objął, a ona na to pozwoliła, stojąc ze spuszczonej rękami z papierową torebką z pieczywem w ręce. Poczowała, jak jej ciało powoli ogarnia czułość.

– Będzie dobrze – przyrzekł.

– Naprawdę? – spytała, mając sobie za złe, że brzmi jak mała dziewczynka, która pyta tatę, czy Święty Mikołaj naprawdę istnieje.

Przytrzymał ją w wyciągniętych ramionach i spojrzał w oczy.

– Tak – odparł z naciskiem.

Nie odpowiedział, podeszła do blatu kuchennego i zaczęła kroić bajgle. Wtedy przez domofon zadzwonił Pete. Nora odebrała i spojrzała ukosem na Andreeasa.

– Sekundka, już schodzę – powiedziała.

Parę minut później stała na ulicy ze świeżo wyszczotkowanymi zębami i torbą na ramię, w którą wetknęła obie gazety. Andreas przyjął to dobrze, mruczając, że wybiera się do Yardu.

Pete uśmiechnął się do niej leniwie, podając jej papierowy kubek, identyczny jak ten, który sam trzymał.

– To wchodzi w zakres naszej usługi. Choć oczywiście nie uszło mojej uwadze, że nie zapraszasz do mieszkania? – powiedział, unosząc brwi.

– Dzięki za kawę – odparła, siadając na miejscu pasażera.

– Dobrze, zajmiemy się tym później. Tylko nie myśl, że jako przedstawiciel międzynarodowej prasy zostawię sprawę odłogiem. Poświęciłem życie niestrudzonej pogoni za pra...

– Zamknij się wreszcie i jedź, dobrze? – burknęła Nora, szukając gorączkowo informacji na BBC4, by odwrócić uwagę Pete'a. Nie miała siły opowiadać mu o Andreeasie.

– O pani, niczego bardziej nie pragnę, ale jest drobny szczegół, który muszę ustalić, zanim wprawię w ruch karetkę jej ekscelencji.

Spojrzała na niego ze zmęczeniem.

- Czyli?
- Dokąd jedziemy?
- Hawksyard.
- OK? Czy to miejsce ma jakiś adres?

Nora wpisała go w GPS i oparła się, słuchając uspokajającego dźwięku głosu w radiu, który analizował propozycję rządu dotyczącą zmian na rynku mieszkaniowym.

Ulice Londynu przesuwają się za oknem w ślimaczym tempie. Nora spoglądała na ludzi, którzy wyszli nacieszyć się słońcem, na turystów, którzy zadzierali głowy, zamiast patrzeć pod nogi, biegaczy sunących do pobliskiego parku i ubranych w garnitury ludzi o zaciętych twarzach, którzy chcieliby, by wszyscy ustępowali im z drogi i nie przeszkadzali w dotarciu na arcyważne spotkanie.

Wreszcie znaleźli się na autostradzie, a Pete zmienił kanał na lekki pop. Nora spojrzała na niego:

- Koniec z The Cure? Ona musi być niesamowita.

Pete się uśmiechnął.

- Ma na imię Cheryl. Kiwi.

Nora odwzajemniła uśmiech.

- To ta z baru?

Pete skinął głową.

- Spotkacie się jeszcze?

- Może. Zobaczymy.

Nora nie drażyła tematu, za to ściszyła muzykę i w skrócie opowiedziała o Manashu Ishmailu, o tym, dlaczego odnalezienie jego żony jest takie ważne, i o tropie prowadzącym do Hawksyard.

Zjechali z autostrady i szybko natrafili na tablicę wskazującą drogę do ośrodka.

Pete spojrzał na nią pytająco.

– Masz jakiś plan, co będziemy tam robić? Bo coś mi się zdaje, że już zwinęli czerwony dywan dla dziennikarzy, szczególnie jeśli pojawiają się w towarzystwie nadgorliwych fotografów.

Nora sprawdziła mapkę w nawigacji i potwierdziła to, co już wiedziała z internetu. Do Hawksyard prowadziła tylko jedna droga, przy której właśnie się zatrzymali. Jakies pięćset metrów dalej zaczynał się płot z drutu i kontrole.

Pokręciła głową.

– Nie idziemy do ośrodka. To ośrodek przyjdzie do nas. Zaparkujmy tutaj – powiedziała, wskazując na coś, co przy odrobinie dobrej woli można by określić jako zatoczkę.

Pete ustawił tam fotobrykę, wyłączył silnik i zwrócił się do Nory:

– Co teraz?

– Czekamy na pewną osobę. Kończy pracę o dwunastej.

Pete spojrział na zegarek w samochodzie. 11.45.

– Dobrze, mościa panienko – powiedział, nachylił się do niej, wyciągnął „Timesa” z jej torby i otworzył na stronach sportowych.

Nora monitorowała drogę: żadnych oznak życia. Zabrała się do „Guardiana”, raz po raz podnosząc wzrok. Przejechała biała furgonetka z logo pralni przemysłowej.

Czas mijał. Pete czytał zawzięcie najświeższe plotki o problemach z głównym trenerem Manchester United. Nora usiłowała skupić się na lekturze politycznej analizy, jakie korzyści ma konserwatywny rząd w przeprowadzaniu reform żywocem wziętych z państw dobrobytu. Wszystko wskazywało na to, że po ich wprowadzeniu wielu ludzi zacznie pobierać świadczenia. Na drodze nic się nie działo.

Kwadrans później furgonetka wróciła. Pete spojrział na nią pytająco.

– Jeszcze trochę poczekamy.

Dochodziło wpół do pierwszej, gdy telepiąc się, minął ich rozklekotany, granatowy fiat punto o zardzewiałych kantach. Nora chwyciła Pete’a za ramię.

– Jest! Jedź za tym samochodem.

Pete posłusznie uruchomił silnik i upewniwszy się, że droga jest wolna, wycofał samochód na drodze.

– Gdy byłem małym chłopcem w Melbourne i chciałem zostać Jamesem Bondem, marzyłem często o pościgach samochodowych. Tyle że, prawdę mówiąc, wyobrażałem sobie, że będę ścigać porsche, a nie punto – oświadczył.

Nora przewróciła oczami. Fiacik wjechał na autostradę.

– To bardzo ważne, byś nie stracił go z oczu, ale ona nie może nas też zauważyć, rozumiesz?

– Wszystko pod kontrolą.

Po niecałym kwadransie Pete znalazł się na pasie za range roverem ciągnącym przyczepę z koniem. Tuż przed range roverem znajdowało się punto.

Nora próbowała nerwowo wychylić się przez okno, by zerknąć na fiata.

– Jeśli chcesz, by cię nie zauważono, może lepiej zachowywać się normalnie? – zasugerował Pete.

Nora wsunęła głowę z powrotem. W tym samym momencie fiat skręcił na parking przed Lidlem. Było za późno, by się zatrzymać.

– *Shit!*

– Spokojnie, zawrócę. To zajmie chwileczkę – uspokajał Pete.

Wkrótce zatrzymali się na najodleglejszym krańcu niespecjalnie zatłoczonego parkingu, wpatrując się w granatowe auto.

Nim Nora zdążyła zdecydować, czy to dobra chwila, by uderzyć, kierująca

samochodem wyszła ze sklepu z dwiema reklamówkami, po jednej w każdej ręce. Odłożyła je na ziemię, szukając kluczy w torebce.

– Wow. Wyniuchałaś prawdziwą szajkę. Panie, które robią zakupy w Lidlu. Najwyższy czas zdemaskować, kim naprawdę są. Temat na pierwsze strony gazet! Czy mam zakraść się do niej i złapać na gorącym uczynku z siatkami i tak dalej? Założę się, że ma w tych reklamówkach i mleko, i płatki owsiane.

Zamachnęła się na Pete'a.

– Siedź cicho i jedź za nią.

Po przejechaniu kilku kilometrów kobieta zaparkowała przed kremowym, odrapanym domkiem i podeszła do drzwi. Nora odczekała dwie minuty, po czym poszła za nią i zadzwoniła. Na skrzynce pocztowej widniało nazwisko „J. Bower”.

Usłyszała chrobotanie w środku i zadzwoniła ponownie.

– Idę, idę.

Pielęgniarka Jackie Bower była lekko opalona, a kręcone, ciemne włosy miała niedbale zebrane na karku. Stała w progu, trzymając w ręku butelkę z wodą mineralną i patrząc na Norę, jakby zadzwoniła do drzwi, trzymając numery *Strażnicy*.

– O co chodzi?

– Jackie? Pamięta mnie pani? – spytała Nora.

Jackie Bower pokręciła głową.

– Neee.

– Piątek. Hawksyard. Asystentka adwokata.

Zobaczyła, że Jackie blednie pod warstwą opalenizny.

– Nie jestem teraz w pracy – powiedziała zdecydowanie, szykując się do zamknięcia drzwi.

– Wiem – odparła Nora.

– Więc dlaczego tu pani przychodzi? Skąd w ogóle ma pani mój adres? – spytała Jackie ze złością.

– Muszę o czymś z panią porozmawiać – powiedziała Nora spokojnie w nadziei, że uda jej się rozmową opanować sytuację.

– Nie mamy o czym rozmawiać. Poza tym muszę za dziesięć minut odebrać dziecko z przedszkola. Proszę iść, natychmiast.

– Nie – odparła Nora, wsadzając stopę między drzwi. W skrytości ducha miała nadzieję, że pielęgniarki, podobnie jak lekarze, składają zawodową przysięgę o nieszkodzeniu innym ludziom. I że jej odziana w sandał stopa nie spotka się nagle z drzwiami Jackie Bower w mało przyjemny sposób.

Jackie nie przytrzasnęła Norze stopy drzwiami, ale też nie zamierzała odpuścić.

– Proszę natychmiast sobie iść!

Nora nienawidziła się za to, ale była to jedyna wyrwa w murze milczenia,

otaczającego SecurCorp.

– Może by pani wołała, żebym wróciła do miejsca pracy i poprosiła o rozmowę z panią w sprawie informacji, jakich mi pani udzieliła o Felixii?

Dostrzegła, że Jackie się poddaje. Mięśnie, które chwilę wcześniej w napięciu dociskały drzwi, rozluźniły się i Jackie wpuściła Norę do przedpokoju.

Jackie poszła do kuchni, by wyłożyć resztę zakupów; Nora podążyła za nią. Było tu jasno i w miarę porządkie. Na stole stała paczka chrupków czekoladowych oraz głęboki talerz z Kubusiem Puchatkiem z resztką mleka na dnie. Na lodówce wisały dziecięce rysunki. Jeden przedstawiał osobę z gigantycznym pępkiem, stojącą pod zielonym słońcem i uśmiechniętą od ucha do ucha. Na drugim była prawdopodobnie żyrafa. Albo helikopter. Pod spodem widniał napis dziecięcym pismem: „Emily”.

– Za dziesięć minut muszę wyjść – powtórzyła Jackie.

– Tak, jasna sprawa. Lepiej od razu zacznijmy. Dlaczego dała mi pani tę broszurę?

Jackie spojrzała badawczo na Norę.

– Kim pani właściwie jest? Nie jest pani adwokatem, prawda?

Nora pokręciła głową.

– Dziennikarką.

Widziała, jak Jackie trawi tę informację, rozważając argumenty za i przeciw i nie mogąc dojść ze sobą do porozumienia.

– Niech pani posłucha. Naprawdę potrzebuję tej pracy, rozumie pani? Nie mogę powiedzieć nic, co mogłoby mnie narazić na jej utratę.

Nora spojrzała na nią.

– Jeśli pani pyta, czy mogę chronić panią jako źródło, to znaczy strzec pani anonimowości, to zasadniczo odpowiedź brzmi: tak. Ale oczywiście muszą być ku temu powody.

– Może mi to pani zagwarantować?

Nora wzruszyła ramionami.

– Mogę dać pani słowo.

Jackie przygryzła wargę i wzięła łyk wody z butelki.

– Proszę, przecież z jakiegoś powodu uważała pani, że powinnam dostać tę broszurę – drażyła Nora.

Pielęgniarka zacisnęła oczy, jakby dzięki temu Nora i jej dylemat miały zniknąć z przytulnej kuchni. Ale gdy je znów otworzyła, Nora była tam nadal i patrzyła jej w twarz.

– Proszę, Jackie. Równie dobrze możemy się do tego zabrać. Kim jest Felixia? Co się z nią stało?

Jackie spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Kim jest Felixia? *Kim* jest Felixia? Pani naprawdę nic nie pojmuje?

– O co pani chodzi? Miałam nadzieję, że pomoże mi to pani wyjaśnić – odparła Nora.

– Pyta pani, *kim* jest Felixia. Powinna pani zapytać, *czym* jest Felixia.

Nora rozłożyła ręce.

– Dobrze. Czym jest Felixia?

Jackie zerknęła na zegarek na kuchence.

– Muszę iść po córkę.

– Pójdę z panią, porozmawiamy po drodze – zaproponowała Nora.

– Nie, nie ma mowy. Moja córka nie może być w to wmieszana – odparła Jackie z determinacją.

Nora niechętnie się zgodziła.

– OK, w takim razie jak zrobimy?

– Dziś wieczór, powiedzmy o dziewiętnastej? Jak już ją położę spać, będziemy mogli rozmawiać – poprosiła nerwowo Jackie.

Nora westchnęła głęboko.

– Mam nadzieję, że warto czekać.

– Warto.

– Proszę mi podać swój numer komórki. Napiszę SMS-a, jak przyjedziemy.

Jackie pokręciła głową.

– To nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego?

– To służbowy telefon, nigdy nic nie wiadomo – powiedziała Jackie, wyprasząc Norę do przedpokoju.

Poszła do siedzącego w samochodzie Pete'a. Był tak pochłonięty swoją komórką, jakby nawet nie zauważył, że wyszła.

– Co się dzieje? – spytał, unosząc wzrok, gdy Nora usiadła obok.

Chwilę później Jackie wyszła z domu z torbą przewieszoną przez ramię. Wyglądała na znękaną. Nora dyskretnie pomachała ręką, ale Jackie rozglądała się na boki przed przejściem przez ulicę albo udawała, że nie widzi Nory.

Nora dopilnowała, by zachować adres w GPS-ie, i zwróciła się do Pete'a, który na powrót zdążył zająć się komórką.

– Mamy popołudnie do zagospodarowania. Jakies propozycje?

Spojrzał na nią ze znużeniem.

– Może przewieziesz nas po pobliskich urokliwych okolicach i znajdziesz idylliczny pub z ogródkiem i przyzwoitym jedzeniem. Tam postawisz mi wspaniały lunch i piwo, rekompensując... jak by powiedzieć... zmarnowany czas? Nudę?

– Tak, zdaję sobie sprawę, że to prawie ta sama liga jak wtedy, gdy zawlokłeś mnie na mecz rugby między Australią i Tonga. Niech sobie przypomnę, na co się szarpnąłeś przy tej okazji? Na hot doga i wygazowany napój musujący?

– Ach, jesteś niesprawiedliwa. To były dwa hot dogi. Nie żebym liczył, ale

były dwa.

Wysiadła z samochodu i przeszła na jego stronę.

– Dobra, ruszaj się, jeśli ci zależy na tym lunchu.

Przesiadł się na siedzenie pasażera, niemal nie odrywając oczu od ekranu.

– Jakaż to gra jest taka wciągająca, Candy Crush?

Pokręcił głową, uśmiechając się pod nosem.

– Pudło. Rozmawiam na WhatsAppie z Cheryl.

– Pete, uważaj. Jeszcze wylądujesz w XXI wieku, czy to rozsądne?

*

Pół godziny później siedzieli pod gigantyczną glicynią w Żabie i Księżniczce i czekali na jedzenie. Nora sączyła zimny cydr, zaś Pete rozsiadł się z kuflem lokalnego piwa z logo rozjuszonego, czerwonego koguta, cokolwiek miał on wspólnego z browarnictwem.

– Dobra, Sand. Opowiadaj, co się dzieje – powiedział Pete, gdy kelnerka postawiła przed nim *fish and chips*.

Nora opowiedziała o swej pierwszej wizycie w ośrodku pobytowym i o tym, jak natrafiła na mur w siedzibie głównej SecurCorp w Teksasie.

Pete słuchał, nie przerywając, za to systematycznie maczając frytki w kleksie musu z zielonego groszku i wkładając je do ust jedna po drugiej.

– A co w takim razie robiliśmy dzisiaj? Kogo śledziliśmy?

Nora z uśmiechem opowiedziała o pielęgniarence z przychodni ośrodka, która jak dotąd stanowiła jedyny, wąty trop.

Pete uniósł brwi.

– I ona zgodziła się z tobą porozmawiać? Tak po prostu?

Nora zwlekała z odpowiedzią.

– No tak.

– No tak?

– No dobra, musiałam ją trochę przycisnąć... Ale to przecież ona zwróciła się do mnie pierwsza. Poza tym trzeba dogłębnie zbadać tę sprawę.

Pete mruknął coś i wziął solidny łyk swego piwa.

– Hm, zobaczymy, czy to coś da.

– Co innego miałam zrobić?

– No, nie wiem. Może ruszyć tropem winnych?

Nora irytował fakt, że Pete ma rację.

– Wiem. Ale wyjaśnij mi, jak mam...

Z torby Nory dobiegł dźwięk dzwonów. Był to Big Ben, który obwieszczał, że Krab chce się z nią skontaktować. Nora westchnęła głęboko.

– *To be continued...*

Krab od razu przeszedł do rzeczy.

– Sand, właśnie wracam ze spotkania z Tausenem.

– Tak?

– Słyszał pogłoski, że PharmaCorp zwołuje dziś pod wieczór nadzwyczajną konferencję prasową w City. Musisz tam być.

– Ale...

– Według Tausena to będzie decydujący tydzień dla Biehla. Zapędził się z inwestycjami w Dubaju, które praktycznie spełzły na niczym. Duże wahania cen akcji PharmaCorp mogą oznaczać, że albo stanie się jednym z najbogatszych duńskich biznesmenów, albo zbankrutuje – powiedział Krab z ożywieniem.

– Tak, ale...

Krab zignorował wszelkie protesty.

– Rezerwujemy to sobie na kolejny numer! Biznes Biehla na pierwszej stronie! Więc, Noro, bierz się do roboty. Tausen przysłał ci adres i dokładną godzinę. Dostaniesz pierwszą stronę, to będzie coś wielkiego.

– OK, tyle że właśnie próbuję ci powiedzieć, że jestem zajęta czymś innym. To może być przełom w poszukiwaniu Aminy.

– Zajmiesz się tym jutro – powiedział Krab zdecydowanym głosem.

Nora spróbowała z innej strony.

– Nie możemy zaczerpnąć tego z którejś agencji? Reuters Finance i Bloomberg na pewno są na miejscu.

– Noro Sand – powiedział Krab tonem, który Nora nauczyła się uważać za pedagogiczny, a którym w rzeczywistości wcale nie był. – Nic nie przebije własnych obserwacji reportera. Musimy tam mieć elementy reportażu. Wiedzieć, czy Biehl tam jest, co mówi. Chcę znać kolor jego krawata, wiedzieć, czy z nerwów ma pod pachami plamy od potu. To nie podlega dyskusji – stwierdził, kończąc rozmowę.

Choć Pete nie znał duńskiego, zrozumiał, co się święci, i przywołał kelnerkę, by poprosić o rachunek.

Nora zapłaciła, pomstując w duchu, że za ten lunch powinien zapłacić Krab.

– Musimy wracać do Londynu. Szef – wyjaśniła.

Pete się roześmiał.

– Domyśliłem się. Ode mnie nie usłyszysz złego słowa, mam co robić w Londynie – dodał ze znaczącym uśmiechem.

Nora przewróciła oczami.

– Pielęgniarka była gotowa na rozmowę. A co, jeśli zmieni zdanie, jak spróbuję jutro jeszcze raz?

– Sand, nie żartuj. Jeśli tak szybko zmieni zdanie, to dlatego, że wcale nie miała ochoty z tobą gadać.

Podeszła do nich kelnerka z terminalem, a Nora łypała na Pete'a, płacąc i chowając rachunek do torebki.

– Nie, może i dobrze, by pielęgniarka trochę pocierpiała, jeśli ma to oznaczać, że człowiek odzyska miłość swojego życia. Muszę zrobić, co w mojej mocy, żeby znaleźć Aminę. Obiecałam to Manashowi.

Pete wstał i wyciągnął klucze z kieszeni szortów.

– Uważaj tylko, żeby artykuł nie stał się ważniejszy niż ludzie, dobrze? Jutro możemy tu wrócić. Masz jej numer, żeby jej powiedzieć, że dziś wieczorem jednak nie przyjedziemy?

Nora rozsierdziła się strasznie, że zabrakło jej determinacji, by uzyskać numer Jackie. Wyciągnęła komórkę i przeszukała szybko brytyjskie biuro numerów pod kątem jej adresu, ale żaden numer tam nie figurował. Jak większość współczesnych ludzi, Jackie nie posiadała telefonu stacjonarnego, a odnalezienie jej numeru komórkowego było prawie niemożliwe, o ile nie znało się operatora. A już w ogóle, jeśli telefon był firmowy.

Sprawdziła godzinę i dokonała szybkiej kalkulacji.

– Jedziemy z powrotem, może będzie miała pięć minut. W każdym razie mogę zostawić jej kartkę.

Dziesięć minut później Nora stała przed zamkniętymi drzwiami. Kilka razy zapukała, ale nie było żadnej reakcji. Dziwne. Przecież miała tylko odebrać dziecko.

Nora poczuła lekki niepokój, ale próbowała się uspokajać, że może chodzić o mnóstwo różnych spraw. Na przykład poszła coś załatwić w drodze z przedszkola. Mogły pójść na plac zabaw albo pochodzić po sklepach. To przecież zupełnie normalne.

Wyrwała kartkę z notesu i pospiesznie napisała wiadomość, że niestety nie będzie mogła przyjechać. Dopisała numer swojej komórki i że Jackie może w każdej chwili zadzwonić. Na samym dole napisała: „PS. Jeśli się Pani nie odezwie, przyjadę jutro. Mam nadzieję, że się Pani zgodzi”.

Z całego serca miała nadzieję, że Jackie zdecyduje się zaryzykować i opowiedzieć, co takiego dzieje się w Hawksyard.

Pete zerknął na nią, gdy wrzuciła bieg i wyjechała na drogę.

– Jesteś pewna, że nie było jej w domu?

– Drzwi były zamknięte na głucho.

– W takim razie musiało mi się wydawać, że zasłona się poruszyła.

Rozdział 21

Pete wysadził ją przy londyńskiej giełdzie; Nora sprawdziła adres, który Tausen przysłał jej na komórkę. Po trzymiutowym spacerze znalazła się w holu budynku kąpiącego od bogactwa, marmuru i pieniędzy wywodzących się aż z czasów, kiedy rodzina Medyceuszy wynalazła banki we Florencji. Wszystko to stanowiło tło. Amerykański bank, który miał tu główną siedzibę, od ponad trzydziestu lat nie istniał. Przez ten czas przeszedł fuzje z tyloma konkurentami, że tylko ludzie siedzący w branży od dziesięcioleci mieli mgliste pojęcie, jak na samym początku się nazywał i dlaczego.

Młoda kobieta z blond końskim ogonem i czerwonymi ustami, ubrana w obcisłą, czarną garsonkę, odhaczyła Norę na liście po okazaniu legitymacji prasowej. Podała jej białą kartę na szerokim pasku, który trzeba było zawiesić na szyi.

– Nie wolno jej zdejmować – powiedziała ze sztucznym uśmiechem.

Nora minęła rząd akwariów z rybami tropikalnymi i weszła do ciemnego pomieszczenia, na którego końcu stał stół, a na nim kawa i woda. Po drugiej stronie ustawiono krzesła, przed którymi widniał podest z trzema miejscami wyposażonymi w mikrofony i projektor. Na razie wyświetlał on tylko logo PharmaCorp: orła na niebieskim tle, trzymającego w szponach łaskę Eskulapa.

Nora skinęła głową do niemieckiego kolegi z „Handelsblatt” i pomachała do korespondenta ekonomicznego z „Die Zeit”, zanim zasiadła obok Patricka Millara z „Financial Times”. Odkąd pomogła korespondentce farmaceutycznej z tej gazety skontaktować się z paroma osobami w sprawie materiału o dużej duńskiej spółce medycznej, Patrick był wyjątkowo przyjaźnie do niej nastawiony, gdy parę razy w roku spotykali się na konferencjach prasowych.

Kiedy Nora przeprowadziła się do Londynu, sądziła, że pozyskiwanie brytyjskich kolegów i przyjaciół pójdzie jej jak z płatka. Prawda okazała się taka, że brytyjscy dziennikarze z reguły byli uprzejmi i pomocni, ale najczęściej zachowywali dystans. Albo dlatego, że byli zbyt zajęci, by nawiązywać kontakty poza biurem, albo też po prostu niewielki był sens przyjaźnienia się z obcokrajowcami, którzy zazwyczaj wyjeżdżali z miasta po czterech latach, gdy za sprawą korespondenckiej wyroczni z siedzibą w Paryżu, Berlinie czy Kopenhadze przeczucano ich w inne miejsce.

Patrick uniósł wzrok znad trzech spiętych ze sobą arkuszy; ułożone były na każdym krześle.

– Cześć, Nora. Jak leci?

– Nie najgorzej, a u ciebie?

– Mogło być lepiej, mogło być gorzej – odparł Patrick, ulegając tym samym specyficznej, brytyjskiej dyscyplinie konwersacyjnej, podług reguł której mówi się

wszystko i nic w wyjątkowo uprzejmy sposób.

– Jak się mają sprawy z nowym japońskim właścicielem?

Patrick wzruszył ramionami.

– OK, póki co. Żadnych sygnałów alarmowych.

Nora uznała, że dość już tych kurtuazji, i przeszła do rzeczy. Jeśli ktoś w ogóle wie, co się dzieje, to „Financial Times”. Ta gazeta nie miała praktycznie nigdy żadnych poważnych konkurentów w dziedzinie biznesu.

– O co tu chodzi? Skąd ten pośpiech? To złe wieści czy jak?

– Jeszcze nie wiem.

– Nie wiesz?

– Hm. Naturalnie chodzą plotki – przyznał.

– Które na pewno znasz co do najmniejszego szczegółu? – powiedziała Nora, szturchając go lekko.

– To tylko plotki. Usłyszysz całą historię za... – spojrzął na zegarek – niecałe dziesięć minut.

Nora zdobyła się swój najbardziej przekonujący uśmiech.

– Owszem, ale co będziemy robić do tego czasu?

Patrick zaszeleścił papierami.

– Może przeczytamy to?

Nora rzuciła okiem na kartki. Mnóstwo liczb w starannie sporządzonych tabelach. Zestawienia półroczne i kwartalne. Akcjonariusze i menadżerowie funduszy hedgingowych uwielbiali, gdy takie rzeczy wyświetlano im na rzutniku, ale dla zwykłych ludzi mogły być równie dobrze egipskimi hieroglifami.

– Proszę – naciskała.

– OK – powiedział w końcu i skinął do kolegi z „Bloomberga”, który usiadł obok Nory w swoim nieskazitelnym garniturze.

Patrick zniżył głos.

– Wieść niesie, że PharmaCorp władowało grube miliony w ryzykowny projekt. Jeśli w ciągu najbliższych miesięcy nie pojawią się sensowne rezultaty, projekt zostanie zamknięty, a jeśli to się zdarzy, ryzykują naturalnie, że kursy akcji spadną z wielkim hukiem. Z drugiej strony plotka głosi też, że *jeśli* ten produkt się sprawdzi, to będzie lepszy niż kolejna viagra.

Nora zmarszczyła czoło.

– Czy może być coś lepszego niż viagra?

Patrick się zaśmiał.

– Ha!

– W sensie, czy coś może przynieść większe zyski niż viagra? Sprzedaje się jej rocznie za miliony dolarów – rzekła Nora.

– W zeszłym roku jeden przecinek sześć miliarda. Ale kto by to liczył – odparł cierpko Patrick.

– Pfizer na pewno – odparowała Nora.

– Bez względu na wszystko PharmaCorp przynosi dziś ważne wieści. Tak ważne, że muszą dać o tym znać na giełdzie – stwierdził.

Do pomieszczenia weszła grupa mężczyzn w garniturach i zajęła pierwsze trzy rzędy krzeseł oznaczonych napisem „Rezerwacja”. Było jasne, że nie są to dziennikarze, lecz albo pracownicy PharmaCorp, albo inwestorzy. Nora wypatrywała Erika Biehla, ale po plecach trudno było rozpoznać, kto jest kim. Ani jednej kobiety. Stwierdziła, że w pierwszych rzędach atmosfera była pełna oczekiwania, wręcz rozprężona. Najprawdopodobniej dobre wieści.

Jeden z mężczyzn w pierwszym rzędzie odwrócił się, by powiedzieć coś drugiemu za sobą, i Norze mignął jego profil. Erik Biehl. Usiłowała ściągnąć go wzrokiem, by zwrócił uwagę na jej obecność i może umówił się po konferencji, żeby zamienić z nią parę słów, ale jej nie widział. Uśmiechał się za to, zrelaksowany i zadowolony, nie przypominając zestresowanego mężczyzny, którego poznała przed dosłownie paroma dniami.

Drzwi do sali się otworzyły i do środka wszedł holenderski dyrektor PharmaCorp, Joop Meulenbelt, w towarzystwie dyrektora finansowego, jak Nora sprawdziła w papierach, Alastaira Arthura Atkinsa, zwanego w gronie dziennikarzy finansowych Potrójnym A, oraz mężczyzny w białym kitlu.

Człowiek w kitlu usiadł między obydwojma dyrektorami PharmaCorp i w tym samym momencie obraz na wyświetlaczu się zmienił, by wszyscy mogli się dowiedzieć, że jest to profesor David Carter.

Cichy szum w sali ustał raptownie, gdy głos zabrał Joop Meulenbelt.

– Dziękuję za to, że przyszli tu dziś państwo, by świętować z nami tę radosną wieść – powiedział. – Przekażę od razu głos profesorowi Carterowi. Potem będziemy mogli porozmawiać o konkretnych liczbach – dodał.

Profesor odchrząknął i dał znać technikowi, znajdującemu się w drugim końcu sali. Na wyświetlaczu za jego plecami pojawiło się zdjęcie dwojga osób z potężną nadwagą, siedzących na parkowej ławce tyłem do fotografa. Nad nimi widniał diagram kołowy i oś z wznoszącą się krzywą.

– Nadwaga jest jednym z najpoważniejszych problemów dzisiejszego społeczeństwa. Jednym z największych zagrożeń w naszym państwie dobrobytu. Wydatkiem, który wymyka się spod kontroli.

Nora rozejrzała się wokół. Dziennikarze siedzieli z wzrokiem wbitym w Cartera i długopisami w pogotowiu.

– W samej Wielkiej Brytanii z budżetu państwa wydaje się rocznie więcej pieniędzy na leczenie chorób skorelowanych z nadwagą, takich jak cukrzyca, niż łącznie na utrzymanie policji, straży pożarnej, sądów i więzień – stwierdził profesor. – Tak dłużej być nie może. System zdrowotny zachodniego świata dosłownie się załamuje. W skali światowej około trzydziestu procent populacji

cierpi na nadwagę lub otyłość.

Carter przesunął wzrokiem po zebranych, jakby chciał, by do dziennikarzy dotarła powaga sytuacji. Nieliczni zrobili pojedyncze notatki dotyczące liczb. Nora poszukała wzrokiem Biehla; siedział spokojnie na swoim miejscu.

– Od wielu lat politycy próbują poradzić sobie z tym skomplikowanym problemem. Opodatkowano tłuszcze, próbowano nałożyć akcyzę na cukier, organizowano kampanie informacyjne. Na niewiele się to zdało – orzekł Carter, robiąc pauzę dramatyczną.

– Aż do dziś.

Dał znak technikowi i na ekranie pojawił się film reklamowy. Rodzina na plaży. Jasnowłosa, atletycznie zbudowana kobieta, bawiąca się na brzegu z dwójkiem idealnie wyglądających dzieci. Na planie pojawia się też mężczyzna z piłką plażową.

– Kiedyś normalna rodzina wyglądała właśnie tak – powiedział spiker głosem tak głębokim, że przywodził na myśl Morgana Freemana.

Obraz rozmazał się i zmienił w obraz ulicy, jak domyśliła się Nora, w Nowym Jorku. Chodnikiem szła grupa zaaferowanych ludzi, wielu z nich z nadwagą. Wszyscy wyglądali na niezadowolonych. Kamera zrobiła zbliżenie na otyłego mężczyznę, który jadł wafelek po lodach, przeglądając się beznamiętnie w witrynie sklepowej.

– Obecnie cała planeta cierpi na nadwagę. Nie radzimy sobie z tą chorobą spowodowaną przez człowieka – tłumaczył głęboki głos.

Obraz znów się zmienił, ukazując biały budynek na nieokreślonym, trawiastym wzgórzu, które mogło znajdować się gdziekolwiek. Najpierw budynek widziało się z góry, a gdy dron z kamerą powoli opuszczał się przed jego fasadę, zbliżenie padło na logo: „PharmaCorp”.

– Ale mamy rozwiązanie: środek, który ochroni nas przed chorobą, śmiercią i przyszłymi obciążeniami systemu ochrony zdrowia. Jedna tabletką usuwająca nadwagę. Na zawsze – obiecał głos.

Kątem oka Nora widziała, że dziennikarze wymieniają spojrzenia. To brzmiało za dobrze, by mogło być prawdą. Większość nieznacznie przesunęła się na krzesłach, koncentrując całą uwagę na ekranie i Carterze.

– Produkt został wynaleziony przez nasze znane na całym świecie laboratoria PharmaCorp w Wielkiej Brytanii, gdzie sukces osiągnięto w blisko dziewięćdziesięciu procentach przypadków. Wśród osób badanych prawie dziewięć na dziesięć zrzuciło między pięć a sześć kilo w ciągu miesiąca. Bez zmiany nawyków żywieniowych, bez dodatkowego ruchu. Po sześciu miesiącach spadek wagi wynosił do dwudziestu kilo – mówił głos.

Obraz pokazał ponownie piękną rodzinę na plaży.

– PharmaCorp właśnie uzyskało globalny patent na produkt, który odmieni

świat. Razem będziemy zdrowsi. I lżejsi.

Film się skończył, a na ekranie znów pojawiło się logo z orłem.

Joop Meulenbelt uśmiechnął się z zadowoleniem na widok lasu rąk dziennikarzy.

– Muszą państwo chwilę poczekać – powiedział, spoglądając na Potrójnego A, który już stał.

– Spodziewamy się, że ten produkt dokona przewrotu w przemyśle farmaceutycznym. Potencjał dochodowy jest ogromny: grupą docelową jest jedna trzecia światowej populacji. Początkowo produkt będzie dostępny na receptę, ale nic nie stoi na przeszkodzie, by w dłuższej perspektywie został zatwierdzony do sprzedaży odręcznej i mógł być stosowany w celach kosmetycznych. W drugim przypadku szczególnie znaczący jest potencjał na rynku amerykańskim – skonstatował dyrektor finansowy.

Za jego plecami logo zostało zastąpione krzywą, która nieustannie pięła się w górę.

– Na początek koncentrujemy się na atestach na rynku amerykańskim i brytyjskim. Kiedy to zostanie uregulowane, kolejną fazą będzie Azja, a potem reszta świata. Oceniamy, że dochód w ciągu pierwszych pięciu lat, według ostrożnych szacunków, wyniesie dwa miliardy dolarów. Następnie dochód prawdopodobnie nieco spadnie i ustabilizuje się.

Nora zmarszczyła brwi. Czyżby PharmaCorp rzeczywiście udało się znaleźć odpowiedź na pytanie, jak można jeść wszystko, na co ma się ochotę, i tracić na wadze?

Joop Meulenbelt spojrzał na zebranych.

– Dobrze, jesteśmy gotowi na pytania.

Dziennikarz z „Wall Street Journal” otworzył kartki na tabelach z liczbami i zaczął gnębić Potrójnego A o detale.

Wysłannika „Economista” bardziej interesowała informacja od profesora Cartera, co takiego sprawiało, że produkt PharmaCorp działa lepiej niż reszta produktów na rynku.

– Ze względu na konkurencję nie mogę, oczywiście, mówić o szczegółach naszego produktu. Jednak mogę zdradzić, że opatentowaliśmy zaawansowaną wersję substancji DNP. Można powiedzieć, że wyeliminowaliśmy co bardziej dokuczliwe efekty uboczne – wyjaśnił profesor Carter, spoglądając na zebranych.

Nora robiła notatki, w miarę możliwości nie spuszczać z oka Biehla. Musi się pospieszyć, by go złapać w chwili, gdy konferencja prasowa się skończy.

Nastąpiło jeszcze parę pytań od reportera finansowego z „Daily Telegraph”, aż w końcu podniósł rękę Patrick.

– Nie usłyszeliśmy jeszcze, jak nowy produkt będzie się nazywał – spytał.

Carter spojrzał na Meulenbelta i Potrójnego A. Meulenbelt nieznacznie

skinął głową.

– Nie ustaliliśmy jeszcze do końca nazwy i znaku towarowego, pod jakim produkt zostanie wprowadzony na rynek – odrzekł Carter z wahaniem. – Ale istnieje nazwa robocza na rynek brytyjski i amerykański. To Felixia – powiedział z szerokim uśmiechem.

Nora poczuła, że jeżą jej się włosy na karku.

Chwilę później spotkanie dobiegło końca. Zapalono światło, a dwóch fotografów prasowych pstrykało zdjęcia trzem uśmiechniętym mężczyznom na podeście.

Nora przepchnęła się przez tłum dziennikarzy, którzy skupili się głównie wokół Potrójnego A, i zdążyła postukać Biehla w plecy, nim ten wstał. Obrócił się z szerokim uśmiechem, który zbladł, gdy tylko Biehl zorientował się, że Nora nie jest potencjalnym inwestorem.

– Tak? – spytał opryskliwie.

Nora przypomniała mu o artykule na jego temat. Wyglądało na to, że go to udobruchało, ale tylko trochę.

– Nie mam teraz czasu na udzielanie wywiadów. Proszę zadzwonić do mojego biura i coś z nimi ustalić – powiedział na odczepnego.

– Z całym szacunkiem, panie Biehl, ale jesteśmy już umówieni na czwartek. Chciałabym po prostu usłyszeć pana komentarz o nowym produkcie – powiedziała, wskazując na logo PharmaCorp.

Widziała, że się waha, więc docisnęła trochę.

– Zawsze lepiej współpracować przy pisaniu tego typu artykułów. To pozwala uzyskać bardziej prawdziwy obraz.

Biehl spojrzał na nią, nie starając się nawet ukryć sarkazmu.

– Naprawdę?

Nora zachowywała się jakby nigdy nic i kiwnęła głową.

– Zajmiemy się tym w czwartek – powiedział Biehl i obrócił się na pięcie.

Rozdział 22

Gdy wróciła do domu, Andreasa nie było. Zostawił kartkę, że pojechał do Yardu i wróci z kolacją. Nora włączyła komputer i nastawiła wodę na herbatkę lukrecjową. Czekaając, aż woda się zagotuje, przełączyła BBC News na Bloomberg. Amerykanin w garniturze próbował swym nosowym głosem zainteresować widzów dzisiejszymi notowaniami giełdowymi. Pod spodem przesuwiał się pasek z ciągle zmieniającymi się liczbami. FTSE 1000, DAX i duże światowe giełdy.

Sącząc herbatę, wyjęła z torebki komórkę. Jackie nie dzwoniła. Nora znów pożałowała, że nie uparła się, by zdobyć jej numer.

Prezenter połączył się z Nowym Jorkiem, gdzie kobieta w kobaltowym blezerze została przedstawiona jako ekspert rynkowy w branży medycznej.

– Ostatnie oświadczenie PharmaCorp to przełom? – zagaił prezenter.

Nora pogłośniła i wyszukała w stercie na biurku mało zapisany notes.

– Tak. Po dzisiejszym elektryzującym oświadczeniu możemy spodziewać się gwałtownego wzrostu kursów akcji PharmaCorp – tłumaczyła kobieta.

– Ale wciąż są pewne niewiadome? – spytał prezenter.

– Decydującym czynnikiem jest to, czy amerykańskie władze zatwierdzą produkt. Ale już teraz mówi się w branży, że autoryzacja jest w fazie załatwiania. To bardzo szybko. Zatem większość analityków mówi obecnie: kupujcie PharmaCorp. A jeśli już macie akcje, nie pozbywajcie się ich. Nie osiągnęły jeszcze maksymalnej ceny.

Gdy przerzucili się na rozmowę o chińskich podróbkach, Nora ściszyła i usiadła do komputera. Wpisała DNP w wyszukiwarce i zaczęła czytać o dinitrofenolu, substancji używanej w pestycydach, barwnikach i środkach ochrony roślin. I jak uważał jakiś naukowiec, została uznana za nadającą się do spożycia przez człowieka w latach trzydziestych XX wieku. Świeciła tryumfy od 1933 do 1938 roku jako cudowny środek na odchudzanie, dopóki nie wycofano jej z rynku.

Big Ben rozdzwonił się wściekle na biurku. Odebrała telefon z westchnieniem:

– Sand.

– Dobrze poszło?

– Mhm. Jestem umówiona na wywiad we czwartek.

– Doskonale. Jak wspominałem, liczymy na duży artykuł w przyszłym tygodniu. Pomyśl, jakie liczby moglibyśmy wysłać do działu graficznego. Trzeba udokumentować wzloty i upadki Biehla. To się sprzeda na pniu.

Nora mruknęła coś, co Krab mógł interpretować, jak chciał. Rozłączyli się. Ona z ciężkim sercem zadzwoniła do Manasha.

Było słyhać, jak musi się opanowywać, gdy powiedziała mu, że nie ma

nowych wieści o Aminie. A już w ogóle nie mogła z siebie wydusić, że musi odłożyć na bok jedyny istniejący trop, by zająć się historią o duńskim sukcesie biznesowym. Nie było na to żadnego usprawiedliwienia.

– Mam nadzieję, że jutro będzie lepiej. Może jutro uda się ją znaleźć – powiedział. Nora słyszała, jak zмага się z poczuciem beznadziei.

Niewiele mogła powiedzieć, by go pocieszyć.

– Obawiam się, że to zajmie trochę czasu. Ale zrobię, co mogę – przyrzekła, nim odłożyła słuchawkę.

Jeszcze raz poszukała adresu Jackie Bower i po chwili znalazła numer do sąsiada, pana Robertsona. Zadzwoiła do niego i sprzedała mu bajeczkę, że Jackie ma zepsuty telefon, i poprosiła, by sprawdził, czy jest w domu. Podała mu swój numer i po pięciu minutach oddzwonił, zdyszany.

– Bardzo dziwne. Nikt nie podchodzi do drzwi, ale wygląda na to, że jest w domu – powiedział.

– Jak to? – spytała Nora.

– Telewizor gra na pełny regulator. Brzmiało to na *Eastendersów*. Słyszałem przez szparę na listy – oświadczył pan Robertson.

– Ale Jackie nie podeszła do drzwi?

– Nie. Chyba się bardzo wciągnęła w tę telewizję – podsumował pogodnie.

– Dzwonił pan do drzwi? – spytała Nora z rosnącym niepokojem.

– O, tak. Nawet wołałem przez szparę na listy. To do niej niepodobne, bo zawsze otwierała, gdy się dzwoniło. Czasami czytamy na spółkę „Guardiana” – wyjawiał pan Robertson.

Nora pospiesznie mu podziękowała i rozłączyła się.

Sprawdziła godzinę; za późno, by tam jechać. Już sam wyjazd z Londynu w godzinach szczytu zajmie dwie godziny. Do kogo by tu zadzwonić?

Przeszukała kontakty w telefonie i płonąc ze wstydu, zadzwoniła do Millhouse’a. Poznała tego brytyjskiego eksperta od psychologii, naprowadzając Scotland Yard na decydujący trop w śledztwie dotyczącym serii morderstw młodych kobiet. Od tej pory ich kontakt miał charakter sporadyczny. Wiedziała, że sprawa jest zbyt błaha dla dyrektora Departamentu do spraw Profilowania Kryminalnego, Spencera, ale może Millhouse mógłby pomóc.

Był jeszcze w biurze i odebrał po jednym sygnale.

– Sand – przedstawiła się, słysząc od razu, że jest czymś zajęty.

– Mmm – odparł z roztargnieniem.

– Co słychać? – spytała z uprzejmości.

– Jestem zajęty, duża sprawa. Nie mogę mówić.

Gdyby dorastał w innym stuleciu, Millhouse byłby doskonałym telegrafistą.

– Dobrze, streszczę się – rzekła Nora i opowiedziała, nad jaką sprawą pracuje i że pewna kobieta prawdopodobnie zniknęła ze swojego domu. Z małym

dzieckiem.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział Millhouse wyjątkowo irytującym tonem. – O jakim przestępstwie mówimy? Chodzi przecież o kobietę, której nie ma w domu od być może paru godzin.

– Wiem, ale to bardziej skomplikowane niż...

– Sand. Naprawdę nie widzę powodu, dlaczego miałbym tracić czas na...

– Niech pan posłucha, Millhouse. Wiem, że proszę o dużą przysługę, ale może dałoby się posłać tam patrol? Choćby po to, by się przekonać, że wszystko z nią w porządku?

– Dlaczego nie może pani sama tego zrobić?

– Nie ma na to czasu! Ona ma informacje o kobiecie, która zaginęła bez wieści, a teraz ona sama zaginęła. Zanim tam dotrę, nie będzie już żadnych śladów.

– Co to za kobieta? To nie jest nasza sprawa.

– Wiem, nie jest. Ale proszę mi wierzyć, że nie prosiłabym, gdyby to nie była kwestia życia i śmierci. Ma pan możliwość uratować tę kobietę.

Millhouse westchnął ciężko.

– Jeśli to zrobię, nie będzie mnie pani nękać i przeszkadzać?

– Daję słowo – odparła Nora z powagą.

– OK. Proszę podać adres. Ale niczego nie obiecuję. Wie pani, cięcia i te sprawy. To może zająć parę godzin.

– Bardzo dziękuję.

– I to ja się skontaktuję. Proszę już dziś wieczorem nie dzwonić. Pracuję nad paskudną sprawą – powiedział Millhouse i odłożył słuchawkę.

Po zakończeniu rozmowy Nora nie mogła się uspokoić. Tak bardzo chciała się dowiedzieć, czy Jackie jest cała i zdrowa. Oby po prostu siedziała sobie w domu, oglądając *Eastendersów*, nie chcąc z nikim rozmawiać.

Usłyszała chrobot kluczy w zamku. Andreas wszedł do środka z brązowymi papierowymi torbami z lokalnej hinduskiej knajpy. Wyglądał na zmęczonego. Cmoknęła go w policzek i wyciągnęła talerze i sztuce, podczas gdy on zdejmował okrycie wierzchnie. Zapach ryżu basmati, jalfrezi i tikka masala rozszedł się po pokoju. Napełniła dzbanek wodą, otworzyła butelkę czerwonego wina i naląła go do dwóch kieliszków.

Andreas wziął kieliszek i podszedł do niej. Odgarnął jej grzywkę i pocałował. Poczula się, jakby ktoś ujął zwój drutu kolczastego w jej wnętrzu i powoli i spokojnie zaczął go odplątywać.

Podłączył swój iPod do stacji dokującej i po chwili z głośników popłynęły uspokajające dźwięki grupy Quadron. Usiadł przy stole, dolał wina i zaczął pałaszować ze smakiem. Nora piła wino, grzebiąc w talerzu. Nagle odeszła ją ochota na jedzenie.

Gdy Andreas skończył, odsunął talerz.

– Musimy porozmawiać – powiedział wreszcie.

– Wiem – odparła, czując, jak drut kolczasty znów zwija się w supły.

Sprawa miała wrażenie, jakby szukał odpowiednich słów.

– Nora, ja...

Nie mogła tego wytrzymać ani sekundy dłużej, więc mu przerwała:

– Po prostu to powiedz. Chcesz do niej wrócić. I będziecie rodziną. No, już to za ciebie powiedziałam, mamy to za sobą.

– Posłuchaj, wcale nie to chciałem powiedzieć.

Nora wzięła łyk wina i dołała więcej, unikając jego wzroku.

– Nora. Jestem tu, u ciebie w Londynie, bo to z tobą chcę być.

Uniosła wzrok i ich oczy się spotkały. Napiła się jeszcze wina i wbiła wzrok w stół.

– Ale będę ojcem. Czy tego chcę, czy nie, tak po prostu jest – powiedział i zrobił pauzę. – Czy sam bym zdecydował, że tak ma być? Nie. Ale nikt mnie nie pytał. A teraz jest to rzeczywistością, do której muszę się odnieść.

– Tyle że nie bardzo widzę, gdzie w tej rzeczywistości jest miejsce dla mnie – odparła Nora.

Andreas wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wiem tylko, że chcę być z tobą, nie z Birgitte. Ale nie mogę zostać w Londynie na zawsze. Od początku o tym wiedzieliśmy. Więc co właściwie zamierzasz, Noro? W naszej kwestii?

Nora nie знаła odpowiedzi. Wzięła widelec i zaczęła grzebać w talerzu pełnym kawałków jagnięciny, próbując zebrać myśli. Co zamierzała? Że będą żyć długo i szczęśliwie aż po kres swoich dni w mikroskopijnym mieszkaniu w Belsize Park? Że rzuci pracę korespondentki i zostanie policyjną hausfrau w Danii?

– Andreas, ja...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo zadzwonił telefon. Millhouse.

– Sand, nie wygląda to dobrze – powiedział.

– Co?

– Może mi pani potwierdzić ten adres?

Nora wzięła notes i odczytała adres.

– Będzie pani musiała skontaktować się z miejscową policją – rzekł Millhouse.

– Ale co się dzieje?

– Dom spłonął niemal doszczętnie. Straż pożarna tam jest.

Ciało Nory przeszedł zimny dreszcz niepokoju.

– Czy ktoś ucierpiał?

– Nie wiadomo. Nie wiedzą, czy ktoś był w domu. Gdy przyjechali strażacy, dom stał w płomieniach. Wchodzenie do środka było zbyt niebezpieczne. W tej chwili starają się zapobiec rozprzestrzenieniu się ognia na resztę dzielnicy –

tłumaczył Millhouse.

– Kiedy zaczął się pożar?

Millhouse zamilkł na chwilę, a przez słuchawkę dał się słyszeć szelest, jakby sprawdzał coś w papierach.

– Niejaki Robertson zadzwonił jakieś pół godziny temu. Szybko to poszło.

– Dziękuję – rzekła Nora.

– Lepiej się skontaktować z policją. Mój znajomy, Jon Denbigh, prosi panią o kontakt jutro, jeśli coś pani wiadomo na temat rodziny zamieszkującej ten dom.

– Oczywiście – przyrzekła Nora i przerwała rozmowę.

– Brzmi poważnie – stwierdził Andreas, spoglądając na nią pytająco.

– To straszne. Dziś odwiedziłam ją w jej domu. Nie miała ochoty ze mną rozmawiać. Myślę, że ktoś próbował zmusić ją do milczenia, ale ja to zlekceważyłam, naciskałam na nią. A teraz spłonął jej dom. – Głos Nory był bliski załamania.

– Co się z nią stało? Wszystko z nią w porządku?

Nora wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nie powinnam była jej tak mocno naciskać.

Andreas przyciągnął ją do siebie i przygarnął mocno. Przez chwilę stała z głową przytuloną do jego klatki piersiowej, słysząc spokojny rytm jego serca. Potem się wyrwała.

– To moja wina!

Andreas objął ją za ramiona.

– Spokojnie, oddychaj głęboko. Czyżbyś sama podłożyła ogień?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale ona nie chciała ze mną rozmawiać, bała się kogoś. Muszę tam pojechać...

– Zastanów się. Co chcesz tam znaleźć?

– Muszę po prostu...

– Nora, patrząc realistycznie: będziesz stała przed płonącym budynkiem. W najgorszym wypadku przed dymiącymi zgliszciami. Lepiej niech strażacy wykonują swoją pracę. Zobaczysz jutro, co się okaże, jak już opadnie dym.

Nora niechętnie przyznała Andreasowi rację. Ale musiała się dowiedzieć, co się stało z Jackie. Czy była w domu, gdy zaczął się pożar.

Szybko sprawdziła godzinę i zaczęła kalkulować. Za późno na telefon do administracji Hawksyard. Ale w Houston było popołudnie. Główny numer SecurCorp ciągle miała w pamięci komórki; szybko dodzwoniła się do recepcjonistki i została przełączona do biura prasowego. Odebrał jej szczególny przyjaciel, Walther Smith. Nie pamiętał jej, więc próbował tego samego, co ostatnio: zanim zdążyła się przedstawić, zaczął odsyłać ją do komunikatów prasowych i stron internetowych.

Nora posłuchała go przez dwadzieścia sekund, po czym weszła mu w słowo:

– Nie dzwonię, by słuchać o waszych planach ekonomicznych, tylko w nadziei, że pomoże mi się pan skontaktować z pracownikiem z Hawksyard. Albo poda mi numer, na który mogę zadzwonić poza godzinami urzędowania.

– Wszelka komunikacja przebiega przez centralę, czyli przeze mnie – tłumaczył Walther Smith swoim irytującym, nosowym akcentem.

– Tak, rozumiem – odparła Nora tonem, który niebezpiecznie balansował na krawędzi furii. – Ale chodzi o sytuację podbramkową. Waszego pracownika – dodała.

– Co to za pracownik?

– To bez znaczenia – odparła Nora.

Bez względu na to, czy Jackie się coś stało, czy nie, Nora w żadnym razie nie chciała stwarzać jej dodatkowych problemów w kwaterze głównej firmy.

– W takim razie trudno mi będzie pomóc – zauważył Walther Smith cierpko.

– Czy istnieje numer w Wielkiej Brytanii, przez który można skontaktować się z personelem poza normalnymi godzinami pracy? Wiem, że zazwyczaj nie udzielają państwo takich informacji, ale to wyjątkowa sytuacja.

– Możliwe, że taki numer istnieje, ale nie mogę go podać. Coś jeszcze?

Nora miała ochotę cisnąć w niego czymś ciężkim. Aż do samego Teksasu.

– Tak, jeszcze jedna rzecz. Co was łączy z PharmaCorp?

Walther Smith odpowiedział od razu:

– To nasza spółka córka. Mamy to napisane czarno na białym na naszej stronie internetowej, pod „jednostki stowarzyszone”. I wie pani co? – Nora nie odpowiedziała, nie chcąc dawać mu satysfakcji. – To ja kieruję stąd wszelką komunikacją w korporacji – wypalił.

Nora wyobraziła sobie Walthera Smitha jako ogorzałego od słońca prostaka w kapeluszu kowbojskim i zaczęła fantazjować, że zostaje wypędzony z miasteczka przez cherlawego kowboja w stylu Lucky Luke’a, tuż przed unurzaniem go w smole i w piórach. Nie miała nawet ochoty na pożegnanie i po prostu przerwała połączenie.

Bez większych nadziei zadzwoniła na główny numer Hawksyard. Bez skutku. Odczekała dziesięć sygnałów, potem piętnaście. W tle słyszała krzątającego się Andreeasa. Włączył telewizor, upewniając się, że jest ustawiony na BBC News. Kątem oka zauważyła, że bierze swój iPod i wkłada do kieszeni.

Miał na sobie marynarkę.

Po chwili stał przy drzwiach. Odsunęła telefon od ucha i spojrzała na niego pytająco.

Pokręcił głową.

– Dokąd idziesz? – spytała, a telefon nieustannie dzwonił w próżni.

– Wychodzę. Nie masz czasu na wizyty.

Odłożyła telefon.

- Daj spokój, siadaj.
- Nora, przecież nie masz czasu.
- Mam, zaraz będę gotowa – przyrzekła.

Widziała, że się waha. Powoli zdjął rękę z klamki i postąpił o krok w jej stronę.

Wtedy znów zadzwonił telefon. Millhouse, jak odczytała na wyświetlaczu. Uśmiechnęła się przepraszająco.

- Muszę odebrać, ale potem...

Millhouse jak zwykle od razu przeszedł do rzeczy.

– Ostatnie wieści z pożaru. Nic nie wskazuje, by w środku ktoś spłonął. Pomyślałem, że chciałaby pani wiedzieć.

- Tak, dziękuję, bardzo dziękuję.

– Jest jeszcze coś, co może panią zainteresować. Nie ma jeszcze ostatecznych ustaleń, dopóki na miejscu nie pojawią się technicy i nie spiszą raportu. Ale mój informator mówi, że wszystko wskazuje na podpalenie. I że ktoś się postarał, by pożar poszedł szybko, dolewając duże ilości benzyny.

- O, nie.

– O, tak. Proszę pamiętać, by skontaktować się z Denbighiem. Może to on do pani zadzwoni; podałem mu pani numer.

Gdy Nora się odwróciła, Andreasa już nie było.

Klapnęła na sofę i siedziała tak, gapiąc się przed siebie, po czym wzięła telefon i zaczęła metodycznie wydzwaniać do Hawksyard. Numer główny kończył się na 00, więc dzwoniła też na numery od 01 do 14, aż w końcu dodzwoniła się do któregoś z numerów w firmie.

- Tu strażnik – odezwał się męski głos.
- Muszę rozmawiać z Jackie Bower, to ważne.
- Przepraszam, z kim chce pani rozmawiać?
- Z Jackie Bower.

Pauza.

- Z kim rozmawiam?

– Z jej koleżanką. Doszło do pewnej sytuacji u niej w domu, muszę z nią natychmiast porozmawiać – powiedziała Nora, starając się nie rozmijać z prawdą.

Strażnik burknął:

- A niby gdzie pracuje?
- Czy nie dodzwoniłam się do Hawksyard?
- Owszem, ale nie mamy tu żadnej Bower.

– Wiem, że nie wolno wam udostępniać numerów personelu i tak dalej, ale to naprawdę sytuacja podbramkowa. Proszę mi wierzyć, nie dzwoniłabym o tej porze, gdyby nie było to ważne. Nie mógłby pan zrobić wyjątku?

Strażnik westchnął głęboko.

– Nie słucha pani, co mówię. Nie. Mamy. Tu. Żadnej. Bower. Nikt o tym nazwisku u nas nie pracuje. Czy wyraziłem się jasno?

– Tak – odparła Nora i odłożyła słuchawkę.

Rozdział 23

Było ich dwóch na nią jedną i ledwie zdążyła dostrzec ich kątem oka, a już musiała reagować.

Na początek zabrała się za większego: muskularnego, młodego faceta, który wyglądał, jakby odlano go z idealnej, płynnej czekolady w szwajcarskiej fabryce Lindt. Jego kumpel był wysokim, ogolonym maszynką gościem z tatuażami pokrywającymi oba ramiona. Miał duże mięśnie, takie, których nabywa się, przebywając za długo na salach treningowych i wykonując niewłaściwe ćwiczenia. Poruszał się niezdarnie i dlatego Nora uznała, że stanowi mniejsze ryzyko.

Zamarkowała kopnięcie z półobrotu, a gdy odsunął się w prawo, czekał już na niego solidny sierpowy. Nie wystarczyło, by go powalić, ale na pewno, by zetrzeć mu z gęby szyderczy uśmiech. Cierpliwie wyczekiwała na początek walki, który nastąpił, gdy on zaatakował. Ułożyła stopę w kształt haka i niezauważalnym ruchem podstawiła mu nogę. W ciągu sekundy leżał na trawie, spoglądając na korony drzew. Ale jej tryumf był krótkotrwały. Natarł na nią i choć był niezdarny, nie poddawał się łatwo. Próbując rozeznąć się w jego rytmie, czekała, aż się zmęczy i stanie się powolniejszy. W końcu udało się jej zakleszczyć pod pachą jego stopę i unieruchomić ją, po czym szarpnąć go ku sobie tak, by stracił równowagę i upadł. W chwili gdy już sądziła, że się udało, dosięgnął ją jego hak. Tak celny, że przed oczami zatańczyły jej czarne płatki i poczuła, że uginają się jej nogi. Padła na trawę.

Enzo podciągnął ją i z właściwym sobie włoskim dramatyzmem wyraził swoje niezadowolenie:

– Ach, Nora! Nie przychodzisz na treningi i robisz się niedbała. To skandal! Te twoje kopnięcia! Moja babcia z Amalfi byłaby bardziej przekonująca. Gdzie twoja technika ataku? Gdzie finezja? Zapomniałaś wszystko, czego cię nauczyłem, w zaledwie dwa tygodnie?

Dla podkreślenia efektu szarpał się za włosy.

Wprowadzenie partnerów do treningu było nowością. Enzo uznał, że Nora potrzebuje więcej sparingów. Wcześniej odbyło się parę frustrujących prób z kilkoma nazbyt uprzejmymi Brytyjczykami, którzy zwyczajnie nie potrafili pokonać bariery, że choćby nie wiem co się działo, nie wolno kopnąć ani uderzyć kobiety. Nawet jeśli stoi naprzeciw nich ubrana w rękawice bokserskie i gotowa do walki. Ale widać terazENZOWI udało się znaleźć kilku zagranicznych uczniów, dla których dżentelmeńskie maniery nie stanowiły przeszkody.

Zostawiła w domu chrapiącego Andreasa. Wrócił do domu późno i Nora udawała, że śpi. W nocy wyciągnęli ku sobie ręce przez sen i zawarli coś w rodzaju porozumienia, w wyniku którego byli ze sobą spleceni, gdy Nora obudziła się na dźwięk alarmu w komórce wygrywającego *My Baby just Cares for Me*. Andreas

obrócił się we śnie, a ona szybko wciągnęła strój do treningu, włożyła do torby rękawice i ochraniacze na nogi i obrała kurs z górki na Primrose Hill.

Jej nowi partnerzy do treningu, Ben i Owen, oddalili się lekkim truchtem. Nora nie pojmowała, jak mieli na to siłę. Za to ona i Enzo poszli do pobliskiej kafejki, gdzie w ciągu dwudziestu minut, pijąc dwa macchiato, Enzo skarżył się na swego nowego zięcia, George'a, który wykazywał się brakiem zrozumienia włoskich obyczajów.

– Takich jak? – spytała Nora.

Enzo namyślił się.

– Na przykład zawsze podaje herbatę, jak się do niego przychodzi – powiedział kwaśno, zerkając w głąb swojej filiżanki do espresso.

Nora uśmiechnęła się półgębkiem.

– Ale poza tym jest w porządku?

Enzo niechętnie przyznał, że może nawet i tak.

– Na pewno nie jest idealny. Ma, zdaje się, dziecko w Yorkshire z młodzieńczego związku. Ale szaleje za Suzanną. Jak widzę, jak na nią patrzy, to przynajmniej wiem, że będzie ją chronił.

Nagle Nora zatęskniła za Andreasem i poczuła większy przypyływ nadziei, niż jej się to ostatnio zdarzało. Będą musieli jakoś się w tym wszystkim odnaleźć.

W drodze do domu kupiła gazety, siatkę świeżych pomarańczy i chleb. Wstąpiła do kawiarni po przeciwnej stronie ulicy i zamówiła latte na wynos, taką, jaką najbardziej lubił. Gdy weszła do mieszkania, usłyszała, że jest pod prysznicem.

Postawiła kawę na stole i zaczęła wyciskać pomarańcze. Rozgrzała patelnię i zrobiła przegląd lodówki, znajdując kilka dymek i przywiedłą papryczkę chili. Następnie roztrzepała parę jajek i starła do środka parmezan. Gdy Andreas wyszedł z łazienki z ociekającymi włosami i ręcznikiem na biodrach, śniadanie było gotowe.

– O, jesteś – powiedział bezgłośnie.

– Nie widziałeś mojej kartki? – spytała, wskazując na leżący na blacie oderwany kawałek gazety z napisanymi dwoma słowami: „Kick boxing”.

– Owszem, widziałem kartkę, ale nie byłem pewien, czy jest skierowana do mnie. Czy może to tylko przypomnienie dla ciebie. Przecież nie chodzisz na kick boxing we wtorki.

– Idę pod prysznic – powiedziała Nora i wymknęła się do łazienki, gdzie ściągnęła przeпоcony strój treningowy w ciepłym od pary pomieszczeniu.

Po kąpeli wysuszyła włosy i przemknęła obok Andreasa, by się ubrać. Następnie zadzwoniła do Millhouse'a, by dowiedzieć się, co nowego. Nie odbierał telefonu.

Andreas nawet nie uniósł głowy. Sączył kawę, koncentrując się na lekturze

stron sportowych „Guardiana”.

Adrenalina wciąż krążyła po jej ciele po półtoragodzinnym blokowaniu ataków i stanie pełnej gotowości, więc ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było dąsanie się przez cały poranek. Z beztroską miną usiadła naprzeciw niego przy stole i posmarowała kromkę chleba masłem i grubą warstwą marmolady agrestowej.

Odchrząknął, nic nie mówiąc. Cisza rozlała się między nimi niczym pleśń na soczystym, czerwonym jabłku.

– Andreas? – powiedziała w końcu.

Uniósł wzrok i nagle zobaczyła w nim małego chłopca, którym kiedyś był. Bezbronno. Chłopca, którego ojciec zginął w wypadku motocyklowym, gdy Andreas miał czternaście lat. Zanim zdążył pojąć, co w ogóle oznacza bycie mężczyzną i jak przejść przez życie bez ojca, którego można zapytać, co począć z eksdziewczyną, która nie chce dać za wygraną. I obecną dziewczyną, która z tego powodu dostaje szału. I jak być ojcem, choć się tego nie planowało. Wyglądał na zupełnie osamotnionego.

Usiadła mu na kolanach.

– Posłuchaj, nie wiem, jak będzie. Być może oboje się w tym nie odnajdziemy. Ale może ustalmy, że zachowujemy spokój i zobaczymy, jak to się ułoży?

Kiwnął głową w milczeniu.

Powoli, jakby znajdowały się pod wodą, jego duże dłonie puściły gazetę, objęły ją i mocno przytrzymały.

– Nie wiem... Gdy się obudziłem, a ciebie nie było, nagle uderzyła mnie myśl, że zniknęłaś. Wiem, że to nielogiczne, ale czułem się, jakbyś mnie zostawiła.

– Bo wyszłam na parę godzin na kick boxing?

Spojrzał na nią.

– Nie. Czułem się, jakbyś zniknęła na dobre, przestała być częścią naszego wspólnego życia.

Nora nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

Przycisnął ją mocno do siebie i zatopił nos w jej włosach, więc ledwie usłyszała, co mówi:

– To było straszne uczucie.

Poczuła, jak jej gniew i irytacja się ulatniają. Ujęła jego twarz w dłonie i odszukała jego spojrzenie.

– Hej, przecież jestem – powiedziała cicho.

*

Nora pojechała metrem do Marble Arch i wskoczyła do autobusu jadącego do Oksfordu.

Siedząc w środku, oddzwoniła do Kraba, który próbował ją złapać.

– Dział graficzny nie może się doprosić o te liczby – powiedział z naciskiem.

Nora pacnęła się w czoło.

– Jasne, znajdę je i zadzwonię do nich później – przyrzekła.

– Gdzie jesteś?

– W drodze do Oksfordu.

– A to dlaczego? Sprawa prywatna?

– Nie. Próbuję wytropić Aminę.

– Pff. No dobrze, ale nie trać z oczu Biehla. Liczę na obszerny artykuł najpóźniej do czwartku. I pamiętaj o dziale graficznym! – napomniął Krab.

Nora się rozłączyła, po czym odszukała Biehla w telefonie i zapisała kluczowe liczby dotyczące ErBiTechu na odwrocie koperty z banku, której nie miała jeszcze okazji otworzyć. Następnie zadzwoniła do działu graficznego, do Yvonne, która spokojnie zapisała podyktowane przez nią informacje.

Przeszukała swoją listę kontaktów i zatelefonowała do Jacoba. Był zajęty, więc zostawiła wiadomość. Gdy przekraczali roгатki Oksfordu, Jacob oddzwonił.

– Co tam, Nora? – Jego głos był tak podminowany, że Nora gotowa była przysiąc, że dopiero co wrócił z toalety firmowej, gdzie wciągnął kreskę koki.

– Cześć, Jacob. Co słysząc u Biehla?

– Tak, co u Biehla. Toż to szaleństwo! – powiedział, śmiejąc się z ekscytacją.

– Jakie szaleństwo? – spytała Nora, idąc o zakład, że Jacob nie ma pojęcia, że cała jej wiedza opiera się właśnie na nim.

– No, w grę wchodzi... sześć, siedem milionów. Z dnia na dzień.

– Koron? – spytała Nora z niedowierzaniem.

– Nie, do cholery! Funtów! A to mój klient. Moje konto! – ciągnął podekscytowany Jacob.

– Czyli Biehl przeszedł drogę od niemal bankruta do całkiem dobrze sytuowanego człowieka, zgadza się?

Jacob się zawahał, jakby dotarło do niego, z kim rozmawia.

– Ciepło, ciepło... Biehl to po prostu mistrz balansowania na krawędzi. Tak się zwycięża w biznesie. Każdy głupi to wie.

Nora miała teraz dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że zuchwałość Jacoba można odmierzyć małymi plastikowymi torebkami z białym proszkiem.

– OK. Jak bardzo uzależniony jest od PharmaCorp?

Jacob odchrząknął.

– Nie mogę udzielać informacji o naszych klientach ze względu na poufny charakter sprawy.

Nora czekała.

– Ale, yyy... dość mocno. Mogę ci udzielić informacji, które sama

znajdziesz w brytyjskim rejestrze spółek. PharmaCorp posiada znaczące udziały w ErBiTechu i jak się dowiedziałas, płacą Biehlowi w akcjach, które teraz odnotowały spektakularny wzrost.

– OK, dzięki za pomoc.

– Słuchaj, nie cytuj mnie w tej sprawie, dobrze?

– O co ci chodzi, Jacob? Wydawało mi się, że jednym z celów banku było cytowanie w prasie? Czy to niekorzystnie wpłynie na twoje wyniki? – droczyła się Nora.

– Do cholery, Nora, nie w tej sprawie, OK?

– Jasne, jasne, spokojnie – powiedziała i rozłączyła się.

Autobus zatrzymał się na stacji, więc Nora wzięła taksówkę, by dojechać pod adres laboratoriów PharmaCorp, znaleziony *on line*.

Pakistański taksówkarz był zaaferowany rozmową telefoniczną o wyjątkowo ważnej dostawie sofy i im dalej wyjeżdżali na przedmieścia, tym bardziej rosła jego irytacja wobec osoby po drugiej stronie słuchawki. W końcu zahamował przed wjazdem z dużym elektronicznym szlabanem i grupką osób wyglądających na hipisów.

Kierowca odwrócił się do niej i wskazał na szlaban.

– To tam. Dalej nie pojedę – wyjaśnił.

– Ze względu na kontrolę bezpieczeństwa?

– Tak, i na nich – powiedział, kiwając głową w stronę demonstrantów i nawet nie kryjąc pogardy.

– Kto to jest?

– Hipisi. Idioci. Są przeciwni eksperymentom na zwierzętach i uważają, że wolno im atakować bombami z farbą wszystkich, którzy jadą do i z laboratorium. W ciągu ostatnich dwóch lat już dwa razy musiałem przemaalowywać samochód. Ubezpieczyciel stwierdził, że już więcej nie zapłacą. Więc podziękuję – powiedział.

Nora zapłaciła i wyskoczyła z samochodu. Gdy tylko zamknęła drzwi, kierowca tak szybko ruszył z miejsca, że koła aż zabuksowały.

Grupka łąpała na nią złowrogo. Wszedł jej naprzeciw wysoki, chudy gość w brudnej, pomarańczowej kurtce z kapturem i czymś, co wyglądało na własnoręcznie zrobioną filcową czapkę z daszkiem, naciągniętą na rastafariańskie dredy, równie rude jak jego broda. Za jego plecami Nora dostrzegła trzy kobiety i kolejnego mężczyznę, którzy spokojnie popijali z aluminiowego kubka, dolewając herbatę z termosu. Ich oczy obserwowały ją czujnie.

– Kim pani jest i co tu robi? – spytał mężczyzna napastliwie.

Nora nie pozostała mu dłużna.

– A kim pan jest? – odparowała.

– To chyba jasne – odpowiedział mężczyzna jadownicie, machając ręką

w stronę grupy. Wzdłuż płotu Nora dostrzegła trzy tablice informujące, że Laboratoria PharmaCorp są diabłem wcielonym, ponieważ prowadzą doświadczenia na zwierzętach. Na jednej widać było zdjęcie szczeniaka rasy beagle i dramatyczny napis: „Urodził się, by zginąć”.

Nora czytała co nieco o oksfordzkich stowarzyszeniach i nawet parę lat temu o nich pisała przy okazji wywiadu z jednym z liderów ekstremistycznej grupy wegańskiej, Morrisem. Zaczęła powoli przypominać sobie tę historię.

Jeśli dobrze pamiętała, Morris siedział w więzieniu za „uwolnienie” całej fermy nerek, którą to akcję zupełnie inaczej zinterpretował zarówno hodowca, jak i miejscowa policja.

– Dobrze. Nora Sand. Pracuję dla duńskiej gazety.

Mężczyzna łypnął na nią sceptycznie.

– Mogę zobaczyć legitymację prasową?

Nora wyjęła portfel i okazała żółtą legitymację Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej w Londynie. Mrużąc oczy, oglądał ją ze wszystkich stron.

– „Globalt”? Nigdy o nim nie słyszałem – powiedział z rezerwą.

– Nic w tym dziwnego. Ukazujemy się tylko w Danii – wyjaśniła Nora cierpliwie.

– Hm. Przyszła pani napisać o naszym proteście?

– Może. Ale na razie jestem tu, by przyjrzeć się Laboratorium PharmaCorp w Wielkiej Brytanii. Trudno się dowiedzieć, co tam się właściwie dzieje – tłumaczyła Nora.

Mężczyzna wybuchnął szyderczym śmiechem.

– Delikatnie mówiąc, rozgrywają się tam straszne zbrodnie. Ale rządowi tak zależy na dobrych układach z amerykańskimi firmami, że nikt się w to nie miesza – powiedział z goryczą, wyciągając do niej rękę.

– Colin – przedstawił się. Nora uściśnięła jego dłoń.

Wskazał na resztę grupy: Tessę, Bean, Alice i Scotta.

Szczupła, jasnowłosa kobieta z kolczykiem w nosie i szerokim asortymentem metalowych gadżetów w uszach patrzyła na Norę podejrzliwie.

– Jeśli jesteś z „Daily Maila”, to zmiataj stąd – powiedziała.

Colin spojrział na nią.

– Wyluzuj, Bean. Ona jest z Danii.

Bean nie odezwała się więcej, ale patrzyła na nią wilkiem, gdy Nora dosiadła się do grupy i została poczęstowana herbatą.

Alice opowiedziała jej długą historię o tym, jak przed pięciu laty grupa studentów z Uniwersytetu Oksfordzkiego dowiedziała się, że w laboratorium wykorzystuje się do eksperymentów naukowych zarówno psy, jak i małpy. Z początku udało się zachęcić sporą społeczność studencką uniwersytetu do demonstracji przeciwko PharmaCorp, ale wraz z upływem tygodni i spadkiem

zainteresowania dziennikarzy duch walki opadł u znacznej części grupy. Fakt, że PharmaCorp zareagowało jedynie zainstalowaniem elektrycznego ogrodzenia i oświadczeniem prasowym z USA, że laboratorium prowadzi „badania, które codziennie ratują ludzkie życie”, ostudził zainteresowanie sprawą. Zaczął się semestr i w końcu demonstracje przerodziły się w cotygodniowy miting, na który trafiła Nora.

– Stoimy tu przez trzy, cztery godziny w każdy wtorek, żeby im pokazać, że nie zapomnieliśmy. Że nie wygrali – rzucił Colin.

– Mieliście w ogóle kontakt z kimś z laboratorium?

Zgodnie pokręcili głowami.

– Przez te pięć lat, odkąd demonstrujecie, nikt nigdy do was nie wyszedł na rozmowę?

– Nieee... znaczy... oprócz Murraya – odpowiedziała Alice.

– Murraya?

Głos ponownie zabrała Alice.

– Murray pracował tam przez parę lat jako woźny. Pomagał przy zwierzętach, przy różnych pracach. Karmienie, sprzątanie, tego typu rzeczy. Któregoś dnia stracił głowę dla małego szczeniaka beagle'a. Próbował uzyskać pozwolenie na wykupienie go z laboratorium. Ale nie dało się, bo w eksperymencie było potrzebnych dwanaście szceniaków, a nie było żadnych dodatkowych. Poza tym w PharmaCorp nie chcieli, naturalnie, by personel przywiązywał się do zwierząt.

– Co się stało potem?

– Rozpoczęli eksperyment. Nie wiem, co dokładnie testowali, ale w wyniku eksperymentów zwierzęta powoli słabły. Robiły się coraz chudsze, choć dostawały tę samą karmę. Murray nie mógł tego znieść i zaczął dawać „swojemu” szczeniakowi dodatkowe porcje karmy. Tyle że został nakryty. Nie wiedział, że pomieszczenie jest nieustannie monitorowane. Został zwolniony dyscyplinarnie, a cały eksperyment trzeba było powtórzyć. Te dwanaście szceniaków zostało uspionych; umarły na próżno. Murray już nigdy potem nie był sobą. Znienawidził PharmaCorp. To dzięki niemu swego czasu historia o eksperymentach z udziałem zwierząt wyciekła do prasy.

– Gdzie jest teraz Murray? – spytała Nora.

Alice wskazała na skraj lasu po lewej od terenu laboratorium.

– Myślę, że siedzi w swoim punkcie obserwacyjnym.

– Dlaczego nie ma go tu z wami?

Tym razem odpowiedziała Tessa, patrząc w ziemię.

– Jego zdaniem nie podchodzimy do sprawy z wystarczającą powagą. Chętnie przeszedłby do bezpośrednich działań wobec laboratorium i ludzi, którzy świadczą usługi dla PharmaCorp. Straszyl większość firm w mieście, że ukarze

każdego, kto z nimi współpracuje. Myślę, że to on stoi za atakami na korporacje taksówkowe.

– Aha? – powiedziała Nora, zachowując neutralny ton głosu.

– Tak. Muszę myśleć o swojej przyszłości. Studiuję prawo i jeśli będę miała wyrok, pięć lat studiów pójdzie na marne. Ale w gruncie rzeczy się z nim zgadzam. Te dupki mordują zwierzęta.

– Jak znajdę tego Murraya?

– Niech pani idzie do lasu i poczeka. Jeśli zechce z panią porozmawiać, sam panią znajdzie. Ma lepsze i gorsze dni – powiedziała.

Nora pożegnała się z grupą i poszła w stronę lasu.

Przystanąła pośrodku skupiska drzew, notes trzymając na wierzchu.

– Jestem dziennikarką z Danii. Piszę o PharmaCorp – powiedziała głośno i wyraźnie.

Poczuła na sobie czyjś wzrok, ale choć powoli obróciła się wkoło, nikogo nie dostrzegła.

Po upływie minuty dał się słyszeć szelest, a gdy spojrzała w jego kierunku, zobaczyła wykonaną metodą chałupniczą drabinkę, opuszczającą się z wysokiej sosny. Zmrużyła oczy i udało jej się dojrzeć coś na kształt drewnianej platformy, umieszczonej między najgrubszymi konarami.

Spojrzały na nią szare oczy osadzone w zaczerwienionej twarzy, obramowanej gęstwiną rozwichrzonych włosów.

– No chodź! Nie mam całego dnia. Jestem w pracy – powiedział Murray.

Nora uśmiechnęła się do niego na próbę, po czym wsunęła notes do kieszeni i wdrapała się po niestabilnej drabince, która chybotąca się w tę i z powrotem.

W końcu jej ręce dosięgły brzegu niedużej platformy, przypominającej ambonę używaną przez myśliwych w lasach w oczekiwaniu na zwierzynę. Ostatni odcinek podciągnęła się na rękach, myśląc ciepło o uporze Enza, z jakim kazał jej zawsze kończyć trening niezliczoną ilością pompek.

Pierwszą rzeczą, jaka ją uderzyła, był zapach. Świeży powiew wiatru ani aromat sosnowych igieł nie mogły zatuszować faktu, że Murray nie zażywał codziennych kąpieli.

Zamrugał do niej. Nora rozejrzała się wokół. Nie licząc śpiwora, powgniatanego aluminiowego kubka i pół paczki herbatników Digestive, obok Murraya leżał stos notatników i garść długopisów reklamowych.

– Cześć, Murray – powiedziała na próbę.

Odchrząknął i odwzajemnił powitanie tak zachrypniętym głosem, że Nora pomyślała, że może być pierwszą osobą, z którą rozmawia od wielu dni.

– Możesz mi opowiedzieć, co tutaj robisz?

Uśmiechnął się gorzko i Nora stwierdziła, że szczoteczki do zębów również nie widział przez ostatnie dni, a może i tygodnie.

– Obserwuję tych gnojków.

– Tak?

Chwycił się za szyję i wyłowił pasek z małą lornetką, schowaną w zakamarkach obdartego płaszcza. Ostrożnie zdjął pasek przez głowę i podał lornetkę Norze. Wzięła ją do ręki i stwierdziła, że to najlepszej jakości zeiss.

Murray przesunął się, wskazując na otwór, który sam zrobił po jednej stronie swojej kryjówki. Nora uklękła i spojrzała przez dziurę, trzymając lornetkę przy oczach. Na końcu długiego podjazdu widać było biały budynek z płaskim, czarnym dachem, postawiony prawdopodobnie w latach siedemdziesiątych. Na parkingu przed budynkiem stało jakieś dwadzieścia, trzydzieści samochodów, zaś za nimi znajdowała się czarna budowla z kominem i mnóstwem dużych, aluminiowych rur sterczących z jednej strony.

Z punktu obserwacyjnego Murray miał doskonały ogląd, kto przyjeżdża i odjeżdża z laboratorium.

– Czego szukasz, Murray? – spytała cicho.

Murray odkaszlnął.

– Mam na nich oko – odparł sztywno.

Podał jej notatnik, w którym sumiennie jak portier notował wszystkie samochody wjeżdżające na teren laboratorium.

Nora otworzyła na przypadkowej stronie: „11 lutego: 07.55 brązowy vauxhall BD 64 GOV (pani Marsh) wyjazd 17.09. 09.15 niebieski jaguar GO 51 EPP (dr Carter) wyjazd 19.46”. I tak dalej. Strona po stronie z markami samochodów, numerami rejestracyjnymi i nazwiskami kierowców. W niektórych miejscach były luki, w których Murray wstawił znaki zapytania albo napisał: *wymaga bliższego zbadania*.

– Od jak dawna masz na nich oko?

– Odkąd przestałem dla nich pracować – wyjaśnił.

– Przyjeżdżają nocą, Murray? – naciskała.

– Czasem przyjeżdżają samochody – wymamrotał.

– Co to za samochody?

– Prawie zawsze białe furgonetki, ale czasem też czarny mercedes.

Przypominał jej Davida, gdy ten miał słaby dzień. Gdy jej brat znajdował się w takim stanie, w grę wchodziła jedynie metoda małych kroków i zadawanie bardzo konkretnych pytań.

– Wiesz, czy osoby w tych samochodach są pracownikami firmy?

– Nie są.

– Ile jest takich osób?

Murray się zastanowił.

– W furgonetcie zawsze dwie, a w czarnym mercedesie jeden mężczyzna. – Skierował wzrok na budynek. – Nigdy nie wchodzi do głównego laboratorium.

– To co robią?

Murray wskazał na czarny budynek.

– Podjeżdżają pod same drzwi. Ci w białej furgonetce.

– Co się mieści w tym czarnym budynku, Murray?

– Klatki ze zwierzętami. Są tam beagle i może dziesięć, dwadzieścia szympansov. Króliki, szczury i myszy. Wszystkie trzymane w osobnych pomieszczeniach.

Nora nadaremnie szukała w tym sensu. Dlaczego ktoś miałby wpadać z nocną wizytą, by doglądać zwierząt? Chyba że stanowiło to część eksperymentu?

– I jesteś pewny, że to nie są pracownicy laboratorium?

– Jestem – odparł Murray z naciskiem.

– Skąd ta pewność? Chodzi mi o to, że przecież mogli kogoś zatrudnić już po twoim zwolnieniu?

– Nie zatrudnili.

Murray ostrożnie przeczołgał się po platformie obok Nory, by sięgnąć do sterty notesów. Wyciągnął jeden, przewertował i otworzył mniej więcej pośrodku.

– Patrz! – powiedział, wskazując z tryumfem: „02.38 biały ford transit. Logo: czarne. Zabłocone numery rejestracyjne ...32TBA, wyjazd 03.51. 02.45 czarny mercedes GG62 GFR, wyjazd 03.13”.

– Czyli furgonetka przyjechała pierwsza, a czarny mercedes po niej?

– Tak. Ale nie na długo. Mężczyzna w samochodzie wypuścił z laboratorium dwóch pozostałych. Został na chwilę i pojechał.

– Czy może chodzić o nielegalne doświadczenia na zwierzętach, Murray? Tak właśnie podejrzewasz?

Murray miał wątpliwości.

– Nie wiem, jak by się to miało odbywać. Istnieją bardzo restrykcyjne protokoły mówiące, jakie zwierzęta mają być użyte w konkretnych doświadczeniach. Wszystko jest zapisywane i kontrolowane przez władze. Od czasu do czasu przyjeżdżają na niezapowiedziane wizyty, więc wszystko musi odbywać się podług zasad. To właśnie dlatego straciłem Bessie.

– Bessie?

– Tak. Mojego szczeniaka.

– Przykro mi – powiedziała Nora.

– Minęło już dużo czasu. Ale PharmaCorp ciągle męczy i dręczy te biedne zwierzęta. Trzymają je w małych klatkach. Żadnego głaskania czy pieszczot. To nie jest życie.

Nora ponownie przyłożyła lornetkę do oczu i spojrzała na czarny budynek. Nic się koło niego nie działo, tylko nad drzwiami świeciła się biała lampa.

– I jesteś pewien, że nic innego się tam nie mieści? Może coś tam przeniesiono po tym, jak opuściłeś PharmaCorp? Sprzęt laboratoryjny czy coś

w tym stylu? – spytała w końcu.

Murray pokręcił głową.

– Oczywiście nie mogę mieć stuprocentowej pewności, ale nie wyobrażam sobie, żeby mogło się tam zmieścić więcej sprzętu. Poza klatkami są tam tylko trzy długie stoły. I piec na samym końcu też zajmuje sporo miejsca.

– Piec?

– Tak. Do spalania odpadów laboratoryjnych.

Zdanie zawisło w powietrzu.

– Odpadów? Takich jak martwe zwierzęta?

Murray milcząco pokiwał głową.

– Ile razy tu byli?

– W sumie pięć – powiedział z pewnością w głosie.

– Kiedy ich ostatnio widziałeś?

– W piątek.

Tego samego wieczora, gdy objadając się koreczkami, stała przy basenie, uczestnicząc w hucznej imprezie Biehla na cześć samego siebie.

Zapisała numery rejestracyjne w swoim notesie i spytała Murraya, czy ma telefon, na który można by do niego zadzwonić. Pokręcił głową.

– Nie chcę mieć komórki. Smaży się od niej mózg.

– Czy można dzwonić do kogoś innego, jeśli się chce z tobą skontaktować?

Murray znów pokręcił głową.

– Nie. Ale prawie zawsze tu jestem.

– OK.

– Napiszesz coś w gazecie? – spytał, gdy Nora, manewrując ostrożnie, schodziła po drabince.

Spojrzała na niego, przytrzymując się pnia, by uniknąć nadmiernego huśtania.

– Na pewno. Ale to zajmie trochę czasu.

Murray pokiwał głową z powagą.

– To normalne w takich sprawach.

Rozdział 24

Minęło dwadzieścia minut, nim taksówka pofatygowała się po Norę pod adres PharmaCorp, a gdy dotarła na stację, okazało się, że autobus do Londynu odjechał przed dwiema minutami. Zagryzła zęby i postanowiła, że spróbuje złapać zatłoczony pociąg podmiejski.

Pół godziny później siedziała w przepelnionym wagonie naprzeciwko matki z trójką dzieci, spacyfikowanych chwilowo paczką chipsów krewetkowych, które roztaczały w najbliższym otoczeniu woń rybackiego kutra.

Nora wyjrzała za okno, próbując zebrać myśli, po czym wyciągnęła telefon i poszukała w Google strony domowej brytyjskiego wydziału komunikacji, DVLA, który informował, że podając numer rejestracyjny, można dowiedzieć się prawie wszystkiego na temat danego samochodu: modelu, marki, emisji dwutlenku węgla, szczegółów podatkowych i daty rejestracji. Czyli właściwie wszystkiego, czym można się interesować, oprócz jedynej informacji, która była Norze naprawdę potrzebna: kto jest właścicielem. Można było napisać do DVLA, uzasadniając szczegółowo, dlaczego chce się zdobyć te dane. Ale trudno jej będzie wymyślić rozsądny i rzeczowy powód. To by było za proste.

Zadzwoiła do Andreeasa, ale od razu włączyła się poczta głosowa. Wysłała więc SMS-a z prośbą, by oddzwonił, jak tylko będzie mógł. Może uda mu się poprosić znajomych ze Scotland Yardu o małą przysługę. Mogła oczywiście zadzwonić do Millhouse'a, ale czuła, że nie powinna zbyt często rozgrywać tą kartą.

Gdy rodzinie z siedzenia naprzeciwko skończyły się chipsy, a matka tym samym utraciła jedyne narzędzie utrzymania dzieci w miarę cywilizowanym spokoju, w końcu zadzwonił telefon.

Zanim Nora go odebrała, usiłowała uciszyć dzieci, co ich matka skwitowała spojrzeniem, które błyskawicznie ostudziłoby reaktor atomowy. Nora udała, że tego nie widzi, i zatkała jedno ucho w daremnym wysiłku zagłuszenia hałasu.

– Andreas?

Na linii słychać było szum, trzeszczenie i stukot. Nora słyszała głos kobiety, ale wyłapanie słów było prawie niemożliwe.

– Halo?

Kobieta znów zaczęła mówić i nagle, gdy pociąg oddalił się od słupów wysokiego napięcia, głos stał się wyraźny.

– Mówi Jackie. Potrzebuję pani pomocy.

Norę zalała ogromna fala ulgi.

– Jackie? Gdzie pani jest? Dobrze się pani czuje?

– Spalili mój dom!

– Tak, wiem. To straszne – powiedziała Nora.

– Straszne? Straszne? Ma pani świadomość, że gdybym po drodze do domu nie wstąpiła z Emily do playlandu, obie byśmy już nie żyły?

Nora szukała właściwych słów, zaś rodzeństwo z naprzeciwka zwiększyło poziom hałasu.

– Gdzie pani jest, Jackie? Mogę pani pomóc?

– Jestem w Londynie.

– Możemy się spotkać?

Długa pauza. Nora jeszcze raz uciszyła dzieci i po raz kolejny została zgromiona wzrokiem przez ich matkę.

– Przy King's Cross jest lokal Nando's. Tam mnie pani znajdzie, za godzinę.

– Dziękuję, Jackie. Opowie mi pani, co się dzieje.

– Nie ma pani pojęcia, w co się wplątała. Ci ludzie nie mają skrupułów. A ja mam... – Reszta pograżyła się w monotonnym hałasie, dopóki telefon nie piknął dwa razy, informując, że połączenie zostało niespodziewanie przerwane.

– *Fuck!* – jęknęła Nora.

Najmniejszy brzdąc spojrział z powagą na matkę.

– Mamo, ta pani powiedziała *fuck*. Można tak mówić?

Tym razem matka nie zaszczyciła Nory nawet spojrzeniem, lecz z anielską cierpliwością odpowiedziała synkowi:

– Nie, skarbie. To bardzo brzydko przeklinać. Ale niestety nie wszyscy ludzie są dobrze wychowani.

*

Gdy pociąg wreszcie wtoczył się na stację Paddington, od Andreeasa wciąż nie było wieści. Nora zeszła na stację metra i wskoczyła w Circle Line.

Przy King's Cross przecięła ulicę, zmiierzając do południowoafrykańskiej sieciowej restauracji, specjalizującej się w tanim kurczaku. Dziwne miejsce na spotkanie, zdążyła pomyśleć Nora, zanim weszła do środka i rozejrzała się po ciemnym wnętrzu z dużymi boksami, w których można było się zaszyć.

Jackie widocznie jeszcze nie przyszła, więc Nora poprosiła o stolik, gdzie nikt nie będzie im przeszkadzał.

– Czyżby gorąca randka? – uśmiechnęła się kelnerka, prowadząc Norę do jednego z boksów.

– Nie – odparła Nora po prostu, nie mając ochoty na rozmowę.

– Hm. Mam w to uwierzyć? Wydaje się pani nerwowa. Proszę powiedzieć, czy mogę jakoś pomóc?

Nora uniosła wzrok i spojrzała na nią.

– Za chwilę przyjdzie tu młoda kobieta o kręconych włosach. Może mogłaby pani zaprowadzić ją do stolika?

– Jasne, jasne, w porządku – odpowiedziała kelnerka, lekko dotknięta.

Nora zadzwoniła jeszcze raz do Andreasa. Wciąż żadnej odpowiedzi. Napisała więc SMS-a: „Zadzwonisz zaraz?”. Po trzydziestu sekundach nadeszła odpowiedź: „Na obserwacji. Cisza radiowa. Przestań dzwonić”. Fantastycznie.

Zacząła studiować menu dla zabicia czasu. Zostało jeszcze jakieś siedem, osiem minut do godziny ustalonej przez Jackie, ale zanim zdążyła doczytać, jaka jest różnica między peri peri a kurczakiem extra hot, Jackie wsunęła się na siedzenie naprzeciwko niej. Była blada, pod oczami miała ciemne obwódki i cały czas rozglądała się nerwowo po lokalu.

– Wie pani, co mi pani zrobiła? – wypaliła.

– Czy z pani córką wszystko w porządku? – wtrąciła Nora.

– Tak. Moja przyjaciółka właśnie zawozi ją do mojej mamy, do Yorkshire.

– Kto panią prześladowuje?

Jackie patrzyła na Norę przez chwilę, jakby nie mogła pojąć, ile głupoty może pomieścić się w jednym człowieku.

– Rozumiem, że to ktoś z pani pracy? – ciągnęła Nora. – Bo pani ze mną rozmawiała? Czy jak? Skąd w ogóle się o tym dowiedzieli? Podłożenie ognia pod pani dom to jednak bardzo gwałtowna reakcja.

Jackie próbowała wybuchnąć szyderczym śmiechem, ale śmiech przerodził się w szloch.

– Nie tylko dlatego, że pani przyszła. Już od dawna mieli na mnie oko. Za dużo wiem. Naprawdę się boję. Mogą mi zabrać Emily.

– Kto? SecurCorp? Dlaczego mieliby zabrać pani dziecko? Przecież to nie ma sensu, Jackie.

– Nie, ale jeśli nie będę miała pracy ani domu, to nie będę jej mogła zatrzymać. Wtedy wkroczy jej ojciec ze swoimi drogimi adwokatami i... – Jackie znów się rozplakała.

Nora gestem przywołała kelnerkę, zamówiła dwa kubki kawy i podała jeden Jackie.

– Proszę posłuchać, Jackie. Niech mi pani wyjaśni, co się dzieje w Hawksyard, żebym mogła pani pomóc najlepiej jak potrafię.

Jackie pokręciła głową.

– Nie. Muszę najpierw mieć pewność, że ja i Emily jesteśmy bezpieczne. Do tego czasu nie mogę o niczym mówić.

– Dobrze.

Nora odszukała numer do Corinne i w kilku zdaniach wyjaśniła jej, w czym rzecz. Corinne podała jej numer do osoby kontaktowej imieniem Anne. Ta odebrała telefon natychmiast i podała jej adres w Camden. Powtórzyła go, a Nora odszukała długopis i zapisała adres na serwetce.

– To mieszkanie w suterenie. Klucz leży w doniczce w lewym rogu. W lodówce jest jedzenie, ta pani może tam zostać przez trzy dni – powiedziała

Anne i rozłączyła się.

– Załatwione. W tym mieszkaniu może się pani bezpiecznie zatrzymać na trzy dni. Proszę mi powiedzieć, co się dzieje.

Jackie wściekle wytarła oczy wewnętrzną stroną dłoni.

– Dobrze. W Hawksyard dzieje się coś złego. Nie wiem dokładnie co, ale ma to związek z poradnią lekarską.

Nora położyła na stole komórkę, spoglądając na Jackie pytająco.

– Mogę panią nagrywać?

Jackie namyślała się przez parę sekund.

– Tak, ale proszę nie ujawniać mego nazwiska.

Nora skinęła głową i włączyła nagrywanie.

– W jakim charakterze pracuje pani w poradni lekarskiej?

– Wykonuję standardowe zadania pielęgniarki i pomagam lekarzowi. Zakładam opatrunki, trzymam dzieci za rękę podczas szczepienia. Pobieram krew i tym podobne.

– Dlaczego uważa pani, że w Hawksyard dzieje się coś niedobrego?

– Na początku to było raczej wrażenie. Doktor Mung powiedział, że interesuje się kwestią odżywiania. Że uczestniczy w projekcie badawczym, który bada związek między cukrzycą a dietą. Że szuka kobiet, które są, jak sam to określił, przy kości. Poprosił mnie, bym miała oko na kobiety przybywające do ośrodka, które mogłyby być ewentualnymi kandydatkami.

– Posłuchała go pani?

– Tak. Nie widziałam w tym nic zdrożnego.

– Jak dawała pani znać doktorowi Mungowi, która z nich się nadaje?

– Poprosił mnie, bym po prostu notowała ich nazwiska, gdy przychodziły do poradni. Podkreślał, że nie interesują go kobiety z dziećmi, tylko samotne, bez krewnych w innych ośrodkach.

– Nie wzbudziło to pani podejrzeń?

– Nie, przynajmniej na początku. Jestem przyuczona, by postępować tak, jak każe lekarz – odparła Jackie z gorzkim uśmiechem.

– Kiedy zaczęła pani podejrzewać, że coś jest nie tak?

Jackie się zastanowiła.

– Stopniowo zaczęłam zwracać uwagę na pewne drobiazgi. Dopiero przy Fatimie byłam już pewna, że to dziwne.

– Przy Fatimie?

– Była leczona na jakąś wysypkę. Bardzo jej zależało, żeby jej się pozbyć, więc dałam jej maść, którą bardzo starannie się smarowała – tłumaczyła Jackie. – Ale wysypka okazała się oporna, więc załatwiłam jej receptę na nowy rodzaj kremu i wykupiłam go w aptece. Była zapisana na wizytę dokładnie o tej samej porze, co zwykle. Nie zjawiała się.

– Czy to coś niezwykłego?

Jackie zwlekała z odpowiedzią.

– Niekoniecznie. Kobiety przychodzą i odchodzą z ośrodka. Siłą rzeczy są tu tylko przez jakiś czas. W którymś momencie kończą się im możliwości apelacji i zostają odesłane tam, skąd pochodzą. Tak to wygląda.

– Ale Fatimy nie odesłano?

– Nie, jestem tego pewna.

– Dlaczego?

– Podczas swojej ostatniej wizyty w klinice była pełna nadziei. Dzięki swojemu prawnikowi miała zostać jeszcze raz wysłuchana w ministerstwie spraw wewnętrznych. Miało się to odbyć trzy tygodnie później. Władze raczej nie chciały odsyłać jej z powrotem, skoro miała zostać dodatkowo wysłuchana, prawda? – spytała Jackie.

Nora wzruszyła ramionami.

– Nie byłby to pierwszy raz w historii świata, że w administracji państwowej nie wie lewica, co czyni prawica.

– Owszem, też sądziłam, że tak może być. Ale potem spytałam jedną z pozostałych kobiet. Powiedziała mi, że Fatimę wysłano do pokoju wyciszenia.

– Ma pani pojęcie, co się tam działo?

– SecurCorp przeniosło ten system z więzień, którymi administrują w USA. Jeśli jakaś kobieta jest agresywna lub łamie reguły, może zostać tam osadzona.

– Jak długo przebywa się w pokoju wyciszenia?

– Nie mam pewności, ale raczej nie dłużej niż dwa tygodnie.

– To właśnie tam umieszczono Fatimę?

– Tak. Pozostałe kobiety tak mówiły. Ale to mi nie pasuje.

– Dlaczego?

Jackie zaczęła wyliczać na palcach:

– Po pierwsze, Fatima była najspokojniejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam. Nigdy nie widziałam, by podniosła głos czy się w jakikolwiek sposób podekscytowała. Była łagodna i radosna. Po drugie, miała przecież zaplanowane spotkanie na temat swojego statusu w Wielkiej Brytanii. Po co robić coś, co postawiłoby ją w niekorzystnej sytuacji? Fatima przebywała w Hawksyard wystarczająco długo, by wiedzieć, jak tu wszystko funkcjonuje.

– Ale przecież każdy może popełnić błąd, gdy jest pod presją – wtrąciła Nora.

– Po trzecie, to wszystko wydało mi się jeszcze bardziej zagadkowe – ciągnęła Jackie – gdy chciałam jej wyświadczyć przysługę. Wiedziałam, jak zależało jej na pozbyciu się tej wysypki, więc postąpiłam wbrew regulaminowi. Poszłam do Johna Barnes'a.

– Aha?

– Zdaję sobie sprawę, że Hawksyard podchodzi do pokoju wyciszenia bardzo poważnie. Zamysł jest taki, że kobietom nie wolno kontaktować się ze światem zewnętrznym. Ale sądziłam, że można zrobić wyjątek, bo Fatimie potrzebna była ta maść.

Nora kiwnęła głową.

– Ma to sens. Jak zareagował Barnes?

– Na początku po prostu odmówił. To wbrew regulaminowi. On jest emerytowanym żołnierzem, więc przestrzeganie zasad ma we krwi, odkąd został rekrutem.

Nora się uśmiechnęła.

– Ale pracujemy razem od dawna i on jest w porządku – ciągnęła Jackie. – Więc jak go trochę urobiłam, zgodził się zapytać, czy da się przekazać Fatimie tę maść.

– Ma pani na myśli, że zapytał przełożonego?

Jackie skinęła głową.

– Okazało się, że to poważny błąd.

– Jak to?

– Kiedy przyszedłam do pracy następnego dnia, zostałam wezwana do gabinetu dyrektora Bendicksa. Nigdy wcześniej z nim nie rozmawiałam. Był wściekły, kipiał ze złości. Mówił o gigantycznym nadużyciu zaufania. Palnął mi mowę, że fundamentem SecurCorp jest zaufanie do zasad i personel, który rozumie, czym jest hierarchia służbowa. Wyklarował mi, że jeśli tego nie rozumiem czy też nie potrafię pracować w takich warunkach, to mogę natychmiast opuścić stanowisko pracy.

– Co pani zrobiła?

Jackie westchnęła.

– A jak pani myśli? Mam córkę na utrzymaniu. Oczywiście przeprosiłam. Pokornie i uniżenie. Błagałam o jeszcze jedną szansę i przyrzekłam, że go nie zawiodę. Ale swoje pomyślałam.

– Co pani pomyślała?

– Że taki drobiazg wywołał tak gwałtowną reakcję. Ale że może tak to wygląda, gdy się prowadzi biznes w USA. Że w amerykańskich firmach personel nie powinien myśleć samodzielnie.

– To był ostatni raz, gdy miała pani do czynienia z tą sprawą?

– Nie. Byłam głupia i nie zostawiłam tak tego. Spytałam Barnes'a, kiedy Fatima wróci. Trzy dni później Portland zaczepił mnie na parkingu.

– Kim jest Portland?

– Nie wiem dokładnie, jaką pełni funkcję. Często kręci się w pobliżu Bendicksa. Wielki mięśniak, ogolony maszynką.

Nora przypomniała sobie swoją wizytę w Hawksyard. Pasowało to dokładnie

do opisu mężczyzny, z którym Bendicks miał spotkanie, kiedy wparowała do jego gabinetu w towarzystwie pełnego dobrych intencji Barnesesa.

– Czego chciał?

Jackie przeszedł dreszcz.

– To było bardzo nieprzyjemne. Zakradł się do mnie, gdy otwierałam samochód. Jeszcze raz mnie ostrzegł, bynajmniej nie tak grzecznie jak Bendicks. Wyjaśnił mi, że Fatima została deportowana i że w interesie wszystkich jest, by, jak się wyraził, to pieprzone babsko jak najszybciej wywietrzało mi z głowy.

– Ale nie wywietrzało?

– Owszem. Gdy wsiadłam do samochodu, zapewniłam go, że nawet nie pamiętam, kim jest Fatima. Ale nawet to nie wystarczyło Portlandowi. Musiał mi to wytłumaczyć jeszcze dobitniej.

– To znaczy?

– Mówił o mojej córce, o paskudnym rozwodzie, który przeszłam trzy lata temu. O tym, że z dnia na dzień mogę wszystko stracić, łącznie z prawami rodzicielskimi, jeśli stracę pracę, a ktoś doniesie o tym odpowiednim instytucjom. Wiedział o mnie wszystko. Wszystko! – Jackie zasłoniła usta; jej ręka drżała. – Tak bardzo się bałam. Nie miałam wręcz odwagi wrócić do pracy, ale Portland powiedział, że przez najbliższy czas nie może być mowy o jakimkolwiek potknięciu, więc musiałam po prostu przychodzić, prowadzić poradnię i pomagać doktorowi Mungowi.

– Jaką rolę odgrywa w tym doktor Mung?

Jackie pokręciła głową.

– Nie wiem, ale nie ufam mu. Gdy tamtego wieczora wróciłam do domu i położyłam Emily spać, zabrałam się do szukania go w Google. Nie istnieje żaden doktor Mung, który jest specem od odżywiania czy prowadzi badania nad cukrzycą.

– I od tej pory odpuściła pani tę sprawę czy jak?

– Nie mogłam przestać myśleć o Fatimie. Dlaczego deportowano ją z kraju, skoro miała być kolejny raz wysłuchana? Nie dawało mi to spokoju. W końcu zaczęłam szukać jej adwokatkę. Pamiętałam, że na nazwisko ma Mason. Obdzwoniłam sporo kancelarii specjalizujących się w sprawach azylów i imigracji, aż w końcu znalazłam ją w Birmingham.

– Chciała z panią rozmawiać?

– Tak. Ale nie wiedziała, że Fatima została deportowana.

– Nie powiadomiono jej?

– Nie, była poirytowana, bo w kolejnym tygodniu miała umówione spotkanie z Fatimą, by przygotować ją do przesłuchania. Obiecała, że sprawdzi to w ministerstwie spraw wewnętrznych i odezwie się do mnie w ciągu paru dni.

– Odezwała się?

– Tak. Trzy dni później przysłała mi mail, w którym pisała, że w ministerstwie spraw wewnętrznych nie mają numeru decyzji o deportacji Fatimy. I że kontaktowała się z jej rodziną w Etiopii przez lokalnego informatora z Addis Abeby. Według rodziny Fatima nie wróciła do kraju. I że ona ze swojej strony uważa sprawę za zakończoną.

– Czyli Fatima po prostu rozplynęła się w powietrzu?

Jackie spojrzała na Norę z powagą.

– Na to wygląda. Rozplynęła się w powietrzu Hawksyard.

Norze przeszły ciarki po plecach.

– Ale ciągle chodziła pani do pracy?

Jackie pokiwała głową.

– Nie miałam wyboru. Portland mnie obserwował.

– Czy coś się zmieniło po tym epizodzie?

– Tak, sporo. Ani przez chwilę nie pozostawiano mnie samej w poradni. Miałam wrażenie, że mnie pilnowano, i jestem przeświadczona, że mój telefon był na podsłuchu.

– Dlaczego?

– Po prostu dziwne przecucie. Dodzwonienie się zajmowało więcej czasu, tego typu rzeczy. Po tym stałam się bardzo wyczulona i używałam komórki tylko, by ustalać szczegóły praktyczne.

– A jak jest teraz? Nadal ma pani ten telefon?

Jackie pokręciła głową.

– Wrzuciłam go do kosza na dworcu autobusowym przed wyjazdem do Londynu. Kupiłam tani model na kartę.

Kelnerka znów przyniosła kawę, a Nora widziała, że Jackie leży na sercu coś jeszcze.

– Któregoś dnia do doktora Munga zadzwonił telefon w poradni. Nie wiem, kto dzwonił, ale Mung sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego. Po chwili zszedł do piwnicy do pokoju wyciszenia. Nie miałam śmiałości iść za nim; komputer zawsze rejestruje, kto wchodzi i wychodzi.

– Czy była pani kiedykolwiek w piwnicy?

Jackie pokręciła głową.

– Nigdy.

Wzięła łyk kawy i ciągnęła swoją opowieść.

– Doktor Mung zostawił na swoim biurku teczkę i zanim wrócił, zerknęłam do środka.

– Co tam było?

Jakby chcąc odciąć się od otaczającego świata, Jackie zacisnęła oczy, nim udzieliła odpowiedzi.

– Było tam pięć imion; wszystkie należały do kobiet, które

zarekomendowałam. Każda z nich figurowała na osobnej kartce, a we wszystkich nagłówkach widniał napis „Felixia”.

– I co to znaczyło?

– Nie zdążyłam nic więcej podejrzeć, bo usłyszałam za drzwiami doktora Munga. Oskoczyłam do regału z lekami, żeby wyglądało, że czegoś tam szukam. Gdy się obróciłam, okazało się, że zabrał teczkę ze sobą. Dzień później w poradni pojawiła się pani.

– Dlaczego dała mi pani tę broszurę, Jackie?

– Bo pytała pani o Aminę. Była jedną z pięciu osób z listy.

Nora wzięła głęboki oddech.

– Jak pani sądzi, co stało się z Aminą?

– Nie wiem, ale raczej nic dobrego. Albo wciąż siedzi w pokoju wyciszenia, albo... – Jackie nie dokończyła.

– Wiem, że Felixia to rodzaj leku odchudzającego, na który PharmaCorp właśnie uzyskało atest. Jak pani sądzi, co się stało w Hawksyard? – spytała Nora.

– Nie wiem, ale żadnej z kobiet, których nazwiska były w tezcze, nie ma już w ośrodku. Wszystkie zniknęły, podobno zostały deportowane.

– Pamięta pani imiona tych pięciu kobiet?

– Fatima, Amina, Esther, Idris, Jamila.

– Pamięta pani jakieś nazwiska?

– Nie, tylko Fatimy. Pozostałych nie zdążyłam zapamiętać. Nie miałam odwagi sprawdzić ich kartotek, bo gdybym to zrobiła, widzieliby to w rejestrze.

– Nie rozważała pani pójścia z tym na policję? – spytała Nora.

– Nie. Portland mnie obserwował. Poza tym, co miałabym powiedzieć? Kto by mi uwierzył? Przecież to policja przywozi te kobiety o czwartej nad ranem w dużych, szarych karetkach więziennych. Zrywa je i ich dzieci z łóżek i daje im pięć minut na opuszczenie dotychczasowego życia. Wsadza do Hawksyard, skazując na deportację. Dlaczego nagle mieliby się przejąć, że pięciu spośród tych kobiet nie można znaleźć? Prawdopodobnie nie przebywają już w kraju, więc nie są problemem policji. Co najwyżej przysłaliby człowieka z formalnym zapytaniem do Bendicksa, a wtedy Portland wiedziałby doskonale, skąd ten przeciek.

– Co z organizacjami walczącymi o prawa człowieka?

– Myślałam o tym. Może anonimowe zgłoszenie...

Zadzwoił telefon Jackie. Gdy tylko usłyszała, kto znajduje się po drugiej stronie, rysy jej twarzy złagodniały, a głos się zmienił.

– To dobrze, kochanie. A babcia czuje się dobrze?

Gdy słuchała odpowiedzi, po jej policzku stoczyła się łza.

– Nie, nie wydaje mi się, by Nanuska przeżyła pożar. Ale obiecuję, że jak tylko do ciebie przyjadę, kupimy nowego misia, dobrze? – Jackie otarła oczy, wzięła głęboki oddech i przy ponownej odpowiedzi zmusiła się do zachowania

beztroskiego tonu. – Skarbie, nie wiem. Może za dwa, trzy dni? Bądź grzeczna i poproś babcię do telefonu.

Nora sprawdziła swoją komórkę, gdy Jackie rozmawiała o sprawach praktycznych ze swoją matką. O porze kładzenia dziecka spać i o tym, kiedy Jackie planuje przyjechać do Yorkshire.

– Muszę jeszcze załatwić parę rzeczy w Londynie, ale potem przyjeżdżam i zostaniemy u ciebie.

W komórce czekała na nią wiadomość od Kraba, który prosił, by oddzwoniła. Będzie musiał poczekać. Był też SMS od Andreasa: „Sorry, przydzielono mnie do zadania obserwacyjnego. Wracam za dwa dni. Nie miałem o tym pojęcia rano. Wyłączam telefon. Całuję”.

Wiedziała, że to niedorzeczne, ale rozżłościło ją, że Andreas może się tak odciąć. Włożyła komórkę do torebki i spojrzała na Jackie.

– Jest pani gotowa? Jedziemy do mieszkania na Camden?

Jackie skinęła głową.

*

W drodze na King's Cross Nora opowiedziała Jackie o Julesie i raporcie, który sporządził wraz z Ericą, między innymi o Hawskyard.

– Zgodzi się pani, bym porozmawiała z nim o tych pięciu kobietach? Może coś to da, jeśli organizacja, dla której pracuje, zgłosi się ze sprawą do brytyjskiej prasy?

– Ufa pani temu Julesowi?

– Tak – odparła Nora bez wahania.

– A mogę się z tym przespać?

– Oczywiście. Jeśli nie ma pani ochoty tam jechać, może na początek sama go odwiedzę i puszczę mu wywiad z panią bez podawania nazwiska. Może tak być?

Jackie kiwnęła głową. Wjechały po ruchomych schodach i skierowały się po znakach na Northern Line. Godziny popołudniowego szczytu trwały w najlepsze i podziemne przejścia pełne były londyńczyków spieszących się na spotkania, wracających ze szkoły do domu czy jadących gdzieś dalej do miasta. Zmęczeni turyści obładowani byli plastikowymi siatkami z Muzeum Londynu i sklepów Primark. Zagęszczenie na peronie było tak duże, że nie udało im się wcisnąć w pierwszy pociąg jadący na północ. Mała tablica świetlna utrzymywała, że kolejny przyjedzie za dwie minuty. Nora powoli przepychała się w tłumie w stronę żółtej linii na peronie w nadziei, że jeśli znajdzie się w miarę blisko drzwi, to uda jej się wepchnąć do wagonu. O tej porze zajęcie miejsc siedzących było wykluczone.

Jackie stała spięta tuż obok.

– Jest pani pewna, że miejsce w Camden, gdzie mnie pani zabiera, jest całkowicie bezpieczne?

– Tak, zdecydowanie. Jest załatwione przez organizację, która pomaga imigrantkom. Tylko tyle wiem. Nie mam pojęcia, jak załatwiają te mieszkania – odpowiedziała Nora.

Pociąg z hukiem wtoczył się do tunelu.

– Jeśli zdecyduję się ruszyć dalej z tą sprawą, to...

To stało się tak szybko, że Nora zorientowała się dopiero, gdy było już za późno. Nadjeżdżający pociąg i mocne pchnięcie w plecy. Równowaga zaburzona do tego stopnia, że musiała machać rękami, by nie spaść na tory. Adrenalina pompowana do wszystkich żył i ręka wciągająca ją z powrotem za żółtą linię. Widziane kątem oka ubrane na granatowo ciało o jasnych włosach, upadające na tory. Pisk hamulców. Krzyki.

Jackie leżała pod pociągiem.

Rozdział 25

Cały peron ogarnęła panika. Ludzie biegli do wyjść, jak najdalej od potwornego wypadku. Na ziemi leżał znoszony, jasnoróżowy but typu balerina i parasol, a tłum napierał, by się stamtąd wydostać.

– To atak terrorystyczny! Atak! – zawołał spanikowanym głosem jakiś mężczyzna.

Młoda kobieta, która dokładnie widziała upadającą Jackie, stała w bezruchu z zamkniętymi oczami i krzyczała.

Trzy sekundy później przez megafony odezwał się głos:

– Miał miejsce poważny wypadek. Proszę zachować spokój przy opuszczaniu peronu. Nie był to atak terrorystyczny. Powtarzam: nie był to atak terrorystyczny, lecz wypadek. Lekarze są już w drodze. Proszę zrobić im miejsce.

Nora obróciła się, by podziękować swemu wybawcy, ale już go nie było. Drżała na całym ciele. Nie ulegało wątpliwości, że mocno ją popchnięto. Mało brakowało, a to ona leżałaby teraz na torach.

Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu sprawcy, ale mógł nim być ktokolwiek. Poza tym prawdopodobnie już go tu nie było.

Peron powoli zaczęli opuszczać ludzie, którzy musieli wydostać się na zewnątrz, wyjść na powietrze, uciec. W przeciwnym kierunku zbliżyło się biegiem dwóch mężczyzn w białych kombinezonach ochronnych, niosących między sobą nosze. Położyli je na skraju peronu, jeden zeskoczył na tory, schylił się pod pociąg i zniknął pod nim na jakieś pół minuty. Po chwili wyszedł. Nora widziała, że kręci głową. Lekarz nie miał tu nic do roboty.

Jakiś pracownik stacji w odblaskowej kamizelce chwycił ją za ramię.

– Proszę pójść ze mną, musimy opuścić peron.

Bezwolnie pozwoliła się wyprowadzić obok kobiety, która w końcu przestała krzyczeć. Dwóch pracowników metra próbowało delikatnie przesunąć ją w stronę wyjścia. Nagle spojrzała wprost na Norę.

– To było morderstwo. Widziałam – powiedziała.

– Kto to był?

– Widziałam potężnego mężczyznę. Stał za wami obiema. Panią też popchnął.

– Idziemy już. To sprawa dla policji – powiedział pracownik i poprowadził Norę do wyjścia i w górę po ruchomych schodach, gdzie setki ludzi kontynuowało swoją egzystencję, nie mając pojęcia, że parę metrów od nich kobieta właśnie straciła życie.

Nora się obejrzała. Zaczęto już zagrażać wejścia na peron taśmą policyjną. Ludzie buntowali się, wyrzekając na kobietę, która pilnowała, by nikt jej nie przekraczał. Potem obracali się, by znaleźć jakiś inny sposób na dalszą podróż.

Znalazłszy się na szczycie ruchomych schodów, pracownik puścił jej ramię.

– Już. To nie było miłe przeżycie. Ma pani z kim o tym porozmawiać?

Głos Nory się załamał.

– Chyba powinnam porozmawiać z policją. Znałam kobietę, która wpadła pod pociąg. Jechaliśmy razem.

– A, rozumiem. Proszę ze mną. Mam na imię Keith – powiedział, prowadząc ją bocznymi drzwiami do małego gabinetu z biurkiem i zwiędłą rośliną doniczkową. Na ścianie wisiała biała tablica ze skomplikowanym schematem dyżurów. Wskazał na krzesło stojące pod ścianą. – Herbaty? Wody?

Nora pokręciła głową.

– Pójdę poszukać policjanta – powiedział Keith i ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

Wiedziała, że Andreas nie może odpowiedzieć, ale może mogłaby zostawić wiadomość na sekretarce. Może w którymś momencie włączy komórkę. Oddzwoni. Przyjedzie po nią.

Nagle mimowolnie z jej oczu zaczęły lecieć łzy. Nad Jackie, nad Emily, która straciła nie tylko dom i misia, ale też mamę.

Zadzwoiła, a głos automatu poinformował ją, że może zostawić wiadomość. Gdy rozległo się piknięcie, ledwie udało jej się cokolwiek z siebie wydobyć.

– To ja – powiedziała cicho. – Oddzwon, gdy tylko to odsłuchasz.

Drzwi się otworzyły i do małego pomieszczenia weszło dwoje policjantów z Brytyjskiej Policji Kolejowej. Oboje mieli poważne miny. Policjantka przedstawiła się jako Sophie Robson, mężczyzna tylko skinął głową i wyciągnął notes z kieszeni na piersi.

– Zdajemy sobie sprawę, że to musiało być traumatyczne przeżycie, ale spróbujmy ustalić, co się wydarzyło – powiedziała Robson głosem, który brzmiał, jakby był przeszkolony do uspokajania świadków.

Nora zwalczyła płacz i kiwnęła głową.

– Zacznijmy od podstawowych informacji: imię, nazwisko i adres.

– Miała na imię Jackie, Jackie Bower.

Robson pokręciła głową.

– Chodzi o panią. Jak się pani nazywa i gdzie mieszka?

Nora nie odpowiedziała na pytanie.

– Ona została zamordowana. Jakiś mężczyzna ją popchnął.

– Widziała go pani?

– Nie, ale stałam tuż obok i też zostałam popchnięta.

– Jest pani pewna, że to było celowe? Peron był pełen ludzi. Może to po prostu tłum, który...

– Jestem całkowicie pewna. Może uda się wam to zobaczyć na kamerach

monitoringu?

– Możliwe. Jeden z kolegów przegląda właśnie nagrania. Ale w tej chwili chciałabym, żebyśmy zaczęli od początku. Spokojnie. Pani imię, nazwisko i adres?

Nora poddała się i odpowiedziała na pytania. Próbowwała zachować spokój i widziała jakby z zewnątrz, jak trzęsą jej się ręce. Położyła je na próbę na biurku przed sobą. Drżenie nie ustąpiło.

Po kwadransie Robson wyglądała na zadowoloną.

– Odezwiemy się do pani, jeśli będziemy mieli więcej pytań.

– No tak, ale... przecież to było morderstwo. Pewnie będzie dochodzenie?

– Nie jesteśmy w stanie tego powiedzieć. Sprawa zostanie zbadana i jeśli zajdzie taka potrzeba, skontaktujemy się z panią.

– A co z córką Jackie?

Robson otworzyła drzwi i wyprowadziła Norę z powrotem na stację.

– Mówiła pani, że jej matka mieszka w Yorkshire, prawda? Nie ma pani może numeru?

Nora pokręciła głową.

– Poprosimy o pomoc lokalną policję. To oni ustalą adres i zajmą się przekazaniem tej smutnej wiadomości. Stąd niewiele zdziałamy.

– Ale gdy zjawi się policja kryminalna, może ich pani poprosić, by do mnie zadzwonili? Mam informacje, które są ważne dla śledztwa w sprawie morderstwa.

– *Jeśli* policja kryminalna się zjawi. W obecnej chwili nie wiemy, czy to było morderstwo, czy samobójstwo. Ale mamy pani dane kontaktowe – powiedziała Robson i dyskretnie wskazała na wyjście. – Jest pani wolna. Ma pani z kim porozmawiać, gdy dojedzie pani do domu? – spytała mechanicznie.

– Tak – skłamała Nora.

*

Po wyjściu ze stacji znów zadzwoniła do Andreasa. Nadal poczta głosowa. Zanim zdążyła wybrać numer Pete'a, odezwał się telefon. Big Ben.

– Sand? Wszystko dobrze? Nie odezwiesz się dzisiaj?

Nora wzięła głęboki oddech, by ucisk, który czuła w gardle, przesunął się w dalek w stronę żołądka.

– Nie, jakoś nie.

Płacz nie dawał za wygraną i drząc, czaił się w krtani.

– O mały włos miałabym paskudny wypadek.

– Oj, to nic miłego. Weź sobie wolne na resztę dnia – powiedział Krab swoim najbardziej współczującym tonem.

Nora zerknęła na zegarek. Była 18.30.

– Dziękuję – odparła oschle.

– Nie ma za co. To chyba oczywiste – oświadczył Krab wspaniałomyślnie.

Po krótkiej przerwie odchrząknął.

– No, yyy, właściwie to już nic. Jutro się zdzwonimy. Idź do domu i napij się whisky. Pomaga na większość rzeczy.

Wymamrotała coś w odpowiedzi i rozłączyła się.

Na szczęście Pete odebrał od razu.

– *Yes, my dear.*

Właśnie wtedy się rozpląkała. Bo jego głos był taki zwyczajny, a to wszystko było takie straszne. Łkając, zaczęła opowiadać o Jackie i o tym, co się stało.

– *Fuck!* – zdążył wypowiedzieć się Pete, nim w tle rozległa się wrzawa. – Poczekaj, zaraz oddzwonię – przyrzekł.

Dwie minuty później już był przy telefonie.

– Sorry. Jestem w Liverpoolu, relacjonuję mecz piłkarski.

– Kiedy wracasz?

– Mam jeden nocleg, wracam jutro przed południem.

Norze już do reszty opadły skrzydła. Myśl o powrocie do pustego mieszkania była nie do zniesienia.

– Hej, Nora, dobrze się czujesz? Jest tam Andreas?

– Nie.

– Więc co zrobisz?

– Coś wymyślę.

– Możesz spać u mnie, jeśli chcesz. Tylko weź klucze od Bridget z mieszkania obok. Przykro mi, że nie ma mnie w pobliżu.

– Daj spokój.

– OK. W razie czego dzwoń, dobrze?

Przyrzekła, że tak zrobi.

Rozłączywszy się, spojrzała na telefon. Poziom naładowania baterii wskazywał mniej niż dziesięć procent.

Płonąc ze wstydu, wybrała numer Toma. Odebrał od razu.

– Gdzie jesteś?

– King's Cross – powiedziała, próbując bezskutecznie powstrzymać się od płaczu.

– Nie wiem, co się stało, ale opowiesz mi, jak już przyjedziesz. W tej chwili wsiadasz do taksówki, która przywozi cię do mnie – powiedział i podał jej adres w Soho.

– Masz gotówkę?

Nora skinęła głową, jakby mógł to zobaczyć i był człowiekiem, który jest w stanie wszystko załatwić. Mówił dalej:

– To dobrze. Czekam tu na ciebie.

Stała w kolejce na postoju i pięć minut później siedziała już w czarnej

London Cab. Kierowca usiłował nawiązać rozmowę, ale dał sobie spokój, gdy konsekwentnie odpowiadała monosylabami.

Sunęli londyńskimi ulicami, a Nora płakała. Próbowwała się pozbierać, przywołać w myślach znacznie gorsze sytuacje, kiedy jej życie było zagrożone, a ona przyjmowała to ze stoickim spokojem. Jak wtedy, gdy została napadnięta przez bandziora z nożem w Nairobi albo gdy była uwięziona podczas blokady dróg sama z grupą młodych serbskich żołnierzy, prawdopodobnie naćpanych koką. Czy gdy butla z tlenem odmówiła posłuszeństwa podczas nurkowania głębinowego na Cyprze. Te obrazy kłębiły jej się w głowie, ale nic nie było w stanie jej uspokoić.

– To będzie 18,60 – powiedział kierowca, zatrzymując się przy Romilly Street.

Nora wręczyła mu dwadzieścia funtów i zgodnie z instrukcją zadzwoniła domofonem. Chwilę później została wpuszczona i wspięła się po wąskich, stromych schodach. Stojąc przed drzwiami, rozważała przez chwilę, czyby nie zawrócić, ale nie zdążyła się ruszyć z miejsca, gdy drzwi się otworzyły i Tom wciągnął ją do środka. I wziął w ramiona.

Stali w przedpokoju; Tom rozumiał, że lepiej nic nie mówić, tylko głaskać ją po włosach. W końcu poprowadził ją do kuchni, całej w szkło, stali i czarnych granitowych blatach, posadził na stołku barowym i podał jej spory kieliszek czerwonego wina.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Pokręciła głową.

Wyszedł do Chinatown po zupełny wonton, zostawiając ją na dziesięć minut. Poszła do salonu, w którym regały z książkami zajmowały niemal każde wolne miejsce na ścianie. Wyglądały na zrobione na wymiar. W tle grał cicho Miles Davis. Jeśli dobrze słyszała, *Kind of Blue*.

Telefon wyładował się bezapelacyjnie, więc rozejrzała się za kontaktem, w którym mogłaby go naładować. Żałowała, że przyszła, ale z drugiej strony nie miała siły jechać do Belsize Park i pustego mieszkania, w którym kołdra wciąż pachniała Andreasem, choć jego samego tam nie było.

Odegnęła te myśli, słysząc w drzwiach zgrzyt klucza. Tom wypakował jedzenie, opowiadając o swojej ulubionej restauracji, prowadzonej przez Madame Fu. Mówił o mieszkaniu i o tym, jak je remontował. O swojej pracy. Wypełniał pauzy niegroźnymi informacjami, nalewając gorącą zupełną do czarnych, ceramicznych miseczek.

Powoli się rozgrzała i przestała się trząść. Nalał jej więcej wina i znalazł gniazdko, by mogła podłączyć komórkę. Potem pokazał jej drogę do łazienki i napełnił gigantyczną wannę na lwich łapach. Rozebrała się i zanurzyła w gorącej wodzie, podczas gdy on kręcił się po kuchni. Zostawił jej miękkie, czarne szlafrok, który pachniał jego wodą kolońską czy czymś podobnym. Obco, drzewem

sandałowym.

Otworzyła drzwi i podreptała boso do salonu. Tom siedział na wielkiej, skórzanej sofie. Na ławie stał jej kieliszek z winem.

– Chodź – powiedział po prostu.

– Tom, nie wiem... Chyba lepiej, żebym nie... Żebym już pojechała do domu.

Pokręcił głową jeden jedyny raz.

– Przyszłaś, bo chciałaś tu być. I jesteś – powiedział bez cienia wątpliwości. Po chwili był tuż przy niej, przyciągając ją do siebie. – Nora, po prostu wyluzuj – powiedział łagodnie.

Znów pogłaskał ją po włosach; to było bardzo niewłaściwe i bardzo właściwe zarazem.

Nora pozwoliła zaprowadzić się do sypialni, zbyt wykończona, by zaprotestować, gdy położył ją na łóżku i okrył kołdrą. Położył się obok i objął; leżeli tak długo.

*

Spała tak mocno i głęboko, że nie słyszała wychodzącego o poranku Toma. Obudziła się oszołomiona koło dziewiątej, nie wiedząc, gdzie jest. Potem wszystko wróciło.

Szybko wciągnęła ubranie i znalazła w kuchni telefon, w pełni naładowany. Obok leżała kartka od Toma: „Kawa jest w niebieskiej puszcze. Wychodząc, po prostu zatrzasknij drzwi. Całuję”.

Opuściła mieszkanie i wyszła na ulicę. W Barze Italia zamówiła macchiato i kanapkę, sprawdzając telefon. Pete dzwonił siedem razy.

– Gdzie ty, cholera, jesteś? – wychrypiał, odbierając.

– W Soho.

– W Soho?

– Tak. Jakiś problem?

– Posłuchaj no. Naprawdę się zaniepokoiłem, więc po meczu przyjechałem z Liverpoolu. Jechałem w nocy, przyjechałem na Belsize Park. Sand nie ma. Pojechałem do siebie. Sand nie ma. Nie odbierasz telefonu, całą noc dzwoniłem. Gdzie ty się podziewałaś, do cholery? I dlaczego, kurna, nie odbierasz telefonu?

– Wyładowała mi się bateria.

– Ale gdzie byłaś?

– Długa historia.

– Tak?

– Mogę wpaść jutro wieczorem?

Pete coś odburknął i Nora wiedziała, że już się nie gniewa, choć nie chce się do tego przyznać.

– Będę obrabiać zdjęcia.

– OK. Zajrzę do ciebie.

Dokończyła kanapkę, patrząc przed siebie i próbując sobie wyobrazić, co dzieje się tej środy w Yorkshire. Zapłakana babcia, mała dziewczynka. Jak wytłumaczyć dziecku, że mama już nigdy nie przyjedzie?

Ze Scotland Yardu nikt się jeszcze nie odezwał. Postanowiła, że poprosi Millhouse'a o popchnięcie sprawy, jeśli w ciągu dnia nic się nie wydarzy. Śmierć Jackie nie może zostać uznana za wypadek. To było morderstwo z premedytacją.

Przełknąwszy resztkę jedzenia, wzięła głęboki wdech i zadzwoniła do Kraba.

– Sand. Co tam? Streszczaj się, za dwie minuty jadę do ministerstwa spraw zagranicznych.

– Morderstwo i pięć zaginionych kobiet.

Słyszała, jak Krab odsuwa krzesło i siada.

– Co mówisz?

Skrótowo opisała historię Jackie.

– Da się namówić na wywiad? Na zacytowanie?

Płacz znów przyczał się niebezpiecznie blisko. Zdławiła go i wyjaśniła Krabowi, co się stało z Jackie Bower.

– Ale czy ta sprawa bez niej ma w ogóle rację bytu? Masz inne dowody?

Nora opowiedziała o wywiadzie, który zarejestrowała telefonem.

– Prześlij mi go od razu po powrocie do domu. Lepiej, by przyjrzał mu się prawnik, zanim wykonasz kolejny krok.

Nora zobowiązała się tak zrobić.

– A z innej beczki... Kiedy masz ten wywiad z Biehlem?

– W czwartek, to znaczy jutro po południu.

– Jesteś przygotowana?

Nora zwlekała z odpowiedzią.

– Jeśli nie, dzwoń do Tausena. Podpowie ci najważniejsze pytania.

Rozłączyli się i Nora obrała kurs na Tottenham Court Road, po czym metrem pojechała do Belsize Park.

W mieszkaniu wciąż unosił się lekki zapach tikka masala. Nie miała siły, by wywietrzyć, i padła w ubraniu na łóżko. Zamknęła oczy w nadziei, że uda jej się zapaść w głęboką ciemność, w której zapomni o ostatniej dobie.

Obudziła się, gdy trzasnęły drzwi.

Andreas stał, patrząc na nią z pobłażliwym uśmiechem.

– Jak tam? Aż tak cię wykończyło napisanie paru artykułów? – droczył się.

Nora zamrugała.

– Gdzie byłeś?

Pokręcił głową.

– Nie mogę za dużo zdradzić. Mieszkanie na Forest Gate z trzema facetami.

Dokooptowali mnie na ostatnią chwilę, bo któryś z mieszkańców miał jakieś powiązania z Danią. W razie gdyby podczas rozmów telefonicznych ktoś mówił po duńsku. Ale nie mówił. Prawdę mówiąc, było strasznie nudno. Wybacz, że tak późno dałem ci znać – powiedział i ziewnął.

Nora próbowała zetrzeć z oczu resztki snu i wtedy znów ją to uderzyło. Pociąg. Przerażliwy pisk hamulców. Jackie na torach.

– Mogę do ciebie dołączyć? Przydałaby mi się drzemka. To była długa noc – powiedział, spoglądając na nią.

Nora nie spuszczała z niego wzroku.

– Coś się stało?

– Wypadek – zaczęła, ale ugryzła się w język.

– Ale z tobą wszystko OK? – spytał Andreas.

Kiwnęła głową, wstała z łóżka i podeszła do biurka.

– Nie poleżysz jeszcze? Poszedłbym wziąć prysznic.

Nora pokręciła głową.

– Później. Muszę coś załatwić. – Włączyła komputer, podłączyła telefon i przeniosła plik dźwiękowy z wywiadem z Jackie na twardy dysk. Wywiad trwał około czterdziestu trzech minut. Następnie przesłała kopię Krabowi, a potem Julesowi.

Słyszała, jak Andreas odkręca wodę w łazience; zadzwoniła wówczas do Corinne, by dać jej znać, że mieszkanie w Camden jednak nie będzie potrzebne.

Potem, zerkając na zegarek, próbowała dodzwonić się do Julesa, ale godziny pracy już się skończyły. Musiał pójść do domu, bo telefon przełączył się na pocztę głosową. Krab też nie odbierał. Zostawiła krótką wiadomość, że wysłała wywiad, by mógł go przesłuchać z działem prawnym.

Otworzywszy lodówkę, napiła się soku jabłkowego prosto z kartonu, po czym wzięła się w garść i znów zadzwoniła do Danii.

Manash od razu podszedł do telefonu.

– Ma pani dla mnie coś nowego, Noro?

– Niewiele, Manash. I obawiam się, że nie są to dobre wieści.

– To znaczy? Co się stało?

– Wiem tylko tyle, że Amina znalazła się w grupie pięciu kobiet, które zniknęły. Coś się z nimi stało, ale nie wiem co.

– No ale... musi pani wiedzieć, co się wydarzyło? Gdzie ona jest?

Nora złorzeczyła sobie w duchu. Jakie to beznadziejnie głupie dzwonić, mając tak mało informacji.

– Przepraszam, Manash. Nie powinnam była...

Słyszała, że próbuje zapanować nad głosem.

– To ja przepraszam. Prosiłem, by pani dzwoniła, gdy dowie się choćby drobiazgu.

– Tak, ale nie wiem zbyt dużo. Niewystarczająco.
– Po prostu proszę dzwonić, jak pani będzie mogła. Jak tylko dowie się pani czegoś więcej. Muszę wierzyć, że Aminę wciąż można uratować. Proszę ją znaleźć jak najszybciej.

– Zrobię, co mogę – przyrzekła i pożegnała się.

Andreas wyszedł z łazienki i zasnął na łóżku.

Nora zaczęła szukać więcej informacji na temat dinitrofenolu, znanego lepiej jako DNP, który był głównym składnikiem nowego cudownego środka, wyprodukowanego przez PharmaCorp. Był znany od lat trzydziestych, kiedy dwóch uczonych z Uniwersytetu Stanforda udokumentowało, że w sztuczny sposób stymuluje spalanie i powoduje chudnięcie w rekordowym tempie. Z początku nowy środek odchudzający odniósł oszałamiający sukces w USA, ale w 1938 roku wycofano go z obrotu z powodu kilku zejść śmiertelnych. Od tej pory substancja praktycznie zniknęła z legalnego rynku, ale wciąż można ją było znaleźć na szemranych stronach internetowych, gdzie kulturyści i zdesperowane nastolatki bez wyobraźni mogli kupić tabletki z wysyłką do domu. Gdy tylko władze zamykały jedną stronę, pojawiała się następna z dokładnie tymi samymi produktami.

Dwa kliknięcia później Nora czytała już artykuł o dwudziestotrzyletniej studentce wzornictwa Veronice Jones, cierpiącej na bulimię i fobię, że będzie ważyć choćby pół kilo więcej niż modelki, które zamierzała ubierać. Pewnego wieczoru najadła się pączków i pomyślała, że dobrze by było zażyć dodatkową dawkę cudownych tabletek spalających tłuszcz. Zorientowała się, że coś jest nie tak, gdy zaczęła wymiotować i dostała wysokiej gorączki. Na oddziale nagłych wypadków musieli się bezradnie przyglądać, jak jej temperatura rośnie do czterdziestu czterech stopni, a ona płonie od środka. Miała pięć godzin na pożegnanie się z rodziną, wiedząc, że zmierza ku śmierci, wywołanej przedawkowaniem.

Matka Veroniki wyjaśniała, że była na wakacjach w Hiszpanii, gdy jej córka zmarła, i że zostawiła jej wiadomość na sekretarce, w której, szlochając, Veronica przeprosza ją za własną głupotę. W artykule pisano jeszcze, że choć zagraniczna strona, na której dziewczyna kupiła lek, została zablokowana, wciąż istnieją miejsca, gdzie można kupić nielegalne i zagrażające życiu tabletki i po paru dniach wyjąć je ze skrzynki na listy.

Nora wydrukowała artykuł, zastanawiając się, czy nie dałoby się dotrzeć do rodziny Veroniki. Zmarła przed czterema laty. Może mogliby o tym porozmawiać.

Zabrzącał telefon; dzwonił Tausen ze swego domu w Hellerup. Po krótkiej pogawędce o jego żonie, która była fizjoterapeutką, i córce, kończącej studia na Copenhagen Business School, przeszli do relacji Tausena o Eriku Biehlu. Nora słyszała, że zapalił fajkę, choć było to zakazane w redakcji „Globalt”.

– Zналиśmy się w młodości. Nie jakoś dobrze, ale mieliśmy wspólnych

znajomych i obracaliśmy się w tych samych kręgach. Nie miałem z nim zbyt dużo do czynienia, ale już wtedy był osobą, która zwracała na siebie uwagę. Było wiadomo, że będzie kimś. Diabelnie czarujący. Zawsze miał wokół siebie wianuszek kobiet.

– Czyli już wtedy był nieprzeciętny? – spytała Nora, próbując nadać głosowi neutralny ton.

– Tak, był... Choć prawdę mówiąc, to nie był mój typ. Wydawał mi się zbyt sprytny. Już nawet nie chodzi o te wszystkie kobiety, duże samochody i żywiołową gestykulację. Tak jakby był pozbawiony... i niech to koniecznie zostanie między nami, Noro... jakby był pozbawiony *treści*. Parę razy rozmawiałem z nim jako redaktor i dziennikarz zajmujący się kwestiami ekonomicznymi. Trudno wyciągnąć od niego jakiegokolwiek konkrety.

– W jakim sensie?

– Po prostu zna wszystkie pojęcia, wszystkie slogany. Wielu moich kolegów go uwielbia, bo jest doskonały, jeśli chodzi o celne wypowiedzi dla prasy, cięte i dowcipne. Ale zawsze się zastanawiałem, czy jest tam coś w środku.

– W środku?

– Tak. Nie umiem tego inaczej wyrazić. Gdy się go pyta o konkrety: cyfry, rozwiązania i tego typu sprawy, wykręca się od odpowiedzi. Tak jakby brakowało mu podstawy.

– Hm. Tausen, przychodzi ci do głowy ktoś, kto zna go na tyle, by mógł powiedzieć o nim coś osobistego? Do zacytowania?

Nora słyszała, jak Tausen pyka fajkę.

– Nie, to jest właśnie sedno problemu. Nikt nie utrzymuje z nim bliższych kontaktów. W każdym razie nikt, kogo znam. Tak jest od zawsze: mnóstwo znajomych, żadnych przyjaciół.

– A co z tym ostatnim wynalazkiem? Jaką on odgrywa w nim rolę? I jak bliskie są jego związki z PharmaCorp?

Tausen zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Właśnie. To jest pytanie otwarte i nie liczy na to, że ci na nie odpowie czy ułatwi zdobycie informacji na ten temat. Ale w kularach mówi się, że jest bardzo zaangażowany. Tak bardzo, że jeśli im nie wyjdzie, to on też pójdzie na dno.

– Właściwie dlaczego? Ma własną fortunę i własną firmę. Chyba ErBiTechowi powodzi się bardzo dobrze?

– Pięć lat temu spółka była notowana na kopenhaskiej giełdzie i nagle prawie bez ostrzeżenia Biehl wycofał akcje z obiegu. Wykupił większość za bezcen, bo firma była w tarapatach. Trzy lata później znów się pojawiła jako zrestrukturyzowana spółka w Wielkiej Brytanii. Pieniądze Biehl zdobył od nowego inwestora, którego tożsamości nie upubliczniono. Zbudowano nowe, zaawansowane technologicznie laboratorium i nagle ErBiTech stał się firmą, która

zaczęła się liczyć. To była historia o błyskawicznej karierze i niekwestionowanym sukcesie, o którym można było przeczytać w niezliczonych magazynach ekonomicznych. Erik Biehl sprzedawał się jako duński wiking, który zawojował Wielką Brytanię nową biotechnologią. Mnóstwo czasopism branżowych łyknęło to bez mrugnięcia.

– Co się w ogóle wydarzyło?

– Nikt tego nie wie oprócz Biehla i może jego najbliższych współpracowników.

– I sądzisz, że PharmaCorp jest tym dużym inwestorem, który stoi za powrotem Biehla?

– Nie mam żadnych dowodów, ale ma to sens. Może powinnaś go o to spytać? Ale nie licz, że zechce ci odpowiedzieć. Nastaw się na to, że jeśli zaczniesz zadawać pytania, których celem nie będzie ukazanie go w korzystnym świetle, błyskawicznie zmieni front.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

Gdy się pożegnali, Nora dokonała przeglądu lodówki. Trzy jajka, pół ogórka i pojemniczek od dawna przeterminowanego humusu. Dała sobie spokój i poszła się wykapać w nadziei, że uda jej się zmyć z siebie straszne przeżycia z ostatniej doby.

Kiedy wyszła z łazienki, Andreas już nie spał i podawał jej telefon.

– Kim jest Tom? – spytał.

– Dlaczego?

Nagle przyjrzał jej się uważniej.

– Bo dzwonił. Obudził mnie, ale nie zdążyłem odebrać.

Nora poczuła, że ogarnia ją panika.

– Nie wolno ci odbierać mojego telefonu! To może być informator! Nie powinien usłyszeć po drugiej stronie kogoś innego niż ja.

– Dobrze, wyluzuj.

Wyrwała mu telefon z rąk i spojrzała na ekran. Dwa połączenia, oba od Toma. Zignorowała je tylko po to, by odkryć, że na WhatsAppie miała jeszcze wiadomość: „Kiedy znów się zobaczymy?”. Nie odpowiedziała i włożyła komórkę do kieszeni.

– Jest nim?

– Kim?

– Informatorem, ten Tom?

– Nie, no doprawdy, Andreasie.

Wytrzymał jej spojrzenie:

– Doprawdy, Noro.

Ona pierwsza spuściła wzrok.

– Jest czymś w rodzaju... kolegi. Pracujemy razem nad tą samą sprawą.

– Aha?

Nora zdecydowała, że najlepszą obroną jest atak.

– Słuchaj, czy ty czytasz moje SMS-y?

Andreas pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie. Ale dzwonił dwa razy z rzędu, więc pomyślałem, że to coś ważnego. Że może dziś wieczorem musisz popracować?

Potrząsnęła głową.

– To nic ważnego.

Spojrzał na nią badawczo.

– OK – powiedział, wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

– Idziesz?

– Tak, muszę wracać na tę obserwację. Za godzinę wychodzę. Może zjemy kolację w tureckiej knajpce?

Dopiero gdy siedziała sama, popijając słodką herbatę miętową, a Andreas już poszedł, cmoknąwszy ją przelotnie, dotarło do niej, że zapomniała go poprosić o sprawdzenie numerów z tablic rejestracyjnych.

Rozdział 26

Laboratoria ErBiTechu mieściły się w parku przemysłowym na przedmieściach Milton Keynes. Po niespełna godzinnej podróży pociągiem i krótkiej przejażdżce taksówką Nora znalazła się w recepcji trzy minuty przed czasem. Przyjął ją młody, jasnowłosy mężczyzna, który wręczył jej wydrukowaną plakietkę z jej nazwiskiem. Następnie poprowadził ją po jasnych schodach do dużej, dobrze oświetlonej sali, której umeblowanie ociekało duńskim designem. Na niskim stoliku leżały broszury o działalności ErBiTechu.

– Proszę spocząć. Pan Biehl jest na ważnym spotkaniu i prosił przekazać, że może się chwilę przeciągnąć. Ma nadzieję, że pani zrozumie – powiedział mężczyzna z tak olśniewającym uśmiechem, że można by go wykorzystać w którymś z kanałów z telesprzedazą.

Jeden z najstarszych chwytów: kazać dziennikarzowi czekać. Tylko po to, by podkreślić, kto w tym układzie ma władzę. Erik Biehl pewnie teraz siedział przed komputerem, układając pasjansa i czekając, aż minie pięć, dziesięć minut, byleby jego przesłanie dotarło.

Podeszła do okna i wyjrzała na niewielki ogród z fontanną i geometrycznymi rabatami, układającymi się w sześcioramienne logo ErBiTechu. Wyglądał na miejsce, gdzie bywa tylko architekt zieleni.

Po drugiej stronie mieścił się parking, wypełniony samochodami firmowymi z wyższej półki. Nora doliczyła się co najmniej trzech jaguarów, jednego bmw i mercedesa. W większej odległości od wejścia stały dwie białe furgonetki. W czasie jej oczekiwania na parking zakręciła trzecia i pojechała w kierunku najodleglejszego miejsca postojowego. Było coś zastanawiającego w tym samochodzie; Nora szybko zrobiła zdjęcie komórką.

W tej samej chwili usłyszała, jak ktoś za jej plecami odchrząkuje. Był to facet z recepcji.

– Pan Biehl jest gotowy – powiedział, wskazując jej drzwi do gabinetu, do których zapukał dla porządku i poczekał na zaproszenie Erika Biehla.

Biehl wstał i wyciągając rękę, wyszedł Norze na spotkanie. Widocznie uznał, że będzie miły, skoro już okazał, że jego czas jej ważniejszy niż jej.

Nora postanowiła zachować się powściągliwie, acz uprzejmie. Wyczekująco. Podała mu rękę.

– Witam, pani Sand. Miło było się ostatnio zobaczyć – powiedział Biehl, przywołując na usta szeroki uśmiech. Zasiadł za swoim wielkim biurkiem i gestem dał znać, że Nora może usiąść.

– Tak, przyszłam w sprawie tego artykułu urodzinowego – zagaіła.

Erik Biehl uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Zwykle nie udzielam wywiadów, ale przy takiej okazji...

Nora uśmiechnęła się zdawkowo.

– Oczywiście, rozumiem. W archiwach nie ma zbyt wielu wywiadów. Jest sporo wzmianek o ErBiTechu, ale niewiele o panu jako człowieku.

– Nie. Staram się oddzielać biznes od życia prywatnego, co pani z pewnością rozumie.

Kontynuowali tak przez dłuższą chwilę. Nora próbowała wyciągnąć z niego ciekawe informacje do artykułu, Biehl odpierał jej ataki. W końcu odpuściła, skupiając się na kwestiach biznesowych.

– Mówi się, że w ciągu ostatnich paru dni stał się pan wyjątkowo zamożnym człowiekiem. Czy tak jest?

Biehl uśmiechnął się.

– Nie zaprzeczam.

– Może pan potwierdzić?

Biehl uśmiechnął się jeszcze szerzej, o ile to było możliwe. Od samego patrzenia na niego Norę rozboleły policzki.

– Następne pytanie – odparł po prostu.

– Czy może pan opowiedzieć o swoich powiązaniach z PharmaCorp?

– To żadna tajemnica. Powszechnie wiadomo, że PharmaCorp inwestuje w ErBiTech i odwrotnie. Proszę mi powiedzieć, nie przygotowała się pani do tego wywiadu?

– Owszem – odparła Nora.

Nic więcej nie powiedział. Nora przeciągała milczenie, ale Biehl nie należał do ludzi, którzy denerwują się z powodu ciszy. Wyczekiwał. W końcu to Nora odchrząknęła.

– Owszem, przygotowałam się, panie Biehl. Ale trudno o uzyskanie właściwych informacji. W artykułach roi się od liczb i może byłoby dobrze usłyszeć od samego szefa ErBiTechu o odnotowanych wzrostach i spadkach.

– Hmm. Może i by było – odparł Erik Biehl.

– Tak?

– Ale nie sądzę, bym mógł coś dodać do informacji, które już są powszechnie dostępne.

– Skoro nie chce pan rozmawiać o liczbach, to może opowiedziałby pan o szczegółach swojej współpracy z PharmaCorp?

Dostrzegła, że Biehl zaczyna się irytować.

– Nie rozumiem, jak to się ma do wzmianki o moich urodzinach. To znacznie wykracza poza ramy artykułu, który pani pisze.

Nora posłała mu ostry jak brzytwa uśmiech.

– Tak, można tak powiedzieć. Z drugiej strony uporządkowanie faktów chyba nie zaszkodzi, jak pan sam wcześniej zauważył.

Erik Biehl zrobił gest, jakby chciał wstać.

– Niestety mam wideorozmowę z USA, ale zdaje się, że już skończyliśmy.

Nora zamknęła notes i uniosła się z krzesła.

– Miałam nadzieję, że będę mogła rzucić okiem na cały kompleks, skoro i tak już tu przyjechałam – powiedziała.

Biehl się zawahał.

– To laboratorium, nie ma tu co oglądać.

– Nie, ale to daje dobry obraz wielkości i zasięgu działania firmy. Nadaje materiałowi rumieńców – kusila.

Ciszę przerwał komputer Biehla, z którego dobiegł charakterystyczny sygnał Skype’a.

– To moja wideorozmowa.

– Może ktoś inny mógłby mnie oprowadzić? To nie potrwa długo.

Nora widziała, jak irytacja toczy walkę z próżnością i jak w końcu zwycięża ta druga.

– Dobrze. Ramon może panią oprowadzić. – Niemal wypchnął ją z gabinetu, otworzył drzwi i zawołał w stronę recepcji:

– Proszę oprowadzić panią Sand po firmie! Krótszą trasą.

Nora obróciła się, by się pożegnać i podać mu rękę, ale Biehl już siadał przed komputerem. Spojrzał na nią.

– Dziękuję, chętnie przeczytam artykuł. Bardzo proszę zamknąć za sobą drzwi.

Młody mężczyzna, który przyprowadził ją do gabinetu Biehla, był już gotów do oprowadzania, trzymając biały kitel laboratoryjny.

– Takie niedogodności są reguły – powiedział, pomagając Norze go włożyć.

Ramon prowadził ją po długich, białych korytarzach z gabinetami po obu stronach i lśniąca jak lustro marmurową terakotą na podłodze. Było tak cicho, że Nora słyszała własne kroki, gdy Ramon przerwał swój wywód o czasach, kiedy ErBiTech przeniósł się do tych budynków.

W końcu stanęli przed grubymi, ognioodpornymi drzwiami. Ramon wyciągnął z kieszeni na piersi plastikową kartę, włożył do czytnika i wpisał czterocyfrowy kod, po którym drzwi z ustąpiły z cichym kliknięciem.

Wewnątrz znajdowało się kilka szumiących maszyn; Nora nie miała zielonego pojęcia, do czego służą. Podłużne stoły ustawione w pięć rzędów i jakieś piętnaście osób, pochylonych nad buteleczkami odczynników, płytkami Petriego i mikroskopami. Panowała tu biel i cisza. Żadnych śmiechów, żadnych rozmów. Po prostu ludzie głęboko skupieni na swojej pracy.

Na tylnej ścianie znajdowały się kolejne szerokie drzwi i tabliczka ostrzegawcza, że wstęp ma tu tylko upoważniony personel. Nora wskazała na nie.

– Co się tam mieści?

– To część laboratorium – odparł Ramon.

- Jaka część?
- W której mają miejsca aktywne doświadczenia.
- Nad czym?
- Niestety, nie wolno mi o tym informować. To poufne.

Ramon przywitał się z kobietą przy pierwszym stole, która właśnie wkładała pod szkiełko mikroskopu coś, co wyglądało jak kawałek przezrzystego plastiku.

- Może pokażemy pani Sand, co tutaj robisz, Susie?

Kobieta, ubrana w plastikowy czepek, skinęła przyjaźnie do Nory i ustąpiła jej miejsca przy mikroskopie.

Nora spojrzała przez mikroskop i zobaczyła mnóstwo ruchliwych punktów na jasnoróżowym tle.

- Czego pani szuka?
- Pewnego szczególnego gatunku bakterii – odparła kobieta z uśmiechem.
- I znalazła je pani?
- Zbyt wcześnie, by powiedzieć.

Gdy Nora uniosła wzrok znad płytki, zdążyła zobaczyć tylko plecy mężczyzny o azjatyckim wyglądem, który przemknął przez pomieszczenie w rozpiętym, rozwianym kitlu laboratoryjnym.

- Kto to był? – spytała Nora.
- To szef naszego laboratorium. Jest zawsze bardzo zajęty nadzorowaniem prób klinicznych na drugim oddziale.

Ramon się wtrącił.

– Dziękuję, Susie. Pani Sand niestety nie ma czasu, by zostać z nami dłużej, a ja muszę wracać do recepcji – powiedział, prezentując ponownie szeroki uśmiech.

Nora zrozumiała, że nic już nie ugra, i udała się z Ramonem korytarzami w drogę powrotną.

- Wasz szef laboratorium...
- Tak?

– Jak pan sądzi, czy byłby skłonny porozmawiać chwilę o Eriku Biehlu prywatnie? W związku z tym artykułem, który piszę?

Ramon zachichotał na samą myśl.

- Trudno mi to sobie wyobrazić. Doktor Mung jest wyjątkowo zajęty...

Nora przerwała mu w pół słowa.

- Przepraszam, powiedział pan, że jak ma na nazwisko?

– Doktor Mung. Chwilowo ma zbyt dużo na głowie, by rozmawiać z dziennikarzami. Firma znajduje się w decydującej fazie rozwoju; poza tym otrzymałem wytyczne od dyrektora Biehla, że wszystkie pytania dotyczące jego osoby należy kierować do naszego działu PR – odparł Ramon z rezerwą.

- Czy doktor Mung od dawna pracuje dla ErBiTechu?

– Od samego początku. Ale co to ma wspólnego ze sprawą?

– Nic. Pójdę już – powiedziała Nora.

W recepcji wyciągnęła telefon i zadzwoniła po taksówkę, która miała ją zawieźć z powrotem na stację. Czekając, odszukała zdjęcie furgonetki. Zrobiła zbliżenie na tablicę rejestracyjną i otworzyła notes. Gdy odnalazła notatki z Oksfordu, poczuła, jak włoski na karku stają jej dęba.

Jeden z numerów zapisanych przez Murraya podczas nocnych wizyt kończył się na 32 TBA. Zdjęcie w telefonie pokazywało furgonetkę ErBiTechu o numerze AZ 32 TBA.

*

Nora ledwie wytrzymała, by zadzwonić do Kraba dopiero z taksówki. Minęły całe wieki, zanim w końcu odebrał.

– Biehl jest zamieszany w jakąś akcję z PharmaCorp. Wiem to. Coś tu nie gra, i to bardzo. Te kobiety, które znikają z ośrodka pobytowego: wydaje mi się, że on je wykorzystuje do przeprowadzania eksperymentów medycznych – wypaliła.

Krab jej przerwał.

– Stop, stop, stop, Sand. To są bardzo poważne oskarżenia. Masz na nie jakiś dowód?

Nora podsumowała, co wie o pięciu zaginionych kobietach, o Murrayu, numerze rejestracyjnym i doktorze Mungu.

– Hm. To wszystko poszlaki, które nie utrzymają się w sądzie. Musisz mieć coś więcej.

– No ale co ci więcej potrzeba? Mam zdjęcie furgonetki. Wciąż stoi przed główną siedzibą ErBiTechu!

– Tak. I?

– Czyli jest związek. W tej sprawie istnieje powiązanie między ErBiTechem i PharmaCorp. Powiązanie, które próbowano utrzymać w tajemnicy.

– Nic w tym złego, że między dwiema powiązаныmi ze sobą ekonomicznie firmami krążą furgonetki. Na tym nie można zbudować oskarżenia.

– Ale nocą? To przecież bardzo podejrzane?

– Na razie masz tylko trochę gryzmołów znikowanego byłego pracownika, pałającego żądzą zemsty. Nora, wiesz równie dobrze jak ja, że w sądzie porwą to na strzępy niczym piniatę na meksykańskim kinderbalu. To jest po prostu za słabe.

– Tak, ale to nie wszystko. Mamy też wypowiedź Jackie i fakt, że ją zamordowano, by ją uciszyć.

Krab zamilkł na chwilę.

– Tyle że po prostu nie wiemy, czy faktycznie tak było, a poza tym ciągle nie mogę się doczekać wyjaśnień Jackie. Wydawało mi się, że miałaś mi je wysłać?

– Wysłałam je wczoraj. Nie posłałeś ich do prawników?

– Wczoraj nie dostałem od ciebie maila... Mogę jeszcze raz sprawdzić.

Słyszała, jak wciska przyciski klawiatury.

– Nie, nic nie ma, w spamie też. Nie wcisnęłaś czegoś przez pomyłkę?

Norę ogarnęła fala paniki.

– Nie, na pewno nie. Jestem na sto procent pewna. Zhakowali mnie, i to nie pierwszy raz!

Krab nie był przekonany.

– Hm. Dzwonź do działu IT. Jeśli tak jest, trzeba temu przeciwdziałać.

Gdy tylko się rozłączyli, taksówka zajechała przed stację. Nora kupiła bilet i zadzwoniła do Julesa, czekając na peronie na kolejny pociąg powrotny do Londynu.

– Cześć, Nora. Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– W sprawie tego pliku, który ci wczoraj przysłałam? Doszedł? – spytała pełna złych przeczuc.

– Tak, doszedł.

Nora odetchnęła z ulgą.

– Tyle że nie bardzo rozumiem, dlaczego mi go przysłałaś – ciągnął Jules.

– Przesłuchałaś go? To chyba oczywiste, że to sprawa dla was. Jackie pracowała w Hawkseyard.

– Nora, przesłałaś mi wywiad z Jeremy Ironsem na temat jego ostatniego filmu.

– *Fuck!*

– Powinienem się niepokoić?

– Jules, poczekaj chwilę, właśnie nadjeżdża pociąg. Przyślę ci coś, jak wrócę do biura. Mam wywiad z byłą pracowniczką Hawkseyard. Dzieje się tam coś potwornego. Wydaje mi się, że umierają tam kobiety.

– Co mówisz?

Pociąg zagłuszył resztę rozmowy.

Nora wsiadła i znalazłszy miejsce, sprawdziła pliki dźwiękowe w telefonie. Wywiadu z Jackie już tam nie było. Jedyne nagranie miało dwa miesiące i faktycznie zawierało wywiad z Jeremym Ironsem, który przeprowadzała w hotelu Dorchester w związku z jego najnowszym filmem. U nasady włosów wystąpił jej zimny pot.

To na pewno nie był błąd.

Gdy pociąg wyjechał z miasta i połączenie się ustabilizowało, zadzwoniła w pierwszej kolejności do działu IT „Globalt” i poprosiła o rozmowę z Borysem.

– Cześć, Sand. To tobie zżerało maile?

– Tak, to się znów zdarzyło. Wszystko wskazuje na to, że zostałam zhakowana.

Borys wciskał klawisze.

– Trudno się w tym rozeznąć. Przebadalem sprawę za pomocą kilku programów i nie wykryłem żadnych problemów. Jedyнным rozwiązaniem jest, byś przyszła do redakcji ze swoim komputerem. Przyjrzymy mu się dokładniej.

– Teraz nie ma takiej możliwości. Jestem w Londynie.

– No tak, racja. Ale wpadnij, jak następnym razem będziesz w redakcji, dobrze?

Nora odłożyła słuchawkę. Było tylko jedno wyjście, i to takie, z którego nie miała ochoty korzystać. Ale tylko to jej pozostało.

– Wiesz, że jestem w pracy – powiedział, odbierając telefon.

– Tak – przyznała Nora.

– Więc dlaczego dzwonisz?

– Posłuchaj, David, nie dzwoniłabym, gdyby to nie było ważne.

– Więc o co chodzi?

Nora krótko opisała swój problem.

– Zhakowano cię, nawet dziecko by na to wpadło – stwierdził David.

– Tak, oczywiście, rozumiem. Szkopuł w tym, czy jesteś w stanie dowiedzieć się, kto to zrobił, i zlikwidować problem?

Westchnął głęboko.

– Jeśli to zrobię, obiecasz mi, że mnie posłuchasz w kwestii kodów dostępu? Te, które wymyślasz, są totalnie amatorskie, zbyt łatwe do złamania. Muszą zawierać więcej cyfr.

– Tak, tak.

– Spojrzę na to wieczorem po powrocie do domu. Zadzwoń, jak coś znajde.

– Dziękuję. Kiedy to będzie, jak myślisz? – spytała Nora.

Ale mówiła w próżnię; David już się rozłączył.

*

Pojechała metrem do Hampstead, gdzie kupiła bułeczki i zadzwoniła do drzwi Pete'a. Otworzył jej w T-shircie, włosy miał rozczochrane.

– Spałeś?

– Nee. Wczoraj siedziałem do późna. Musiałem zrobić coś dla „Sydney Morning Post”. Najpierw zamawiają zdjęcia w pionie, a potem się rozmyślają. O czwartej nad ranem, lokalnego czasu, więc jestem trochę sponiewierany.

Nora uśmiechnęła się.

– Czyli dobrze się składa, że przyniosłam coś w rodzaju śniadania.

Pete ustawił filiżankę pod kapryśnym włoskim ekspresem do parzenia espresso, zajmującym połowę kuchni. Maszyna zagderała z powodu dodatkowej pracy, po czym wypluła do filiżanki idealnie czarny płyn. Pete podał filiżankę Norze, grzebiąc w torebce z bułeczkami, po czym wyciągnął jedną i wgrzył się w nią.

– Martwiłem się o ciebie od czasu tej tragedii na King’s Cross. Policja się odzywała?

Pokręciła głową.

Pete podszedł do ekspresu i pokręcił paroma gałkami, by zrobić sobie kawę.

Wziął łyk swego espresso i skrzywił się, czując jego goryczkę.

– Co teraz zrobisz? Chodzi mi o sprawę Jackie? I o Hawksyard?

Nora w skrócie opowiedziała o swoich podejrzeniach.

Pete przeczesał włosy palcami.

– OK, niech zrozumiem: mówisz, że co podejrzewasz? Że pięć kobiet wyselekcjonowano do eksperymentów medycznych? Takie rzeczy się przecież nie zdarzają w realnym świecie!

Nora wzruszyła ramionami.

Pete zaczął mieć wątpliwości.

– Przecież takie sprawy podlegają kontroli. Chodzi mi o to, że te ośrodki są państwowe, prawda?

– Nie, prowadzi je ta sama, prywatna firma.

– Ale Nora, to jest po prostu nierealne. Przecież ktoś zauważyłby, że tych ludzi nie ma? Pięć kobiet nie może ot tak wyparować, i to niezauważalnie.

– Nie mam pojęcia. Krab też myśli, że to jeszcze za mało na artykuł. Że brakuje dowodów. Ale wiem, że nigdy ich nie uzyskam od PharmaCorp czy kogokolwiek w Hawksyard.

– A co z tym Biehlem?

– On coś wie, ale nie mam jak się z nim skonfrontować.

Pete patrzył przed siebie w zamyśleniu.

– A doktor Mung? Może udałoby się z nim skontaktować?

Nora pokręciła głową.

– Próbowałam go wygugłować i nigdzie go nie ma. Chyba że mowa o tasmańskim dentyście.

– Z mojego punktu widzenia jest jeszcze jedna możliwość – powiedział po chwili namysłu.

– To znaczy?

– Moglibyśmy pójść oksfordzkim tropem. Coś się dzieje nocą w PharmaCorp. Gdyby udało nam się uchwycić to na zdjęciach, moglibyśmy pokazać je Biehlowi albo Bendicksowi i zobaczyć, co oni na to.

Pete odstawił filiżankę.

– Pojadę z tobą. Przyznaję, że mam pewne wątpliwości, ale jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to trzeba tych dupków zdemaskować.

– Dziękuję. Przyjedziesz po mnie o dziewiątej?

Pete zaczął się migać.

– Może być dziesiąta?

- Cheryl?
- Właśnie. I nie mam ochoty o tym gadać, Sand.
- W porządku.

Rozdział 27

Ostatni odcinek drogi do domu pokonała pieszo, wstępując jeszcze do warzywniaka. Wyszukała parę małych, liliowych karczochów, świeży koper włoski, lśniący, czarnofioletowy bakłażan i kiść pomidorków cherry. Właściwie nie miała wobec nich żadnych planów; po prostu udawała, że to dzień jak każdy inny, a ona zwyczajnie zje kolację.

Na blacie stołowym Andreas zostawił kartkę: „Oglądam z kumplami mecz w pubie”.

Przekroiła bakłażan wzdłuż, ponacinała go prawie do samej skórki i włączyła piekarnik. Posmarowała bakłażan oliwą i oprószyła solą morską. Następnie włączyła BBC News, by słyszeć w tle przyjemne gawędzenie podczas krojenia pomidorów w kostkę na salsę.

Gdy płukała ręce, zadzwonił David.

– Włącz komputer – powiedział.

Usiadła za biurkiem i robiła, co kazał. Poinstruował ją, by zainstalowała program, który pozwoli mu zdalnie przejąć kontrolę nad jej komputerem. Po jego uruchomieniu zobaczyła, jak po ekranie komputera przesuwa się wskaźnik myszy i po kolei otwierają się archiwa.

– Muszę siedzieć i na to patrzeć?

– Yyy, co? Nie, rozłącz się. Zadzwonię, jak się czegoś dowiem.

Nora wróciła do kuchni. Po półgodzinie David się odezwał.

– Nora, jest źle.

– Tak właśnie myślałam.

– Wiem, że jesteś na bakier z techniką, więc opiszę ci to najprościej, jak potrafię. Masz w systemie złośliwego konia trojańskiego.

– To znaczy?

– Ktoś za pomocą pozornie niewinnego maila, którego otworzyłaś, wprowadził program usuwający pliki i generalnie przejmując kontrolę nad twoim komputerem, kiedy tylko zechce. Musisz się liczyć z tym, że cała twoja korespondencja mailowa jest inwigilowana.

– A co z moimi plikami? Gdzie są?

– Zniknęły.

Nora zajęczała cicho.

– Nie mogę w to uwierzyć. Da się je jakoś odtworzyć?

– Nie, przepadły na dobre.

– Jak to się mogło stać?

– Nie było łatwo, ale udało mi się to dość dokładnie namierzyć. W zeszłym tygodniu, kiedy byłaś w Danii, dostałaś mail. Wtedy się to stało.

– Od kogo?

Słyszała palce Davida na klawiaturze.

– Od jakiegoś... Andreasa Janssona. Mówi ci to coś?

– Jesteś pewien? – Nora klapnęła na fotel przy biurku, próbując zrozumieć, co to oznacza.

– Tak, całkowicie. Wiesz, że w takich sprawach nie żartuję. Ani w innych – odpowiedział David z oburzeniem.

– Jasne, przepraszam. Co mam teraz robić?

– Zostaw komputer włączony, a ja wyczyszczę go programem, który sam zmajstrowałem. Jak skończę, będziesz musiała go wyłączyć i zrestartować. Wyślę ci SMS-a.

– Muszę zapytać jeszcze raz: nie masz absolutnie żadnych wątpliwości, że ten program dostał się do komputera z mailem, o którym mówiłeś?

– Nie. Ale może być tak, że nadawca też został zhakowany i przesłał ci go nieumyślnie. Można mieć taką nadzieję.

Kiedy się rozłączyli, Nora wyciągnęła bakłażan z piekarnika. Był idealny. Żółtawy miąższ przeistoczył się w miękkie, smakowite włókienka. Położyła jedną połówkę na talerzu i wlepiła w nią wzrok. Pogłodziła wiadomości; właśnie zaczynała się część sportowa i Nora bezmyślnie zagapiła się na pełnego wigoru spikera, dywagującego o wynikach tenisa, które jej ani trochę nie interesowały, i o meczu, który Andreas zapewne teraz ogląda w pubie z kolegami.

Jackie podała Norze wszystkie informacje, płacąc za to życiem, a teraz cała ta wiedza przepadła. To było nie do zniesienia.

Posiedziała przez chwilę, nie mogąc się do niczego zabrać. W końcu przyszedł SMS od Davida. Mechanicznie włączyła i wyłączyła komputer, zgodnie z jego instrukcją.

Bakłażan leżał nietknięty na stole, a ona wróciła do komputera z zamiarem stworzenia szkicu pierwszej części artykułu o Biehlu. Nic nie przychodziło jej do głowy; wciąż brakowało wielu informacji. Co się stało z tymi kobietami i dlaczego? Gdzie są teraz?

Ślęczała nad klawiaturą, gdy Pete zadzwonił domofonem. Andreas jeszcze nie wrócił do domu, a ona nie miała pojęcia, jak powiadomić go, co się stało z jej komputerem. Jak ma jutro wytłumaczyć Krabowi, że wywiad, który pograżyłby Hawksyard, a może i Biehla, nie istnieje? Lepiej spróbować dostarczyć dowody.

*

O dwudziestej trzeciej trzydzięci zajechali przed główne wejście PharmaCorp: wąski otwór w wysokim na metr płocie, ogradzającym cały teren. Wjazd był zamknięty szlabanem, a pogrążona w mroku budka wartownicza była pusta. W budynkach za płotem nie było widać żadnych śladów życia; na obu końcach szlabanu zamontowano kamery monitorujące, więc Nora poradziła

Pete'owi, by zaparkował kawałek dalej.

– Nie ma potrzeby dawać się złapać ich kamerom, skoro można tego uniknąć – tłumaczyła, podczas gdy Pete wyciągał z bagażnika swój aparat z obiektywem na podczerwień.

Cofnęli się. Po grupce demonstrantów i ich transparentach już dawno nie było śladu. W miejscu, w którym stali, było cicho i ciemno. Mrok przecinało jedynie światło reflektora przy bramie.

– Musimy tam pójść – wyszeptała Nora, pokazując na las.

– Dlaczego szepczesz?

– Właściwie to nie wiem, ale wydaje mi się, że tak trzeba.

Pete udał się za nią w stronę lasu. Dopiero jak już weszli między drzewa, Nora włączyła latarkę w komórce, by zlokalizować właściwą sosnę.

– Murray?! – zawołała na próbę. Ale w lesie panowała cisza, jeśli nie liczyć szumu w koronach drzew.

– Murray? To ja, Nora.

Wciąż zero odpowiedzi. Może zasnął.

Poszła nieco dalej w głąb, kierując się pamięcią, i kątem oka dostrzegła drabinkę. Zwisła z platformy Murraya. Podeszła do niej z Pete'em depczącym jej po piętach.

– Dziwne. Zazwyczaj wciąga za sobą drabinkę. Nie jest typem, który lubiłby niezapowiedziane wizyty; wręcz przeciwnie.

Nora badawczo pociągnęła za drabinkę. Zaskrzypiała lekko na gałęzi, ale na platformie nadal panowała cisza.

– Najpierw sama tam wejść. Może po prostu poszedł do domu się przespać – powiedziała z powątpiewaniem.

– Dobrze – odpowiedział Pete szeptem.

Powoli wdrapała się na górę, podciągając się na rękach na ostatnim odcinku, by wejść na platformę. Zgodnie z oczekiwaniami nikogo tam nie było. Śmierzący śpiwór Murraya nadal tam leżał, ale po nim samym nie było śladu. Ani też po jego notesach, jak zauważyła. Rozzłościła się. Byłoby dobrze sprawdzić wszystkie daty, kiedy samochód ErBiTechu przyjeżdżał z nocnymi wizytami do laboratorium.

– Możesz wejść na górę, nikogo tu nie ma.

Drabinka zaczęła kołysać się w tę i z powrotem i Nora usłyszała kilka australijskich przekleństw, wydobywających się spomiędzy zaciśniętych zębów Pete'a.

– To jak będzie?

– Daj spokój. Próbowalaś kiedyś wspinać się po drabince z teleobiektywem? – warknął Pete.

– Czym to się różni od normalnego wspinania?

– To maleństwo kosztuje grubo ponad tysiąc pięćset funtów.

W słabym świetle telefonu zobaczyła najpierw, jak jego ręce ostrożnie kładą teleobiektyw na platformie. Stłumiła uśmiech.

– Poczekaj, muszę wrócić po resztę – jęknął zdyszany.

– Nigdzie się nie wybieram. Czuję, że to będzie długa noc. Trzeba było wziąć ze sobą termos – powiedziała.

Pete nie odpowiedział, bo schodził już na dół. Położyła się na brzuchu, zaglądając przez dziurę, którą zrobił Murray. Teren wokół laboratoriów tchnął spokojem. Nie widać było nawet stróża nocnego. Spojrzała na zegarek. Zbliżała się północ, zaś Murray widywał furgonetkę dopiero w okolicach drugiej, więc było jeszcze sporo czasu. O ile w ogóle tej nocy przyjedzie jakiś samochód. Nora miała wielką nadzieję, że tak. Zdjęcia furgonetki stanowiłyby konkret w konfrontacji z Biehlem.

Pete zwlekał z powrotem.

– Pete, co się dzieje?

Brak odpowiedzi. Nagle w lesie zrobiło się bardzo cicho. Tak cicho, że słyhać było skrzypienie drzew i szelest liści na wietrze. Ostrożnie przesunęła obiektyw w głąb platformy i wychyliła głowę za jej kant. Drabinka zwisała luzem, a Pete'a nie było nigdzie widać.

– Pete, jeśli to jakiś żenujący australijski żart, to gorszego nie widziałam.

Cisza.

Niepokój zaczął zataczać wokół niej duże, niespieszne koła, niczym rekin podływający powoli do swojej zdobyczy.

Ponownie włączyła latarkę w telefonie, choć w rekordowym tempie zżerała baterię, i badawczo omiotła światłem las.

– Hej, to już nie jest śmieszne. Daj już spo...

Słowa uwięzły jej w gardle, gdy cieniutki snop światła padł na znoszone i niemiłosiernie brudne traperki. Nieco wyżej widać było postrzępione, zwisające swobodnie spodnie khaki, nad którymi widniał tułów i głowa z oczyma utkwionymi przed sobą. Pętla na szyi i sine wargi nie pozostawiały złudzeń: Murraya powieszono na sąsiednim drzewie.

– PETE! – krzyknęła. – PETE! Gdzie jesteś?

Nagle usłyszała trzeszczenie platformy i poczuła ciężar kogoś, kto wspina się po drabince.

Rozdział 28

Wzięła teleobiektyw; był dość ciężki. Gdy tylko zobaczyła ręce nienależące do Pete'a, uderzyła w nie jego ukochanym sprzętem fotograficznym, najpierw w jedną, potem w drugą.

Ręce schowały się na krótką chwilę, ale szybko powróciły. Tym razem jednej z nich udało się chwycić obiektyw i wyrwać go Norze. Wylądował na ziemi z odgłosem tłuczonego szkła.

Przygotowała się do wymierzenia kopniaka. Nie ma nic gorszego niż kopnąć kogoś w twarz, od zawsze tego nie znosiła. Nawet w walce, nawet gdy jej przeciwnik był zabezpieczony skórzanym kaskiem, a policzki miał wysmarowane solidną porcją wazeliny. Jednak tu i teraz nie było innej możliwości.

Ręce wróciły. Potem łokieć. Wszystkie mięśnie jej ciała znajdowały się w stanie najwyższej gotowości, dającej poczucie swobody i napięcia jednocześnie.

W końcu pojawiła się twarz, a wraz z nią wylot lufy pistoletu.

– Radziłbym ci pójść ze mną dobrowolnie – powiedział Portland. – Choćby ze względu na twego kolegę.

Nora się zawahała, rozważając, czy nie dałaby rady wytrącić mu broni. Jednak problem w tym, że nie chodziło tylko o nią. Pete również stanowił element tego równania, mimo że Murray już nie.

– Ostrzegam cię. Nie mam żadnych skrupułów. Mam tylko zadanie do wykonania, a polega ono na tym, że masz pójść ze mną.

– A jeśli odmówię?

– Tak się nie stanie. Zejdiesz teraz na ziemię i pójdziesz ze mną, kapujesz?

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo chcesz, by twój kumpel przeżył tę noc – odparł spokojnie Portland i zaczął schodzić.

Nora odczekała, aż znajdzie się na ziemi, po czym zeszła za nim na trzęsących się nogach.

– Gdzie jest Pete?

– Twój kolega jest już w samochodzie. Czeka w środku – powiedział Portland, wskazując na białą furgonetkę ErBiTechu, którą widziała wcześniej tego dnia. Zapędził ją do środka przez drzwi do części bagażowej i starannie zamknął je za nią na klucz.

Oświetlenie było skąpe, a wskaźnik naładowania baterii znajdował się już na samym dole, na czerwonym polu, ale jakoś udało jej się po omacku dotrzeć do Pete'a, który na wpół siedział, na wpół leżał. Był nieprzytomny, ale oddychał spokojnie i regularnie, pochrapując.

Nigdzie nie było krwi. Nora wywnioskowała, że musiał zostać poddany jakiejś technice wykorzystywanej przez profesjonalnych żołnierzy, którzy za

pomocą nacisku na właściwy nerw potrafią sprawić, że człowiek traci przytomność, nie wydając najmniejszego dźwięku.

Usłyszała, jak zatraskują się drzwi do samochodu i po krótkiej chwili zostaje włączony silnik. Postanowiła, że spróbuje zapamiętać, czy daleko jadą, i skojarzyć sobie kierunki. Ale mogła to sobie darować. Niecałe pięć minut później Portland się zatrzymał i otworzył drzwi.

Znajdowali się na terenie laboratorium, na tyłach dużego budynku. Pete się jeszcze nie obudził, więc Portland go zostawił. Za to chwycił Norę mocno za ramię i wyciągnął z samochodu.

– Puszczaj! – syknęła.

Portland nie odpowiedział, lecz wpisał czterocyfrowy numer i otworzył drzwi do pierwszego budynku. Jeszcze zanim zapaliło się światło jarzeniówek, Nora wiedziała, że w tej części laboratorium trzyma się zwierzęta. Psy zaczęły nerwowo czekać, zaś w klatce małp za szybą widać było poruszenie.

Próbowała się wyrwać, ale chwyt Portlanda był stanowczy i sprawiał jej tym większy ból, im bardziej próbowała się oswobodzić. Poprowadził ją dalej na sam koniec pomieszczenia, gdzie białe drzwi z kolejnym kodem prowadziły do gabinetu.

Za biurkiem siedział mężczyzna, którego już tego dnia widziała, doktor Mung.

– Proszę, oto ona. Idę do tego drugiego – zameldował Portland i zamknął za sobą drzwi.

Doktor Mung gestem polecił Norze, by usiadła na krześle naprzeciwko. Szybko rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając dróg ucieczki, ale nie było tu okien, a drzwi za Portlandem się zatrzasnęły.

– Dlaczego tu jestem?

Doktor Mung wzruszył ramionami i posłał jej uśmiech, który w zamierzeniu miał być zachęcający, ale odniósł przeciwny skutek.

– Przejdę od razu do rzeczy. W obecnej chwili potrzebujemy w PharmaCorp spokoju. Właśnie wylansowaliśmy produkt, który zrewolucjonizuje cały sektor zdrowotny. Dlatego wolelibyśmy uniknąć złej prasy – powiedział doktor Mung, obdarzając Norę kolejnym diabolicznym uśmiechem.

– Rozumiem, ale ja nie mam zamiaru...

Doktor Mung jej przerwał.

– Jak już powiedziałem, zależy nam na uniknięciu niepożądanego rozgłosu. Bardzo zależy.

Nora włożyła ręce do kieszeni, próbując dyskretnie obudzić telefon do życia, nie zwracając na siebie uwagi. Poszło jej tak sobie.

– Widzę, że majstruje pani przy telefonie. Proszę sobie darować, tutaj nie ma zasięgu. Betonowe mury.

Nora wyjęła telefon, udając, że sprawdza, czy doktor Mung ma rację, i odłożyła go z powrotem do kieszeni z pełnym irytacji westchnieniem i włączoną funkcją nagrywania.

– Jak mówiłem, oczywiście rozumiemy, że jako dziennikarka może się pani czuć sfrustrowana z powodu ogromu pracy, jaki włożyła pani w tę sprawę. Naturalnie, jesteśmy gotowi wypłacić pewną rekompensatę. Za poniesione koszty czy jak to tam nazwać. Wyjątkowo hojną rekompensatę.

– Jest pan mordercą! Zabił pan swoimi eksperymentami pięć kobiet! Jackie nie żyje, Murray nie żyje. Nie mamy o czym rozmawiać.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– Owszem, ma pan. I nie wchodzę w żadne układy, nim nie zrozumie, co się tutaj stało.

– Nic się tu nie stało.

Nora wskazała w stronę lasu.

– W lesie wisi martwy człowiek. Proszę mi wyjaśnić, jak to może nie mieć związku z panem. Gdzie są notesy Murrraya? Notatki, które dowodzą, że przez dłuższy okres czasu bywał pan tu nocą?

– Ach, nazywał się Murray? Biedak, były pracownik, który nie umiał sobie poradzić z brakiem pracy. Godne ubolewania samobójstwo, z którym nie mam nic wspólnego.

– A co z Jackie?

– To był wypadek. Nikt nie zawinił, że wpadła pod pociąg.

– Skąd pan w ogóle wie, co się z nią stało, skoro nie ma pan z tym nic wspólnego?

Doktor Mung wstał.

– Pani Sand. Chciałbym pokazać pani, co tutaj robimy. Może to przekona panią do poparcia naszej sprawy.

Nora przygotowywała się do ucieczki, rozglądając się za jakąś bronią.

– Zanim palnie pani jakieś głupstwo, chciałbym tylko pani przypomnieć, że pani przyjaciel wciąż znajduje się pod naszą kuratelą. To czyste marnowanie czasu.

Doktor Mung wyprowadził ją z biura i przeszli na przeciwległą stronę pomieszczenia, gdzie ognioodporne drzwi wiodły do kwadratowego pokoju bez okien.

Uderzyło ich gorąco buchające z dużego pieca. Gdy Nora dała krok w głąb pomieszczenia, pod jej stopami coś zachrząściło. Przesunawszy nogę, ujrzała kolczyk z błękitnym oczkiem, i poczuła, jak jeżą jej się włoski na karku.

– To nasza spalarnia. Tutaj utylizujemy padłe zwierzęta, które nie przeżyły naszych eksperymentów – wyjaśnił.

– Tutaj też zutilizował pan dowody zabicia pięciu kobiet?

Doktor Mung spojrzał na nią z oburzeniem.

– Tego nie powiedziałem, w żadnym wypadku.

– Ale właśnie to miało tu miejsce, prawda? Jeśli w ogóle miałabym zgodzić się na jakiś układ, muszę wiedzieć, co się stało z tymi kobietami. Pewien mężczyzna tęskni za swoją żoną. Muszę mu wyjaśnić, co się wydarzyło.

– W żadnym razie nie może mu pani powiedzieć, co się wydarzyło. To będzie część naszej umowy. Ma pani szczęście, że Biehl się za panią ujął. Uważał, że zaginięcie duńskiej dziennikarki, która właśnie coś o nim pisze, byłoby problematyczne. Osobiście nie podzielał jego zdania.

Doktor Mung wyglądał zupełnie jak szaleniec, stojąc w półmroku z huczącym piecem za plecami.

– W jaki sposób jako lekarz może pan usprawiedliwić zabijanie ludzi? – rzuciła Nora.

– Jestem przede wszystkim naukowcem. Tu nie chodzi o jednostki, ale o to, co dobre dla całego społeczeństwa. Dla wszystkich. Za pomocą Felixii uratujemy miliony ludzi przed cukrzycą, przed przedwczesną śmiercią.

– Owszem, i zarobicie miliardy dla PharmaCorp.

– Pani Sand, zaczyna mnie pani denerwować. Mamy umowę czy nie?

Nora próbowała grać na zwłokę.

– Porozmawiajmy o tym w pana gabinecie – odparła.

– Dobrze. – Doktor Mung uśmiechnął się z zadowoleniem i z galanterią otworzył Norze drzwi. – Panie przodem.

Uśmiech wciąż gościł na jego twarzy, gdy celnie wymierzony kopniak w splot słoneczny pozbawił go powietrza w piersi. Odrzuciło go z powrotem do pomieszczenia niczym rzutkę, a Nora pospiesznie wybiegła do laboratorium, zatraskując za sobą drzwi. Gruba, ognioodporna furta zamknęła się z głośnym trzaskiem. Brzmiało to, jakby zatrzasnęła się na zawsze.

Szybko rozejrzała się za czymś do obrony. Były tu komputery, segregatory i ciężkie mikroskopy elektroniczne. Na wieszaku wzdłuż jednej ściany wisiało kilka białych fartuchów laboratoryjnych. Poza tym prawie nic tu nie było. Spróbowała otworzyć szare, metalowe szafy stojące pod ścianą, ale wszystkie były zamknięte na klucz. Oprócz ostatniej. Mieściły się w niej środki czystości i wiadro ze szczotką do podłogi. Odkręciła szczotkę od kija. Była to żalosna namiastka broni, ale lepsze to niż nic. Prędko sprawdziła jeszcze komórkę. Wciąż nie było zasięgu.

Podkraśla się do drzwi, próbując wyrzeć przez okienko znajdujące się na wysokości wzroku tak, by nie zauważył jej Portland, stojący na zewnątrz plecami do wyjścia. Drzwi bagażnika furgonetki były zamknięte.

Nagle zobaczyła ruch; samochód zaczął kołysać się w tę i we w tę, na co Portland natychmiast zareagował i poszedł otworzyć drzwi auta. W tym samym momencie Nora otworzyła drzwi laboratorium w nadziei, że hałas robiony przez

Pete'a zagłuszy odgłos jej kroków.

Z furgonetki dobiegał nieartykułowany ryk, który dowodził, że Pete się ocknął, i to bardzo.

– Stul pysk! – wrzasnął Portland.

Pete ryczał dalej.

– No zamknij ten ryj! Nikt cię nie usłyszy!

Nora uderzyła w chwili, gdy Portland się schylił, by wejść do samochodu i spacyfikować Pete'a. Z całej siły zamachnęła się kijem od szczotki, trafiając w biceps kark Portlanda. Obrócił się z wściekłością w jej stronę.

– Ty cholerna babo! Mam w dupie, co mówi ten zasrany Biehl. Zapłacisz za to!

Udawało jej się odpierać jego ataki kijem od szczotki, ale była to tylko kwestia czasu. Choć wielokrotnie trafiła go w ramiona, a raz nawet w okolice nerki, opędzał się od ciosów jak od ugryzień komara. Ręce Nory słabły z każdym uderzeniem.

– Pete, jesteś cały?! – krzyknęła w stronę samochodu.

Nie było odpowiedzi.

– Pete, do cholery, żyjesz?!

Na ułamek sekundy jej wzrok powędrował w kierunku furgonetki. To wystarczyło Portlandowi. Błyskawicznie znalazł się przy niej i przycisnął do ziemi. Wielkie dłonie zacisnęły się na szyi Nory.

– Pete... – zdążyła wycharzczyć, zanim zabrakło jej powietrza.

Portland wzmocnił uścisk i przed jej oczami zaczęły tańczyć białe i czerwone płatki. Poczowała, że ogarnia ją mrok. W ostatniej desperackiej próbie wyrwania się usiłowała rozewrzeć jego ręce, ale bez tlenu jej mięśnie były zbyt słabe.

Nagle poczuła potworny ból głowy. Portland wrzasnął, zakrywając twarz i sturlał się z Nory na ziemię. Nie miała sił, by się podnieść, nie mogła otworzyć oczu.

Wtedy poczuła, jak dłoń Pete'a chwyta ją za rękę.

– Pete, co się, kurna, stało?

– Chodź, trzymaj się mnie mocno. Spływamy stąd.

Nora próbowała otworzyć oczy, by się rozejrzeć, ale się nie dało. Ból był nie do zniesienia. Pozwoliła Pete'owi się poprowadzić; czuła, że truchtają po trawie. Portland wciąż ryczał z bólu, ale jego wrzaski stopniowo się oddalały.

Rozdział 29

Pete odholował ją do samochodu i dzikim pędem odjechał sprzed laboratorium, jak domyśliła się Nora. Ostrożnie spróbowała uchylić jedno oko, ale kanaliki łzowe oszalały.

– Gaz pieprzowy?

– Tak, sorry. To była konieczność.

– Do diabła, Pete.

– Miałem go w torbie z aparatem jeszcze z tego razu w Johannesburgu. Nie chciałem cię trafić, ale nie dało się inaczej.

Wjechali na autostradę i Pete zajechał na najbliższą stację benzynową. Wbiegł do sklepu i dwie minuty później wrócił z małą butelką mleka.

– Hej, spróbuj przepłukać tym oczy. Powinno zadziałać.

Trzymając butelkę nad sobą, Nora przemyśla najpierw jedno, potem drugie oko, mrugając parokrotnie. Po kilku minutach była w stanie uchylić powieki i zobaczyć poruszonego Pete'a.

– Widziałeś Murraya? – spytała.

– Tak. Zdażyłem go zauważyć, zanim ten paker zaszedł mnie od tyłu. Kto to w ogóle był?

– Portland. Pracuje dla Hawksyard.

– Uprzejmy gość – stwierdził Pete. – Co teraz robimy?

Nora wyciągnęła telefon z kieszeni. Małe cyfry trudno było odczytać, ale widziała, że na baterii zostało trzy procent energii.

– Jest tu gdzieś budka telefoniczna?

– Tak, jest w środku, tam, gdzie sklep. Tuż przy toaletach.

– Pomożesz mi tam wejść?

Ujął ją pod ramię.

– Widzisz klawisze czy wybrać je za ciebie?

Nora pokręciła głową.

– Widzę, to nie jest skomplikowany numer.

Wybrała 112 i poprosiła o połączenie z policją.

– Chodzi o jedną lub więcej zabitych osób – tłumaczyła, podając im adres laboratorium PharmaCorp, i opowiedziała o powieszonym w lesie Murrayu. Podkreśliła, że na terenie laboratorium prawdopodobnie znajdują się ranni.

Po powrocie do samochodu spojrzała na Pete'a wciąż podpuchniętymi oczami.

– Pete, musimy tam wrócić.

– Dlaczego?

– Na podłodze w laboratorium leżał kolczyk.

– Kolczyk?

– To może być trop. Miał niebieskie oczko, może należał do Aminy.

Protestując niemrawo, Pete zakręcił z powrotem na autostradę i powiózł ich tam, skąd przyjechali.

– Przyznaję, że nie starczy mi odwagi na ponowną schadzke z tym psychopata. Nie moglibyśmy przynajmniej poczekać na przyjazd policji?

– Owszem, ale musimy zdobyć ten kolczyk.

Od ich ucieczki z laboratorium PharmaCorp minął najwyżej kwadrans. Mimo to budynki spowijał cichy mrok, jakby nic się nie stało. Włączono tylko reflektory wzdłuż płotu okalającego teren; wyglądało to tak, jakby cała okolica wstrzymała oddech w nadziei, że nikt nie zwróci na nią uwagi.

Pete zaparkował nieco dalej na drodze, zgasił wszystkie światła w samochodzie i upewnił się, że drzwi są zamknięte na klucz. Nora zerknęła w kierunku lasu, starając się odgonić myśl o Murrayu, który wisiał tam z wytrzeszczonymi oczami, już na zawsze gotowymi do obserwacji.

Na drogę wtoczył się niespiesznie wóz patrolowy. Przeszpiegi. Stwierdził, że panuje tu spokój i porządek, i zakręcił w stronę lasu.

– Odjeżdżają! – powiedziała Nora szeptem.

Pete chwycił ją za ramię.

– Nie, poczekaj chwilę.

Najciszej jak potrafiła uchyliła okno samochodu, by usłyszeć, co się dzieje.

Pete rozglądał się nerwowo na wszystkie strony.

– Nie podoba mi się, że nie wiemy, gdzie jest ten Portland – powiedział wprost.

Wóz policyjny zatrzymał się w małej zatoczce przy lesie; ze środka wysiadła jakaś postać. Nora zobaczyła, jak włącza solidną latarkę i snop światła bada postrzępione, czarne drzewa na skraju lasu.

– Idę się rozejrzeć. To pewnie jakiś dowcip – zawołał do kolegi.

Dwie minuty później dobiegł ich odgłos jego wymiotowania.

Jego kolega wysiadł z samochodu i nocną ciszę przerwały sygnały z radia policyjnego i nagłe ożywienie na liniach.

Obu policjantów odgrodziło wejście do lasu plastikową taśmą, na której widniał napis wielkimi literami: STOP. POLICJA. Po kwadransie przyjechała karetka bez włączonego sygnału, zapewne z lekarzem, który miał stwierdzić zgon Murraya. Towarzyszył jej cywilny samochód z mężczyzną, który jak obstawiała Nora, był komisarzem kryminalnym. Wszedł do lasu i nie wychodził z niego przez dłuższą chwilę.

Następnie przyjechał jeszcze wóz z dwoma technikami, którzy nałożyli białe, papierowe skafandry, po czym weszli do lasu z aparatem i reflektorami.

– Co teraz robimy? – spytał Pete.

– Czekamy.

– Jak długo?

Nim Nora zdążyła odpowiedzieć, przy laboratorium zauważyli ruch. Biała furgonetka powoli oddaliła się od budynków, sunąc długim podjazdem do szlabanu, zakazującego wstępu nieproszonym gościom. Żaden funkcjonariusz z kręcących się wokół samochodów policyjnych nie zauważył, co się święci.

Nora chwyciła Pete'a za ramię.

– Pete! Musimy go zatrzymać!

Spojrzał na nią pytająco.

– To Portland! Nie może się wymknąć.

Pete otworzył okno i z całej siły wrzasnął w kierunku lasu, gdzie policja była pochłonięta Murrayem:

– Hej! Potrzebujemy tu pomocy!

Żadnej reakcji.

– Halo! Potrzebujemy pomocy!

Jeden z policjantów wychylił się z lasu. Jego sylwetkę widać było w słabym świetle reflektora.

– Proszę sobie iść. To jest policyjne dochodzenie. Wstęp wzbroniony! – odkrzyknął ze złością.

– Do jasnej cholery! Prawdziwy przestępca właśnie się wymyka!

Funkcjonariusz nie odpowiedział; odwrócił się, by wrócić do lasu.

Biała furgonetka znajdowała się już przy samym szlabanie. Nora ujrzała Portlanda wysiadającego z samochodu i wstukującego kod. Szlaban powoli zaczął się unosić.

Pete zdecydowanie przekręcił klucz w stacyjce fotobryki i szybko podjechał do przodu, zagradzając drogę po drugiej stronie szlabanu tak, by uniemożliwić furgonetce wyjazd. Zatrzymała się raptownie przed zdezelowanym fordem mondeo.

Za kierownicą siedział Portland; Nora sprawdziła na wszelki wypadek, czy wszystkie drzwi ich auta są zamknięte. Był w szachu. Albo on, albo samochód. Przez chwilę siedział w bezruchu, świdrując Norę wzrokiem z taką wściekłością, że niemal wypalił dziurę w szybie samochodu. Oczy miał wciąż spuchnięte i czerwone od gazu pieprzowego. Wtedy wcisnął gaz do dechy i z całym impetem wjechał w fotobrykę.

Uderzenie odebrało Norze dech; poczuła ostry ból w karku, gdy zarzuciło ją na Pete'a.

– *Fuck!* Psychopata! – wrzasnął Pete. Uderzył twarzą w przednią szybę i z rany na czole popłynęła krew. Alarm samochodowy rozdzwonił się wniebogłosy, a Pete wspomógł go jeszcze klaksonem, wciskając go wściekle raz po raz.

– Co się dzieje z tymi gliniarzami? Posnęli w tym lesie?

Portland cofnął samochód, szykując się do kolejnej próby staranowania ich furgonetką.

– Pete, musimy wyjść. Nie wytrzymamy powtórki.

Nora spróbowała otworzyć drzwi od strony pasażera, ale wgniotły się od uderzenia. Siedzieli teraz grzecznie w rządku, czekając na kolejny atak.

Pete ledwie zdążył otworzyć drzwi ze swojej strony i wyjść, nim furgonetka z hukiem uderzyła w przednie światła. Lada chwila będzie miała wystarczająco dużo miejsca na wyjazd.

Zderzenie wyrzuciło Pete'a na drogę, a Nora czym prędzej wgramoliła się na jego miejsce i wysiadła z samochodu. Dźwięk protestującej skrzyni biegów i gazującego silnika sygnalizował, że Portland szykuje się do ostatniego zrywu, który utoruje mu drogę i pozwoli uciec policji.

– Dasz radę? – Nora chwyciła Pete'a pod ramiona. Krwawił dość mocno z czoła, ale musiała go przemieścić gdzieś dalej, bo przy kolejnym uderzeniu samochód mógłby go zmiażdżyć. Pojękiwał, gdy się z nim szamotała.

Nagle ciężar się zmniejszył. Policjant w cywilu, którego widzieli w lesie, ujął Pete'a z drugiej strony i pomógł odholować go na bezpieczną odległość. Gdy tylko go puścił, obrócił się zwinnie, wyjął swojego glocka i wymierzył w Portlanda:

– Stop! Policja.

Portland wyglądał jak wściekły buldog. Ostrzegawczo dodał jeszcze gazu.

Kula trafiła w prawe przednie koło, które eksplodowało, kończąc tym samym skutecznie karierę furgonetki jako narzędzia ucieczki.

Dwadzieścia sekund później u boku swego przełożonego stało dwóch policjantów, celując pistoletami w Portlanda. W szarym świetle wczesnego poranka ich zdyszane oddechy były jedynym słyszalnym dźwiękiem.

Portland dokonywał oceny sytuacji, ale jego szanse nie były największe.

– Wyjdź z samochodu. Ręce nad głową! – polecił jeden z policjantów.

Portland powoli zdjął ręce z kierownicy i otworzył drzwi.

Jeden z funkcjonariuszy zbliżył się o krok, trzymając go na muszce. Wsiadanie z samochodu trwało w nieskończoność.

– Ręce nad głową! – upomniał jeszcze raz policjant. Portland zrobił, jak mu kazano.

Funkcjonariusz podszedł do niego z kajdankami.

– Ręce do tyłu.

Nora widziała, co się święci, ale działo się to tak szybko, że jej mózg nie zdołał połączyć kilku czynności w jeden ciąg. W jednej chwili Portland stał posłusznie z rękami na plecach, dając zakuć się w kajdanki. Ułamek sekundy później trzymał przed sobą policjanta jako żywą tarczę z jego własnym glockiem przytkniętym do skroni.

Jego dwóch kolegów opuściło broń.

– Nie uciekniesz. Posiłki są już w drodze – rzucił policjant w cywilu.

Portland zachowywał się, jakby go nie słyszał.

– Potrzebuję samochodu.

Kluczyk tkwił wciąż w stacyjce fotobryki i Portland gestem wydał polecenie, by przerażony policjant usiadł na siedzeniu kierowcy. Z pistoletem cały czas wycelowanym w jego głowę Portland przeszedł na drugą stronę auta, by wsiąść.

Drzwi były wgniecione i zatrzaśnięte na dobre. W chwili gdy próbował je szarpnąć oburącz, doskoczyło do niego obu policjantów. Jeden wytrącił mu z dłoni pistolet i kopnął go na bezpieczną odległość, drugi zaś przycisnął Portlanda do samochodu.

– Dość tego! – krzyknął ten w cywilu.

Ktoś rzeczywiście musiał wezwać posiłki, bo zbliżały się do nich dwa wozy policyjne na sygnale i karetka. Portlanda wepchnięto do karetki policyjnej i z hukiem zamknięto za nim drzwi.

Nora podeszła do Pete'a, którym zajęła się kobieta prowadząca karetkę.

– Zabieramy pana do szpitala na obserwację w kierunku wstrząśnienia mózgu – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Policjant włożył pistolet z powrotem do kabury i zwrócił się do Nory.

– Jack Teal, komisarz kryminalny. Przepraszam bardzo, ale co tu się, do cholery, dzieje? I kim pani jest?

Nora spojrzała na niego.

– To długa historia, którą chętnie panu opowiem. Działy się tu rzeczy, które nie powinny wydarzyć się w laboratorium. Proponuję, byście je przeszukali.

Jack Teal pokręcił głową.

– Wykluczone. Nie wolno nam dokonywać przeszukania bez nakazu sądowego. Chyba że ludzkie życie znajduje się w bezpośrednim niebezpieczeństwie.

– No właśnie się znajduje!

– Proszę mówić – zakomenderował.

Jednak zanim Nora zdążyła odpowiedzieć, Jacka Teala odwołano.

– Szefie! Szybko! – zawołał jeden z szeregowych funkcjonariuszy, który otworzył drzwi bagażnika. Nora podążyła za Jackiem Tealem i zajrzała mu przez ramię.

W bagażniku znajdowała się postać zawinięta w koce. Jack Teal podszedł bliżej i spojrzał na policjanta pytająco.

– Nie żyje?

W tej samej chwili postać się poruszyła i między fałdami koca pojawiła się twarz kobiety. Usta zakleiono jej taśmą, a jej oczy były szkliste i nieprzytomne. Ręce miała związane na przodzie za pomocą szerokiej, srebrnej taśmy.

– Potrzebna pomoc! – krzyknął Jack Teal w stronę karetki.

Ratowniczka podbiegła do auta, szybko odkleiła taśmę z ust kobiety i skalpelem oswobodziła jej rękę. Gdy Nora zobaczyła całą twarz, nie miała wątpliwości.

Miała przed sobą Aminę.

Rozdział 30

Ratowniczka dotknęła czoła Aminy.

– Jest bardzo rozpalona. Trzeba natychmiast zawieźć ją do szpitala.

Jej kolega stał już gotowy z noszami, wtaszczyli na nie jęczącą kobietę i zanieśli do karetki.

Nora pobiegła za nimi.

– Myślę, że wiem, co jej jest – powiedziała.

– Czy istnieje ryzyko zarażenia innych? Konieczność kwarantanny?

– Nie, nie sędzę.

Ratownicy wprawnym ruchem umieścili nosze w karetce i kierowca był gotowy do odjazdu.

– Nie ma czasu, by nam to pani teraz tłumaczyła. Proszę wskakiwać, porozmawia pani w szpitalu z lekarzami.

Dziesięć minut później przyjął ich personel oddziału ratunkowego szpitala Świętego Wincentego. Nora odsunęła się na bok, kiedy pielęgniarki i lekarze wwieźli Aminę do sali, gdzie podłączono jej kroplówkę, ciśnieniomierz i sprzęt mierzący pracę serca.

Nora usiadła na krześle w korytarzu, czekając z sercem w gardle. Po jakimś czasie wyszedł do niej rezydent, który wyglądał, jakby był na skraju wyczerpania.

– Pani jest rodziną?

Nora pokręciła głową.

– Nie, jestem...

– W tej chwili jest w miarę stabilna – ciągnął, jakby jej nie usłyszał. – Ale musi się pani nastawić na to, że ciągle nie wiemy, co jej jest. Ma wyjątkowo wysoką temperaturę i wygląda na to, że cały czas rośnie. Podaliśmy jej leki zbijające gorączkę, ale w ogóle nie działają.

– Przeżyje?

Lekarz podrapał się w głowę o skromnym owłosieniu.

– Nie wiem – powiedział szczerze. – Oczywiście pobraliśmy krew do badania i wysłaliśmy do laboratorium na cito, ale...

– Zróbcie jej test na DNP.

– DNP? Dinitrofenol?

– Tak. Sędzę, że przedawkowała DNP – powiedziała Nora.

Lekarz zamknął oczy i głęboko westchnął.

– Jeśli tak jest, to... Ona już zwymiotowała.

Nora przypomniała sobie artykuł o młodej studentce wzornictwa. Był to jeden z objawów, który powiedział lekarzom, że Veroniki Jones nie uda się uratować. Wymioty stanowiły *point of no return*.

– Co teraz zrobicie? – spytała.

Ale lekarz już wrócił na salę, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Nora zeszła na oddział nagłych wypadków, gdzie Pete czekał na oględziny lekarza, który miał stwierdzić, czy ma wstrząśnienie mózgu. Nie znajdował się na szczycie listy priorytetów w poczekalni pełnej zasmarkanych dzieci, cherlawych seniorów i bezdomnych, którzy mieli nadzieję posiedzieć w cieple i może dostać coś przeciwbólowego.

– Jak tam? Boli cię?

Pete się skrzywił.

– Tylko jak kiwam głową. Wiedziałem, że z tym psychopatą będzie jakiś dym.

– Przykro mi – powiedziała Nora. Pożyczywszy od Pete’a dodatkową baterię do komórki, wyszła na zewnątrz, by zadzwonić do Sanjita.

Była piąta nad ranem, ale odebrał od razu i przekazał telefon Manashowi.

– Znalazła ją pani? – spytał od razu.

Nagle Nora poczuła ucisk w gardle, uniemożliwiający jej wydobyć z siebie głosu.

– Nora, dlaczego pani dzwoni? Proszę mówić!

Próbowała zdławić płacz. To ostatnia rzecz, której Manash teraz potrzebuje.

– Znalazłam ją, Manash. I obawiam się, że ona umiera – powiedziała wreszcie.

Potem opowiedziała mu skrótowo, że Amina prawdopodobnie zatrula się podczas eksperymentu.

– Jeśli uda się panu uzyskać pozwolenie na wyjazd, to powinien pan przyjechać i się z nią pożegnać. Nie zostało jej wiele godzin – powiedziała z gardłem ściśniętym płaczem.

– Proszę mi powiedzieć, co mam robić. – Nora słyszała smutek w jego głosie.

– Proszę porozmawiać z Kirsten. Pytać dosłownie każdego, kto tylko przychodzi panu do głowy, kto może załatwić pozwolenie. Spytać brytyjskiego ambasadora. Ja też sprawdzę, co da się zrobić.

Gdy się rozłączyli, Nora postąpiła chwilę w chłodzie poranka, zanim zebrała się do dzwonięcia kolejny raz.

Krab odebrał po jednym sygnale.

– Sand, co to za alarm?

Nora szybko opowiedziała mu co i jak.

– Co niby miałbym zrobić?

– Czy ten adwokat, z którym grywasz w squasha, nie zna przypadkiem osobiście ministra sprawiedliwości?

– Zna... ale będziemy mieć poważne problemy z zachowaniem bezstronności, jeśli będziemy w ten sposób wywierać wpływ na polityków. To nie

przejdzie.

Wściekłość jak ognista kula rozszalała się w brzuchu Nory.

– Owszem, jesteśmy dziennikarzami. Ale czy nie powinniśmy być przede wszystkim ludźmi? Żona tego człowieka jest umierająca. Jeśli możemy mu pomóc, to chyba powinniśmy?

Krab westchnął.

– Nie powinniśmy? Jeśli tego nie zrobimy, to co to wszystko jest warte?

– Dobrze, Sand. Spróbuję. Co nie oznacza, że się uda – zastrzegł.

– Dzięki!

Rozważyła wszystkie opcje. Nie było czasu na konferencję prasową, a grupa osób, do których mogłaby zadzwonić przed ósmą, nie była liczna.

Miała nadzieję, że Amina przeżyje do tej pory.

Przełknęła wstyd i zadzwoniła do Toma. Odebrał od razu:

– Dzwonił Manash. Już powiadomiłem naszych adwokatów. Pracują na pełnych obrotach nad uzyskaniem pozwolenia w drodze wyjątku w brytyjskim ministerstwie spraw wewnętrznych.

Pete wciąż siedział w poczekalni, ale przynajmniej teraz uśmiechał się od ucha do ucha.

– Cheryl po mnie przyjedzie.

– Idę do Aminy dowiedzieć się, czy coś się zmieniło.

*

Usiadła pod drzwiami na pomarańczowym plastikowym krześle. Czas wydawał się rozciągliwy; minuty mijały jednocześnie zbyt szybko i zbyt wolno. Wciąż bolały ją oczy, więc na chwilę je zamknęła.

Gdy je otworzyła, stał przed nią lekarz.

– Mam złe wieści. Zgodnie z pani obawami, to DNP. Dostała o wiele za dużą dawkę, by mogła przeżyć. Będzie, co ma być, i nic na to nie poradzimy. Możemy ją chłodzić, by opóźnić sam proces i sprawić, by nie cierpiała. Ale to wszystko.

Nora wiedziała o tym, ale i tak poczuła, jakby dostała cios w żołądek.

– Jeśli chciałaby się pożegnać z jakimiś krewnymi, to powinni przyjść. Pozostało parę godzin – powiedział.

– Pracuję nad tym. Jej mąż jest za granicą i wyjazd nie jest dla niego taki prosty. Znajduje się w ośrodku dla uchodźców – wyjaśniła Nora.

Lekarz pokręcił głową z wyraźnym potępieniem.

– Pomyśleć, że ludzie robią sobie takie rzeczy tylko po to, by zgubić parę kilo!

Nora spojrzała mu prosto w oczy.

– Ona sama tego nie wzięła. Została zmuszona, być może nawet nie wiedziała, co dostaje. To jest morderstwo.

– Policja o tym wie?

– Tak jakby.

Lekarz wyglądał, jakby miał zemdleć ze zmęczenia.

– OK, ja już nie daję rady. Przez tę sprawę zostałem dwie godziny dłużej po dyżurze. Ale jutro będę, gdyby policja mnie potrzebowała – powiedział.

– Mogę wejść na salę?

– Tak, nie widzę przeciwwskazań. Nie ma ryzyka zarażenia. Ona teraz śpi.

Lekarz zdążył się już oddalić, gdy Nora ostrożnie otworzyła drzwi.

Przy łóżku siedziała pielęgniarka, przez cały czas doglądając Aminy.

Łóżko zostało odgrodzone parawanami na kółkach, na których rozpięto zasłony. Ciągłe pikanie sygnalizowało, że rytm serca Aminy jest w miarę spokojny.

– Jak ona się czuje? – spytała Nora ostrożnie.

– Wysoka gorączka. Teraz odpoczywa – odpowiedziała pielęgniarka z akcentem, który sugerował, że większość życia spędziła w Afryce.

Nora stała w bezruchu, obserwując śpiącą kobietę.

– Niedługo będzie obchód, wtedy dowiemy się czegoś więcej – rzekła pielęgniarka.

Nora wyszła z powrotem na korytarz, gdzie natknęła się na Jacka Teala.

– Dobrze się czuje? ^[P.]_[SEP]– Nie, umiera. Została zamordowana.

– Co ma pani na myśli?

– Została zatruta substancją o nazwie DNP. Prawdopodobnie doszło do tego w laboratorium, którego nie chcieliście przeszukać. Zostało jej kilka godzin.

– Hola, hola! Jeden z moich ludzi właśnie dobija się do sędziego. Dowiemy się, co się tam działo. Tyle że w tej chwili chciałbym po prostu porozmawiać z tą kobietą.

– Ona śpi.

Jack Teal i tak wszedł do środka. Nora poszła za nim i usłyszała, jak pielęgniarka potwierdza, że Amina rzeczywiście umiera z powodu zatrucia jakąś substancją.

– Obudzi się? – spytał bez ogródek.

Pielęgniarka ociągała się z odpowiedzią.

– Może tak, może nie. Trudno powiedzieć.

W tej samej chwili Amina poruszyła się i zaczęła mamrotać:

– Manash?

Nora podeszła bliżej i chwyciła ją za rękę. Była rozpalona gorączką.

Amina skupiła na niej wzrok.

– Manash? Gdzie on? Gdzie ja? – powiedziała łamaną angielszczyzną.

– Jest pani w szpitalu – wyjaśniła Nora.

– Co się stało? Gdzie Manash?

– Manash jest w Danii. Próbujemy go sprowadzić, ale nie jest łatwo.

Jack Teal stanął przy łóżku.

– Proszę pani, jestem z policji. Może mi pani powiedzieć, jak ta trucizna znalazła się w pani organizmie?

Pielęgniarka zaprotestowała.

– Pacjentka potrzebuje odpoczynku. Jak państwo widzą, jest wyczerpana. Minie trochę czasu, zanim będzie gotowa mówić.

Jack Teal posłał jej lekceważące spojrzenie.

– Jeśli dobrze rozumiem, nie zostało nam wiele czasu. Musimy się dowiedzieć, kto jest winny, by to się nie powtórzyło.

Pielęgniarka niechętnie kiwnęła głową.

– Dobrze, ale jeśli poczuje się gorzej, będę interweniować.

Jack Teal wyglądał jak chude wydanie Ernesta Hemingwaya z prawie tak samo przeszywającym spojrzeniem. Był ubrany w elegancki prochowiec, który amerykański pisarz zapewne uznałby za gogusiowaty. Ale gdy usiadł po drugiej stronie łóżka i ujął Aminę za rękę, stał się wcieleniem delikatności.

– Wiem, że to trudne. Że boli. Ale tych ludzi trzeba ukarać. Może mi pani opowiedzieć, co się stało? – zapytał miękko.

Wyjaśnienia były rwane i pełne wahania ze względu na stan Aminy i jej słaby angielski. Ale Jack Teal nagrywał wszystko na dyktafon i naprowadzał ją w przebiegu zdarzeń. Zaczęła od tego, że omyłkowo wylądowała w Hawksyard i bez żadnego powodu została wysłana do pokoju wyciszenia.

– Potem przenieśli mnie gdzieś indziej. To się stało nocą, więc nie widziałam, gdzie jesteśmy. Musieli mi dać coś na uspokojenie. Było mi wszystko jedno. Byłam w pokoju z krzesłem, stołem i łóżkiem. Było bardzo białe.

Nie wiedziała, jak znalazła się w samochodzie na podjeździe PharmaCorp.

– Codziennie dawali mi tabletki. Mówili, że poczuje się lepiej, jak je wezmę. Że pomogą mi z papierami i wrócę do Manasha, jeśli będę to robić przez dwa tygodnie. Że mam brać te tabletki codziennie i mówić doktorowi Mungowi, jak się czuję.

– I jak się pani czuła? – spytał komisarz.

– Na początku nic nie czułam. Potem zrobiłam się bardzo głodna i pobudzona. Nie mogłam się uspokoić. Trzy dni temu zaczęłam się czuć bardzo źle.

– Jak to źle?

– Mdłości. Brak apetytu. Było mi gorąco. Doktor Mung zmierzył mi temperaturę w uchu. Chyba był zły.

– Co stało się potem?

– Dał mi zastrzyk. Potem już nic nie pamiętam. Obudziłam się w samochodzie.

– Proszę mi opowiedzieć o doktorze Mungu. Gdzie jest teraz?

Amina sięgnęła po szklanę z zimną wodą, stojącą na szafce. Nim pielęgniarka zdążyła ją wziąć, Jack Teal przysunął szklanę do ust Aminy.

– Nie wiem, gdzie jest. Jestem bardzo zmęczona – powiedziała, napiwszy się.

Jej głos był bliski szeptu.

Pielęgniarka posłała Jackowi Tealowi mordercze spojrzenie.

– Robimy przerwę. Bez względu na to, co pan mówi, koniec tego – powiedziała surowo i spojrzała na Norę. – Pani to też dotyczy. Potrzeba jej teraz spokoju.

Komisarz kryminalny wstał, uśmiechając się do pielęgniarki. Wystarczyło, by ją trochę udobruchać.

– Może będzie pan mógł przyjść później – powiedziała.

– Dziękuję – odparł Teal, zamykając za sobą drzwi.

Spojrzał na Norę.

– Czy ona powiedziała, że uczestniczyła w eksperymencie medycznym?

– Tak właśnie zrozumiałam.

– Ale nie w Hawksyard?

– Nie. Sądzę, że w PharmaCorp, a jeśli nie tam, to w ErBiTechu, ich partnerze.

Wychodząc, Jack Teal podał Norze wizytówkę.

– Muszę wracać na komisariat, by przesłuchać tego pakera. Musimy coś na nich mieć, zanim przeszukamy firmę.

– Im dłużej zwlekacie, tym więcej mają czasu na zatarcie śladów – zaprotestowała Nora.

– Mam tego doskonałą świadomość. Ale musimy trzymać się zasad, w przeciwnym wypadku ryzykujemy, że w ogóle nie dojdzie do rozprawy – powiedział surowo.

Zadzwoił Krab. Nora pospiesznie wyszła ze szpitala i odebrała telefon.

– Złe wieści.

– Jakie?

– Mój kumpel od squasha rzeczywiście zna ministra i chętnie mnie wysłuchał, ale minister jest w delegacji w Bahrajnie.

– Nie ma żadnego zastępcy?

– Jest, ale też w delegacji.

– Musi ktoś być!

– Mówiąc krótko: nie ma. Manash Ishmail nie ma w tej chwili przyjaciół w resorcie sprawiedliwości, bo sam nie był pomocny przy poszukiwaniu swego szwagra.

– Ale przecież on nic nie wiedział!

– Wiem, Noro. Ale jego postawa nie stawia go w dobrym świetle.

– Nie wierzę!

– Może to nieprawda, że minister jest nieuchwytny w tym Bahrajnie. Pewnie gdyby chciał, to podszedłby do telefonu. Ale nie chce. Przykro mi, Sand. Nic więcej nie zdołałam.

Wziąwszy głęboki oddech, Nora zadzwoniła do Manasha.

– Jakies wieści?

– Nie. Nie mam numeru do brytyjskiego ambasadora, więc muszę poczekać na otwarcie ambasady. Tom próbuje to załatwić w Wielkiej Brytanii.

Nora nie miała serca mówić mu o ministrze sprawiedliwości.

– Powodzenia. Zadzwonię później – powiedziała, wracając na korytarz.

Zauważyła jakieś ożywienie w sali Aminy. Przy łóżku stały dwie pielęgniarki i lekarz. Obchód. Nora miała nadzieję na cud, choć w głębi duszy wiedziała, że się nie wydarzy.

Chwilę później drzwi się otworzyły i wyszedł lekarz, trzymając w ręku podkładkę do pisania, a za nim pielęgniarki.

– Jak pan sądzi, ile czasu?

Lekarz się zawahał.

– Białka oczu zrobiły się żółte, oddech jest coraz płytszy, temperatura około 43 stopni. Maksymalnie trzy godziny – powiedział, stawiając krzyżyk długopisem.

Poszli dalej.

Gdy Nora weszła do sali, pielęgniarka zgromiła ją wzrokiem. Amina znów spała.

– Proszę posłuchać. Wiem, że to złamanie wszelkich reguł, ale musimy coś zrobić – powiedziała, patrząc błagalnie.

Pół godziny później wszystko było gotowe.

– Ryzykuję przez to utratę pracy – powiedziała pielęgniarka po raz piąty.

– Biorę na siebie pełną odpowiedzialność – zapewniła Nora po raz siódmy.

Pielęgniarka uniosła wezgłowie łóżka tak, by oszołomiona Amina mogła usiąść, i przysunęła przed nią szafkę nocną z podniszczonym laptopem.

Nora zalogowała się na swoje konto na Skype i pomogła Aminie zadzwonić do Kirsten Isager.

Po charakterystycznym sygnale na ekranie pojawił się obraz szarego, słabo oświetlonego gabinetu. Rozmowa z Kirsten była straszna. Nie miała czasu wyjaśniać całej sprawy, tylko tyle, że Aminie zostało parę godzin życia. Że Manash nie zdąży do Londynu i że to jedyna możliwość. Kirsten pozostało przyprowadzić Manasha do biura i przekazać mu wieści, które złamią mu serce.

– Jest włączone? – usłyszała głos Manasha.

Amina również go usłyszała.

– Manash – zakwiliła. Pot płynął jej po twarzy, kiedy powoli zagotowywała się od środka.

Wtedy na ekranie pojawił się Manash i zobaczył ją na kamerce.

– *Nooré-cheshm-am*. Światło moich oczu. Co oni ci zrobili?

Odpowiedziała mu w farsji. Nora ustawiła się przy drzwiach, pilnując, by nikt niepowołany nie przeszkadzał w rozmowie.

Aminie brakowało już sił, by mówić. Usiadła tylko trochę wyżej, pozwalając, by opływał ją głos męża.

– *Jané del-am*. Życie mego serca – powiedziała cicho, głaszcząc palcami ekran.

Nora słyszała, jak Manashowi łamie się głos, jak stara się zachować spokój. By być z Aminą i towarzyszyć jej do końca. Nie rozumiała, co Manash mówi, ale po jego intonacji domyśliła się, że coś recytuje. Wiersz.

Amina uśmiechnęła się słabo. Zamknęła oczy, opadła na poduszki. Chwilę potem monitor wydał przeciągły sygnał.

Serce Aminy przestało bić.

Rozdział 31

Nora wzięła taksówkę do najbliższej stacji i pierwszym lepszym pociągiem pojechała do Londynu. Kierowca taktownie nie odniósł się do tego, że przez całą drogę płakała. W kieszeni miała woreczek, który dała jej pielęgniarka, wyprasząc ją z sali.

– Nie powinnam właściwie tego robić bez wypełnienia papierów, ale myślę, że nie ma nikogo, kto mógłby je podpisać – powiedziała, wręczając Norze pakunek.

Andreas siedział nad filiżanką kawy, gdy weszła do domu.

– Gdzie byłaś?

Poczuła, jak mięknie i poddaje się. Chciała tylko usiąść na kanapie, położyć głowę na jego ramieniu i dalej płakać nad tym, że Manash utracił światło swoich oczu.

Ale już nie mogła.

– Amina nie żyje – powiedziała bezbarwnie.

– Co się stało?

– Została zamordowana przez jakiś chory eksperyment medyczny.

– To jakieś szaleństwo. Takie rzeczy nie dzieją się w Wielkiej Brytanii – odparł Andreas.

– Można by tak sądzić. Ale SecurCorp na papierze też może nie być w Wielkiej Brytanii. Jestem pewna, że w rachunkach można się dogrzebać, że mają konto gdzieś na Bahamach albo w Liechtensteinie.

Andreas podał jej kubek.

– Chcesz kawy?

Nora pokręciła głową.

– Chcę się po prostu przespać.

Po chwili na niego popatrzyła.

– Andreas, czy ja jestem życiem twego serca?

Zaśmiał się z lekkim zażenowaniem.

– Czasami, jak jesteś miła. Prześpij się teraz. Będę się zbierał do Yardu, mamy wykład eksperta od cyberrekrutacji.

Nagle z bolesną jasnością przypomniała sobie o zaginionych mailach.

– Hej, może zacznij od sprawdzenia własnego bezpieczeństwa w sieci.

– O czym ty mówisz? – Sprawiał wrażenie zdumionego.

Opowiedziała własnymi słowami o koniu trojańskim i zobaczyła, że Andreas zbladł jak ściana.

– Nora, uwierz mi, nie miałem z tym nic wspólnego.

– Ale mail był od ciebie!

– Skąd wiesz?

– Co za różnica? Nie ma wątpliwości.

– Ale ja bym nigdy czegoś podobnego nie zrobił! Raz, że w ogóle bym na to nie wpadł, a dwa: nie mam wystarczającej wiedzy, by coś takiego zrobić.

– Może znasz kogoś, kto ma taką wiedzę?

Andreas zasłonił twarz rękami.

– *Fuck!* Tak, znam.

– Kogo?

– A jak myślisz? Birgitte pracuje w komórce IT wywiadu.

Poczuła wściekłość aż w stopach; była jak rozżarzony do czerwoności smok, gotowy ziać ogniem.

– Czyli włamała się do twojego komputera, a stamtąd do mojego? Czy ty rozumiesz, co to znaczy, Andreas? Wykradła mi informacje, przez które kobieta straciła życie. Ona musi być nieźle szajbnięta!

– Na razie nie wiemy, czy to ona. Może istnieje jakieś inne wytłumaczenie. Wiem tylko, że nie przyjęła zerwania zbyt dobrze. Była wyjątkowo zazdrosna, jak z nią byłem, i odkąd odszedłem, wcale się nie poprawiło.

– Ale czy ty w ogóle od niej odszedłeś? Przecież będziesz ojcem jej dziecka, więc dlaczego robi zasrane problemy?

– Nora, spokojnie. Musisz się przespać, porozmawiamy o tym później.

To zadziało jak dolanie benzyny do tłącego się ogniska. Cała jej frustracja, strach i smutek zlały się w jedno, wybuchając wściekle jasnym, pomarańczowym płomieniem.

– Andreas, do kurwy nędzy! Mam tego dosyć! Już nie mogę.

Spojrzał na nią.

– Nie mówisz poważnie?

– Mówię. I przekaż Birgitte, że jeśli natychmiast nie zwróci mi plików, to zgłoszę ją na policję.

– Nora, daj mi szansę wyjaśnić, co się stało.

– Muszę natychmiast dostać ten plik – warknęła.

Andreas zamknął oczy.

– Dobrze – powiedział, włożył marynarkę i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Nora rzuciła się na łóżko. Cholerny gaz pieprzowy. Łzy ani myślały przestać płynąć jej po policzkach.

Rozdział 32

Gdy Nora wstała w piątkowe popołudnie, w wiadomościach krajowych nie padło nawet słowo o PharmaCorp. Dopiero na lokalnej stronie Oksfordu znalazła wzmiankę o śmierci Murraya zatytułowaną: *Lokalny ekscentryk popełnił samobójstwo w lesie*. „Wiszące na drzewie ciało Briana Murraya (53), przez ostatnie lata znanego wśród okolicznych mieszkańców dzięki akcjom na rzecz praw zwierząt, zostało znalezione w miejscowym lesie, gdzie Murray mieszkał. Policja określa jego śmierć jako tragiczną, ale niebudzącą podejrzeń”.

Ani słowa o PharmaCorp.

Odszukała wizytówkę komisarza kryminalnego i zadzwoniła na jego komórkę.

– Teal, proszę mówić – powiedział szorstko.

Nora przedstawiła się i opowiedziała o śmierci Aminy.

– Tak, wiem. W tej chwili jest to śledztwo w sprawie zabójstwa. Czekamy jeszcze na lekarza sądowego, ale wiele wskazuje na to, że w grę wchodzi podwójne zabójstwo. Przypuszczamy, że Murray nie powiesił się sam.

– Portland coś mówi?

– Nie mogę tego zdradzić, w każdym razie oficjalnie. Ale zaprzecza, jakoby znał PharmaCorp. Mówi, że pojechał pod ten adres na polecenie innego klienta... – Nora słyszała, jak przewraca papiery. – ...ErBiTech.

– Wiedziałam! Oni współpracują z PharmaCorp.

– Tia. Mam przecucie, że zanim zgłębimy tę sprawę, zdąży ona przejść do wydziału przestępstw gospodarczych.

– Ma to pan jak w banku. Proszę się odezwać, gdybym mogła w czymś pomóc.

– Proszę jutro przyjść i złożyć wyjaśnienia któremuś z moich kolegów. Jeszcze zadzwoni, by ustalić szczegóły.

– Wiadomo coś więcej o doktorze Mungu?

Jack Teal westchnął.

– Nie. Wszystko wskazuje na to, że nazwisko jest fałszywe. Mamy nadzieję, że nie udało mu się wyjechać z kraju, nim wysłaliśmy za nim list gończy.

– Powodzenia – odparła Nora bez większych nadziei. Zbyt wielu ludzi było zainteresowanych tym, by doktor Mung nie zeznawał o tym, co się działo.

Gdy tylko odłożyła słuchawkę, zadzwonił Pete.

– Jak się miewasz?

– Do dupy – przyznała otwarcie.

– Co teraz robisz?

– To, co zawsze. Piszę.

Rozłączyli się i Nora przeniosła najświeższy plik dźwiękowy z telefonu do

komputera. Był praktycznie bezużyteczny. Podczas nagrania doktor Mung do niczego się nie przyznał, a jego propozycje były tak zawoalowane, że Nora nawet przy pobieżnym odsłuchu była w stanie stwierdzić, że nagranie nie ma szans w sądzie rejonowym czy w ogóle w jakimkolwiek sądzie.

Wtedy zasiadła do klawiatury i zaczęła pisać. Pisała o Murrayu, opowiedziała historię Aminy, jak bardzo była kochana i jaką pustkę po sobie zostawiła. Jak najprawdopodobniej przez pomyłkę trafiła do miejsca, gdzie na jej ciele wypróbowywano działanie skutków ubocznych leku. O eksperymentach z Felixią i o tym, że wszystkie ślady prowadzą w kierunku trójkąta składającego się z trzech firm: SecurCorp, PharmaCorp i ErBiTech. O skutkach przedawkowania DNP dla organizmu. O spalarni.

Wysłała artykuł Krabowi. Następnie przetłumaczyła go na angielski przez translatora Google, poprawiła najbardziej rażące wpadki językowe i wysłała go do Julesa, a potem do Millhouse'a i dla porządku do biura prasowego ErBiTechu.

Po półgodzinie dźwięk Big Bena obwieścił, że Krab chce z nią porozmawiać.

– Sand, do jasnej cholery!

– Czy to znaczy, że artykuł ci się podoba?

– To znaczy, że dzwoniło do mnie dwóch adwokatów, jeden po drugim. Brytyjski i amerykański. Grożą, że będą ciągać „Globalt” po sądach, począwszy od teraz aż po kolejne tysiąclecie.

– OK. Czy to jakiś problem?

– To znaczy materiał jest doskonały, ale...

– Ale co?

– Musimy patrzeć realistycznie.

– Co w tym przypadku znaczy realistycznie?

– W artykule są niczym nieoparte stwierdzenia. Luki.

– Owszem, ale przecież słyszałeś o moich poszukiwaniach. Wiesz, że skradziono mi plik dźwiękowy.

– Tak, tak. Ale fakt, że osobiście ci wierzę, nie wystarczy, byśmy mogli wydrukować artykuł. W każdym razie najpierw musimy się poradzić w dziale prawnym.

– Chodzi ci o tego zramolałego adwokata Becha, z którym grywasz w squasha? Tego, który nie potrafił wymóc na ministrze sprawiedliwości, by odebrał telefon?

– Zazwyczaj udziela doskonałych porad.

– Wiesz równie dobrze jak ja, jak on trzęsie portkami. Radził, byśmy nie upubliczniali tego materiału o rosyjskiej mafii i o przekrętach ze środkami unijnymi w Rolnictwie i Produktach Żywnościowych³.

– Sand. Muszę się z tym przespać. W przeciwieństwie do nas te kancelarie mają nieograniczone budżety.

Nie wiedziała, co ma ze sobą począć, gdy już odłożyła telefon.

Frustracja była tak ogromna, że miała ochotę wyrzucić przez okno i komputer, i telefon, ale usiadła tylko na parapecie, wyglądając na ulicę.

*

Nazajutrz rano umówił się z nią komisarz Clifford, ale gdy Nora stawiała się na komisariacie, przyjął ją Jack Teal.

– Pani Sand, to zwykła formalność – przekonywał. – Właściwie to chciałbym po prostu usłyszeć pani wersję tego, co się wydarzyło.

Nora podała mu artykuł po angielsku przetłumaczony przez Google. Ten, którego „Globalt” i Krab najprawdopodobniej nie ośmiela się opublikować.

Przez kilka minut czytał skupiony w całkowitym milczeniu, po czym podniósł głowę znad papierów.

– Może pani to wszystko zweryfikować? Istnieją konkretne dowody?

Nora opowiedziała o Jackie Bower i swoim spotkaniu z doktorem Mungiem. Przesłała mu też bezpośrednio z komórki plik z nagraniem z laboratorium.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek uda mi się użyć tych dowodów. ErBiTech i SecurCorp straszą, że pozwą moją gazetę, więc nie wiem, czy szef będzie miał odwagę opublikować ten artykuł.

Jack Teal zrobił grymas przywodzący na myśl uśmiech rekina.

– Obecnie nie przejmowałbym się zanadto ErBiTechem i panem Biehlem – powiedział enigmatycznie.

– Dlaczego?

– Odnoszę wrażenie, że zainteresował się... czymś innym.

– Co ma pan na myśli?

– Już od dawna nie ma go w kraju. Ulotnił się prywatnym samolotem tego samego wieczora, prawdopodobnie z doktorem Mungiem w roli pasażera. Istnieje możliwość, że doktora Munga nagrały kamery monitoringowe na lotnisku w Singapurze. Jeden z moich kolegów to sprawdza. Nikt nie wie, gdzie teraz przebywa Biehl, nawet jego żona, której w pośpiechu zapomniał wziąć ze sobą. Podejrzewam, że gdziekolwiek by był, jest tam ciepło i roi się od banków specjalizujących się w dyskrecji – stwierdził z goryczą.

– A co z SecurCorp?

– Dostaliśmy nakaz przeszukania laboratoriów ErBiTechu i PharmaCorp. Z dwunastogodzinną obsuwą. Dojeżdżając na miejsce, technicy zdążyli akurat pomachać na pożegnanie ekipie sprzątającej. Nigdzie nic nie znaleziono.

– Ale przecież macie Portlanda?

– Ta. Może przyskrzynimy go za Murraya, ale ma naprawdę dobrych adwokatów. Do znajomości z Aminą w ogóle się nie przyznaje. Twierdzi, że nie miał pojęcia, że jest w bagażniku, i że to Biehl ją tam umieścił. Wszystkie próby

zmierzające do obciążenia SecurCorp napotkały na mur. Brakuje nam konkretnych dowodów.

Nora pochyliła się do przodu.

– On popełnił jeszcze jedno morderstwo i jestem przeświadczona, że zostało zarejestrowane przez kamerę przemysłową. Jackie Bower.

Podawała Tealowi szczegóły, opowiedziała o kobiecie krzyczącej na peronie. W toku śledztwa ktoś musiał zanotować jej nazwisko.

– Dziękuję – powiedział i zadzwonił z komórki. Po dwóch minutach w gabinecie zjawił się jego podwładny. Jack Teal podał mu swoje notatki. – Skontaktuj się z policją kolejową i zdobądź wszystkie materiały, jakie mają na ten temat.

Gdy podwładny wyszedł, Teal znów wziął artykuł Nory.

– Mówi pani, że za tym wszystkim stoi SecurCorp? Pięć kobiet?

Nora skinęła głową.

– Mówiąc wprost, SecurCorp znacznie wykracza poza moją ligę.

Teal wpisał kilka słów na swoim komputerze i odwrócił do niej ekran, gdy znalazł to, czego szukał.

Na ekranie zobaczyła dwóch uśmiechniętych szeroko dygnitarzy: premiera i ministra obrony, znajdujących na jachcie, który, jeśli wierzyć nagłówkowi, pływał zeszłego lata gdzieś na greckim archipelagu. Między nimi stał żylasty mężczyzna w czapce marynarskiej, uśmiechając się olśniewająco.

– Wie pani, kto to jest? – spytał Teal.

Nora pokręciła głową.

– To Frederick von der Massburg. Dyrektor zarządu i główny akcjonariusz SecurCorp.

Jack Teal dał jej czas na przetrwanie tej informacji.

– Zobacz pani, że dziś albo jutro skontaktuje się ze mną kolega z wydziału przestępstw gospodarczych. Będą badać sprawę latami, sporządzać raporty z tysiącem załączników. I któregoś dnia sprawa się po prostu przedawni albo zostanie umorzona z braku dowodów.

– Chyba że uda się pani nakłonić Portlanda do zeznań?

Pokręcił głową.

– Nakłonienie Portlanda do zeznań sprawi mi satysfakcję, ale dla SecurCorp nie będzie miało większego znaczenia. W najlepszym wypadku możemy przyskrzynieć go za dwa morderstwa. Ale jeśli zezna, że za sznurki pociągało SecurCorp, adwokaci spółki błyskawicznie zrobią z niego niewiarygodnego świadka. Słowo mordercy przeciwko słowu eleganckiego dyrektora? Nie trzeba być prawnikiem, by się domyślić, jak się to skończy. I dlaczego miałyby w ogóle przeciwko nim zeznawać? Jakby poszukać głębiej, okaże się zapewne, że to oni opłacają mu dobrego adwokata. Ma największe szanse, grając z nimi do jednej

bramki. Wtedy adwokat wywalczy mu niższy wymiar kary.

– Ale w eksperymentach wykorzystano i zamordowano pięć kobiet. Plus dwa morderstwa: Jackie i Murray. Jak może im to ująć na sucho?

Jack Teal kontynuował bezlitośnie:

– Na początku tego tygodnia SecurCorp podpisało kontrakt na prowadzenie trzech nowych ośrodków pobytowych i jednego więzienia. W oczach rządu ta firma nie jest w stanie dopuścić się niczego złego. Mają po prostu za dobre ceny. Tak to wygląda – dokończył szorstko.

Na biurku Teala rozdzwonił się telefon. Na wyświetlaczu pokazał się numer.

– O, dzwoni kolega z wydziału przestępstw gospodarczych. Dzień wcześniej, niż się spodziewałem.

Nora wstała i pomachała mu na pożegnanie, gdy odebrał telefon. Przed komisariatem zamachała na taksówkę i podjechała prosto na lotnisko, wybierając się na zebranie w „Globalt”.

Rozdział 33

Zgodnie z oczekiwaniami spotkanie z radcą Bechem było okropne. Zasypał Norę paragrafami dotyczącymi znieważenia, podkreślając, że zarówno ona osobiście, jak i gazeta mogą zostać pozwane w Wielkiej Brytanii i USA, gdzie, według Becha, możliwości PharmaCorp czy ErBiTechu są nieskończone i można je liczyć w milionach, ba, w miliardach, jeśli chodzi o odszkodowanie za poniesione straty.

– Nie wiem, młoda damo, jak pani wygląda z ubezpieczeniem osobistym, ale gwarantuję, że proces tego kalibru doszczętnie zrujnuje gazetę.

Nienawidziła tego idioty i spojrzała wymownie na Kraba, który wił się, jakby chciano go wraz z pobratymcami włożyć do garnka z wrzącą wodą.

– Nie damy się zastraszyć, jeśli materiał da się zweryfikować, prawda?

– Musimy myśleć o dobru całej gazety. To tylko jeden artykuł. Istnieją też inne względy, jak na przykład pozostali pracownicy i samo przetrwanie tytułu – odpowiedział Krab z rezygnacją.

Bech i jego dwaj poplecznicy powiedli wzrokiem wokół stołu, uśmiechając się z zadowoleniem.

– No, to sprawa załatwiona.

Krab dał znak, by trójka prawników opuściła lokal. Gdy drzwi się za nimi zamknęły, obrócił się do Nory, kipiącej od powstrzymanej wściekłości.

– Czasami jest naprawdę nieznośny, szczególnie gdy ma rację – westchnął Krab.

– Obiecuj mi przynajmniej, że jak proces ruszy, to będzie moja działka.

– Ma się rozumieć. Ale na razie się wstrzymajmy. W tej chwili zasługujesz na trochę odpoczynku. Zlecę Tausenowi przejęcie tego artykułu urodzinowego o Biehlu.

– Chyba żartujesz?

– Nie, nie żartuję. W poprzednim numerze już go zapowiedzieliśmy. Obowiązuje nas umowa z czytelnikami.

Nora wstała i wymaszerowała z gabinetu, trzaskając za sobą drzwiami.

Wciąż trzęsła się ze złości, stojąc na chodniku i usiłując sobie przypomnieć, gdzie zaparkowała wypożyczony samochód.

Podeszła do niej szczupła, jasnowłosa kobieta.

– Nora Sand? – spytała nerwowo.

– Tak, o co chodzi?

Kobieta wahała się przez chwilę.

– Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale czy mogłybyśmy pójść na kawę? Chciałabym ci coś powiedzieć.

Nora patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

– Mam na imię Birgitte.

Usiadły w kafejce naprzeciwko.

Birgitte zamówiła dla siebie herbatę miętową, a Nora poprosiła o sok z czarnego bzu.

– Przepraszam, że tak niespodziewanie cię zaskakuję, ale recepcjonistka powiedziała, że jesteś na zebraniu, więc skorzystałam z okazji i tu przyszedłam – powiedziała Birgitte. Trochę plątał jej się język, a szybkie ruchy zdradzały, że nie jest jej łatwo tu być.

– Dobrze, czego chcesz?

Birgitte bawiła się torebką z herbatą, wyławiając ją z gorącej wody i wkładając z powrotem.

– Chciałam przeprosić. Przez ostatnie tygodnie nie byłam sobą. Hormony sprawiły, że zrobiłam rzeczy, których normalnie bym nie zrobiła. Przepraszam – powiedziała, nieświadomie dotykając brzucha.

Wzrok Nory podążył za jej ręką. Brzuch był rzeczywiście nieco wypukły.

– Działka. To też ty?

Birgitte skinęła głową.

– Ale miałam zezwolenie, bo stosunki między Iranem a zaginionym szwagrem Ishmaila były bardzo napięte. Właściwie dostaliśmy wolną rękę i robiliśmy, co według naszego uznania było konieczne, by go znaleźć. Ja posunęłam się może trochę dalej, niż było trzeba, ale prawdę mówiąc, tylko trochę.

– Myślałaś, że co to da?

– Nie myślałam. Dziękuję, że mnie nie zgłosiłaś. To dla mnie ważniejsze, niż myślisz. Jest mi naprawdę przykro, że... tak mnie poniosło. Utrata Andreasa bardzo mnie dotknęła, i to w takiej sytuacji.

Nora czuła, jak wyparowuje z niej nienawiść do tej drobnej kobiety.

– Ale przecież będziecie mieć dziecko, więc go nie stracisz. Zawsze będzie częścią twojego życia.

– Tak, będzie – odparła Birgitte drżącym głosem. – Ale nie tak, jak sobie wymarzyłam.

Siedziały chwilę, patrząc przez okno, za którym przeszła obładowana siatkami matka, pchając spacerówkę.

– Bardzo go kochasz? – spytała Birgitte w końcu.

Nie było dobrej odpowiedzi.

– Nie wiem... To skomplikowane – odparła Nora, dobrze wiedząc, że trudno o większy banał.

– Aha. Bo ja go bardzo kocham, najbardziej ze wszystkich ludzi – powiedziała Birgitte, a po jej policzku popłynęła cicho łza. – Ale... ale... on mnie widać już nie kocha. Wcale.

Nora ujęła Birgitte za rękę.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć. Człowiek nie panuje nad takimi rzeczami, tylko tyle wiem.

– Będziecie teraz razem? – spytała Birgitte.

Nora nie wiedziała, gdzie podziąć oczy.

– Nie wiem, w tej chwili po prostu nie wiem – odrzekła.

Potem wstała.

– Kończy mi się bilet parkingowy.

Gdy w końcu odszukała samochód, za wycieraczką znalazła elegancki mandat kopenhaskiej strefy parkowania. Rozeźlona wrzuciła karteczkę do schowka i obrała kurs na Humlegården.

Rozdział 34

Znów otworzyła Kirsten. Wskazała na dół ogrodu.

– Siedzi pod swoim drzewem. Wie, że przyjdiesz.

Stąpając ciężko, poszła w stronę zgarbionej sylwetki, rysującej się w liliowym zmierzchu.

Skulił się, gdy ją spostrzegł. Tak jakby chciał się jeszcze bardziej skurczyć. Jakby się zapadł.

– Nora – powiedział po prostu.

Objęła go. Wcześniej jego żylaste ciało miało w sobie wolę walki; teraz była to sama skóra i kości, bezładnie ze sobą połączone.

– Wszystko to zrobiłem dla niej. Żeby mogła żyć bezpiecznie. To wszystko było dla niej – powiedział.

Nie potrafiła nic powiedzieć. Usiadła pod drzewem naprzeciwko niego i długo siedzieli, milcząc.

– Umarła z uśmiechem na ustach. Pod koniec niczego się nie bała – rzekła Nora. Manash pociągnął nosem i powiódł wzrokiem po polach.

– Oddałbym za nią życie. Oddałbym życie, żeby móc potrzymać ją za rękę, choćby ten ostatni raz.

– Manash, to nie moja sprawa, ale co jej właściwie powiedziałaś?

Uśmiechnął się smutno, nie odrywając wzroku od horyzontu.

– Recytowałem pierwszy wiersz miłosny, jaki dla niej napisałem. Gdy ją poznałem, miała siedemnaście lat i była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Nadal jest.

Nora włożyła rękę do kieszeni i wyciągnęła paczuszkę, którą dostała od pielęgniarki Aminy. Znajdował się w niej kolczyk z niebieskim oczkiem. Podała go Manashowi, który wziął go bez słowa i zamknął w dłoni.

W końcu obrócił się do Nory:

– Proszę dyktafon. Możemy zacząć ten wywiad.

Od autorki

Chciałam podziękować przede wszystkim Wam, czytelnikom, za to, że tak dobrze przyjęliście Norę Sand. To przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Dziękuję księgarniom i bibliotekom za to, że są.

Dziękuję mojemu wspaniałemu wydawnictwu, współpraca z Wami to dla mnie przyjemność. Szczególne podziękowania należą się redaktorce Dorte. Dzięki jej wyczuleniu na szczegóły książka, którą trzymacie w rękach, jest lepsza. Dziękuję wszystkim innym, którzy dwoją się i troją, by sprzedać powieść. Wykonujecie doskonałą robotę.

Bardzo dziękuję mojej nieprawdopodobnie zdolnej agentce Linie, która jest na dobrej drodze, by zapewnić pani Sand panowanie nad światem. Czy coś w tym stylu. Wciąż muszę regularnie szczytać się w ramię.

Dziękuję mojemu kochanemu koledze lekarzowi Tzvetsenowi, który chętnie wytłumaczył mi, co właściwie się robi przy wysokiej gorączce. Dziękuję też Andersowi z Muzeum Policji, który w okamgnieniu przysłał mi zdjęcie taśmy policyjnej, gdy go potrzebowałam.

Niech wybrzmiały jeszcze słowa podziękowania dla moich kolegów z branży kryminalistów. Może i rywalizujemy ze sobą na papierze, ale trudno byłoby znaleźć miłszą i przyjaźniejszą grupę ludzi. Prawdziwa klasa.

Wreszcie dziękuję wszystkim cierpliwym i mądrym ludziom (wiecie, że o Was mowa), którzy pomogli mi podjąć jedną z najważniejszych życiowych decyzji: tę o zostaniu pełnoetatową pisarką. Ta przygoda dopiero się zaczęła.

Dziękuję też za całą miłość, która w cudowny sposób zewsząd do mnie płynie.

¹ Corinne próbuje naśladować duńską wymowę nazwy miasta Aalborg.

² Prestiżowa duńska nagroda dziennikarska. Nazwa pochodzi od nazwiska wybitnego dziennikarza, Henrika Cavlinga.

³ Czołowa duńska organizacja gospodarcza Landbrug og Fødevarer, która zrzesza rolników i producentów żywności oraz reprezentuje ich interesy.

Przekład: Joanna Cymbrykiewicz

Redaktor serii: Filip Modrzejewski

Redakcja: Małgorzata Denys

Korekta: Agnieszka Nowak, Zuzanna Żółtowska

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Fotografia na okładce: © peeterv / E+ / Getty Images

Logo serii: Marek Goebel

Skład i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4639-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal
Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, lowercase, blue sans-serif font. The letter "v" is significantly larger and more prominent than the other letters.

